KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/57 - 8/58 1952



• «La Culture» • Revue mensuelle •

NOWE ZESZYTY KRAJOWE „KULTURY"

J. Wittlin – **Tragiczny Gogol**

Maria Kuncewiczowa – **Leśnik** (Powieść)

Alexander Koval – **Sondaże**

ARCHIWUM POLITYCZNE • KRONIKA UKRAIŃSKA • SPRAWY I TROSKI • NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI • KSIĄŻKI

SPIS RZECZY

KULTURA

[Sz]kice • Opowiadania • Sprawozdania

[P]ARYŻ Juillet — Août 1952



[I]NSTYTUT LITERACKI

JÓZEF WITTLIN, ur. w Małopolsce Wschodniej. Studia uniwersyteckie: filozofia we Wiedniu i Lwowie. W czasie I. wojny światowej służył najpierw jako ochotnik w Legionie Wschodnim, a od 1916 do 1918 r. w austriacko-węgierskiej piechocie. Po wojnie był przez pewien czas nauczycielem języka i literatury polskiej w gimnazjach lwowskich. Od 1922-1924 kierownik literacki Teatru miejskiego w Łodzi oraz profesor Szkoły Dramatycznej przy tym teatrze.

Debiutował jako poeta jeszcze przed I. wojną w lwowskich pismach: "Słowo Polskie" i "Kurier Lwowski". Pierwszym jego drukowanym utworem był "Prolog" z okazji setnej rocznicy urodzin Krasińskiego w r. 1912. Po wojnie współpracował niemal we wszystkich większych czasopismach literackich w Polsce, jak poznański "Zdrój", warszawski "Skamander". Był stałym współpracownikiem "Wiadomości Literackich". Przez kilka lat zasilał swymi pracami "Tygodnik Ilustrowany". Osobno wydał: "Hymny" (trzy wydania), przekład wierszem "Odyssei" Homera (dwa wydania), "Gilgamesz", dwa tomy szkiców i rozpraw: "Wojna, Pokój i Dusza Poety", oraz "Etapy". W r. 1935 wyszła pierwsza część trylogii "Powieść o cierpliwym piechurze": "Sól Ziemi" (w przedwojennej Polsce cztery wydania). Przetłumaczono ją na trzynaście języków. Rękopisy dalszych części trylogii zaginęły w czasie nieudanej ucieczki autora z Francji, w czerwcu 1940 r. Od r. 1941 przebywa w New Yorku, gdzie wydał po polsku "Mój Lwów", oraz szereg prac po polsku i po angielsku, w antologiach, "sympozjonach" i wydawnictwach zbiorowych, m. in. studium o Kościuszce, zamieszczone w książce "Torch of Freedom. Twenty Exiles of History". Jest pierwszym pisarzem polskim nagrodzonym (za "Sól ziemi" w r. 1943) przez "American Academy of Arts and Letters". Przetłumaczył przeszło dwadzieścia książek i utworów dramatycznych. Z poezji tłumaczył m. in.: Dehmla, Rilkego, Stephen Vincet Benéta. Pracuje nad rekonstrukcją zaginionych w czasie wojny rękopisów.



Maria ze Szczepańskich KUNCEWICZOWA urodziła się w r. 1899. Pierwszy tom jej nowel pt. **Przymierze z Dzieckiem** ukazał się u J. Mortkowicza w Warszawie w r. 1927. Do czasu wojny ogłosiła w formie książkowej następujące prace: **Twarz Mężczyzny** — powieść; **Miłość Panieńska** — sztuka (wystawiona w r. 1930 przez J. Węgierkę w Teatrze Małym w Warszawie); **Dwa Księżyce** — nowele; **Dyliżans Warszawski** — wrażenia i szkice; **Cudzoziemka** — powieść; **Dni Powszednie Państwa Kowalskich** — powieść radiowa; **Miasto Heroda** — notatki z podróży na Wschód. W 1943 r. wyszły w Londynie **Klucze**, a po wojnie dwa tomy **Zmowy Nieobecnych** — powieść. Szóste wydanie **Cudzoziemki** i pierwsze **Kluczy** ukazały się w Polsce w r. 1948 nakładem "Wiedzy". Zakontraktowanej **Zmowy** jednak już nie wydano. Dla młodzieży Kuncewiczowa napisała następujące książeczki: **Przyjaciele Ludzkości; Serce Kraju; Zagranica; W domu i w Polsce.**

Następujące utwory Kuncewiczowej były tłumaczone: **Przymierze z Dzieckiem** na francuski i włoski, **Twarz Mężczyzny** na włoski, nowela **Jest w Domu** na japoński, **Cudzoziemka** na czeski, estoński, angielski (w Anglii i St. Zjedn.), włoski, francuski, holenderski, fiński, hiszpański (Argentyna). Powieść ta miała w Anglii i we Włoszech po pięć wydań, w Czechach dwa. **Klucze** zostały przetłumaczone na angielski, francuski i czeski. **Zmowa** wyszła po angielsku w r. 1950 w Londynie i N. Jorku pt. **The Conspiracy of the Absent.**

W ciągu ostatnich dwuch lat Kuncewiczowa napisała drukowaną przez nas obecnie powieść **Leśnik**, i po angielsku sztukę **Thank you for the rose**, rodzaj trawestacji "Alice in Wonderland".

W r. 1937 otrzymała nagrodę literacką m. Warszawy. W roku następnym złoty Krzyż Zasługi i złoty wawrzyn Akademii Literatury, a w r. 1939, na wniosek przedstawiciela ludności żydowskiej, radnego Szymona Wiszni, miasteczko Kazimierz n. Wisłą nadało jej obywatelstwo honorowe. Od r. 1940 mieszka w Anglii. Jest założycielką i prezeską centrum Pen Clubu "for Writers in Exile".

IMPRIME EN FRANCE

Imprimerie S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant, Paris (20e)

Krajowe zeszyty «Kultury»

Numer specjalny "KULTURY,", który ukazał się w marcu br., spotkał się z niezwykle życzliwym przyjęciem i to zarówno wśród czytelników polskich, jak i w wielu ośrodkach nie-polskich na Zachodzie.

Polacy — w bardzo licznych listach i opiniach, wypowiadanych bezpośrednio — podkreślali, że inicjatywa poważnego badania stosunków krajowych i publikowania wyników tych badań uzupełnia dotkliwy brak pogłębionej analizy przemian, które dokonywują się w Polsce. Motywy, którymi kierował się w swej pracy Ośrodek Badań Europy Środkowej, i które zostały sformułowane w przedmowie do marcowego numeru specjalnego "KULTURY", były bez zastrzeżeń podzielone przez czytelników. Zwłaszcza podkreślano, że tylko tego rodzaju badania mogą nas zbliżyć do poznania rzeczywistości krajowej, rzeczywistości, która ulega szybkim, rewolucyjnym i często nieodwracalnym zmianom. Z drugiej strony, podkreślano, że bez stałego wysiłku możliwie najdokładniejszego poznania rzeczywistości krajowej nie może być mowy o jakimkolwiek rozumnym myśleniu i działaniu politycznym emigracji oraz o przygotowywaniu do przyszłej pracy w kraju.

Wśród reakcji ośrodków nie-polskich na Zachodzie należy przede wszystkim zanotować fakt, że rząd jednego z krajów Europy zachodniej wydał polecenie przetłumaczenia numeru specjalnego "KULTURY" na użytek swoich urzędników i działaczy politycznych. Pierwsza przesłanka tego kroku wynikała ze znaczenia, jakie — z punktu widzenia ludzi, którzy zajmują się polityką międzynarodową w obozie zachodnim — posiada znajomość stosunków w Polsce, druga — ze stwierdzenia, że numer specjalny "KULTURY" jest cennym wkładem do poznania stosunków w Polsce.

Z podobną oceną roli numeru specjalnego spotkaliśmy się również w wielu innych ośrodkach nie-polskich na Zachodzie. W prasie niemieckiej, która może żywiej niż prasa w innych krajach, interesuje się sprawami polskimi, ukazało się kilka obszernych recenzji. Wiele ośrodków amerykańskich zwróciło się do nas z prośbą o dostarczenie tych prac w języku angielskim.

◆

Reakcja, jaką wywołał marcowy numer specjalny "KULTURY", niewątpliwie zachęca do dalszego publikowania prac, charakteryzujących i analizujących stosunki krajowe.

Dalsza publikacja prac na temat stosunków krajowych będzie prowadzona na tych samych zasadach, na jakich doszło do skutku wydanie pierwszego numeru krajowego "KULTURY", a mianowicie, będzie się ona opierać na porozumieniu i współpracy dwóch instytucji: Ośrodka Badań Europy Środkowej i "KULTURY". Ośrodek planuje, organizuje i prowadzi badania. "KULTURA" wydaje, wyłącznie własnym wysiłkiem, prace dostarczone do druku przez Ośrodek.

Ustalono następujący program wydawniczy, który ma być wykonany w 1952 r.

Marcowy numer specjalny "KULTURY" obejmował pierwszą część serii prac, która występuje pod nazwą "RAMY ŻYCIA W POLSCE". Przypominamy, że w pracach należących do tej serii, chodzi wyłącznie o charakterystykę struktury organizacyjnej i głównych zasad reglamentacji poszczególnych dziedzin życia w Polsce. Wkrótce ukaże się tom drugi tej serii. Będzie on obejmował następujące essay'e:

1) Nowa Konstytucja
2) Partia i stronnictwa
3) Armia
4) Reglamentacja i kształtowanie twórczości artystycznej
5) Prywatny przemysł, handel i rzemiosło
6) Przemysł państwowy
7) Handel państwowy.

Praca o położeniu Kościoła Katolickiego w Polsce nie została jeszcze wykończona. Praca ta będzie gotowa w późniejszym terminie i dlatego, chociaż wchodzi w skład serii "RAMY ŻYCIA W POLSCE", zostanie wydana poza serią w postaci odrębnego zeszytu.

Następna seria prac będzie poświęcona problematyce sowietyzacji kultury w Polsce i ukaże się pod odpowiadającym tej problematyce tytułem: "SOWIETYZACJA KULTURY W POLSCE". Tom ten, który obejmie około 500 stron "KULTURY", będzie zawierał następujące prace:

1) Program szkół powszechnych
2) Program szkół średnich
3) Literatura dla dzieci i młodzieży
4) Działalność wychowawcza organizacji młodzieżowych
5) Studia polonistyczne
6) Studia historyczne
7) Studia filozoficzne

8) Studia przyrodnicze
9) Studia ekonomiczne i społeczne
10) Twórczość literacka
11) Teatr
12) Film
13) Sztuki plastyczne.

Należy zaznaczyć, że terminem "studia" (polonistyczne, historyczne, filozoficzne, przyrodnicze i ekonomiczno-społeczne) będą objęte zarówno programy szkół wyższych w danym zakresie, jak i wytyczne, jakie system komunistyczny narzuca pracownikom naukowym w danej dziedzinie.
Prace trzeciej serii obejmą charakterystykę i analizę stosunków demograficznych i aparatu wytwórczego. Tom ten, równie około 500 stron druku, będzie zawierał następujące prace:

1) Równowaga społeczno-gospodarcza
2) Zdrowotność i dynamika populacyjna
3) Struktura zawodowa ludności oraz problem zapotrzebowania i podaży wykwalifikowanych sił roboczych (kadry)
4) Rolnictwo
5) Surowce i energetyka
6) Przemysł metalurgiczny i metalowo-przetwórczy
7) Przemysł chemiczny
8) Przemysł elektrotechniczny
9) Przemysł rolniczo-przetwórczy i przemysł zaopatrujący rolnictwo w środki produkcji
10) Przemysł włókienniczy
11) Transport
12) Handel zagraniczny.

Dołożymy wszystkich starań, by oba te tomy mogły się ukazać jak najprędzej.

◆

Prace, które zostały wydane w pierwszym numerze specjalnym "KULTURY" i które ukażą się w następnych numerach krajowych, mają przede wszystkim na celu przedstawienie wpływu systemu komunistycznego na życie społeczeństwa i — w miarę możliwości — ukazanie głębszych przemian, jakie się dokonywują w życiu współczesnej Polski. Wydaje nam się, że porządek podjętej analizy jest logiczny. Pierwsza seria prac odpowiada na pytanie — w jakim organizacyjnym trybie przeprowadzane są zamierzone przemiany. Druga — jakiej postawy światopoglądowej oczekuje system komunistyczny w Polsce od człowieka i społeczeństwa. Wreszcie, trzecia — jakimi

narzędziami pracy i produkcji rozporządza i może rozporządzać społeczeństwo polskie, innymi słowami: jakimi środkami dysponuje, względnie będzie dysponowało, w kształtowaniu warunków swego bytu materialnego.

Bardzo dokładnie zdajemy sobie sprawę z tego, że podjęta analiza nie obejmuje wszystkich przejawów życia w Polsce, czy też, że nie zostały uwzględnione wszystkie aspekty badanych zagadnień. Wiele przyczyn złożyło się na to, że nie było możliwości rozszerzenia zakresu badań. Celem umożliwienia czytelnikom uzupełnienia znajomości poruszonych spraw, staraliśmy się o to, by każda praca została zaopatrzona w możliwie obszerny wykaz bibliograficzny.

Trzeba jednak stwierdzić, że chociaż osiągnięte wyniki badań nie są kompletne, to jednak całkowicie wystarczają, aby dokładnie zdać sobie sprawę z tego, **w jakim etapie na swojej drodze historycznej znajduje się obecnie naród polski.**

Stoimy na stanowisku, że poznaniu prawdy i konstruktywnym wnioskom na przyszłość służy najlepiej obiektywizm i metoda naukowa badań. Odwrotnie, uważamy, że emocjonalne i propagandowe podchodzenie do problemów krajowych prowadzi do nieświadomego współdziałania z tendencjami paraliżowania twórczej roli obozu niepodległościowego.

W zeszytach krajowych "KULTURY" czytelnik nie znajdzie lekkiej, rozrywkowej lektury. Nie znajdzie dlatego, że dzisiejsza rzeczywistość krajowa nie dostarcza tematów, które można by potraktować lekko. Nasze prace nie są pisane stylem ciężkim. To tylko problemy, którymi się zajmują, są ciężkie.



Apel do czytelników, by pomogli za pomocą subskrybcji w wydaniu drugiego zeszytu specjalnego dał niespodziewane rezultaty. Pozwoliło to na przyspieszenie jego druku. Subskrybenci otrzymają drugi tom numerowany według kolejności zgłoszeń.

W numerze wrześniowym "KULTURY" podamy warunki przedpłaty na dalsze zeszyty krajowe. Stali prenumeratorzy pisma otrzymają specjalne ulgi, by umożliwić im kompletowanie całości.

REDAKCJA.

Tragiczny Gogol

I

Piekło, którego Gogol bał się przez całe życie, nie było podobne do piekła Dantego. Inferno z "Boskiej Komedii" mieściło się głęboko pod powierzchnią ziemskiej kuli, nakryte owym ciemnym lasem (selva oscura), gdzie florencki poeta zabłądził w sam Wielki Piątek roku Pańskiego 1300. Trudno oprzeć się wrażeniu, że piekło to projektował jeden z wielkich architektów, co budowali przedmedycejską Florencję. Taki tam ład panuje, taka symetria i, rzec by się chciało — łacińska harmonia. Na wieczne męki skazanych grzeszników rozsegregowano starannie i poumieszczano w oddzielnych kręgach i podkręgach ("cerchi" i "gironi") na jednej z trzydziestu czterech kondygnacji piekielnego stożka. A wszystko — podług wskaźnika win, ustalonego jeszcze przez Arystotelesa.

Piekło Gogola znajdowało się w nim samym. Nie było tam harmonii nawet w stylu bizantyjskim. Roiło się od wszelkiego rodzaju straszydeł, przeważnie we frakach i mundurach czynowników Jego Imperatorskiej Mości Mikołaja I. Panował tam bałagan jak na jarmarku w Soroczyńcach, w gubernii połtawskiej, gdzie 1 kwietnia 1809 roku (Prima Aprilis!) przyszedł Gogol na świat. Według innej wersji urodził się w ojcowskim majątku Janowszczyzna, koło Mirgorodu w tejże gubernii. Chcąc zatrzeć żenujące w owych czasach ślady skoligacenia szlachecko-kozackiego, a więc małoruskiego rodu Hoholów-Janowskich z dawną Rzeczpospolitą Polską, ojciec Mikołaja przemianował Janowszczyznę na Wasiliewkę, ku własnej zapewne czci, gdyż miał na imię: Wasyl. Według jeszcze innej wersji, którą przyjął biograf Gogola — B. Szenrok, Janowszczyzna nie jest identyczna z Wasiliewką: były to dwa różne folwarki, należące do Gogolów. O miejsce urodzenia Homera siedem miast się spierało; nie spierajmy się o to, w której z trzech ukraińskich dziur — ujrzał tzw. światło dzienne Mikołaj Wasylewicz Gogol.

W sobie miał piekło. Zwłaszcza w ostatniej, nad wyraz nieszczęśliwej dekadzie życia, kiedy nie mogąc tworzyć, tłukł się po świecie, jak upiór. Jak jedna z postaci gogolowskich. Woził piekło w pocztowych dyliżansach, po całej Europie, po tych wszystkich badach niemieckich, gdzie leczył pół tuzina chorób prawdziwych i tuzin urojonych. Jeździł do stolic i sanktu-

ariów zachodniej cywilizacji, w nadziei znalezienia spokoju dla duszy nawiedzonej od diabła. Na próżno. Nie mógł Gogol pozbyć się piekła nawet w Rzymie, gdzie tak długo i tak chętnie mieszkał, ani nawet w Jerozolimie u świętego Grobu, dokąd odbył pielgrzymkę wiosną roku 1848. Tą wiosną ludów.

Był kozakiem z krwi, po kozacku się czesał, do stepów ukraińnych wzdychał, napisał "Tarasa Bulbę", gdzie sławił operowych nieco herosów szesnastowiecznej Kozaczyzny. Lecz duszy kozaczej nie miał. (W rodzinnych stronach autora tego szkicu słowami: "Nie bądź taki kozak!" mitygowano zucha, chełpiącego się pogardą śmierci). W dojrzałych latach sławny pisarz trząsł się jako osika z wszechobecnej w nim trwogi. Czego tak się bał? Śmierci, piekła boją się przeważnie ludzie, którzy nadużywają ziemskich uciech — i to kosztem bliźnich. Krzywdziciele, złoczyńcy. O ile wiemy (bo cóż naprawdę wiemy o drugim człowieku?), Gogol do grzeszników tego typu nie należał. Więc może bał się kary za grzechy tego świata, który powołał do życia swym piórem? Za grzechy licznego potomstwa swej "komicznej" Muzy? Za tych żarłoków, opojów, szalbierzy i szarlatanów, łapowników i obłudników z "Rewizora" i "Martwych dusz"? Za Chlestakowa i Horodniczego, za Chłopowa i Zemljanikę, za Bobczyńskiego i Dobczyńskiego? Za Cziczikowa i Koroboczkę, Sobakiewicza i Nozdriewa, Maniłowa i Pliuszkina? Za te doskonałe *nicości*, z którymi utożsamiał się w latach samoudręki, kajania się i kaznodziejstwa, kiedy to na próżno starał się owe nicości napełnić czymś dodatnim, wybielić je i pchnąć na drogę cnoty? Jest to dosyć prawdopodobne. W "Czterech listach do różnych osób w sprawie 'Martwych dusz'" wyznaje: "Żaden z moich czytelników, którzy śmiali się z moich bohaterów, nie wiedział o tym, że ze mnie się śmieje. Nie było wprawdzie we mnie jakiegoś nadmiernie dużego występku, który by o całą głowę przewyższał resztę grzechów, lecz za to skupiłem w sobie wszelkie możliwe potworności. Co prawda miałem w sobie tylko cząstkę każdej z owych potworności, ale tych cząstek nagromadziła się we mnie taka masa, jakiej do tej pory nie widziałem jeszcze u nikogo z ludzi". Następnie tłumaczy działanie mechanizmu, którym posługiwał się przy tworzeniu osób z pierwszej części "Martwych dusz": "Brałem którąś z ujemnych cech mojego charakteru i badałem, jakie formy przybrałaby ta cecha, gdyby ją miał człowiek innego zawodu, stanu i sfery życiowej. Tę cechę usiłowałem traktować jako swego śmiertelnego wroga, który mnie najdotkliwiej obraził, po czym jąłem go ścigać mą nienawiścią i szyderstwem, tudzież wszystkim, do czego jeszcze byłem zdolny. Gdyby ktoś widział te wszystkie ohydy, jakie moje pióro stworzyło — na mój własny użytek — zadrżałby z przerażenia". ("Wybrane miejsca z korespondencji z przyjaciółmi , 1847").

I cóż dziwnego, że człowiek, obarczony świadomością, lub chociażby urojeniem tylu, tkwiących w nim "ohyd", stale drżał z przerażenia? Gdybyśmy chcieli posługiwać się modnym dziś

pseudonaukowym żargonem, moglibyśmy poprosić psychoanalityków o pomoc w interpretacji gogolowskich fobii, manii, fiksacji i obsesji. Ale wolimy nie zapuszczać się na tak skomplikowane manowce. Trzymajmy się już starych, bitych traktów cesarskich. Na nich trudniej jest wywrócić się zarówno naszym myślom, jak i owym bryczkom i karetom, w których, do kozackich kulbak tęskniący, Gogol pół życia spędził, trzęsąc się ze strachu. Bał się nie tylko śmierci. Bał się również życia i jego pogańskich uroków, z których nie umiał korzystać. Wolał się umartwiać. Bał się kobiet, których nie umiał kochać. Był bezżenny, bezdzietny, samotny. Bał się chorób, bał się zdrowia, bał się klęsk, ale bardziej jeszcze sukcesów. Bał się uwielbianej Rosji i uciekał od niej do Włoch. Tam za nią tęsknił dziką tęsknotą człowieka Wschodu. Zachodu nie rozumiał. Gardził nim, chociaż nie tak, jak Dostojewski. Bał się cara, lecz jego autokratyzm uważał za dar Ducha świętego. Bał się carskich czynowników, a marzył o tym, żeby samemu zostać carskim czynownikiem. Panicznie lękał się własnej odwagi. Lękał się prawdy, którą tak okrutnie obnażał w swych największych dziełach, a wypierał się jej w "życiu" i w owej korespondencji z przyjaciółmi, opublikowanej jeszcze za życia. Najbardziej bał się samego siebie. I to było jego piekło.

Strach, tkwiący w nim immanentnie, mógł wszakże płynąć ze źródeł czysto metafizycznych, niedostępnych postronnemu obserwatorowi. Żyjemy dziś w czasach gruntownej rehabilitacji, ba — nawet nobilitacji strachu. Zapoczątkował ją człowiek, żyjący równocześnie z Gogolem, i to w niedalekiej od Petersburga Kopenhadze. Oczywiście Kierkegaard (1813-1853), o którym Gogol chyba nie słyszał, tak jak on — nie słyszał o Gogolu. Kierkegaard uważał trwogę w połączeniu z wiarą za środek zbawienia duszy. W jego kapitalnej "Trwodze i drżeniu" czytamy: "gdyby człowiek był zwierzęciem lub aniołem, nie popadłby w trwogę. Jest on atoli syntezą zwierzęcia i anioła i dlatego umie się trwożyć... Tym większy jest człowiek, im bardziej się trwoży". Jak widzimy, Kierkegaard bliższy był Pascala niż ideałów kozackich. W innym miejscu "Trwogi i drżenia" poucza: "Lecz nie należy (trwogi) pojmować tak, jak większość ludzi to czyni. Wywodzą ją oni z czegoś, co człowieka nawiedza z zewnątrz, a należy to pojmować tak, iż sam *człowiek wytwarza trwogę*" (podkr. nasze). Mógł zatem Gogol nadmiernie "wytwarzać" w sobie trwogę, niezależnie od obiektywnych, "zewnętrznych" przyczyn. Jego wiara zaś, o której jeszcze pomówimy, nie dosyć go wychowała, aby — jak to Kierkegaard zaleca — mógł "znaleźć spokój w Opatrzności". Spokój, którego Gogol tak desperacko szukał. I wydaje się, że jego wiara, połączona ze strachem, raczej go oddalała od zbawienia duszy, niż zbliżała. Tak się przynajmniej zachowywał. Jego własne wyznania i częste publiczne spowiedzi są pełne sprzeczności, ton ich zaś jest taki, iż bardziej budzi niesmak

czytelnika oraz nieufność do treści tych spowiedzi, niż litość dla udręczonej duszy.

Jeśli można czyjeś życie rozpatrywać "obiektywnie" pod kątem tzw. szczęścia lub nieszczęścia — ziemska droga Gogola, lubo uciążliwa, nie była zbytnio najeżona kolcami. W każdym razie miał on łatwiejsze życie niż współcześni mu: Puszkin i Lermontow, a później — jego największy uczeń: Dostojewski. Nie był żonaty z Natalią Gonczarową, z którą sam car romansował. Nikt go nie zsyłał na Sybir ani nawet na Kaukaz. Mógł mieszkać, gdzie chciał i podróżować, dokąd chciał. Nie strzelał się o honor żony — no — i nie zginął w pojedynku. Ani jak Lermontow, oburzony śmiercią Puszkina, o którą samego cara winił, nie pisał buntowniczych ód — toteż nie przeniesiono go za karę z pułku petersburskiej gwardii — do piechoty liniowej na Kaukazie. Lermontow — jak wiadomo — też zginął w pojedynku. A cóż dopiero los Dostojewskiego! Szafot, ułaskawienie w ostatniej chwili przed egzekucją, deportacja na Sybir, czteroletnia katorga, epilepsja, tragiczne miłości, nędza, nałóg karciany. Nie, "obiektywnie" życie Gogola nie było takie straszne. Męczył się wyłącznie tym, co działo się w jego duszy. Potwornie się męczył.

II.

Światem, odbitym w jego duszy i w jego sztuce rządziła nieświęta trójca: Strach, Absurd i Nuda. To była Rosja zwycięzców Napoleona. Zwyciężył go i do ucieczki zmusił rosyjski lud, kiedy Gogol miał trzy lata. Ale owoców tak wielkiego zwycięstwa lud rosyjski nawet nie powąchał. Żywe i martwe dusze tego ludu, jak przedtem tak i teraz, stanowiły własność Nozdriewów, Sobakiewiczów i Koroboczek. Własność do sprzedania i do zastawienia. Całą "świętą Ruś" uciskał w imieniu cara Mikołaja I-go — tłum Horodniczych i Dzierżymordów, utytułowanych łotrzyków w kapiących od złota mundurach. W takim mundurze chodził również diabeł, którego młody Gogol, a raczej opowiadający w jego imieniu fikcyjny stary bartnik "Rudy Pańko" ujrzał na Ukrainie, w Dikańce w chwili, gdy diabeł kradł księżyc w samą "Noc Wigilijną". ("Wieczory na futorze w pobliżu Dikańki", część II). Zrazu nie wiadomo było, czy to naprawdę jest diabeł, czy Prokurator Gubernialny. "Tylko z koziej bródki pod pyskiem i z różków na głowie, no i z tego, że nie był bielszy od kominiarza — można było odgadnąć, że to nie żaden Niemiec, ani Prokurator Gubernialny, tylko po prostu — diabeł, diabeł we własnej osobie".

Jesteśmy w samym królestwie Absurdu. Na razie jest to Absurd niewinny, gdyż operuje postaciami z czwartego wymiaru. Taki Absurd łatwo można przepędzić egzorcyzmami, i spokojnie zasnąć. Absurdalność świata, gdzie w pierwszej chwili nie wiadomo, czy diabeł jest Prokuratorem Gubernialnym, mrozi wprawdzie krew i wywołuje gęsią skórkę, ale rychło tę krew

rozgrzewa jowialny śmiech, jakim w dawnych czasach rozbrzmiewały futory ciepłej Ukrainy. "Dikańką", "Mirgorodem", a nawet "Arabeskami" — młody Gogol raczej zabawiał Rosję niż straszył. Jeszcze nie narodził się w nim ów zimny śmiech, którym tak okrutnie siekł Absurd — w najlepszych latach swej dojrzałej twórczości: 1835-1842. O swoim śmiechu sam pisał do przyjaciela-poety W. A. Żukowskiego (tłumacza "Odyssei"), w liście z Neapolu, 29 grudnia 1847 (10 stycznia 1848): "Nigdy nie myślałem o tym, by zostać kiedyś pisarzem satyrycznym i pobudzać czytelników do śmiechu. Co prawda, już w szkole miałem skłonność do wesołości i zamęczałem kolegów niestosownymi żartami. Były to jednak objawy przejściowe: na ogół miałem raczej usposobienie melancholijne, podatne do zadumy. Później przyszły — choroba i hipochondria, a ta choroba i hipochondria stały się przyczyną nieokiełznanej wesołości, przebijającej z pierwszych moich utworów. Dla własnej rozrywki zwykłem był bez żadnego celu ani planu wymyślać sobie charaktery, które później stawiałem w komicznych sytuacjach... Oto geneza moich opowieści". A dalej: "Śmiech mój zrazu był dobroduszny, i wcale nie chciałem nim czegokolwiek wyszydzać... toteż zdziwiłem się niezmiernie, gdym usłyszał, że ktoś czuje się dotknięty i że nawet całe warstwy społeczeństwa, całe stany oburzają się na mnie... I jąłem zastanawiać się nad tą sprawą. Skoro śmiech jest tak potężny, że ludzie go się boją, o — w takim razie nie wolno go nadużywać. Postanowiłem przeto skoncentrować wszystko zło, jakie znałem i ująć je w jedną całość, a potem tę całość — wystawić na śmiech. Tak oto powstał 'Rewizor' ".

Jakkolwiek osobiste wynurzenia Gogola zwykliśmy przyjmować z pewną ostrożnością — trudno nie przyjąć tej interpretacji jego śmiechu oraz genezy "Rewizora". Widać z niej, że autor doskonale zdawał sobie sprawę z różnicy między swym młodzieńczym, ukraińskim śmiechem, a — tym późniejszym, petersburskim, poczętym nie tylko z wichrów Północy, z mgieł i zamarzniętej Newy, ale i — z Nudy. Nudą wiała nań ta rozbawiona kosmopolityczna stolica, pełna wrzasku, pełna wojska, pełna wysokich i niskich urzędników, pełna strachu. Stolica biurokratycznego Absurdu.

Zanim atoli Gogol napisał "Rewizora", sam uległ pokusie Absurdu. Szczerze i uczciwie chciał zostać carskim urzędnikiem. Pracę urzędniczą uważał za święte posłannictwo, graniczące niemal z misją popa. Później, gdy miał już za sobą swe wielkie dzieła: "Rewizora", pierwszą część "Martwych dusz" i "Płaszcz", w których bądź co bądź obrzydził trochę Rosji jej urzędniczą kastę, usprawiedliwiał swe powołanie pisarza tym, iż to jest także służba państwowa. W "Spowiedzi pisarza" z r. 1847 wyznaje otwarcie: "... autor, spełniając swój obowiązek, powinien to odczuwać, powinien być przekonany o tym, iż służy swemu państwu tak, jakby rzeczywiście pełnił służbę państwową. Nigdy nie opuszczała mnie myśl o

służbie państwu". To prawda. Ledwo ukończył liceum w ukraińskim Nieżynie, w roku 1829, udał się na Północ do Petersburga w nadziei zrobienia tam kariery urzędniczej. Wolał błyszczeć w mundurze Asesora kolegialnego, jak bohater jego "Nosa" Kowalew, niż jako gwiazda na firmamencie rosyjskiej literatury. Nawet dwóch lat nie wytrzymał przy biurku w departamencie apanaży. Zdobył tam jednak cenne doświadczenia "w terenie", zdobył "background", bez którego może nie byłoby "Rewizora" ani "Płaszcza". Tam, w Petersburgu, dzięki osobistemu zetknięciu się z Absurdem i Nudą, ale również dzięki przyjaźni z Puszkinem (który nb. "odstąpił" mu pomysły "Rewizora" i "Martwych dusz") stał się tym Gogolem, którego słusznie dziś czcimy w sto lat po śmierci.

Wspominaliśmy, że już na Ukrainie pisał humoreski, groteski oraz fantastyczne opowieści z duchami i czarownicami, podobne do nowel E. T. A. Hoffmana i E. A. Poego. Najgroźniejsze z nich to "Straszna zemsta", "Portret" a nade wszystko "Wij". Lecz mimo diabłów i upiorów nie widać tu jeszcze infernalnego satyryka, jakim Gogol okazał się w "Nosie" (1835). Absurdalność świata w jego utworach sprzed r. 1835, a więc uchodzących za romantyczne — to absurdalność oficjalna, uznana za takową przez tzw. zdrowy rozum. Absurdalność — niegroźna, obłaskawiona. Dopiero wówczas, gdy Gogol zaczyna straszyć — nie duchami umarłych i czarownicami, a więc światem nadprzyrodzonym, ale żywymi ludźmi, gdy odkryje grozę świata normalnego, więcej: grozę samej normalności życia w mikołajewskiej Rosji — przezwycięży nie-świętą trójcę: Absurd, Nudę i Strach. Przezwycięży ją śmiechem, o którym powie "iż istnieje po to, aby wyśmiać wszystko, co odbiera godność prawdziwej piękności człowieka". Wcześniejsze jego humoreski np. "Spór Iwana Iwanowicza z Iwanem Nikiforowiczem" nikogo nie gorszyły, podobnie jak jego romantyczne historie z duchami, nikogo naprawdę nie przerażały. Zgorszenie wywołał dopiero "Rewizor".

Premiera tej komedii odbyła się 1 maja 1835 roku w Petersburgu. A odbyła się dzięki samemu carowi, który obronił "Rewizora" przed swoim własnym cenzorem. Czy to, iż nie dostrzegł w nim żadnego niebezpieczeństwa dla autorytetu biurokracji, rządzącej jego monarchią, czy dlatego że uśmiechnęła mu się rola nowego Ludwika XIV, który "Świętoszka" Moliera zasłonił swym majestatem przed atakami sfer eklezjastycznych Paryża, dość, że "Rewizora" odegrano za aprobatą Mikołaja I. Cesarz świetnie się bawił na premierze i wyszedł z teatru rozbrojony śmiechem. "Każdemu dostało się według rangi", rzekł, cytując słowa z komedii. Nie cała Rosja poszła za przykładem swego władcy. Nie wszyscy też zastosowali się do motta, którym autor poprzedził "Rewizora": "Nie lżyj zwierciadła, jeśli masz krzywą gębę". "Rewizor" dowiódł, że oficjalna Rosja, ta we frakach i orderach, ma tak bardzo krzywą gębę, że nawet śmiać się już nie potrafi. Ale skoro sam car się śmiał

i ona musiała się śmiać, więc udawała, że się śmieje. Lecz autor przeraził się własnego śmiechu. Tak bardzo go się zląkł, że uciekł przed nim z Rosji, w której odtąd przez dwanaście lat będzie już tylko gościem. Śmiech "Rewizora" nie był śmiechem jowialnym, beztroskim, oczyszczającym sumienie. Po takim śmiechu człowieka coś dławi. Z piekła rodem był ten śmiech.

Niewątpliwie dziś on nas już nie dławi. Dziś z "Rewizora" śmiejemy się swobodnie, pobłażając staroświeckim błaznom i łobuzom we frakach i mundurach. W stulecie śmierci Gogola jakże niewinne wydają się nam podłości, które on tak niemiłosiernie demaskował. Przywykliśmy do groźniejszych szubrawców niż poczciwy, romantyczny Chlestakow, podtatusiały Horodniczy Skwornik-Dmuchanowski i cała ta ludzka menażeria w stylu Biedermeier. Teatralnym wyrazem moralności naszej epoki jest "Le diable et le bon Dieu" J. P. Sartre'a, gdzie autor stara się pokazać, że między dobrem a złem nie ma właściwie różnicy. Skoro już jesteśmy w teatrze francuskim, cofnijmy się o niecałe trzy wieki i zaryzykujmy twierdzenie, że od czasów Moliera niewiele było tak znakomitych komedii obyczajowych jak "Rewizor". Winniśmy więc powiedzieć, czym różni się teatr Moliera od teatru Gogola. Tym przede wszystkim — że u Moliera występują postacie białe i czarne, dobre i złe. U Gogola wszyscy są źli. Walka toczy się między czarnymi a jeszcze czarniejszymi. Przecież ofiarą Chlestakowa pada sama hołota. To samo dzieje się w I-ej części "Martwych dusz". Radca kolegialny Paweł Iwanowicz Cziczikow, "właściciel dóbr ziemskich, podróżujący w prywatnych interesach" w towarzystwie wiernego sługi Selifana, nie odwiedza niewinnych owieczek. Te swoje "prywatne interesa" załatwia z ludźmi, zdolnymi do transakcji równie podejrzanych, jak skup martwych dusz.

O przygnębiającym wrażeniu szatańskiej "humorystyki" Gogola najlepiej świadczy reakcja Puszkina na pierwsze rozdziały "Martwych dusz", które Gogol mu przeczytał. Scenę tę opisuje sam Gogol w jednym z "Czterech listów do różnych osób w sprawie 'Martwych dusz' ": (Puszkin)... "posępniał i posępniał, aż mu twarz całkowicie spochmurniała. A gdy skończyłem czytać, odezwał się z głębokim smutkiem w głosie: "Boże, jak okropnie beznadziejna i smutna jest ta nasza Rosja!" Żaden z wielkich współczesnych Moliera nie zawołał po przeczytaniu czy też zobaczeniu "Świętoszka" lub "Skąpca": "Boże, jak beznadziejna jest ta nasza Francja!" Albowiem w teatrze Moliera, w tym zwierciadle moralności i obyczajów Francji XVII wieku — z reguły zwycięża dobro, a źli ponoszą zasłużoną karę. Przeważnie ponoszą ją z rąk swych niedoszłych ofiar, lub też wpadają we własne sidła, zastawione na dobrych. Patrząc, jak męczy się zdemaskowany Tartuffe, a Orgon nad nim triumfuje, śmiejemy się (chociaż nie zawsze scena ta budzi w nas śmiech, zdarza się, że budzi litość) całkiem inaczej, niż przy końcu "Rewizora", gdy zjawia się carski żandarm, przedsta-

wiciel nieprzekupnej sprawiedliwości, ze straszną wieścią: "Przyjechał prawdziwy rewizor z Petersburga". To koniec świata! Nie ma ratunku. Wszyscy są oszukani i wszyscy będą potępieni. Śmiech Moliera nie był z piekła rodem.

III.

W sześć lat po "Rewizorze" wyszła I część "Martwych dusz", niemal w całości napisana zagranicą. Olbrzymie malowidło obyczajowe ziemiańskiej Rosji, z której Gogol zdziera pozory patriarchalności, obnażając jej etyczną marność. Na widok tej marnoty znów Gogol zaśmiał się swym infernalnym śmiechem. I znów przeraził się tego śmiechu. Przebywał we Włoszech, więc tym razem nie musiał uciekać przed zgorszonymi rodakami. Natomiast zaczął uciekać przed samym sobą. I wszystko, co teraz napisze (i spali), będzie miało znamiona tej panicznej ucieczki. Wydaje się, że zastraszony efektem, jaki pierwsza część "Martwych dusz" wywołała w Rosji, rozpaczliwie chwyta się za głowę i krzyczy: "Na miłość Boską, co ja zrobiłem?"

Odtąd Gogol coraz częściej i coraz żarliwiej apeluje do miłości Boskiej. Już tylko z Jej pomocą pragnie oglądać świat i sądzić ludzi. Już więcej nie chce z nich szydzić. Wyrzeka się lodowatego śmiechu, którym obryzgiwał obnażony grzech. Teraz chce ludzi kochać, jak kochać powinien chrześcijanin: z wszystkimi ich grzechami i zboczeniami. Nie chcąc być świętoszkiem, sam usilnie dąży do cnoty. Posiadłszy ją, będzie nią mógł obdzielać innych ludzi. Nawet tych, w których tak niedawno jeszcze widział jedynie posępną swołocz. Mało — widział: delektował się tą swołoczą. Oczywiście, jako artysta. A teraz istnienie zła go martwi. Czas prostować ludziom gęby, żeby nie lżyli zwierciadła. Gogol zabiera się do drugiej części "Martwych dusz". Tam bohaterowie mają już być "pozytywni", z perspektywą na czyściec, jeśli nie na — niebo. Niestety, ta operacja się nie udała. Zawiodły wszelkie masaże: wyprostowane gęby przestały być gębami ludzi z krwi i kości, to były gęby z papieru, malowane syropem. Sam Gogol to zrozumiał, skoro w cytowanych już "Czterech listach do różnych osób w sprawie "Martwych dusz", pisanych w roku 1846 oświadcza: "Spaliłem drugą część "Martwych dusz", ponieważ było to koniecznością. Dziękuję Bogu, że dał mi siłę to uczynić. Gdyby drugi tom ukazał się w tym stanie, w jakim się wówczas znajdował, wyrządziłby więcej szkody, niż przyniósł pożytku. Przedstawienie pewnej ilości szlachetnych charakterów, świadczących o delikatnych uczuciach i wzniosłej nobliwości naszej natury — do niczego nie prowadzi. Pobudza tylko pychę i chełpliwość... Nie, bywają czasy, kiedy nie wolno mówić o pięknie i wzniosłości, nie pokazując jednocześnie drogi do piękna... Ten moment wypadł w drugim tomie 'Martwych dusz' słabo i niedoskonale, a powinien być najważniejszy i najistotniejszy. Dlatego spaliłem całą drugą część 'Martwych dusz' ".

Oto tragedia Gogola. Wielki i prawdziwy jest on tam tylko, gdzie pokazuje zło. Bez komentarzy i bez morałów. I gdzie sam jest złośliwy. Gdzie natomiast świadomie i ostentacyjnie stara się być dobrotliwym, wszystko przebaczającym chrześcijaninem — zawodzi jako artysta niemal zupełnie. Sprawdziło się na nim to, co tak lapidarnie wyraził Gide w książce o Dostojewskim: "C'est avec les beaux sentiments que l'on fait la mauvaise littérature" (Przy pomocy pięknych uczuć robi się złą literaturę). A także: "Il n'y a pas d'œuvre d'art sans collaboration du démon" (Nie ma dzieła sztuki bez współpracy z demonem).

Jakiegoż to demona pomoc jest potrzebna, by powstało dzieło sztuki? Gide był mocno zasugerowany Dostojewskiego koncepcją piekła i szatana. Piekłem dla Dostojewskiego jest nie świat nienawiści i zbrodni, lecz świat intelektu, któremu przeciwstawia miłość. Przytacza tu Gide słynne zdanie Blake'a: "The reason Milton wrote in fetters when he wrote of Angels and God, and at liberty when of Devils and Hell, is because he was a true Poet and of the Devils party without knowing it. ("Przyczyną tego, iż Milton był skrępowany, gdy pisał o Aniołach i Bogu, a czuł się swobodny, gdy pisał o Diabłach i Piekle, jest to, że był prawdziwym Poetą i stał po stronie Diabła — nie wiedząc o tym". Nota w "Zaślubinach Nieba z Piekłem"). Okazuje się, że Gogol też był "of the Devil's party". Ale, jakiż to diabeł pomagał mu w pracy literackiej? Chyba nie ów prowincjonalny diasek w kusym fraczku czynownika, co kradł księżyc w "Dikance"? Ani ów bies, którym matka straszyła Gogola w dzieciństwie? Ten ukraiński czart nie mógł być potężnym wspólnikiem twórczości Gogola. To nie był przedstawiciel intelektu, który w "Rewizorze" i I-ej części "Martwych dusz" nie dopuszcza miłosierdzia do głosu. To musiał być całkiem inny czart. I kto wie, czy piekło w duszy pisarza nie wzięło się stąd, że chciał on gwałtem pozbyć się takiego wspólnika? Bo póki mu diabeł pomagał w pisaniu gorzkich, bezlitosnych "satyr" — miał Gogol od niego względny spokój w życiu. Teraz diabeł się mścił i rozpętał piekło z prawdziwymi płomieniami, w których autor "Martwych dusz" co pewien czas palił rękopisy drugiego tomu tego "poematu". Wprawę w paleniu nabył jeszcze w młodości. Zrażony złą recenzją pierwszej swej książki, długiej idylli wierszem pt. "Hanz Küchelgarten", wycofał z handlu cały nakład i spalił. Był to rok 1829. Potem trzy razy palił coraz to inne wersje drugiej części "Martwych dusz". Ocalały jednak warianty kilku pierwszych rozdziałów: pogorzelcy i pogrobowcy tragicznego artysty, który bez wzajemności kochał cnotę.

Zanim wstąpił na drogę cnoty, a talent jego uległ wyjałowieniu, stworzył Gogol swe arcydzieło pt. "Płaszcz". Nigdzie nie wzniósł się na takie szczyty artyzmu, jak w tej smutnej petersburskiej historii o życiu i śmierci tytularnego radcy Akakija Akakiewicza Baszmaczkina, z pensją roczną 400 rubli. Celem i misją jego życia było przepisywanie tego, co napisali inni. Tylko przepisywanie. Nie był on zdolny do samodzielnego koncypowa-

nia urzędowych "kawałków". Czuł się bardzo nieszczęśliwy, gdy w nagrodę za długoletnią wierną służbę zaproponował mu szef zmienianie nagłówka w raportach oraz pierwszej osoby na trzecią. Nie, to przechodziło siły tytularnego radcy Baszmaczkina. Zlany zimnym potem pokornie wykrztusił prośbę, żeby mu pozwolono nadal przepisywać, tylko przepisywać to, co wymyślili inni. Diabeł w tej opowieści występuje w postaci jednookiego krawca Grigorija Piotrowicza. Kusi on Baszmaczkina nowym i kosztownym płaszczem. Baszmaczkin ulega kuszeniu, więc musi zginąć.

W żadnym z dotychczasowych utworów nie dał Gogol tak piekielnej wizji pustoszącego duszę działania Nudy. Nigdzie też beznadziejność, bezmyślność, odczłowieczenie — słowem: *bezduszność,* nie została ukazana w tak klasycznym skrócie. Baszmaczkin był już za życia "martwą duszą". Jego dusza ożyła dopiero po śmierci, by straszyć swą krzywdą petersburskich strażników i dygnitarzy, by straszyć Rosję i nas wszystkich po dziś dzień. Pierwszy to raz piewca świata — na ogół wypompowanego z miłości — chwycił nas za serce. Baszmaczkin jest jedyną jego wielką postacią, z której trudno się śmiać. Tu Gogol "without knowing it" okazał się chrześcijaninem, współczującym niedoli sponiewieranych. W "Płaszczu", a nie w kaznodziejskich pismach, z których składa się ostatnia jego książka, pisana za życia pt. "Wybrane miejsca z korespondencji z przyjaciółmi". W nich, jak i w "Spowiedzi pisarza" sili się na chrześcijaństwo, w "Płaszczu" wyraża je spontanicznie. Z "Płaszcza" też wywodzi się Dostojewski z całym swym chrześcijańskim "podejściem" do "Biednych ludzi". Makar Diewuszkin z tej młodzieńczej powieści — to w prostej linii potomek Akakija Akakiewicza. "My wszyscy wyszliśmy spod "Płaszcza" Gogola, wyzna później autor "Biesów", mówiąc o nowej literaturze rosyjskiej, tak czułej na ludzkie krzywdy.

IV.

Ach, ta nieszczęsna korespondencja Gogola, opublikowana w r. 1847! Gdybyśmy go sądzili tylko po tym, co z taką emfazą głosił w swych listach i orędziach, otrzymalibyśmy sylwetkę komedianta, histeryka, zacofańca, co broni pańszczyzny w imię źle pojętego chrystianizmu i schlebia możnym, sylwetkę bałwochwalcy despotyzmu. "Kto pomaga Gogolowi — samemu Bogu pomaga!" pisze w jednym z owych listów, ociekających fałszywą pokorą. W innych — udziela zbawiennych rad właścicielom ziemskim. Poucza ich, jak mają postępować ze swymi "duszami" tj. z pracującym na nich ludem. "Dusze", opieszałe w robocie, trzeba — rzecz jasna — karać chłostą, ale nie powinien tego robić sam pan, lecz jego ekonom. Zaleca też panom palenie banknotów w obecności chłopów, ażeby w ten sposób pokazać, że panom wcale nie zależy na pieniądzach, zdobytych chłopską pracą. Ta praca ma tylko jeden cel: służy zbawieniu duszy (chłopów).

Jak bardzo Gogol w tej, dla jego twórczości, zabójczej fazie życia dał się zaślepić blaskiem szlacheckich koron, świadczy sam tytuł drugiej części "Martwych dusz": "Przygody hrabiego Cziczikowa". W pierwszej części bohater-drań był tylko zwykłym szlachetką. Ale skoro Cziczikow ma być sympatyczny i cnotliwy, trzeba go awansować na hrabiego. Cnota rośnie, snać, proporcjonalnie do ilości pałek w szlacheckiej koronie. Aniołowie u Gogola mieliby chyba tytuły książęce. Jeśli mu tak hrabia imponuje, cóż dopiero — cesarz! Niekiedy Gogol sam widzi, że się zagalopcwał. Tak np. w liście z 16. października 1846 prosi prof. Pletniewa, któremu poruczył wydanie "Wybranych miejsc z korespondencji z przyjaciółmi", o skreślenie w nich ustępu, gdzie władzę cara wywodzi od biblijnych królów: Salomona i Dawida. Powiada tam m. inn.: "władza monarsza byłaby błazeństwem, gdyby monarcha nie czuł, że powinien być wizerunkiem Boga na ziemi".

Trudno dziś zrozumieć, po co Gogcl w ogóle tę książkę ogłaszał. Nam wydaje się niepotrzebna, dla niego — widać — była konieczna. Publikacją "Wybranych miejsc" chciał zapewne ulżyć własnemu sumieniu, kompromitując twórcę "Rewizora", pierwszej części "Martwych dusz" i "Płaszcza". Fałszywą interpretacją swych najlepszych dzieł, maniackim wypieraniem się ich prawdziwego sensu i biadaniem nad szkodami, jakie rzekomo wyrządził Rosji, pisząc te dzieła — zelżył Gogol zwierciadło, pokazujące jego krzywą twarz.

Rzadko się zdarza, żeby jakiś autor ogłaszał swą *prywatną* korespondencję. Co innego, listy jako rodzaj literacki, uprawiany już w starożytności wierszem i prozą. "List do Pisonów" *) np. od razu był pomyślany jako list *publiczny*. Dziś nazwalibyśmy go listem otwartym o "Sztuce poetyckiej". Taki sam charakter mają "Prowincjałki"**) Pascala lub "Listy filozoficzne z Anglii" Voltaire'a. Natomiast listy wielkich epistolografów a zwłaszcza epistolografek Francji XVII i XVIII wieku: pani de Sevigné, pani Geoffrin, pani du Deffand, oraz jej lektorki, panny de Lespinasse — mają ściśle prywatny charakter. Pomnikami prozy francuskiej stały się dopiero po śmierci autorów(ek) — oczywiście bez ich wiedzy.

Skoro więc Gogol zdecydował się ogłosić za życia swe listy do przyjaciół, musiał to uczynić w przeświadczeniu, że ich treść powinna zainteresować nie tylko adresatów. Zresztą jego książka jest niejednolita, skomponowana z bardzo różnorodnych elementów. Tylko częściowo są to autentyczne listy, pisane do autentycznych odbiorców. Sporo też jest "listów" do fikcyjnych lub anonimowych przyjaciół, z wyraźną tendencją publiczną. Ponadto mamy tu również "Testament" Gogola, zamieszczony na czele książki, a więc niejako programowo nadający jej cha-

*) Q. Horatii Flacci: Epistola Ad Pisones.
**) "Lettres à un Provincial".

rakter posłania do potomności. Wartość tego dzieła też wydaje nam się nierówna. Tam, gdzie Gogol mówi o poezji, o sztuce, o Żukowskiego przekładzie "Odyssei", jest szczery i zajmujący. A tuż obok znajdujemy wyznania w tonie fałszywie uroczystym, płaski ekshibicjonizm i żałosne samozałganie.

Od razu nasuwa się tu porównanie z korespondencją innego wielkiego prozaika XIX w. Flaubert, podobnie jak Gogol, uchodzi za twórcę powieści "realistycznej". Ale co za różnica między listami Gogola, a wspaniałą czterotomową "Korespondencją" Flauberta, wydaną nb. po jego śmierci. O Gogolu niestety nie można powtórzyć tego, co powiedział o Flaubercie Albert Thibaudet: "Chassé par la porte, le Je (de Flaubert) est rentré après la mort, par toutes les fenêtres. Et c'est la Correspondance. Elle peut passer pour la plus importante correspondance d'homme de lettres au XIXe siècle. On y trouve tous les dessous de l'oeuvre de Flaubert". (Wypędzone drzwiami Flaubertowskie Ja wraca po jego śmierci wszystkimi oknami. To jego Korespondencja. Ona może uchodzić za najważniejszą korespondencję, jaka kiedykolwiek wyszła spod pióra pisarza XIX w. Odnajdujemy tu cały spód dzieła Flauberta) *).

Gogol w swych listach zamazuje raczej swoje Ja, utrudnia dotarcie do "spodu" swej twórczości. Flaubert w Korespondencji ukazuje siebie, jakim jest, a Gogol, jakim pragnąłby być w oczach "dobrze myślącej" Rosji. Nieustraszony autor "Madame Bovary" miał proces z powodu tej powieści, obrażającej jakoby moralność publiczną. Gogola sam car protegował, a jednak autor "Rewizora" stchórzył przed swoją prawdą. I przykro nam, iż nie możemy do Gogola zastosować tego, co Thibaudet w dalszym ciągu mówi o Flaubercie: "La Correspondance une fois publiée a contribué puissamment à maintenir Flaubert au premier rang, à retarder ou à amortir les réactions inévitables qui se sont produites contre son art et son influence. Elle a mis à l'artiste la rallonge de l'homme... Elle doit être tenue pour un bréviaire de l'honneur littéraire". (Opublikowanie Korespondencji przyczyniło się potężnie do utrzymania Flauberta w pierwszym szeregu, do opóźnienia lub do uśmiercenia nieuniknionych reakcji przeciw jego sztuce i jego wpływowi. Podłużyła ona artystę o całą długość człowieka... Powinno się ją uważać za brewiarz honoru literackiego).

Korespondencja Gogola wzbudziła zarówno niechęć tych, którym schlebiała, jak i oburzenie postępowców. Gorszyli się nią taksamo "słowianofile", jak i "zapadnicy", których rzecznikiem był Wissarion Grigoriewicz Bieliński (1811-1848). Poddał on "Wybrane miejsca z korespondencji z przyjaciółmi" druzgocącej krytyce w "Sowriemienniku", na co mu Gogol odpowiedział rozżalonym listem. Wtedy to Bieliński, gorący wielbiciel sztuki Gogola, pisze ów słynny list, datowany w Salzbrunn 15. lipca 1847 r., a rozpowszechniony po kryjomu w całej Rosji w tysiącu

*) **Histoire de la littérature française de 1789 à nos jours.**

odpisów. Jeden z takich odpisów odczytano w Petersburgu na konspiracyjnym zebraniu tzw. "Petraszewców", 15. kwietnia 1849. W zebraniu tym uczestniczył młody Dostojewski. Ów to list Bielińskiego stał się bezpośrednią przyczyną aresztowania i procesu "Petraszewców", zakończonego wyrokami śmierci i "ułaskawieniem" na Sybir. Taka moc biła z listu Bielińskiego. Wielki krytyk zarzuca w nim Gogolowi apologię knuta, wrogość wobec ludu i oświaty ludowej. Kwestionuje jego chrześcijaństwo, tak hałaśliwie afiszowane w tej przykrej książce: "Gdyby pan był napełniony prawdziwą nauką Chrystusa, a nie fałszywą nauką diabła, powiedziałby pan w swej najnowszej książce właścicielom ziemskim tak: — Skoro wasi chłopi są waszymi braćmi w Chrystusie, a brat nie może być niewolnikiem brata, winniście chłopów obdarzyć wolnością, lub przynajmniej używać ich siły roboczej dla ich dobra". Wolterianin Bieliński woli Kościół katolicki od prawosławnej Cerkwi, którą nazywa "niewolnicą i posługaczką świeckiej władzy". Wypomina też Gogolowi płaszczenie się przed popami, o których moralności i inteligencji ma bardzo niepochlebne mniemanie. Twierdzi też Bieliński, że "... lud rosyjski, owszem, jest zabobonny, ale nie ma w nim śladu religijności... zabobon znika wraz z postępem cywilizacji, natomiast religijność trwa obok tego postępu i niekiedy współżyje z nim zgodnie". Przykładem — Francja. Sumieniu Gogola pozostawia Bieliński "czy ma on w dalszym ciągu pławić się w zachwycie, kontemplując Boską urodę samodzierżawia"...

W liście Bielińskiego najwięcej zabolało Gogola to, iż krytyk dał posłuch petersburskiej plotce, wedle której Gogol miał opublikować "Wybrane miejsca z korespondencji z przyjaciółmi", aby zaskarbić sobie łaskę dworu. Chciał jakoby zostać guwernerem syna następcy tronu. Do końca życia bronił się Gogol przed zarzutami Bielińskiego. Odpierał je najpierw w listach do niego samego, a po śmierci krytyka w listach do przyjaciół. W końcu, swoim zwyczajem sam zaczął się oskarżać i sam w "Spowiedzi pisarza" potępił swą ostatnią książkę. "Krótko mówiąc" — czytamy w tej "Spowiedzi" — "książka ta jest tylko dowodem wieczystej prawdy słów Apostoła Pawła, który powiada: 'człowiek — to jedno wielkie kłamstwo' ".

Schyłek życia wypełnia Gogolowi niemoc twórcza, choroba, rozpacz i daremne szukanie Boga. Pod wpływem swego spowiednika Ojca Matwieja Konstantinowskiego, całkowicie wyrzeka się literatury, jako grzechu. Ojciec Matwiej uważał twórczość Puszkina za pogańską. Potępiał jej szkodliwe promieniowanie na Rosję. A Gogol był uczniem i przyjacielem Puszkina. Ostatnim, niespalonym utworem Gogola są obszerne "Rozważania o świętej Liturgii". Pisane jasno i plastycznie w latach 1845-1852, a wydane dopiero w r. 1889 — świadczą o synowskim umiłowaniu kultu i symboliki Wschodniego Kościoła. Mimo to Gogol nie doznał łaski wiary, o której kardynał Newman mówi, że "jest darem od Boga, a nie czymś, co z nas samych wypływa i czym

możemy dowolnie szafować". O tym, jak gorąco pragnął Gogol posiąść ten dar i jak bardzo się męczył brakiem wiary — świadczą jego listy do Ojca Matwieja z roku 1848. Pisał je przed ową pielgrzymką do Jerozolimy, która ani jego duszy ani twórczości nie dała pożądanych rezultatów. W jednym z nich (12. lutego 1848) czytamy: "Niestety! Nie łatwo jest modlić się. Jak może modlić się ktoś, komu Bóg na to nie pozwala?... Wydaje mi się, że nie ma we mnie wiary. Wyznaję Chrystusa jedynie dlatego, ponieważ tak mi nakazuje rozum, nie-wiara. Ja tylko pragnę wierzyć. A mimo to odważam się na tę pielgrzymkę do Grobu Pana naszego. O, módl się za mnie".

Ostatnie cztery lata spędził Gogol już w Rosji. W nocy z 11. na 12. lutego 1852 r. spalił definitywną wersję drugiej części "Martwych dusz" oraz trzecią część, która podobno też była gotowa. Działo się to w Moskwie, w domu przyjaciela hr. A. P. Tołstoja, u którego wówczas mieszkał. Tam stoczył ostatni, katastrofalny bój z szatanem. Chciał Gogol wypędzić go z siebie przy pomocy głodówki. Przez wiele dni nie przyjmował pożywienia. W końcu, rankiem 4. marca umarł z głodu i z anemii mózgu. Jego ostatnie słowa były podobno: — "Drabiny! Podajcie mi drabinę!"

Jaka to miała być drabina? I kto miał mu ją podać? Może wołał o drabinę jakóbową, po której z pomocą aniołów chciał się wydostać z piekła?

Józef WITTLIN.

Festiwal sztuki — «Dzieło XX-go Wieku»

UWAGI OGÓLNE

Jednym z ważniejszych wydarzeń kulturalnych w Europie Zachodniej był ostatnio Festiwal sztuki, który trwał przez cały miesiąc maj w Paryżu. Festiwal ten, nazwany "Dzieło XX Wieku", był urządzony przez Kongres Wolności Kultury, organizację międzynarodową z siedzibą we Francji. Festiwal miał uświadomić zarówno artystom jak i publiczności najważniejsze problemy sztuki współczesnej.

Ponieważ Festiwal już się zakończył, podajemy czytelnikom polskim możliwie zwięzłe sprawozdanie. Najwięcej miejsca w Festiwalu zajmowała muzyka. O palmę pierwszeństwa walczyły najwybitniejsze orkiestry i zespoły świata — z Francji, Szwajcarii, Stanów Zjednoczonych, Austrii, Niemiec, Anglii i Włoch. Szczególne zainteresowanie obudziły oczywiście koncerty poświęcone utworom Igora Strawińskiego, który przyjechał z Ameryki i sam dyrygował. Sam dyrygował również kompozytor angielski Benjamin Britten.

Wymieńmy punkty węzłowe Festiwalu muzycznego. Ewenementem była opera "Wozzeck" Albana Berga w wykonaniu Opery Wiedeńskiej. Krytyka zgodnie podkreśliła że jest to prawdopodobnie najwybitniejszy utwór operowy stworzony w naszym stuleciu.

Wbrew wyrażanym często obawom, że wiek dwudziesty nie wydał prawdziwie wielkich twórców, Festiwal stał pod znakiem dwuch, jeżeli tak można się wyrazić, wielorybów muzyki. Są to: Bela Bartok i Igor Strawiński. Nic nie pomogą wrzaski sowieckiej krytyki że są to dekadenci. Dzisiaj widać już wyraźnie, że są to słupy milowe w muzyce naszych czasów. Ironia naszej ery chciała aby dwaj najwięksi kompozytorzy stulecia byli emigrantami politycznymi.

Kompozytorzy z Europy Środkowej i Wschodniej byli dość licznie reprezentowani na Festiwalu. Wykonano utwory Czechów Janacka i Martinu, Węgra Kodaly, Rumuna Enesco, Polaków Tansmana i Palestra. Publiczność usłyszała również dzieła sowieckich kompozytorów oficjalnie potępione w Moskwie. Były to "Suita Scytyjska" Prokofiewa i fragmenty opery "Lady Macbeth z miasta Mczeńsk" Szostakowicza.

Liczne przedstawienia dał zespół baletowy z New Yorku dla którego kostiumy i dekoracje projektowali m. inn. tak znani malarze jak Rouault, Marc Chagall i Noguchi. Na pograniczu baletu stał "Oedipus Rex" Strawińskiego. Było to pomyślane jako teatr ogromnych marionetek. Na tle muzyki pojawiały się na scenie kukły i maski przedstawiające historię króla Edypa. Zaprojektował je poeta francuski Jean Cocteau.

Malarstwu była poświęcona wystawa, która zgrupowała najbardziej znane obrazy nowoczesne zwiezione z różnych kolekcji. Sprawa nowoczesnego malarstwa dała okazję do zaciekłych debat publicznych, w

których wzięli udział: pisarz francuski Jean Cassou, znany krytyk angielski Herbert Read, wiedeński historyk sztuki Wind, włoski historyk sztuki Venturi, malarz polski Józef Czapski i szereg innych artystów i krytyków.

W ogóle debaty publiczne na temat roli i zadań artysty w świecie dzisiejszym były bardzo ożywione. Należy tu wspomnieć że Festiwal był zainaugurowany mszą za ofiary totalizmu, za tych wszystkich którzy cierpieli w obozach koncentracyjnych i tych, którzy dzisiaj cierpią. To wskazuje kierunek debat. Podkreślano rolę artysty i pisarza w walce z przemocą i niewolą, jakiekolwiek ona dzisiaj przybiera formy. W tych posiedzeniach dyskusyjnych wzięło udział kilkudziesięciu pisarzy z różnych krajów Europy, Ameryki i Azji. Z krajów azjatyckich były reprezentowane Indie i Japonia. Oto kilka nazwisk uczestników Festiwalu: poeta amerykański Wynstan Auden; powieściopisarze amerykańscy William Faulkner i James Farrel; powieściopisarz rumuński, autor powieści "Dwudziesta piąta godzina" Virgil Gheorghiu; powieściopisarz francuski Jean Guehenno; poeta amerykański Robert Lowell; emigrant hiszpański Salvador de Madariaga; powieściopisarz francuski André Malraux; poeta polski Czesław Miłosz; powieściopisarz włoski Guido Piovene; poeta angielski Stephen Spender; powieściopisarz włoski Ignazio Silone. Zadania tego zjazdu pisarzy określił w najbardziej może zwięzły sposób Włoch Piovene. "Przybyłem do Paryża — mówił Piovene — aby wziąć udział w manifestacji, która ma na celu obronę wolności kultury". "Mam obrzydzenie do oświadczeń o ukochaniu wolności, o decyzji występowania w jej obronie, jeżeli te oświadczenia pozostają w dziedzinie abstrakcji droższych oportunistom niż filozofom. Ale jest jasne że przyszedł moment kiedy trzeba bronić wolności bez żadnych warunków i zastrzeżeń".

"Pisarze włoscy mają niejakie doświadczenie kiedy chodzi o los artysty w systemie dyktatury. Wiedzą oni na przykład że wobec tyranii inteligencja ludzka jest słabą bronią. Ośmielam się powiedzieć że jest to najsłabszy punkt. W miarę jak tyrania ustala się i trwa, staje się ona w naszych oczach realnością i koniecznością natury. Inteligencja ludzka boi się wtedy pustki. Czuje się abstrakcyjna, bezużyteczna. Boi się, aby nie wypaść poza to, co wydaje się prawem naturalnym. Zaczyna się wahać. W większości wypadków — choć są chlubne wyjątki — tyranii udaje się przekonać umysły ludzkie — widzieliśmy to we Włoszech, widzieliśmy to w Niemczech i w Rosji. Człowiek przestaje wtedy mówić o wolności, a zaczyna mówić o wolności z warunkami, z zastrzeżeniami. Nie chce już być wolny.

Intelektualista, pisarz, nie jest człowiekiem polityki, a przede wszystkim nie jest żołnierzem. Jego misją jest świadczyć i rozumieć. Nie lubi on alternatyw bez wyjścia, podziałów albo—albo. Ale byłoby godne pożałowania, aby to zgasiło w nim instynkt samozachowawczy do tego stopnia że nie umiałby rozpoznać swoich wrogów i dałby się przez nich pożreć". "Tyranie, które nam zagrażają różnią się bez wątpienia między sobą, ale spotykają się tam, gdzie chodzi o sztukę i kulturę. Spotykają się we wspólnym umiłowaniu tej sztuki, która nie jest ich wynalazkiem, bo jest stara jak świat: W umiłowaniu sztuki banalnej, którą ludzie inteligentni i wolni uważają za niższą. Artysta współczesny czuje się nieraz izolowany i tęskni do związku z ludźmi. I oto wszystkie tyranie ofiarują mu ten związek z ludźmi, miejsce w społeczeństwie. Dają mu funkcję publiczną, to znaczy każą mu służyć celowi reżimu, partii, kościoła. Ale ta wspólnota z ludźmi jest wspólnotą w banalności. Oto czego żąda się od nas w imię zdrowia, w imię moralności, w imię tępienia dekadencji, w imię ludzkości, w imię socjalistycznego realizmu".

Akurat wczoraj przeczytałem te słowa Jaspersa: "Należy odpowiedzieć na pytanie czy organizacja życia (to jest polityka) może być przez nas uważana za całość, czy też zawarta jest ona w jakiejś szerszej całości". To właśnie jest najważniejsze pytanie. Znamy odpowiedź reżimów totalitarnych. Organizacja życia, problemy polityczne są dla nich całością. Nie umieją one pojmować sztuki i kultury inaczej niż

jako politykę. Jeżeli ktoś twierdzi inaczej, to też według tych reżimów zajmuje pozycję polityczną. Pracownik kultury staje się instrumentem polityki, środkiem przy pomocy którego rządzący grupują masy wokół swojej polityki. **Ta rola jest dokładnym przeciwieństwem tej do jakiej ma prawo pisarz.** Rolą pisarza powinno być pokazanie w jego dziełach, że organizacja życia to nie wszystko. Do nas należy przypominać, że ten niezmierzony świat który zawiera miłość i śmierć, gwiazdy i przepaści, nie został stworzony tylko po to abyśmy uzyskali lepszą organizację. Tak, funkcja pisarza jest polityczna, ale tylko w najszerszym sensie tego słowa. Gdyż sama organizacja nie rozwiąże nigdy problemów organizacji, sama polityka nie rozwiąże nigdy problemów polityki".

Inni uczestnicy zjazdu również podejmowali ten motyw, wykazując że literatura, muzyka i malarstwo mogą istnieć tylko tam, gdzie człowiekowi wolno jest różnić się w swoich opiniach i przekonaniach od otoczenia. Dla pisarza i artysty nie jest to tylko sprawa tego co chce powiedzieć, również tego **jak** ma powiedzieć — gdyż widzimy dzisiaj że totalitarna tyrania narzuca styl, narzuca sposób wypowiedzi. Z drugiej strony artysta i pisarz w krajach wolnych nie zawsze umie korzystać z wolności. Zwłaszcza zagadnienie języka literatury nowoczesnej było w centrum sporu. Amerykański poeta Allen Tate w trosce o kulturę języka widzi główną funkcję pisarza. Trzeba pytać — mówił Tate — czy w języku poety, polityka, filozofa istnieje prawdziwe zrozumienie naszej ludzkiej wspólnoty. Jeżeli to zrozumienie istnieje, to znaczy że jest to język wolności. Jeżeli natykamy się natomiast na język mechaniczny, język propagandy, język w którym środki są ważniejsze niż cele, jest to język niewolników, albo tych co czekają aby zostać niewolnikami. W podobnym kierunku szło przemówienie Czesława Miłosza. Zauważył on, że dzisiejszy podział świata na dwa bloki jest pozorny, gdyż pragnienia ludzkie są te same na Wschodzie i na Zachodzie, wbrew życzeniom tyranii. Stąd obowiązkiem pisarza jest troska o to, aby jego dzieło miało charakter możliwie najbardziej uniwersalny, aby było w nim widoczne dążenie do prostoty i uczciwości języka. Takie dzieło będzie bliskie zarówno czytelnikom na Zachodzie, jak milionom tych Europejczyków, którzy znaleźli się w granicach wschodniego imperium. Idąc po tej samej mniej więcej linii co Miłosz, krytyk francuski Roger Caillois zaatakował gwałtownie schorzenia poezji francuskiej.

Niech tych kilka głosów da pojęcie o obfitości dyskutowanych problemów. Oczywiście zagadnienie socjalistycznego realizmu stale powracało w debatach. Namiętnej, druzgocącej krytyce poddał teorię i praktykę socjalistycznego realizmu André Malraux.

Festiwal stał się wielką manifestacją tych wszystkich pisarzy i artystów, którzy rozumieją, o co dzisiaj toczy się walka i są zdecydowani nie dać sobie wydrzeć prawa do swobodnej wypowiedzi — tego prawa które — jak wykazuje doświadczenie historyczne — jest jedyną gwarancją prawdziwego a nie sfałszowanego postępu.

•

ZOOLOGICZNE UWAGI O FESTIWALU

Niezwykle wystawny ten festiwal, "Dzieło XX-go wieku". Koncerty, opery, balety, międzynarodowa ekipa pisarzy. Spójrzmy jednak na sprawę z nieco innego, "wschodnio-europejskiego", punktu widzenia. Powstaje pytanie co za sens ma uczestnictwo w takiej imprezie, jeżeli chodzi o Polaka, zajmującego się, z powodów językowych, bardziej prywatnym niż publicznym pisaniem. Dlaczego mam wyciągać kasztany z ognia dla kogoś innego, np. "reprezentować" polską literaturę i co mnie łączy z tzw. "obrońcami kultury"? Poza tym co w ogóle osiąga się przez kongresy, festiwale, deklaracje i inne podobne marności nad marnościami tego świata?

Jean Guehenno, przemawiając na pierwszej sesji debat literackich, przypomniał zebranym inny kongres w "obronie kultury". Kongres ten odbył się w Paryżu, wiosną 1935 roku. Wśród luminarzy tamtego kongresu był Guehenno, byli też Aldous Huxley, Malraux (wtedy komunista), Mann i szereg Niemców-emigrantów, jak również znaczna ilość pisarzy Zachodu o sympatiach komunistycznych i spora delegacja pisarzy sowieckich. Kongres tamten miał charakter jednej z licznych wtedy imprez "wspólnego frontu" i był skierowany oczywiście przede wszystkim przeciwko hitleryzmowi. Słuchając słów Guehenno przypomniałem sobie salę Mutualité, estradę i niemal gesty mówców. Gdyż byłem obecny na tamtym kongresie — co prawda nie na estradzie, ale na sali, jak wielu mieszkańców Quartier Latin. Obok mnie siedział wtedy mój znajomy, niemiecki poeta Günther. Naturalnie, nie znajdowałem upodobania w poglądach politycznych Günthera, który nie był bynajmniej emigrantem. Jednak ówczesna tolerancja Quartier Latin nakazywała ograniczać wrogość do kpin i docinków. Günther uśmiechał się szyderczo, słuchając przemówień. Te przemówienia również mnie wydawały się raczej śmieszne — z innego powodu — ale tło mojej nieufności nie było szczególnie różne niż u Günthera. Co charakteryzowało te pobożne elokucje intelektualistów, mających pełną gębę "wolności kultury" to słabość. Przeciwko hitleryzmowi — jak i przeciwko innym monstrom naszego stulecia — trzeba było działania. Na wiosnę 1935 roku wiedziałem, że wojna jest nieunikniona. Intelektualiści na estradzie tokowali pięknie, ale był w ich słowach ten szczególny fałsz, jakim odznacza się repertuar liberalny XIX-go wieku — kiedy jest przeciwstawiony bezwzględnemu okrucieństwu. Był to rok, w którym (jeżeli się nie mylę), Bruno Jasieński wydawał w Moskwie swoją powieść "Człowiek zmienia skórę" (jak zmienił, przekonał się Jasieński dwa lata później); był to rok w którym dzieci Guerniki szły w wiosenne ranki spokojnie do szkoły, nieświadome faktu, że bomby, które miały je zabić były już gotowe. Mglista świadomość czającej się grozy układała mi usta w pogardliwy uśmiech —

uśmiech, w którym był gniew, że to co jest mi drogie, jest słabe i że sam jestem, jak ci zachodni pisarze, powtarzający zdania wyjęte z kufrów wiktoriańskiej epoki.

A jednak widzę dzisiaj, myliłem się. Mylił się również Günther, który nie docenił, w jak śmiertelne niebezpieczeństwo popada naród, który wzrusza ramionami, kiedy Tomasz Mann i Albert Einstein muszą wybrać los wygnańców i "zdrajców". I patrząc na obecny festiwal sztuki, na pisarzy rozprawiających o wolności, zdawałem sobie sprawę, że okrągłość zdań i wszelka ludzka skłonność do frazesu nie umniejszają w niczym powagi samego zagadnienia.

Co do samego problemu wolności literatury i sztuki, to znaczy, krótko mówiąc, tej wolności która w jakimś stopniu istnieje w krajach nie znających doskonałych metod totalitarnego systemu — sądzę, że jest to sprawa rozmnażania. Jak wiadomo, można rozmnażać się na kilka sposobów. Składa się kilkaset tysięcy jajek, z tych jajek wylęga się potomstwo, które jest pożerane przez każdego, kto się nawinie, niszczone przez żywioły — i przeżywa nie więcej niż kilka wyjątkowo odpornych i zręcznych osobników. To jeden sposób, stosowany z zamiłowaniem np. przez ryby. Świadczy on o wzniosłej obojętności, graniczącej z wielkodusznością. Inny sposób stosują żmije, łapaniem których zajmowałem się w lasach Wileńszczyzny. Małe żmijki rodzą się żywe i niezwykle zwinne. Ta zwinność jest im potrzebna, bo, jak twierdzą niektórzy (choć sam tego nie mogłem sprawdzić), matka-żmija czatuje na nie w chwili porodu, traktując je tak jak każde inne żywe stworzenie, nadające się do zjedzenia. Jakiż kontrast z zachowaniem się np. samicy wieloryba, otaczającej ogromną czułością swego jedynaka.

Sposób produkowania literackiego i artystycznego przychówku w krajach cieszących się "wolnością kultury" jest czymś pośrednim pomiędzy metodą żmij i ryb. Spośród wielkiej liczby literackich, malarskich i muzycznych talentów drobna tylko ilość wyjątkowo odpornych indywiduów osiąga dojrzałość czyli jaką taką realizację. Czyha na nie w każdej chwili — nie tylko zagłada w tym sensie, że trudno im przebić się do uznania czyli sławy; również zagłada w sensie popadnięcia w fałsz i zdobycia uznania za cenę tego fałszu; nie mają żadnej broni przeciwko fałszowi prócz własnego, narażonego na błędy, sądu, a presje są potężne. Nie było tak bynajmniej zawsze, jak świat światem. Znamy cywilizacje w których związek artysty i pisarza ze społeczeństwem był o wiele bardziej organicznej natury. A dzisiaj system totalitarny, np. taki jaki istnieje w naszej ojczyźnie, stwarza więź artysty i pisarza ze społeczeństwem najbardziej, jak tylko można sobie wyobrazić, nie-organiczny, ale za to państwo dba o "rozwój talentów". To ogólnie jednak przypomina dla odmiany, opiekę kury nad młodymi kaczkami, gdybyśmy wyobrazili sobie, że kura ma do dyspozycji potężne sankcje wobec tych kacząt,

które odważą się na tak wielką zbrodnię jak zejście z łąki i pływanie po wodzie.

Wyjątkowo entuzjastycznie był przyjęty przez publiczność jeden z koncertów Festiwalu: koncert poświęcony utworom Beli Bartoka. Bartok, jak wiadomo, umarł w New Yorku w nędzy. Jedna tysiączna wartości pereł, brylantów i wizonów w jakie przybrane były diuszessy, comtessy i bogate międzynarodowe damy oklaskujące jego muzykę (sławny, więc można klaskać bez obawy zrobienia faux-pas) — zapewniłaby Bartokowi nawet wyższą nad wymagania artysty egzystencję. Bartok komponował **przeciwko** tym diuszessom, comtessom i międzynarodowym snobkom. Tak samo jak przeciwko moskiewskiemu "towarzystwu" malował w 1913 i 1914 roku Malewicz, uznany przez ówczesnych rosyjskich krytyków za degenerata i następnie, po Rewolucji, przejechany przez walec parowy oficjalnej teorii. W braku zgody artysty z tym co przyjęte i modne kryje się wielka Schizma tzw. cywilizacji Zachodu, ale równocześnie jest w tym akcent, który sprawia, że zwrot "gnijąca sztuka epoki imperializmu" ma tylko wartość propagandowego uproszczenia. Muzyka Bartoka nie jest zdegenerowana, choć za taką uważana być może zarówno przez te diuszessy, które nie wiedzą jeszcze, że należy mówić "oooo, Bartok" jak przez tych nieostrożnych dialektyków, którzy nie rozumieją, że Bartok to bądź co bądź największy kompozytor węgierski i że jak się trochę wysilić, da się jego muzykę uzasadnić przy pomocy "narodowej tradycji" i folkloru. ("My lubimy umarłych" powiedział mi kiedyś Jerzy Borejsza).

Jest coś z hipokryzji w festiwalu urządzonym w imię obrony kultury podczas którego gra się utwory muzyków kopanych przez możnych tego świata i wystawia się obrazy malarzy, których miejsce jest albo w rynsztoku, albo w kieszeni handlarza-mecenasa? Niewątpliwie. Ale trzeba zawsze pytać na ile jakaś hipokryzja jest użyteczna. Artysta i pisarz pracuje nie tylko sobie a muzom, ale dla publiczności. Dla publiczności **idealnej**, która w jego umyśle jest nierozłączna z nim samym i jego muzą. Wszystko inne — użytek zrobiony z jego dzieła przez snobów i snobki — jest akcydensem i nie odbiera wartości temu co zrobił, jeżeli nie zrobił — **dla nich.** Strawiński jest u szczytu powodzenia i kiedy sam dyrygował swoim koncertem w czasie Festiwalu, publiczność krzyczała z zachwytu. Ale rzecz się sprowadza do tego, kim jest kiedy znajdzie się sam z arkuszem nutowego papieru. Zagadnienie: "kim jestem i jaki robią ze mnie użytek" jest zagadnieniem zjadliwym. Można je rozwiązać mówiąc: "Jestem poza tym do czego komuś spodoba się moje dzieła użyć" — i to jest chyba rozwiązanie poprawne, które sprawia, że kultura, w której podobne rozdwojenie jest możliwe, zasługuje na obronę. Można też powiedzieć: "Jestem tożsamy z tym do czego moje dzieła są użyte" i wtedy w niektórych wypadkach jest bardzo źle.

Są oczywiście kraje, gdzie kusi się pisarza i artystę pow

łując się na publiczność idealną. "Publiczność idealna? Ależ ona jest przed tobą!" Ślicznie, tylko w pięć minut później dodaje się: "Publiczność nie rozumie tego". "To będzie szkodliwe dla publiczności". "Z uwagi na moment historyczny pla pla pla należy pla pla pla aby publiczność pla pla pla wychować". Biada nierozważnym kaczętom, które same nie rozumiejąc dlaczego, tęsknią do wody! Malarstwo w Polsce było złe, bo malarzom brakło wizji publiczności idealnej. Jest złe, bo ta wizja jest uznana za karygodne i na niczym nie oparte uroszczenie. Literatura była zła, bo pisarzy którzy, jak Witkiewicz, Uniłowski czy Gombrowicz, szli przeciwko sypkości myśli i stylu można było policzyć na palcach jednej ręki. Jest zła, bo gorset napełniony piaskiem wygląda jak żywy człowiek.

Wracając do Festiwalu muszę powiedzieć parę słów o rzeczy, która ma znaczenie symboliczne. Jest nią drukowany program muzycznej części Festiwalu — obfity, na znakomitym papierze, z fotografiami, artykułami o poszczególnych kompozytorach itp. Otóż program ten robi wrażenie, jakby został poczęty przez obłąkanego demiurga. Jakby wrzucono do kapelusza masę informacji i dano je do wyciągania morskiej śwince, drukując w tej kolejności, w jakiej wyciągnęła. Znaczenie symboliczne tego programu polega na tym, że ilustruje on zapewne stan umysłu menadżerów, ich niezdolność do jasnego i kartezjańskiego myślenia oraz ich brak kryteriów (poza gustem prywatnym i względem dla renomy). To jest strona negatywna; ale jest i pozytywna: brak precyzji ideologicznej jest ceną jaką się płaci za różnorodność poglądów i wolność wypowiedzi; to znaczy poszczególni ludzie mogą być precyzyjni w swoich sformułowaniach, ale ponieważ każdy mówi z innej beczki, całość wygląda na chaos. Tak też i było z debatami na Festiwalu. Dr Santos poruszył salę, mówiąc o dyktaturach w Południowej Ameryce; père Danielou bronił metafizyki; Salvador de Madariaga grzmiał na bolszewizm i generała Franco; Ignazio Silone nie mówił nic, ograniczył się do wydrukowania w "Arts" artykułu pt. "Nieczysty zapach wielkich słów", jak opowiadano, godzący bezpośrednio w mowy Madariagi; William Faulkner powiedział kilka słów o tym, że według niego zbawieniem świata mogą być tylko połączone, amerykańskie mięśnie i europejski umysł; W. H. Auden zajmował się stosunkiem poety do tradycji i do przyszłości: Piovene ostrzegał przed tyranią, która produkuje "nie wielu męczenników, a wielu idiotów" powołując się na doświadczenia włoskich pisarzy w okresie faszyzmu; Allen Tate wzywał do obrony podstawowego prawa człowieka: "to talk back". Malraux wygłosił znakomite przemówienie o sztukach plastycznych, rozprawiając się gwałtownie z socjalistycznym realizmem; wspomniał też, że według niego połowa XX wieku jest niebywałym triumfem cywilizacji europejskiej, bo rewolucja w Rosji i w Chinach jest produktem europejskiej myśli, a Ameryka jest "częścią Europy". Ilu ludzi, tyle tematów, ile indywidualności, tyle

sposobów ujęcia. I nie brak było tak dużych różnic w opiniach, że traktowanie debat jako manifestacji politycznego programu jest oczywiście nieusprawiedliwione.

Udział, sojusznictwo, wspólnictwo? Trzeba rozróżnić środki i cele. Cel, który jest ścigany z uporem przez ludzi literatury i sztuki wymaga sporej dozy akcydensów i takich czy innych menadżerów. Ale ten cel jest jasny i śmiertelne zagrożenie możności realizowania tego celu — który ostatecznie jest identyczny z obroną istoty ludzkiej — jest dzisiaj oczywiste. Co do mnie, to gdybym był menadżerem, urządziłbym ten festiwal w obronie wolności kultury inaczej. Ale chory jestem na purytanizm. Zamknąłbym np. tych wszystkich pisarzy — najlepszą ekipę nazwisk jaką można było zebrać — w ustronnym domu na wsi i kary byłyby nakładane na każdego, kto zgrzeszyłby, wydzielając "nieczysty zapach wielkich słów". Co do koncertów, oper i baletów, po każdym z nich urządziłbym dyskusję. Ale tak postępując, złożyłbym dowód swego "wschodnio-europejskiego" treningu, który sprawia, że trudno jest pozbyć się tęsknoty do identyczności dzieła i działania.

Czesław MIŁOSZ.

Izolacja i związek z ludźmi

Myśl Zachodu, dla powodów, nad którymi nie będę się tutaj zastanawiać, podważyła wartość zdobyczy techniki i przemysłu. Rewolucja techniczna dojrzewała we wzmożonym tempie, poświęcono jej coraz więcej sił i środków, zmiany w warunkach życia ludzkiego, które spowodowała, sięgnęły aż tam, gdzie zdawało się rządzić nieodmienne, jakby się wydawało, przeznaczenie. A jednak, w tym samym czasie okrzyczano jej niższość jako materii wobec ducha, potępiono ją jako mechaniczność wrogą swobodzie, jako ilość wrogą jakości. Jej osiągnięcia przybrały charakter duchowej porażki. Korzystano z nich, ociągając się, jak gdyby były tylko złem koniecznym. I niestety, nie było to czystą hipokryzją. Zarozumiała i przeintelektualizowana skala wartości wycisnęła swoje piętno na sposobie odczuwania każdego człowieka.

Ta ocena, lub raczej to zasadnicze uprzedzenie pociągnęło za sobą liczne skutki. W pierwszym rzędzie ogólne zakłamanie. Kontrast pomiędzy tym zakłamaniem Zachodu, a epickim entuzjamem na Wschodzie, jest uderzający. W świecie komunistycznym tak zwana rewolucja społeczna większą część swego prestiżu, empirycznego potwierdzenia samej siebie, swego widomego blasku, zaczerpnęła właśnie z owej rewolucji technicznej, którą Zachód tak zlekceważył. Maszyna, fabryka, zapora wodna, stały się tam sprawdzianem ideologii, wspólnym mianownikiem wysiłków, podstawą zgrania się w zespole, istną zapowiedzią raju na ziemi.

Otóż właśnie to zakłamanie Zachodu wywarło wpływ głęboki. Zdyskredytowało ono równocześnie zespół ludzki i świat otaczający człowieka, czyli, ściślej mówiąc: przedmiot. Ludzie zmuszeni byli coraz bardziej sprzęgać swoje wysiłki, ale w imię wyników, które z punktu widzenia moralnego straciły dla nich wszelką wartość. Przedmiot pozbawiony został stopniowo swej tajemniczej dotykalności ontologicznej, ażeby stać się w końcu niczym więcej, niż produktem maszyny. Aby ocalić element ludzki, należało wyrwać się maszynie, a więc przedmiotowi, zewnętrzności, zespołowi i schronić się w wewnętrzność, w subiektywizm. Bolesna, schizofreniczna sytuacja ludzi, którzy nie akceptują już siebie jako istot pełnych. Wciągani coraz bardziej w działalność, którą coraz silniej gardzą,

nie potrafią już zrealizować siebie poprzez pracę, a tylko poprzez to, co im się uda przenieść na margines pracy; odwracają się od świata, w którym przecież tkwią, do którego budowy sami się przyczyniają.

Zostali w ten sposób strąceni w subiektywną samotność. Mało tego, w samotności tej dręczyło ich jeszcze jedno rozdarcie wewnętrzne: pragnienie zapomnienia o własnym ciele fizycznym, tej części ludzkiej istoty, która właśnie cieszy się otaczającym światem i która stara się go opanować.

Szczególnie znamiennym pod tym względem był stosunek do pieniądza. Wszechwładny pieniądz, cel zaciekłych dążeń — a przecież, byleby go tylko było pod dostatkiem, starano się go wyprzeć i zapomnieć o nim. Tak samo nie dopuszczenie filmu do rzędu sztuk: Każdy pędzi do kina, ale uważa to za uciechę niższego rzędu (mechanizm i tłum).

Tak ukształtowana sytuacja zmuszała człowieka do podwójnego rewanżu: musiał się bronić jednocześnie przed własną hipokryzją i przed własną samotnością.

Jako reakcja na zakłamanie, przyszła chmara myślicieli i artystów, którzy uczepili się właśnie tego, o czym nie chciano wiedzieć: pieniądza, ciała, zmysłowości. Ci szydercy, chcący ukryć swoje wspólnictwo, jeszcze bardziej radykalnie oddzielili pieniądz i ciało od ducha, pogłębiając przez to tragiczny rozłam, z którego powodu cierpiał człowiek nowoczesny. Ich mściwa szczerość posiała nowe kłamstwo, a kłamstwo to z kolei stało się rzeczywistością.

Reakcją na osamotnienie była istna żądza zawładnięcia drugim człowiekiem, potrzeba bliźniego bliska morderstwa i samobójstwa, miłość ludożercza. Już literatura romantyczna chce żywych istot, są one jednak ledwie zarysowane, są tylko daniem pobudzającym apetyt. Chciano osiągnąć zespolenie człowieka z człowiekiem wprost, nie chcąc zgodzić się na drogę ogólną, na tę wspólnotę jaką osiąga się dążąc do wspólnego celu, przekształcając świat. “Ja” i “Ty” stykały się ze sobą w szczególnej próżni. W tym dziko pożądanym zespoleniu własne ja i ja bliźniego nie były pokarmem ani przyprawą, a raczej przeszkodą. Stąd nihilistyczny pęd do technik, które niweczą osobowość, które pozwalają ludziom stopić się w jedno, w bezmyślnej pustce: marsz totalitarny i jego reformy, erotyzm bez wczoraj i bez jutra, wyizolowany i absolutny.

Odbiło się to w sposób głęboki na sztuce. Oświadczając, że nie chce być “figuratywną”, wyrzekła się nie tylko zewnętrznego świata. Poszła dalej, wyparła się także własnych dzieł. Wtedy to wzięła początek muzyka, odarta ze swoich dźwiękowych przywilejów, dążąca albo do hałasu, albo do zwykłej ciszy. Malarstwo chciało wyskoczyć poza płótno, stać się nieokreślonym znakiem w przestrzeni, obcym jakiemukolwiek niebu. Poezja stała się materiałem wybuchowym umysłu, odchodząc od właściwej sobie tradycyjnie harmonii elementów.

Tak ascetyczne podejście do sztuki sprowokowało nowe poszukiwania, nowe odkrycia, nowe wymagania, nowe osiągnięcia, często cenne. Nie wiadomo tylko czy przyczynią się one do obalenia barier ludzkiej samotności.

W rezultacie, jak się zdaje, **element pośredniczący** został potępiony. Człowiek zapragnął posiąść sedno rzeczy: Boga, miłość, drugiego człowieka, wszelkie idee — **bezpośrednio.** Należy się zastanowić, czy tego rodzaju bezpośrednie dążenie jest w zgodzie z ludzką naturą; czy też, wręcz przeciwnie, nie jest ono raczej jakąś zabawą w anioła, bluźnierczą i daremną zarazem. Być może, kiedy człowiek nie chce tworzyć przedmiotu, nic innego mu nie pozostaje, by mógł przełamać swoje osamotnienie, jak tylko — gwałt.

♦

Jeżeli o mnie chodzi, jestem przekonana, że człowiek nie może osiągnąć nic istotnego inaczej niż drogą okólną, poprzez przedmiot: przez pracę, obserwację świata, poddanie się prawom transcendencji, stworzenie dzieła sztuki, zgodę na istnienie drugiego człowieka z radością, bez ludożerczych popędów. Poza momentami łaski wyjątkowej subiektywność ludzka nie dosięga ani Boga, ani innych ludzi, bez oparcia się o wspólny świat, o wspólne działanie. Umysł sam nie potrafi pomóc drugiemu umysłowi wyrwać się z samotności. Musi on posłużyć się rzeczami. Nie odnajdziemy naszego bliźniego tak długo, dopóki z całą świadomością nie pogodzimy się ze światem obiektywnym, który stwarza między nami więź i stawia przed nami zadania.

Jeanne HERSCH.

«Przeklęte zdrobnienie znowu dało mi się we znaki»

(Obrońcom poetów w odpowiedzi)

Mój zuchwały wybryk poetoburczy dostarczył mi nieznanych, jakże słodkich, wrażeń! Rozmaite osoby, które jak dotąd bez większego entuzjazmu odnosiły się do mej twórczości, ze wzruszeniem ściskały mi dłoń. Po raz pierwszy w życiu odkryły mi się rozkosze pisarza, który, powstając przeciw tyranii, staje się rzecznikiem ludu. I drżyjcie, poeci! Albowiem nie czego innego dowodzi ten dreszcz szczęścia i rozkoszy, jaki wstrząsnął tysiącami istot, jak tylko że zbliża się kres waszej przemocy, że tajemniczy palec nowoczesności kreśli MANE TEKEL FARES na nudnej świątyni waszej! Nicość otwiera wam zimne swoje ramiona, Nic, puste, najzupełniej próżne Nic skrada się jak kot ku fabryce metafor, aby ją pożreć wraz z dyliżansem waszego myślenia. I bladoróżowa róża rozpłynie się w śmiercią zaprawionym zmierzchu! Nie, nie będę twierdził, że wszyscy bez wyjątku opowiedzieli się po mojej stronie. Powiem jednak, że te liczne rzesze inteligentnych ludzi, które mnie popierają, znalazły się poza dyskusją i pozostaną zapewne skazane na wieczne milczenie. Dlaczego? Gdyż ci co piszą w prasie są literatami. A na ławie oskarżonych zasiadła poezja wieszowana, ich kuzynka, pokrewna im muza. Jakże chcecie, aby literaci sprzymierzyli się z atakiem na literaturę? I, jeśli idzie o poezję wierszowaną, prasa (oświadczam) nie jest organem opinii publicznej, tylko narzędziem terroru, jest to instrument za pomocą którego dawno umarły bakałarz wbija w spragnione życia głowy trupa pogrzebanych na zawsze uniesień.

Któż odpowiada na mój artykuł? Azali usłyszano głos inżynierów, lekarzy albo adwokatów? Nie. Odpowiadają poeci: Miłosz, Łobodowski. Literatka Zarembina. Krytyk Wit Tarnawski. Z góry można było przewidzieć jak wypadnie ryk lwów, którym nadepnięto na ogon. I jedynie odpowiedź Miłosza była dla mnie — w zasadniczej treści swojej — niespodzianką. W osłupieniu przyznaję, czytałem wyznanie poety, który z najzimniejszą krwią i z dziwną swobodą ducha pochwalił nóż we

własną pierś wymierzony, poparł to co go zabija. Przypominam końcowe zdania miłoszowego oświadczenia, w których przyznaje Miłosz, że istnieje pewna sprzeczność pomiędzy jego teorią a jego praktyką. Jeżeli ta bezwstydna niekonsekwencja nie wstrząsnęła wami należycie, to jedynie dlatego, że Miłosz opatrzył ją dla przyzwoitości rozmaitymi warunkami i zastrzeżeniami — ale niekonsekwencja pomimo to istnieje, wielka jak dom, nieprzyzwoita, jak dom publiczny! I dzięki niej właśnie odpowiedź Miłosza staje się niezmiernie cenna i wysoce charakterystyczna...

Cóż bowiem mówi ten poeta, który — w imię Poezji — łączy się z taranem druzgocącym klatki piersiowe poetów? Czyż, gdyby Szekspir miał ująć istotę tej zdrady, nie zawarłby jej w następującym wierszu:

Jestem Miłoszem, Miłoszem być muszę
Będąc Miłoszem, Miłoszem być nie chcę
Miłosza w sobie zabijam ażeby
Bardziej Miłoszem być...

Co się wykłada: że istotą człowieka jest rozwój, a rozwój dokonywuje się na drodze nieustannego samobójstwa. Musimy uśmiercić w sobie to, co jest, ażeby dojść do tego, co będzie. I ta swoboda z jaką Miłosz, bez chwili wahania, odrywa się od swojego świata, to właśnie gorzka dojrzałość naszego czasu — dojrzałość zdobyta pod potężnym, głęboko przez niego przeżytym, ciśnieniem historii. Ten poeta usiłuje wydobyć się z poety po to, aby ruszyć z miejsca poezję — podobnie jak niżej podpisany usiłował w "Trans-Atlantyku" wydobyć was i siebie z Narodu, abyśmy mogli ruszyć z miejsca Naród. A druga cecha, którą (jeżeli dobrze interpretuję Miłosza) chciałbym podkreślić, to jego bezpośredniość — gdyż on, nie lękając się niekonsekwencji, nie broniąc się przed nią, przyjmując ją jako konieczność życia i rozwoju, może sobie pozwolić na szczerość uczucia — może reagować na rzeczywistość nie wedle zasad, przemyśleń, doktryn, filozofii i tym podobnych schematów, ale wedle swojej najbardziej zwyczajnej ludzkości, która głupstwo nazywa głupstwem, nudę — nudą. Nie, nie jest dla mnie niespodzianką, że człowiek, który na własnej skórze doświadczył rozmaitych ketmanów z taką bezwzględnością, dąży dzisiaj do swobody.

Czyż tam, za kurtyną, nie istnieje ten sam hermetyzm ducha co wśród poetów? Jeżeli poeci wierzą w Poezję, to tam wierzy się w Państwo. Jeżeli poeci piszą dla Poezji wiersze niezdolne wzbudzić zainteresowania w ludziach po to, aby cały mechanizm kultury narzucał je siłą nieszczęsnemu czytelnikowi, to tam praktykuje się z powodzeniem ten sam typ literatury: gdyż jeśli, z jednej strony, zmusza się autorów, aby pisali nie dla człowieka, lecz dla Państwa, to z drugiej zmusza się czytelnika, ażeby to czytał. Wobec czego pisarze ci chodzą w sławie, jak w słońcu, szczycąc się tysiącami swych nakładów, podobnie

jak — wśród nas — poeci. I jedyna różnica polega na tym, że gdy tam przymus ma charakter zewnętrzny, brutalny, tutaj mamy do czynienia z nieskończenie subtelniejszą presją — z presją, która dla samych ofiar jest niedostrzegalna. (Nie łudźcie się więc, że poeci są obrońcami Ludzkości i Człowieka — kapłan nie troszczy się o nic poza Bogiem).

Ale dość już o niekonsekwencjach Miłosza. Przejdźmy teraz do sądów mniej bezpośrednich, bardziej... konsekwentnych.

Nic bardziej konsekwentnego, że Łobodowski-poeta się broni. To samo przecież czyni lew osaczony i bawół przyparty do muru. Odpowiedź Łobodowskiego to prawdziwy róg obfitości. I czegóż tam nie ma? Że ja zwykłem śledzia malować na zielono, że nie znam Szekspira, że sąd o poezji wierszowanej wyrobiłem sobie w warszawskich kawiarniach, że on, Łobodowski, boksował się, a jednak korona mu z głowy nie spadła i że obok złych poetów istnieją i dobrzy, a wielu z nich wywarło spory wpływ na kształtowanie się rzeczywistości... Wszystko tu znajdziecie oprócz tego, czego miałbym prawo oczekiwać od wybitnego poety, to jest oprócz jakiego takiego formatu, jakiej takiej wagi i powagi. Jeżeli nie spalił was rumieniec wstydu na widok wybitnego, powtarzam, poety, który odpowiada jak sportowiec, jak bokser, plotkarz i taternik, jak mołojec i czytelnik pisujący listy do redakcji, to tylko dowodzi, że nazbyt skorrumpowały was gazetki literackie z ich beztroskim gaworzeniem o literaturze. I trudno o lepszą ilustrację mojego twierdzenia o "niepełności" stylu poetów, o ich nieumiejętności, gdy muszą mówić o poezji, a zwłaszcza bronić jej przed wrogiem. Łobodowski nie znalazł właściwego tonu. Zaskoczony moim brakiem szacunku, usiłował odpowiedzieć mi w sposób ot, "trzeźwy", "życiowy", ale przesolił. Głos mu się załamał, stał się zanadto figlarny — i ksiądz nasz, przetworzywszy się w zawadiackiego boksera, rozłożył siebie samego na obie łopatki.

W następnym numerze "Kultury" ozwały się głosy Natalii Zarembiny i Wita Tarnawskiego. Jeżeli osłupiałem, czytając Miłosza, jeśli potem beztroski boks Łobodowskiego pogrążył mnie w drugie z kolei osłupienie, to za sprawą tych nowych obrońców poezji wierszowanej popadłem w osłupienie trzecie i czwarte — które, z nadchodzącą nocą, do tego stopnia się wzmogły, iż dzień wstający przez długi czas nie mógł pobudzić mnie do ruchu.

Tu już nie idzie o ton. Odpowiedź Tarnawskiego ma wszelkie cechy powagi, a właściwa temu krytykowi rzetelność oraz przejrzystość sformułowań nadały jego słowom pozory słuszności. A jednak zdawałoby się, że oni oboje — pani Zarembina i pan Tarnawski — nie przeczytali mego artykułu, że ani jedno moje zdanie nie przeniknęło do ich świadomości. Podczas gdy Tarnawski (za przykładem, zresztą, Łobodowskiego) twierdzi, że mój artykuł byłby, owszem, wcale niczego, gdyby był zatytułowany "Przeciw **lichym** poetom", pani Zarembi-

na pisze, że ja... atakuję snobizm, acz w jakiś dziwny i niezbyt dla niej zrozumiały sposób. Na Boga żywego! Przecież, panie Tarnawski, gdyby mnie szło jedynie o wykazanie, że wiersze złych poetów są złe, a dobrych — dobre, to bym w ogóle nie pisał artykułu — i nigdy nie poważyłbym się zabierać prasie polskiej miejsca na odkrywanie takich prawd w dobie, jak dzisiejsza, kiedy mamy nieco poważniejsze kłopoty. I, na Boga żywego, pani Zarembino! Niechże pani zastanowi się przez jedną chwilę, że gdyby poruszone przeze mnie sprawy sprowadzały się do oklepanego zagadnienia "snobizmu", gdyby tu chodziło o podobnie naiwne i symplicystyczne "problemy", to — zważywszy, że "Kultura" nie jest pisemkiem dla młodzieży w wieku szkolnym — artykuł zawierający takie komunały, nie miałby żadnych szans na pojawienie się w druku.

Jak fatalna w skutkach, jak uwłaczająca naszej godności intelektualnej jest ta skłonność do pomniejszania, zdrabniania każdej myśli, która nieco się wyodrębniła! I jak łatwo odpowiadać na coś, czego się nie przemyślało! Gdy ja mówię, w sposób ogólny, o kształtowaniu się wśród ludzi pewnej formy (wierszowanej), która określa pewną postawę (religijną), gdy wywodzę jak ta religijna postawa poety, nieskompensowana należycie, doprowadziła do przerostu i skostnienia formy, odpowiada mi się... że wielcy poeci (jak z samej nazwy wynika), byli wielkimi poetami, a, będąc wielkimi poetami, nie mogli pisać złych wierszy. Ależ ja nie twierdzę, aby wiersze wielkich poetów nie były znakomite jako wiersze, nawet jako sztuka — lecz idzie mi o same podstawy sztuki, o stwierdzenie, że najdoskonalsza sztuka może oderwać się od człowieka, stać się "sztuką samą w sobie". Mój wywód ma przede wszystkim na oku wielką sztukę poetycką, gdyż w niej właśnie dochodzi do swego najpełniejszego urzeczywistnienia ten styl, oczyszczony, hermetyczny, jednostronny i ta specyficzna postawa duchowa, które możemy określić jako "poetyckie". Gdy ja staram się wykazać, jak dalece obcowanie nasze ze sztuką jest skomplikowane z natury swojej, jaką naiwnością jest sądzić że możemy ot tak, po prostu, "zachwycać się" nią i ją "rozumieć", ile rozmaitych czynników z dziedziny psychologii zbiorowej i innej wpływa na nasze reakcje, przypisuje mi się chęć... zwalczania snobizmu i pani Zarembina pisze, że dążę do tego, aby "drogę prowadzącą od artysty do odbiorców sztuki cechowała prostota i rzetelność".

Dlaczego osoby inteligentne, światłe i szanowane, jak Zarembina, Łobodowski, Tarnawski, oraz wielu innych zwolenników poezji wierszowanej, nie były w stanie zrozumieć tych aspektów zasadniczych mego artykułu? Zawiniła tutaj chyba pewna nieśmiałość, pewna "pośredniość", tak charakterystyczne dla wszystkich tych kultur, które nie wyrobiły się w bezpośrednim starciu z rzeczywistością i życiem, które świat odczuwają poprzez inne, dojrzalsze, kultury. Nam, Polakom, nie na tym zależy, aby mieć poezję (w sensie ogólnym, zasadni-

czym, w sensie poetycznego stosunku do świata"), a tylko na tym, aby mieć "poezję niegorszą od francuskiej"... lub na tym, abyśmy byli "równie kulturalni co Anglicy". Rozgrywka nasza z naturą nie dokonywuje się wprost — nam zawsze idzie o to, by dorównać komuś, kto nas wyprzedził i myśl nasza unika spraw podstawowych, natomiast doskonali się w szczegółkach, w detalach, we wszystkim, co jest rozbudową gmachu, przez innych zapoczątkowanego. Narody takie posiadają na ogół doskonałych aktorów, śpiewaków i balet, oraz godnych uznania wirtuozów, natomiast gorzej jest z filozofami, myślicielami, kompozytorami. Na skutek tej właśnie "pośredniości" wyrobiliśmy sobie wielce dystyngowany język, by rozprawiać z należytą głębią na tematy takie, jak "Norwid a Claudel" lub "Ewolucja trzynastozgłoskowca", natomiast myśl nasza zamiera, blada z przerażenia, gdy przychodzi do pytania o ile sama poezja, lub sama muzyka, są ważne? Żyjemy w świecie, który nam zbudowali inni, i do głowy nam nie przyjdzie iż moglibyśmy także przystąpić do budowy świata. Bardzo charakterystyczna dla tej naszej ostrożności, tego naszego umiaru, jest rozsądna uwaga Tarnawskiego: "Trudno naprawdę przypuścić, aby wielcy poeci wszystkich narodów i wieków — byli snobami oraz ignorantami w swym rzemiośle — i że dopiero Gombrowicz przejrzał".

Ale, jeśli wyzwolicie się na moment z tej, jakże rozsądnej skromności i jeśli ujmiecie moją walkę z poetami w szerszej nieco skali, rzecz w innym przedstawi się wam świetle. Przede wszystkim zwrócę waszą uwagę na fakt, że ten typ krytyki symplicyzującej i brutalizującej, jaki daje mój artykuł, o wiele bardziej przystoi nam, Polakom, bardziej zgodny jest z naszą rzeczywistością i naszą rolą w kulturze, niż wszelkie górne i subtelne rozważania o poezji, jakie praktykuje się u nas à la Jean Cocteau, albo à la Paul Valèry, albo à la Paul Eluard. Albowiem, choć jako jednostki możemy być niemniej dojrzali od tych panów, jako naród jesteśmy zjawiskiem kulturalnie młodszym. Dlatego jesteśmy bardziej Polakami gdy "z dołu" uderzamy w wyższość tamtej dojrzałości, domagając się, aby te dumne katedry zstąpiły z nieba na ziemię. Zaiste, rola nasza nie polega na recytowaniu i na naśladowaniu cudzych osiągnięć, na biernym uczęszczaniu do kulturalnej szkółki — musimy bronić własnej racji, która jest racją niższości i młodości, musimy być hamulcem, który nie pozwala rozpędzonej maszynie kultury fabrykować przedmiotów nazbyt do człowieka niepodobnych. Pytanie, jakie winniśmy postawić nie brzmi czy dany wiersz jest piękny, ale: czy jest piękny dla człowieka, dla człowieka jak my niedoskonałego, człowieka z krwi i kości. I cóż nam przyjdzie z sześćdziesięciu tysięcy metafor Miltona, jeśli wymagają one takiego potencjału uwagi, iż to przekracza możliwości ludzkie. I dlatego uderzając destrukcyjnie z dołu, językiem świeżym, bezpośrednim, we wszelką sklerozę

ępy mechanizm wyższości, jesteśmy najbardziej sobą — w tym nożemy być autentyczni, pierwszorzędni.

A teraz: jeśli wystąpienie moje jest zgodne z naszym polskim, odczuciem kultury, to z drugiej strony jest ono po prostu następstwem mojego dotychczasowego literackiego rozwou — i jest dla mnie zagadką w jaki sposób krytyk, p. Tarnawski, zdołał tak znakomicie wyodrębnić ten tekst ze wszystkich jego kontekstów. Alboż nie wiecie, że jestem tym, który usiłuje przywrócić człowiekowi suwerenność w stosunku do własnych jego wytworów? Atakuję wiersze, jak atakuję Naród, ak w "Ferdydurke" zaatakowałem fikcję Dojrzałości — zawsze v imię bezpośredniego odczuwania ludzkiego, w imię nagiej udzkości. Atakuję wszelką Formę, która przestaje być wygodnym strojem człowieka, przeobrażając się w sztywną, męzącą skorupę. Atakuję wszystko co nam rośnie samo przez się, aby nas przerosnąć. Jakżeż tedy wypowiedź tak zgodna ze nną, tak wynikająca ze mnie, może wydawać się wam do tego stopnia nieoczekiwana, iż łapiecie się za głowy z okrzykiem: oszalał! Jeżelibyście chcieli poważnie zabrać się do mego artykułu, to przede wszystkim należało by ustalić, w sposób obiektywny i rzeczowy, jak dalece twierdzenie moje jakoby "nikt prawie nie lubił wierszy" jest prawdziwe.I doradzałbym wam abyście, w tym celu, zwrócili się do wydziałów filologiczno-estetycznych uniwersytetów z wezwaniem iżby zamiast oddawać się płodzeniu nudnych monografii i innemu, równie beznadziejnemu ględzeniu, wyłoniły komisję, która by przeprowadziła z ludźmi doświadczenia, mające ustalić jakie są ich istotne, w sensie psychologicznym, reakcje na wiersze i jak dalece oni je asymilują. Potem zaś należało by sprawdzić czy est prawdą, co mówię, że jeśli ludzie zachowują się tak "jak gdyby ich zachwycały wiersze" podczas, gdy w rzeczywistości nie odczuwają tego zachwytu, to dlatego, że wytwarza się między ludźmi zbiorowe ciśnienie, które człowieka zmusza do zachwytu — i w jakiej mierze ten przymus, ten gwałt, którego dopuszcza się zbiorowość na jednostce, Międzyludzkość na Ludzkim, jest uzasadnicny, jak dalece może być przez nas, ludzi, zaakceptowany.

Ale nawet i bez tych badań i doświadczeń zgodziłbym się na najostrzejszą nawet krytykę, gdyby nie ułatwiano sobie dyskusji ze mną, spłycając mnie i banalizując, sprowadzając tę problematykę na poziom nieomal szkolny. O, wstyd, przyjaciele... i w ślad za bohaterem Ferdydurke zmuszony jestem zawołać: "Przeklęte zdrobnienie znowu dało mi się we znaki!" Ale rozumiem: ten świat obecny, w którym funkcjonujecie, choć może daleki od ideału, przecież w pewnej mierze jest zadawalający. W tym świecie Łobodowski pisze swoje wiersze, Tarnawski swoje recenzje, pani Zarembina słucha swego Bacha i tysiące innych ludzi uczęszcza na koncerty, recytale, korzy się przed "wielkimi geniuszami", oddaje się mniej lub więcej inteligentnym dywagacjom na tematy sztuki i delektu-

je się własną kulturą. Wszyscy, zresztą, niezmiernie prości, szczerzy, naturalni — nieprawdaż? Tak, ja to rozumiem. Świat ten ma przynajmniej jedną zaletę: stałość i niezmienność. Wszelako... cóż zrobicie z Galileuszem? A Galileusz? Czy naprawdę sądzicie, że zdołacie zabezpieczyć się przed Galileuszem? Uniknąć Galileusza? Cóż będzie, gdy Galileusz krzyknie wam nad uchem:

— A jednak się rusza!

Witold GOMBROWICZ.

Refleksje na marginesie Straszewicza

Niedawno temu ukazało się "Risum teneatis", a już znowu muszę odpowiadać. Czy nie nudzą publiczności te polemiki? Czy ton naszej prasy literackiej nie stał się zanadto familiarny?

Nie wydaje mi się złe, aby literaci pisali o sobie i spierali się między sobą — pod warunkiem, że ich osoby będą pomostem do spraw wyższych, problemów ogólnych.



Zdawało by się, że ja jestem tym zarozumiałym, który puszy się "talentem", gdy on — Straszewicz — hołduje zacnej skromności. Tymczasem jest wręcz na odwrót. Ja mówię: — **Usiłuję** mieć talent. A cóż mówi Straszewicz? Mówi: — Ja **mam** talent, ale... patrzcie!... oddałem go Ojczyźnie w ofierze.

Otóż twierdzę, że talent Straszewicza nigdy nie urzeczywistni się w pełni, gdyż Straszewiczowi brak czegoś co jest nieodzowne: brak poszanowania talentu.

Z jakimż, iście polskim, lekceważeniem odzywa się nasz Czesław o tych wartościach! Jest pełen wzgardy dla sobków egocentryków, którzy ośmielają się brać na serio "talent" w momencie, gdy dzieje się rzeczywisty dramat: pada Ojczyzna.

Ale... cóż to jest "talent"? Jeżeli głupcy wyobrażają sobie literata jako faceta, który przesiaduje w kawiarni i, poza tym, pisuje od czasu do czasu za pomocą tegoż bliżej nieokreślonego, tajemniczego "talentu", mniej lub więcej udane powieści i opowiadania, to czas najwyższy, aby poddali reformie swoje poglądy. Pisarz nie pisze żadnym tajemniczym "talentem", ale... sobą. To znaczy, pisze wrażliwością swoją i inteligencją, sercem i rozumem, całym swoim rozwojem ducho-

wym i tym natężeniem, tym stałym podnieceniem ducha, o którym (powtarzam za Mannem), mówił Cyceron, że jest istotą wszelkiej retoryki. Nie ma w sztuce nic tajemniczego; nic ezoterycznego.

Mogę powiedzieć bez przesady, że "poświęciłem się" literaturze. Dla mnie literatura to nie kwestia kariery i ewentualnych pomników, ale wydobycie z siebie tej maksymalnej wartości, do jakiej jestem zdolny. Jeżeli by się okazało, że to co piszę jest błahe, to jestem przegrany nie tylko jako literat, lecz jako człowiek. Ale Straszewicz (i jemu podobni) traktują literaturę jako dodatek do egzystencji i jej ozdobę — skłonni są tolerować istnienie literatów póki, jak się rzekło, nie zaczyna dziać się coś naprawdę poważnego.

W myśl tej filozofii atakowano także Miłosza. — Ach! Ach! Ten pięknoduch wyniósł się z Kraju, gdy spostrzegł, że nie może tam pisać wierszy! Nie obchodzi go Kraj, ani cierpienie ludzkie, tylko wiersze! Ludzie, którzy takie wygłaszają sądy, nie dorośli, moim zdaniem, do tych zagadnień. Zarówno sztuka, jak ojczyzna, same przez się nie wiele znaczą. Znaczą one bardzo wiele, gdy człowiek, poprzez nie, wiąże się z istotnymi, najgłębszymi wartościami bytu.



Tchórzostwo! Brak patriotyzmu!

Dziwna rzecz! "Trans-Atlantyk", to utwór najbardziej patriotyczny, i najodważniejszy, jaki kiedykolwiek napisałem. I on to właśnie ściąga na mnie zarzuty, że jestem tchórzem i złym Polakiem.

Zauważcie, że mogłem nie poruszać tych momentów mojego życia. Mogłem napisać książkę na zupełnie inne tematy. Nikt nigdy nie stawiał mi żadnych zarzutów — póki ja sam ich nie wywołałem, ogłaszając fragmenty "Trans-Atlantyku".

Niech wam się nie zdaje, że to wy przyłapaliście mnie na gorącym uczynku. To ja sam, dobrowolnie i z całą swobodą, przyznałem się do pewnych uczuć... Ale ujawnienie tych stanów uczuciowych (których i wy — prywatnie i po cichu — musieliście chyba nieraz doświadczać), nie było z mej strony cynizmem ani bezwstydem. Mogłem sobie pozwolić na to, ponieważ miałem za sobą bardzo poważne racje i ponieważ kierował mną wzgląd na dobro ogólne.



Jakież to racje?

Uważam, że literatura polska powinna obecnie przyjąć kierunek wręcz przeciwny temu, jaki miała dotychczas. Zamiast dążyć do jak najściślejszego związania Polaka z Polską, powinna raczej zabrać się do wypracowania pewnego dystansu pomiędzy nami a Ojczyzną. Musimy oderwać się uczuciowo i

intelektualnie od Polski po to, aby uzyskać w stosunku do niej większą swobodę działania, aby móc ją stwarzać.

W odpowiedzi, udzielonej Zbyszewskiemu ("Wiadomości"), powiedziałem, że ja pragnę w "Trans-Atlantyku" "bronić Polaków przed Polską". Powiedziałem, że naród nasz jest tworem słabym, który nigdy nie mógł osiągnąć pełni życia i rozwoju i że, wskutek tego, nasze życie zbiorowe wypacza i tłumi życie indywidualne każdego z nas. Jako ludzie jesteśmy nie mniej warci od Francuza lub Anglika; jako Polacy jesteśmy synami słabości, choroby i niedorozwoju.

Dlatego nie powinniśmy poddawać się całkowicie Polsce — pozwalać, aby ona nas stwarzała. Trzeba nam rozluźnić tę zależność, która od wieków paraliżuje nam myśl, krępuje uczucie, hamuje rozwój... Wszak my niczego nie możemy pomyśleć ani poczuć, ani zdziałać swobodnie, gdyż zawsze prześladuje nas troska, że a nuż od tego ta słabowita Polska się rozleci.

Zapytałem też w tym liście: czy ja, broniąc Polaków przed Polską, jestem czy nie jestem patriotą? Gdyż przecie Polska składa się z Polaków. Im silniejszy, im zdolniejszy do życia i rozwoju będzie Polak, tym żywotniejsza, silniejsza stanie się Polska. Mnie nie idzie o to, aby zniszczyć nasze poczucie wspólności z narodem, a tylko o to, aby Polak przestał na kolana padać przed Polską — aby potraktował ją "z góry", twórczo, jako coś co przez niego musi być stwarzane. Jako dzieło swoje, nie zaś jako Boga swojego.

Taka jest idea, która określa mój stosunek do Polski w "Trans-Atlantyku". "Trans-Atlantyk" pomyślany był w pewnej mierze jako "Anty-Tadeusz". Jeżeli bowiem "Pan Tadeusz" jest szczytową w literaturze naszej afirmacją Ojczyzny (i formy polskiej), to "Trans-Atlantyk" pragnie — w swojej skali — wzbić się ponad naród (i ponad naszą narodową formę). Musimy — tak sądzę — zdobyć poczucie **tymczasowości** naszej obecnej polskości. Bez tego nie zdołamy nadążyć światu.

◆

Można się z tym nie zgadzać. Można to zwalczać. Ale niechże Straszewicz nie wymaga ode mnie, abym ja służył Ojczyźnie nie według mego najlepszego rozumienia, a tylko wedle tego, co on uważa za słuszne.

W takim razie ja miałbym równe prawo nazwać Straszewicza złym Polakiem — gdyż, z mego punktu widzenia, ten emocjonalny patriotyzm, który on reprezentuje, przyczynił nam najokropniejszych szkód, zaważył najfatalniej na całej naszej polityce i, co gorzej, na naszej kulturze. Posłuchajcie, co mówi o nas świat — zastanówcie się nad tym, jak nas widzą i odczuwają cudzoziemcy. Jesteśmy przykładem **kurczowego** patriotyzmu.

◆

Straszewicz człowiekowi takiemu, jak ja, mówi: — Idź pan do wojska! Bij się pan za Ojczyznę! Jeżeli z czym pragnąłbym bić się, to z Ojczyzną — o moją ludzką wartość. Ale Straszewicz nie potrzebowałby mnie zachęcać do walki z Hitlerem i do walki w obronie umęczonej ludzkości w Polsce, ponieważ — niezależnie od moich poglądów na Ojczyznę — znam miarę tych cierpień i miarę tej nieprawości i nie zamierzam wykręcać się "koncepcjami", gdy dokonywuje się zbrodnia.

Ale...

Nie ukrywam, że — podobnie jak i Straszewicz — bałem się. Ale ja może nie tyle bałem się wojska i wojny, ile tego, że, mimo najlepszej woli, nie mógłbym im sprostać. Nie jestem do tego stworzony. Dziedzina moja jest inna. Rozwój mój od najwcześniejszych lat w innym poszedł kierunku. Jako żołnierz byłbym katastrofą. Przysporzyłbym wstydu sobie i wam.

Czy myślicie, że, jeśli patrioci tacy jak Mickiewicz lub Szopen nie wzięli udziału w walce, to jedynie z tchórzostwa? Czy może raczej dlatego, że nie chcieli się zbłaźnić? I chyba mieli prawo bronić się przed tym, co przekraczało ich siły.

Ale może te wyznania są niepotrzebne i niezręczne. Może wystarczyłoby powiedzieć, że w chwili wybuchu wojny miałem kategorię wojskową "C", a potem, gdy stawiłem się w Poselstwie w Buenos Aires przed komisją lekarską, zaliczono mnie do kategorii "D".

Dość tego alfabetu. Wolę postawić kropkę nad "i".



Przyznać trzeba Straszewiczowi, że jest doskonale szlachecki. Szanuję jego cnoty i nie ujmuję mu zasług, a także mam zrozumienie dla jego pisarskiego dramatu — ale ten artykuł trąci pamiętnikami Paska. Wzywa Straszewicz na sądy nad Miłoszem i Gombrowiczem. Cóż to znaczy? Znowu więc, zamiast poważnej dyskusji, sejm, rejwach i huczek? Znowu ważkie listy do "Szanownego Pana Redaktora" rozmaitych wyżywających się kibiców, protesty, kontr-protesty, ataki i szpile? Czy nie obrzydł wam jeszcze ten żabi rechot dobywający się z nieruchomych wód waszego stawu?

Nie. Mnie możecie sądzić jedynie czytając bardziej uważnie moje rzeczy — w spokoju i ciszy własnego sumienia.

Witold GOMBROWICZ.

Sondaże

(Uwagi o współczesnej poezji niemieckiej)



Aleksander KOVAL urodził się w r. 1922 w Berlinie, gdzie mieszka do dziś dnia. Jest pisarzem i wydawcą serii utworów międzynarodowej awangardy w języku niemieckim pod zbiorowym tytułem "Das Lot".

Poematy A. Kovala ukazały się w przekładach na język angielski i francuski (wyd. amerykańskie "New Direction" vol. 13, "Journal des Poetes"). "Sondaże — pisze nam ich autor — stanowią pierwszy etap nowego określenia pozycji dominujących, wielkich nurtów niemieckiej poezji. Nurt przeciwny, jak go nazywam "czwartej grupy", jeszcze się nie przedarł. Mam nadzieję, że nazwiska jego uczestników będę miał możność wymienić w późniejszym stadium moich dociekań. W związku z tym chciałbym zwrócić uwagę na to, że autorzy ci, poza wydawnictwem "Das Lot", ukazującym się w dłuższych odstępach czasu, nie mają możliwości publikowania swych utworów. Ale taką samą sytuację zauważyć możemy w Ameryce, Anglii, a przy dokładnym przyjrzeniu się nawet we Francji. W ogólności niedole poezji w całym zachodnim świecie są do złudzenia podobne. Chodziło mi bardziej o przedstawienie głównych nurtów duchowych niż o nazwiska reprezentujące wiele drobnych odmian tych głównych nurtów. Kto chciałby się bliżej zainteresować postawionym zagadnieniem, niech zwróci uwagę na poniższy, pierwszy wybór nazwisk: Paul Celan, Friedrich Dürrenmatt (Szwajcaria), Helmuth Faust, Paul Appel, Albrecht Fabri, Martin Kessel, Ben-gavriel.



I. Generacja poszukuje swego mistrza

Niemiecki almanach literacki na rok 1952 wymienia nazwiska około 6.000 pisarzy. Wyliczenie to dalekie jest od tego, by objąć wszystkich, którzy niestrudzenie produkują rękopisy, zasypując nimi teatry, redakcje i wydawców. O ile z jednej strony można by powiększyć spis pisarzy niemieckich jeszcze o parę tysięcy, tak z drugiej strony równie łatwo byłoby listę obejmującą 6000 nazwisk sprowadzić przy dojrzałej ocenie do niewielkiej liczby oryginalnych **twórców**. Dojdziemy do niej odkładając na bok łokieć do mierzenia pisarstwa, a biorąc złotą miarę **Twórczości**. Wówczas znajdziemy się w kłopocie, jak zebrać choćby 10 nazwisk. Krytyk poetycki staje nagle przed

podobną "galerią rehabilitowanych" i "restytuowanych" okresu interregnum jaką widzieliśmy po wojnie w życiu politycznym. Życzliwy obserwator skłonny będzie uważać to zjawisko za opamiętanie się czy też powrót do opamiętania się Niemców. Nie ma a priori nic niezwykłego w przywróceniu do praw, poetów prześladowanych przez nazistów, w uznaniu autorytetu ludzi, których nazwiska związane są bezpośrednio z niemiecką twórczością poetycką i wyznaczały jej kierunek. Ale w przeciwieństwie do Francji, Niemcy nie mają nowej generacji poetów, którzy by mogli wydać zbiory nielegalnych **éditions de minuit**, zapewniające im po załamaniu się terroru nazistowskiego należną pozycję w społeczności powojennej. Podczas gdy na firmamencie literackim Francji, gdy tylko umilkły echa ostatnich wystrzałów, dominowały nowe gwiazdy, w Niemczech nie mogło być o tym nawet mowy. Niemcy musiały się zadowolić tym, że po początkowych trudnościach z każdorazowymi cenzorami okupacyjnymi wyziębłe już gwiazdy powoli nabierały silniejszego blasku powracającej sławy.

W ten sposób nazwiska Gottfrieda Benna, Hermanna Hessa, Hansa Carossy i Ernsta Jüngera stały się na tle ciemnego nieba nocy niemieckiej literatury od roku 1945 znów gwiazdami przewodnimi pokolenia, które utraciło przywódców. Ci, którzy nie dali się pocieszyć tak łatwą kontynuacją, szukali zbawienia i nowej busoli w dziedzictwie Kafki, Kaisera, Heyma, Trakela. Szczególne nadzieje skupiały się dokoła osoby Bertholda Brechta. Te nadzieje miały się stać, po powrocie Brechta do Berlina, najboleśniejszym wśród wszystkich rozczarowań pokolenia, które poszukiwało swego mistrza.

Mówi się dziś w Niemczech wiele o spotkaniu z twórczością literacką czterech mocarstw okupacyjnych. Do tego dodać należy wpływy Garcia Lorca i w pewnym sensie spotkanie z Georghiu, którego książka "Godzina dwudziesta piąta" odpowiadała pragnieniu wielu Niemców, by wycofać się na pozycje politycznego i moralnego relatywizmu.

Prawda, że w każdej strefie powstało coś w rodzaju towarzystwa przyjaciół literatury kraju okupującego. Często te towarzystwa stanowią pierwszą i jedyną możliwość zetknięcia się młodzieży niemieckiej z literaturą Francji, Anglii, Ameryki i Rosji Sowieckiej. Ale jakiż obraz duchowy Francji, Anglii, Ameryki i Rosji Sowieckiej ukazuje się tu niejako oficjalnie? W najrzadszych wypadkach udaje się stworzyć pomost porozumienia, tak aby wydobyć na jaw, bez porozumień, rzeczywiste wielkości tych krajów i ich istotne zamierzenia. Przecież takie umysły, jak James Joyce, Ezra Pound, Auden, Kenneth Fearing, Paul Goodman, André Breton, Henri Michaux, Alain Bosquet lub Henry Miller i Cyril Connolly (nie mówiąc już o St. John Perse) dalekie są od tego, by znaleźć we własnych krajach zrozumienie i poparcie, jakie należało by się ich dziełom.

Ustalił się dziś wprawdzie zły obyczaj zaopatrywania co trze-

ciej ukazującej się książki niemieckiego poety w teksty reklamowe, w których wystawia się poecie zaświadczenie, że kontynuuje to co "James Joyce zapoczątkował" lub "Marcel Proust przeczuwał", a zależnie od okoliczności także to, co się u Kafki "zarysowuje" — ale dokładne badanie tych zapowiedzi, jak dotychczas nie wytrzymuje próby i stwierdza, że mamy do czynienia z nadużyciem cytowanych nazwisk. Jakkolwiek wyżej wymienieni i mało czytywani, jako już zmarli, są bezbronni wobec podsuwania im ojcostwa duchowego wielu publikacji, wystawianych na sprzedaż przez handel księgarski, nie znajdzie się na wystawach tych samych księgarzy ani jednej krytyczno-historycznej próby zanalizowania i wyłożenia ducha i poezji Joyce'a, Kafki czy Millera, która by wyszła spod niemieckiego pióra.

Zadanie rzucenia pewnego światła na świat pojęć surrealizmu i podobnych zjawisk współczesnej literatury pozostawiono wyłącznie serii wydawnictw "Das Lot". Pisze o tym Gottfried Benn:

"Temu, kto się interesuje eksperymentującą, ale jeszcze poważną częścią nowoczesnej liryki, wskazać można czasopismo "Das Lot", którego wyszło dotychczas pięć numerów, a także świetną książkę Alain Bosquet'a "Surrealizm" *).

Ta odpowiedź Gottfrieda Benna spowodowała wzmożoną powódź rękopisów, nadsyłanych do redakcji "Das Lot". Autorzy tych rękopisów pretendowali niegdyś do zajmowania się liryką eksperymentalną, ale jeszcze (to "ale jeszcze" Gottfrieda Benna wielce pewno ucieszy umiejących czytać między wierszami) taką, którą można brać poważnie. Żaden z tych autorów nie znał drugiego, każdy wypowiadał się "nowocześnie", każdy usiłował pisać inaczej niż inni (zaczynało się od tego, że mówili zawile to, co można było powiedzieć prosto), a jednak byli do siebie podobni jak dwie krople wody. Lektorowi ukazał się obraz niezwykłej monotonii. Każdy z tych poetów usiłował prześcignąć innych w rozczulaniu się nad samym sobą, ale za to pomstował na nigdy bliżej nie określoną grupę, której istnienie zaznaczał tylko słówkami "Wy" lub "Was", jak to dziecko, które nie chcąc zimą włożyć rękawiczek wykrzykuje "Wy już zobaczycie, Wy już będziecie się mieli z pyszna, jak odmrożę sobie ręce".

Po lekturze tego rodzaju utworów czytelnika, szukającego poezji ogarnia uczucie nieopisanej pustki. Bezbłędnie odnajduje tu i tam właśnie u tej grupy niezrozumianego Stefana George'a i Rainera Maria Rilkego. Ale czyż można się temu wszystkiemu dziwić? Podczas, gdy pokolenie ojców zajmuje się odrestaurowaniem solidnego niemieckiego obywatela, synowie i córki, — "którym — jak jedno z nich napisało —

*) Odczyt na uniwersytecie w Marburgu z 21.8.51 r. "Problemy Liryki", Limes-Verlag, Wiesbaden 1951 (oba cytowane przez Benna wydawnictwa ogłoszone zostały przez Karl. H. Henssel-Verlag, Berlin).

ciężko przychodzi nieść ciężar rodu" (mając na myśli części rodne) usiłują tworzyć poezje. Do czegoż innego są zdolni poza roztkliwianiem się nad sobą? Oczywiście, mogliby najpierw zacząć myśleć i uczyć się. Ale poeci, których czytają i których przeważnie sami tylko za poetów uważają, jak dziennikarz Sartre, są przez nich tak zrozumiani, jak gdyby wszelka wiedza była zdewaluowana, jak gdyby była zawsze fałszywa, a wobec tego, jak gdyby każde uczenie się było stratą czasu na próżne zachody miłości, o ile nie dotyczy budowania motorów i domów lub podobnych użytecznych rzeczy. Tak więc pozostają takimi, jak ich opisał poeta Tetjus Tügel, który dziś skrył się w milczeniu. W młodzieńczym utworze "Der Langschläfer" (Śpioch) napisał on kiedyś:

Früh mag er sich nicht erheben
und liegt bis mittags im Bett,
im voraus schon schlapp vom Erleben,
und immer ist es zu spät.

Er grübelt mit schwitzenden Händen
von Taten, die niemals geschehen,
die wie an Latrinenwänden
pubertätlich im Schädel stehn.

Doch plötzlich, auf schlotternden Beinen
hysterisch, doch übergesund,
muss er im Dämmern wild weinen,
der träge, begabte Hund *).

Niemcom nigdy nie brakło, i nie braknie też dziś, tych leniwych, uzdolnionych kundli. Starzejąc się padają ofiarą mistyki lub przybierają sobie patrona, do czego często używany bywa Rilke, który to patron ma za nich zastępczo "przeżywać".

Ten świat, do którego ofiar zaliczyć musimy wiele leniwych talentów nie znalazł sobie takiego mistrza, jakiego Rosja znalazła w Gonczarowie. Kto by dzisiaj, zwłaszcza w Berlinie, ważył się na to przedsięwzięcie, zatrwoży się jak nigdy, iż nie starczy mu już czasu na zebranie plonu. U takiego poety jak Martin Kessel prowadzi to do skondensowania tematyki, a przez to kryterium aforystyki zyskuje na znaczeniu. To zjawisko można rzeczywiście zaobserwować niemal u wszystkich poetów, których indywidualność zaczyna się stopniowo wznosić mętnymi falami powszedniości. Niemal wszyscy ci poeci są też krytykami. Nawiasem mówiąc, to samo można spostrzec w Anglii, Francji i Ameryce.

---

*) Wstać mu się rankiem nie chce — barłoży się do południa — z góry jest życiem zmęczony — i zawsze jest mu za późno.
Rozmyśla z wilgotnymi dłońmi — o czynach nigdy nie dokonanych — co jak rysunki ze ścian latryny — tkwią mu pod samczą czaszką.
Lecz raptem dygocąc w nogach — z histerią choć zdrowy jak byk — rozbeczy się dziko o zmroku — leniwy i zdolny kundel.

Prawda, że surealizm podupadł, gdy oderwał się od swych zadań politycznych i padł ofiarą czystej estetyki zjawisk. Dotyczy to także poezji niemieckiej. Choć pragnąłbym bardzo, ażeby świadomość polityczna znalazła swój wyraz w poezji, choć sądzę, że okrzepnięcie głosu sumienia politycznego wydobędzie na jaw w poezji niemieckiej charaktery silniejsze niż te, które się dziś widzi, muszę jednak podkreślić, że nie polityka i nie polityczna świadomość, lecz zawsze przeżycie i nadanie poetyckiego kształtu przeżyciu tworzą poetę. Ale nadać przeżyciu kształt poetycki, to znaczy wznieść się na możliwie najwyższy poziom obiektywizacji. Oznaką niebezpieczeństwa, jakie zagrażać może poezji jest to, że staje się ona, jak w naszych czasach, schronieniem dla tych, którzy wykazali nieudolność i zawiedli w innych dziedzinach, którzy prócz swego subiektywnego niepokoju nie mają nic innego do wypowiedzenia. Poeta bierze życie na warsztat, jak stolarz drzewo, z którego zbuduje krzesło. Prawda ukazuje się w dwuch postaciach, jako materiał i miara rzeczy. Postacie takiego Prousta były prawdziwe **podczas** ich kształtowania, gdy brane były na warsztat, a nie przez to, że dopasowano je do jakiegoś obrazu idealnego. To samo powiedzieć można o wszystkich postaciach oraz o wszystkich kształtach, nadanych zdarzeniom przez wielkich poetów. Mówić jednak prawdę, znaczy umieć wziąć na siebie ciężar niepopularności. W niemieckiej literaturze nie braknie niepopularnych poetów, lecz bardzo jej brak zdecydowanych wydawców. Gdy się zacznie próbować odkryje się niechybnie, że niepopularność prawdy jest diabelnie źle rozumiana przez wielkich wydawców. Na przykład to, co nie będzie miłe władzy okupacyjnej, nie musi być automatycznie prawdą. W ten sposób powstają takie książki, jak naszpikowany różnymi ressentiments "Kwestionariusz" Salomona (dom wydawniczy Rotwohlt Verlag), czy nawet Arno Schmitta "Wrzosowisko Branda" (tego samego wydawcy). Pierwsza — zarozumiała autobiografia, druga to poemat, wedle którego wytępienie rodzaju ludzkiego zdaje się być koniecznym warunkiem, by pozostałemu przy życiu poecie dać rozkosz wszechwiedzy. Miłość jest naturalnie zawsze chybiona. Wszystko to później nazywa się "wewnętrznym monologiem", a lektor w reklamowym komentarzu wygłupia się, wieszając na haku tego samego określenia Arno Schmitta obok James Joyce'a, a potem jeszcze mówiąc, że Schmitt pisze tak, jak Bracque maluje. Schmitt ma rzekomo wedle tego samego tekstu reklamowego wyprzedzać o 20 mil rozwój literatury niemieckiej. Bracque jest 75-letnim klasykiem modernizmu roku 1920 i duchem daleki jest od zgryźliwego zlepku Schmitta. Jest to mądry muzyk kameralny, którego skala barw stoi o niebo wyżej od takich pisarczyków jak Schmitt. Och, miły Boże! Gdy tę historię rozgryźć, odkrywa się ukazujące się spoza utalentowanej zręczności oblicze: oblicze niemieckiego "wykształconego człowieka", który, dajmy na to, w bierności prze-

żył lata nazismu i wojnę. Jako żołnierz Trzeciej Rzeszy popadł w rosyjską niewolę i wrócił, dowiedziawszy się, że "inni są o wiele gorsi": Rosjanie to tylko naród stepowy, Amerykanie tylko niekulturalni fabrykanci lodówek. Ta postać zdaje się wciąż mówić jakby niezadowolona i obrażona "Czegóż ode mnie w ogóle chcecie, jestem przecież człowiekiem kulturalnym"? Autor popada w mimowolny komizm, wymyślając na film i pisząc-przy tym w stylu bardziej przypominającym film, niż cokolwiek innego.

(Dokończenie w następnym numerze).

Alexander KOVAL.

Archiwum polityczne

List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta KULTURY)

Problem "habsburskiego przedmurza"

Nie brak angielskich historyków, którzy starają się dziś wykazać, że zjednoczenie Niemiec było poniekąd tworem sztucznym. Że decydującym motywem w tym procesie był zawsze cel polityczny (Wille zur Macht), a nie poczucie wspólnoty duchowej. Są nawet autorzy, którzy twierdzą, że na skutek zjednoczenia naród niemiecki uległ głębokim (niekorzystnym) przemianom duchowym — od indywidualizmu «narodu myślicieli i poetów» po totalistyczne «Gleichschaltung».

Być może, że tak było istotnie. Lecz nie to jest ważne. Istotny jest fakt, że Niemiec zjednoczonych przez Bismarcka, a «zglajchszaltowanych» przez Hitlera nie da się już dziś rozparcelować. Nie ulega wątpliwości, że wszyscy Niemcy pragną zjednoczenia i podział Niemiec może być utrzymany tylko siłą. Lecz powyższe stwierdzenie nie zawiera jeszcze pełnej prawdy. Podział Niemiec może być bowiem utrzymany jedynie siłami poza-europejskimi, tj. siłami amerykańską i rosyjską.

Równowaga w r. 1815 była również narzucona Niemcom z zewnątrz. Ale siły, które uniemożliwiały zjednoczenie Niemiec, były wówczas w całości siłami Europy.

W r. 1848 liberałowie niemieccy próbowali zjednoczyć Niemcy na drodze pokojowej. Próby te zawiodły. Niemcy zdobył dla Prus — Bismarck. Właściwie od r. 1871 — Niemcy z przedmiotu europejskiej «równowagi sił», stały się tejże równowagi podmiotem.

Jest coś patetycznego w sensie historycznym, gdy dziś, z perspektywy lat czternastu spojrzeć na Konferencję monachijską. Była to bowiem nieodwołalnie ostatnia, prawdziwie euro-

pejska, konferencja — bez udziału Rosji i bez udziału St. Zjednoczonych.

Hitler wysunął politycznie logiczny wniosek, że jeżeli Europa ma być nadal rządzona wyłącznie przez europejczyków — to tymi europejczykami muszą być Niemcy. W Europie nie było już bowiem siły, którą można było przeciwstawić potencjałowi trzeciej Rzeszy. Jeżeli nie ma warunków utrzymania «równowagi sił» — istnieją tylko dwie możliwości: poddać się dyktatowi najsilniejszego partnera — albo przebudować istniejącą «równowagę sił» przez zaangażowanie sił poza-europejskich.

Konferencja monachijska przejdzie do historii Europy jako niezmiernie ważna data. W tym bowiem czasie zamknął się ostatecznie pewien okres dziejów naszego kontynentu. Stało się bowiem oczywiste, że Europa nie jest już zdolna do wytworzenia zdrowego politycznie «balance of power». Bez pomocy z zewnątrz nie jesteśmy w możności uniknąć supremacji Niemiec. Jeżeli nie chcemy by rządzili nami Niemcy — europejska równowaga sił musi być zorganizowana trwale i organicznie przy udziale potęg poza-europejskich. I w tym sensie, po-monachijska Europa — przestała być Europą.

Ten problem doskonale rozumieją Niemcy. Jest rzeczą bardzo pouczającą śledzić oryginalny «anty-pruski» rewizjonizm współczesnej historiografii niemieckiej. Od kilku miesięcy, na łamach berlińskiego «Der Monat» — toczy się interesująca dyskusja, wywołana pracami kilku historyków angielskich. Atakowany jest przede wszystkim prof. A.J.P. Taylor z Oxfordu, autor studium o monarchii habsburskiej. Wśród głosów historyków niemieckich na specjalną uwagę zasługują opinie Franz Borkenau'a, który wystąpił z tezą, że z upadkiem monarchii austriacko-węgierskiej, upadło właściwie jedyne zorganizowane przedstawicielstwo Europy Środkowo-wschodniej i rola, którą spełniała Austria przez nikogo nie została podjęta. Największym błędem polityki pruskiej — tłumaczy nam Borkenau — był fakt, ze do końca uważano, iż «straż nad Renem» jest niepomiernie ważniejsza niż «straż na Wschodzie». Gdy Austrii brakło — jej miejsce zajął tuzin małych państewek, które były całkowicie poronionymi tworami. Borkenau podkreśla uprzejmie, że narody te mają prawo do życia w przyszłości jak i inne narody — nie mniej... «jasne jest, że ich przyszłość nie rozegra się w ramach nacjonalistycznych».

Różnice w opinii pp. Taylora i Borkenaua nie są, w gruncie rzeczy sporem akademickim dwóch historyków, uczonych w piśmie — lecz są wyrazem dwóch sprzecznych poglądów politycznych. Interpretacja historyczna zawiera w sobie zawsze projekcję współczesnego poglądu politycznego i dlatego musimy interesować się opiniami niemieckich historyków.

Wydaje się, że pewni historycy niemieccy sądzą, iż ów «tuzin państewek», które pojawiły się po upadku monarchii habsburskiej — nie wypełniły swojej misji dziejowej i należą do

znienawidzonego wersalskiego programu, który wskrzeszać byłoby nonsensem. Borkenau złośliwie wykpiwa prof. Taylora, który wyraził się, że przywrócenie niepodległości narodom, które wchodziły w skład monarchii habsburskiej — było dziełem, które napawało dumą. Gwoli prawdy i obiektywizmu pragnę podkreślić, że z tego tuzina poronionych tworów (Missgeburten) Borkenau wyłącza Polskę jako — jego zdaniem — jedyny wyjątek.

Nie ma w tym nic dziwnego, że są Niemcy, którzy hołdują tego rodzaju poglądom. Byłoby niepomiernie dziwniejsze, gdyby myśleli inaczej. Zachodnia Europa jest w stadium organizacji i wyposażona jest w amerykańskie gwarancje. Natomiast wschodnia Europa z owym «tuzinem poronionych państewek» czeka nie tylko na oswobodziciela, ale i na . . . organizatora. Na Zachodzie nie ma żadnego programu w stosunku do tego obszaru od którego oczekuje się jedynie, że w razie konfliktu sabotażem, powstaniem i partyzantką ułatwi zadanie oswobodzicielskie armiom sojuszniczym. Ale to wszystko. Obszar ten nie jest objęty żadnym paktem atlantyckim, żadnymi gwarancjami — niczym. Jedynym państwem po tej stronie «żelaznej kurtyny», które zgłasza do wschodniej Europy rozliczne pretensje są zachodnie Niemcy. Dla innych potęg nie jest to część świata specjalnie interesująca.

W poprzednim n-rze «Kultury» w omówieniu książki hr. Einsiedla zacytowałem jego opinię o gwarancjach brytyjskich. Zdaniem Einsiedla i zapewne zdaniem większości Niemców — Polacy wyciągną z doświadczeń z 1939 r. przynajmniej tę naukę, że gwarancje Zachodu nie stanowią dla Polski dostatecznej podstawy do prowadzenia zarówno anty-niemieckiej jak i anty-rosyjskiej polityki. Ponieważ Niemcy zakładają, że prowadzić będziemy w przyszłości politykę anty-rosyjską, wniosek stąd prosty, że trzeba ugodzić się z Niemcami. Anty-komunistyczni Niemcy liczą zresztą, że sprawa ziem nad Odrą i Nisą zostanie w końcu załatwiona po ich myśli, przy poparciu anglosaskim. Gdyby niemiecka akcja rewizjonistyczna została istotnie uwieńczona rezultatem — Polska straciłaby na rzecz przyszłych Niemiec około 60% swego potencjału przemysłowego. Pozbawieni ziem odzyskanych, stalibyśmy się krajem w połowie przemysłowo rozbrojonym, co oczywiście pociągnęło by za sobą dalekosiężne konsekwencje polityczne.

Dr Alfred Zauberman, omawiając pracę Z. Jordana o granicy na Odrze i Nisie — słusznie zauważył, że jeżeli Niemcy wyposażono by w wielką bazę żywnościową to nie tylko odrodzi się ich przedwojenny potencjał przemysłowy, ale co więcej — uzyskają one w kosztach produkcji taką przewagę nad innymi krajami przemysłowymi, że supremacja ich będzie nieunikniona. Aby w pełni uzmysłowić sobie znaczenie tego problemu wystarczy przyjrzeć się sytuacji w dzisiejszej Anglii. W. Brytania wywozi niemal dwa razy tyle co przed wojną. Jednak nie umożliwia to Anglikom znieść racjonowania żyw-

ości i odstąpić od zasad «surowego i chudego życia». Bo prawdzie Anglia wywozi dwa razy więcej niż przed wojną, e żywność, którą sprowadza jest dziś w stosunku do warści towarów przemysłowych o 40% droższa niż przed woj-ą. Jeżeli by więc Niemcom ułatwiono zdobycie wielkiej bazy ywnościowej na naszych ziemiach nad Odrą i Nisą — dysonowałyby one najtańszą robocizną w Europie i walka konurencyjna z ich wytwórczością przemysłową byłaby po prou niemożliwa.

Plany niemieckie idą zapewne znacznie dalej. Historycy nieieccy sądzą, że obszar Europy środ.-wschodniej nie wypełił swej misji odziedziczonej po Habsburgach i wskutek tego przyszłości trzeba go inaczej zorganizować. W związku z m, przyszłe Niemcy swą inicjatywą polityczną pragną przeieść znad Renu na wschód Europy.



Gdyby Amerykanie i Rosjanie jednego dnia wycofali się z uropy — wcześniej czy później wrócilibyśmy do Monachium. uropa nie jest bowiem w możności wytworzyć w ramach ontynentu harmonijnej równowagi sił. W okresie kryzysu, óry poprzedził drugą wojnę światową Europa nie była w ożności wytworzyć tej równowagi nawet łącznie z Anglią.

Tradycyjną polityką imperialnej Anglii był opór wszelkim róbom podboju kontynentu przez jedno mocarstwo. Zdaje się ie ulegać wątpliwości, że tą tradycyjną rolę musi przejąć to inny. Europa i pod tym względem przestała być samowyarczalna. Kontynentowi w przyszłości potrzebna będzie noa, potężniejsza Anglia, która by nie dopuściła do supremacji iemiec. Tą nową Anglią w stosunku do Europy i reszty świa- może być tylko Ameryka. Stany Zjednoczone nie mogą douścić do czyjejkolwiek supremacji, zarówno w Europie jak gdziekolwiek indziej. Polityka przywódcza nie może być inazej realizowana.

Sfederalizowanie Europy nie rozwiązuje automatycznie spray. Jeżeli federacja europejska nie ma być tylko nazwą feeracji niemieckiej — i w sfederalizowanej Europie musi być achowany zdrowy rozdział sił i przemysłów.

Już dziś polityka amerykańska musi się ustosunkowywać do eszty świata tak, jak dawna Anglia ustosunkowywała się do konynentu europejskiego. Potencjalnymi wrogami St. Zjednoczoych są narody o potencjalnych możliwościach i ambicjach an-światowych.

Liczyć się należy z tym, że wcześniej, czy później dojdzie do ednoczenia Niemiec. Rozczłonkowanie Niemiec na miniatuowe kraiki według dawnych politycznych recept — jest dziś ałkowicie niemożliwe. Sztuczne osłabianie Niemiec byłoby ównież polityką nie wiodącą do celu. Byłoby natomiast katarofalnym błędem sztucznie Niemców wzmacniać przez wy-

wianowanie ich uprzemysłowionymi ziemiami nad Odrą i Nisą i przez wypuszczenie im w polityczno-gospodarczą «dzierżawę» Europy środkowo-wschodniej.

Borkenau wysuwa tezę «przedmurza», podkreślając, że Austria cesarska osłaniała Europę przed Wschodem, dzięki czemu mocarstwa zachodnie mogły żyć w bezpieczeństwie i pokoju, co w konsekwencji spowodowało ich rozkwit cywilizacyjny i kulturalny.

Od takich stwierdzeń już tylko krok do sugestii, że jeżeli mocarstwa zachodnie pragną spokojnie poświęcić się lukratywnemu handlowi i cieszyć się z błogosławieństw trwałego pokoju — to pas środkowo-wschodnio-europejski, czyli owo «przedmurze», musi być w przyszłości inaczej zorganizowane niż po pierwszej wojnie światowej. Któż może tego dokonać? Oczywiście tylko Niemcy. Sądzę, że tak będzie podmalowane tło argumentacji niemieckiej w rozmowach z Anglosasami — również i w sprawie granicy na Odrze i Nisie.

Na dnie tego roku rozumowania tkwi głęboka nienawiść do «dyktatu wersalskiego», który do dziś dnia uważany jest w Niemczech za źródło wszystkich nieszczęść jakie nawiedziły Europę (tj. Niemcy).

W sumie, nie waham się twierdzić, że uznanie, względnie odmowa uznania przez Anglosasów granicy na Odrze i Nisie — w dużej mierze zadecyduje o przyszłym losie Europy środkowo-wschodniej. Gdyby Niemcom przyznano te ziemie, Polska nie miałaby żadnych możliwości stać się osią krystalizacyjną jakiegoś politycznego, regionalnego systemu niezależnego od Niemiec. W takiej sytuacji Czechosłowacy i Węgrzy nie mieliby żadnego wyboru i musieliby pójść na pełną współpracę z Niemcami. Innymi słowy, przyznanie Niemcom ziem na Odrze i Nisie stworzyło by idealną wprost koniunkturę dla realizacji planów niemieckiego przywództwa na obszarach . . . habsburskiego «przedmurza».

Wnioski jakie należało by wyciągnąć z takiego stanu spraw można by sformułować w sposób następujący:

Amerykanie nie będą mogli już nigdy opuścić Europy. Przyszły system polityczny świata, bez względu na jego formy organizacyjne — a więc bez względu na to, czy opierać się będzie na federacjach czy na kombinacji federacji i «wspólnot» jak brytyjski «Commonwealth» — jako całość, powinien być zbudowany na nowym układzie sił, którego fundamentem musi być przewaga potencjału amerykańskiego. Pokoju i bezpieczeństwa nie zbuduje się na staroświeckim płynnym systemie «balance of power». Dawna gra sił musi być zastąpiona zdecydowaną przewagą jednej siły.

Istnieją w tej chwili tylko trzy narody potencjalnie hegemoniczne. Tymi narodami są Rosjanie, Amerykanie i Niemcy. Anglicy nie są już dziś narodem hegemonicznym.

Amerykanie i cały świat zachodni pragną pokoju. Otóż w dzisiejszym układzie międzynarodowym pokój jest do osiąg-

ięcia jedynie na drodze ustalenia przywództwa i przewagi v skali światowej jednego z hegemonicznych narodów. Albowiem źródłem niepokoju jest walka o hegemonię nad światem.

Z punktu widzenia przywódczej polityki amerykańskiej, ajwiększym potencjalnym niebezpieczeństwem będzie zawsze nożliwość sojuszu niemiecko-rosyjskiego. Można wybitnie mniejszyć ryzyko tego potencjalnego niebezpieczeństwa przez lalekowzroczną politykę w stosunku do Europy, a zwłaszcza Europy środkowo-wschodniej.

Dla polityki amerykańskiej nie może być bardziej interesuącego problemu w Europie, jak ów obszar «przedmurza habsburskiego», który rozdziela dwa hegemoniczne narody świata, których jeden wydał Stalina a drugi Hitlera.

Jeżeli Amerykanie zezwolą na obalenie granicy na Odrze Nisie, jeżeli tym samym umożliwią Niemcom objęcie roli rzywódczej w Europie środ.-wschodniej — to wówczas własią, amerykańską polityką, doprowadzą do styku sfer wpływów Rosji i Niemiec, co może w przyszłości mieć nieobliczalne vprost konsekwencje.

Historycy niemieccy mają całkowitą rację. «Przedmurze habsburskie» odegra w przyszłym układzie Europy i świata kapialną rolę. Należy ufać, że polityka amerykańska doceni kluzową pozycję tych ziem. Albowiem stosując pewne uproszczeie można zaryzykować twierdzenie, że rządzenie światem prowadza się do umiejętności zrównoważenia Rosji i Niemiec.

Amerykanie powinni zdać sobie sprawę, że naturalnymi i rawdziwymi sojusznikami Stanów Zjednoczonych są małe i rednie narody, które są bezpośrednio zainteresowane w poliyce, zmierzającej do wtłoczenia zarówno Rosji jak i Niemiec v ramy zwartego, opartego na prawie — systemu międzynaodowego. Nie imperialiści, czy byli imperialiści, lecz narody krzywdzone i wyzyskiwane powitają szczerze Pax Ameicana.

Juliusz MIEROSZEWSKI.

List z Niemiec

W chwili, gdy korespondent Wasz pisze ten list, sytuacja v Berlinie wygląda tak, jak ją w kilku wymownych zdaniach rzedstawił jeden z wieczornych dzienników: "Strzelanina, prowadzanie ludzi, zasieki i rowy biegną granicą między Zachodem i Wschodem, część Berlina zachodniego jest odcięta d zewnętrznego świata, a jej granice wyznaczają poobalane rzewa i inne przeszkody. Podczas gdy sowiecka załoga zam-

knięta jest w "wieży radiowej", pilnowanej przez brytyjskich wartowników — w Lipsku falangi młodzieży komunistycznej defilują przed prezydentem wschodnio-niemieckiej republiki Pieck'iem z karabinami na ramię, pokrzykując: "hurra!" Wszystko to właśnie w chwili, gdy dwa świeżo podpisane układy — jeden w Bonn, drugi w Paryżu — "okryły słabość Europy płaszczem atlantyckiej miłości".

Autor tego plastycznego określenia, komentator polityczny z Hanoweru, nazywa jednocześnie oba te układy "gwarancjami podziału Niemiec". Nikt lepiej od Polaka nie rozumie znaczenia tych słów. Prawda, że porównanie rozbiorów Polski w końcu XVIII w. z sytuacją, w jakiej dziś znajdują się Niemcy, dalekie byłoby od ścisłości. Jedną z głównych przyczyn owych rozbiorów było to, że Polska uległa pacyfistycznym nastrojom i przeprowadziła daleko idącą redukcję zbrojeń; Niemcy, przeciwnie, ponoszą dziś konsekwencje tego, że jeszcze tak niedawno były uzbrojone po zęby, z broni swej zrobiły użytek złowrogi, zapominając, że broń miewa czasem kształt bumeranga. W obu jednak sytuacjach znamienną rolę odegrał "przypadek położenia geograficznego", jeżeli je można nazwać przypadkiem.

Tę rolę "geograficznego przypadku" w nowoczesnych dziejach Europy przypomniał, w czasie jednego z niedawnych, a licznych ostatnio w Berlinie kongresów międzynarodowych, publicysta francuski, Raymond Aron, wprowadzając nieco realistycznego ładu do gęstwiny kongresowych koncepcji. Nie mam nic przeciwko "koncepcjom", broń Boże. Wydaje mi się jednak, że błędem byłoby przypisywanie im, jako samodzielnym czynnikom, nadmiernego znaczenia. Takie jest już prawo życia, że zamiar ludzki i wola i np. geograficzne przypadki plączą się z sobą i warunkują się wzajemnie. Stąd też — ku zdziwieniu jednych a ku rozpaczy i nieszczęściu drugich — jakże trudno bywa w rzeczach politycznych ustalić związek przyczynowy między zamiarem i wykonaniem, między zasługą i zapłatą, słusznością a losami spraw. Czasami po prostu się wydaje, że związku takiego nie ma wcale.

Błędem byłoby również, jak sądzę, odnajdywanie jakiejś jednolitej i wyraźnej "koncepcji" w życiu politycznym Niemiec dzisiejszych. W rzeczywistości jest opinia publiczna niemiecka rozbita i zdezorientowana tak, że któryś ze szwajcarskich obserwatorów mówił nawet o podwójnym podziale Niemiec: jeden — to podział na Zachód i Wschód, drugi — to rozpołowienie opinii publicznej w Niemczech zachodnich. Ten drugi wystąpił ze szczególną wyrazistością w namiętnych dyskusjach na temat podpisanych ostatnio układów. Prawda, że tu i ówdzie istnieją "różne" koncepcje (zachodnią, adenauerowską, nazywają tutaj reńsko-katolicką). Prawda, że wszyscy prawie byli zgodni w proteście przeciwko jednej z zamierzonych klauzul "generalnego układu" — tej mianowicie, która nakładała automatycznie, na przyszły rząd zjednoczonych Niemiec, te sa-

me obowiązki, jakie dziś wziął na siebie rząd Republiki Związkowej w Bonn i w Paryżu. Protestowano zgodnie, gdyż rozumiano i obawiano się jednocześnie, że klauzula ta uniemożliwiłaby z miejsca wszelkie rozmowy z Rosjanami na temat zjednoczenia Niemiec w najbliższej przyszłości, niszcząc nadzieje, słabe co prawda, ale jeszcze tlące. W tym jednak wypadku, jednolitość opinii niemieckiej wynikała nie tyle z "koncepcji", ile z naturalnego gromadzkiego instynktu, który tworzy narody i pozwala im trwać.

Tak więc zajmowały opinię niemiecką ostatnio dwa następujące pytania: 1) czym jest, a czym nie jest system układów, podpisanych w Bonn i w Paryżu; 2) jakie są możliwości dojścia do porozumienia z Moskwą, w okresie między podpisaniem a ratyfikacją układów, w sprawie zjednoczenia Niemiec.

Protest ze strony opozycji socjalistycznej jest, jak wiemy, niezwykle ostry i wyraził się m. in. w nieobecności przedstawicieli SPD na uroczystościach w Bonn, związanych z podpisaniem układu generalnego. Socjaliści występują od dawna z żądaniem przywrócenia Niemcom zachodnim suwerenności. Układ, ich zdaniem świadczy, że "mocarstwa w Niemczech zatrzymują władzę najwyższą w swych rękach" (Carlo Schmid). Tuż przed podpisaniem, mówił dr Arndt, w parlamencie, w imieniu SPD: "Te projekty umów nie przynoszą wolności, lecz ustalenie się władzy okupacyjnej... nie przynoszą równouprawnienia, lecz przedłużają okres nierówności... nie przynoszą jedności Niemiec, lecz przypieczętowują rozbiór. A inny wybitny przedstawiciel SPD, Herbert Wehner, konkludował w tejże debacie: "Układ generalny i układ obronny nie będą akceptowane przez naród niemiecki, gdyż oznaczają one dalszy ciąg jednostronnych stosunków politycznych i prawnych, stworzonych pod rządami okupacyjnymi, a mających na celu eksploatację potencjału gospodarczego i ludzkiego Niemiec na rzecz obcych interesów". Kilkudniowy strajk drukarski, w czasie którego nie ukazywały się dzienniki, miał być "ostrzeżeniem", że masy pracujące nie zgadzają się ani na układ w Bonn, ani na paryski układ w sprawie armii europejskiej.

Podobnie krytyczne, choć nie tak ostre stanowisko zajęła zbliżona do kół przemysłowych, a bynajmniej nie opozycyjna "Frankfurter Allgemeine Zeitung". "Nie, oba te układy nie stanowią układu pokojowego z Niemcami — pisał jeden z publicystów tego dziennika — treścią ich nie są Niemcy, ani nie jest pokój. Chodzi w nich tylko o określenie stosunku Republiki Związkowej do mocarstw zachodnich". A inny: "Obietnicy przyznania równouprawnienia nie dotrzymano". Autor ten, Paul Sethe, jeden z najwybitniejszych publicystów zachodnio-niemieckich, oskarża Francuzów o "paniczny strach przed wolnością dla Niemiec" i pisze dalej: "Część polityków niemieckich jest przekonana, że można będzie wciągnąć całe Niemcy do zachodniego przymierza. Uważamy to za pobożne życze-

nie. Kto nie chce się zadowolić samymi oskarżeniami pod adresem bolszewickich ciemiężycieli, ale chce prowadzić praktyczną politykę, mającą na celu zjednoczenie Niemiec, ten powinien wiedzieć, że musi zapłacić Rosjanom jakąś cenę. O tę cenę trzeba prowadzić rokowania".

Jakaż to cena?

"Prawdopodobnie ma ona polegać na ustawieniu Niemiec nie po jednej czy po drugiej stronie, ale między obu blokami wielkich mocarstw".

Inny publicysta, chrześcijańsko-demokratyczny poseł Ernst Müller-Hermann, mówi dość tajemniczo w "Weser-Kurier", że ceną tą być może "odjęcie Sowietom kompleksu obawy przed zachodnią — i niemiecką — agresją". I dodaje, iż położenie Niemiec wymaga "jednocześnie wzmocnienia Zachodu i gotowości do rokowań".

Sprawa "ceny" wygląda już bardziej konkretnie w świeżo wydanej książce pt. "Deutschland am Rande zweier Welten", której autorem jest doradca polityczny ministerstwa spraw ogólno-niemieckich w Bonn, dr Wilhelm Wolfgang Schütz*). "Niemcy — pisze on — muszą zawrzeć dodatkowe umowy o specjalne ograniczenie atlantyckich kompetencji na obszarze strefy sowieckiej — zanim wejdą, tymczasowo czy też ostatecznie, do systemu obronnego Paktu Atlantyckiego". Chodzi o to, aby Wschód widział dla siebie, korzyść w uwolnieniu tej strefy". "Korzyść taką należy im stworzyć przez to, że wprawdzie strefa sowiecka byłaby włączona do ogólno-niemieckiego związku państwowego, to jednak, jeśli chodzi o stronę wojskową, stałyby na ziemi niemieckiej co najwyżej tylko niemieckie oddziały armii europejskiej, ale nie połączone siły paktu Atlantyckiego. Niemcy muszą więc obstawać przy ograniczeniu i odgraniczeniu Paktu Atlantyckiego i Europejskiej Wspólnoty Obronnej na wypadek połączenia ze strefą sowiecką".

Można by więc nakreślić, dość pobieżnie, taki obraz sytuacji. Opozycja socjalistyczna odnosi się wręcz negatywnie do umów, podpisanych przez rząd związkowy. Zapewnia, że wszystko to zrobione było zbyt pośpiesznie i że można było uzyskać od aliantów znacznie lepsze warunki. Socjaliści czynią wszelkie zastrzeżenia, z których wynika, że nie chcą brać odpowiedzialności za obecny stan rzeczy i zastrzegają sobie swobodę ruchów w chwili, gdy dojdą do władzy, tj. w razie zwycięstwa w wyborach w roku przyszłym. Taktycznie, jak to z upodobaniem podkreślają przeciwnicy, SPD w ostatnich dniach znalazła się w jednym szeregu z zachodnio-niemiecką partią komunistyczną i z neohitlerowską "Socjalistyczną Partią Rzeszy" (SRP) Remera. Kanclerz Adenauer i zwolennicy "reńskiej koncepcji" czynią wszystko, aby jak najśpieszniej włączyć Niemcy zachodnie do obozu atlantyckiego. Po środku część obozu rządo-

*) Deutsche Verlagsanstalt, Stuttgart.

wego, z ministrami Kaiserem, Blücherem i Dehlerem na czele, wspomagana przez koła przemysłowe walczy o to, aby wiążąc się z Zachodem, nie utraciły Niemcy pewnej swobody manewru dyplomatycznego w stronę Wschodu, z zasadniczym celem odzyskania części Niemiec, znajdującej się dziś pod władzą Moskwy. Ostatnio, pojawiają się oznaki, że Moskwa, nie bez pewnego powodzenia, stara się o pozyskanie dla nowej swej polityki (niemiecka armia narodowa w strefie sowieckiej) przychylności w kołach, grupujących b. wyższych oficerów.

W związku z tym rozpoczęła się w Niemczech wschodnich kampania, która tutaj nazywają "odkryciem Prus". Imiona takie jak Gneisenau, Stein, Scharnhorst, Fichte, Clausewitz i Henryk v. Kleist nie tylko wyciągnięto nagle z przeznaczonych dla historii Prus skrytek, gdzie dotychczas były zamknięte, ale jak zapowiada wysoki urzędnik wschodnio-niemiecki w "Das neue Deutschland", powrócić mają "do dawnego blasku". Zapowiedziano wszczęcie nowego, dokładnego studium historii Niemiec, a "w szczególności Prus". To, że ma ono być przeprowadzone "w duchu lenino-stalinowskim", rozumie się, rzecz prosta, samo przez się.

*

Po podpisaniu, w Bonn i w Paryżu, układu generalnego i układu w sprawie armii europejskiej, rozpoczął się okres, poprzedzający ratyfikację i w tym okresie zapewne dyskusje dojdą do zenitu. Wedle przeważającej oceny, układy te, słabą większością będą ratyfikowane. Oznacza to wprawdzie, że kanclerz Adenauer znajdzie dla swej polityki wystarczające poparcie w parlamencie, ale nie oznacza wcale, że społeczeństwo zachodnio-niemieckie jest, jako całość, przekonane o jej słuszności. Innymi słowy, niewielka tylko zmiana w stosunku głosów wyborczych może przynieść zasadniczą zmianę stanowiska w polityce zagranicznej Niemiec, założywszy, że będą one miały w tej dziedzinie, stopniowo, coraz większą swobodę. Jeszcze inaczej: można się spodziewać, że obecny kurs będzie utrzymany tylko dopóty, dopóki zasadnicze decyzje w sprawie polityki zagranicznej pozostaną w ręku mocarstw, dziś okupujących Niemcy zachodnie, a które jutro — po ratyfikacji układów — pozostaną tutaj w dalszym ciągu, w nieco zmienionej roli. W myśl podpisanych już układów — ich wpływ na owe decyzje będzie jeszcze duży.

To znaczy, że jeszcze przez czas pewien rozmowy w sprawie losów sprawy niemieckiej w najbliższej przyszłości toczyć się będą nie tyle między Bonn i stolicami mocarstw, ale w gruncie rzeczy nadal między Zachodem i Moskwą. Podobno okres obecny ma zadecydować o tym, czy one nastąpią i w jakim się potoczą kierunku. Po obu stronach poczyniono już przygotowania do następnego "skoku" i teraz nastąpiła chwila ciszy, wypełnionej wyczekiwaniem. Ciszy — określenie to, zdawało by się, niezbyt pasuje do opisu sytuacji w Berlinie, od

którego zaczęliśmy ten list. Mimo to, nie wydaje mi się, aby owe "awantury berlińskie" przybrały w najbliższym czasie zbyt wielkie rozmiary. Są już pewne oznaki, że wszystko to jakby przycicha — aż do następnej okazji. Może więc będzie cisza, ale taka jak w baśni Andersena; cisza, "która w uszach dzwoni".

W tej ciszy odzywają się głosy, namawiające wszystkie mocarstwa okupacyjne do podjęcia "ryzyka", którym byłoby odbudowanie zjednoczonych Niemiec na warunkach większej swobody dyplomatycznego manewru. Do głosów, o których już wspomniałem, warto by jeszcze dodać ciekawy artykuł, jaki niedawno się ukazał w hanowerskim tygodniku "Der Spiegel". Artykuł pełen jest ostrych zarzutów pod adresem Waszyngtonu. Oto przykład: "Gdyby chciano z nas zrobić małego lądowego żołnierzyka Ameryki pod francuską kuratelą, to nie byłoby lepszego sposobu jak posłanie nam MacCloy'a jako gubernatora..." "Przez ostatnie dwa lata nie prowadziliśmy polityki niemieckiej, lecz amerykańską...". Autor przestrzega przed "wpędzaniem SPD do taktycznego współdziałania z Sowietami". Przypomina, że wedle obliczeń rzeczoznawców, można by zwiększyć eksport o 20%, sprzedając więcej Wschodowi. Rosja — pisze — pragnie zjednoczenia Niemiec, bo to ułatwiło by jej w Europie prowadzenie "gry równowagi"; jest w tym wprawdzie pewne ryzyko dla Zachodu, jednak nie należy go się obawiać, gdyż nie jest ono groźne. Rosjanie mylą się w swych obliczeniach. I wreszcie sprawy wojskowe. Podobno gen. Eisenhower interesuje się teraz trochę mniej armią europejską, a więcej projektem armii koalicyjnej, wysuniętym przez gen. de Gaulle'a. W tej dziedzinie pozycje wyglądają tak: "Francja obawia się niemieckich dywizji i niemieckiej pracowitości w ogóle, Stany Zjednoczone obawiają się, aby niemieckie dywizje i niemiecka pracowitość nie były oddane na usługi Sowietom". Obawy zaś ze strony sowieckiej są przesadzone, w gruncie rzeczy, gdyż "w ciągu najbliższych 10 lat, armia nasza mogłaby być jedynie czynnikiem ładu; mogłaby nas bronić tylko przed Polakami i Czechami (!!), ale nie przed Sowietami", bo te obawiają się tylko ryzyka wielkiej wojny...



Obliczają, że w negatywnym swym stanowisku przeciwko podpisanym ostatnio układom, przywódca SPD dr Schumacher ma za sobą 2/3 społeczeństwa Niemiec zachodnich. Był on, widocznie, przekonany o tym poparciu, gdy mówił niedawno: "Kto daje swą zgodę na te układy, przestaje być — Niemcem". Dr Schumacher trwa od lat, niezmiennie, na tym sztywnym dość stanowisku. Czy zmieni zdanie, gdy partia jego dojdzie do władzy? Mimowoli przychodzi na myśl to, co powiedział p. Churchill, gdy niedawno, w Izbie Gmin, zarzucono mu, że zmienił swe poglądy w jakiejś ważnej sprawie. Odpowiedział:

na to: "Moje poglądy stanowią proces harmonijny dzięki czemu są w stałej styczności z aktualnym przebiegiem wydarzeń". Oczywiście, sposób patrzenia każdego z tych polityków świadczy o olbrzymiej różnicy w psychologii dwóch ludzi, a może i dwóch narodów. Która z tych podstaw jest słuszniejsza, skuteczniejsza, lepsza? Ktoś, opierając się na dziejach Europy w ciągu ostatnich kilkunastu lat, mógłby powiedzieć, nie bez melancholii, że żadna z nich nie zabezpiecza przed pomyłkami.

Jerzy **PRĄDZYŃSKI.**

Kronika angielska

25% na administrację

Władze Skarbu Narodowego ogłosiły cztery dokumenty: 1) Sprawozdanie z działalności Skarbu Nar. w roku 1951, 2) Bilans Skarbu Nar. na 31 grudnia 1951, 3) Wyciąg z protokołu posiedzenia Głównej Komisji Rewizyjnej Skarbu Nar., 4) Oświadczenie prezesa Najwyższej Izby Kontroli.

Jak wynika z ogłoszonych świeżo zestawień rachunkowych, wydatki administracyjne Skarbu Nar. wyniosły w r. 1951 — £ 5,111:8:11. W tym samym okresie wpływy wyniosły £ 22,851:7:7.

Z powyższego należy wnioskować, że jedną czwartą wpływów pochłonęły koszta administracyjne.

Najpoważniejsza pozycja w wydatkach administracyjnych sformułowana jest następująco:

> "Wydatki administracyjne bieżące: Główna Komisja i Komisje terytorialne . . . . . £ 3,783:18:5.

Należy zaznaczyć, że wydatki na druk legitymacyj i znaczków Skarbu Nar., na organizację Skarbu Nar. i jego placówek, na druk plakatów, afiszy i ulotek, na publikacje Skarbu Nar. i koszty ekspedycji, na ogłoszenia i inne wydatki, na wydatki na organizację komisji terytorialnych — podane są osobno i nie są objęte cytowaną kwotą £ 3,783:18:5.

Na jakie więc, jeszcze inne, wydatki administracyjne Główna Komisja i komisje terytorialne wydały niemal 4 tysiące funtów? W myśl dekretu Prezydenta, członkowie władz Skarbu Nar. nie mogą pobierać za swe prace żadnego wynagrodzenia, ale być może, że komisja zatrudnia 15 sekretarek z płacą £ 250 rocznie. Tak czy owak, faktem jest, że instytucja publiczna, której władze statutowo pracują bezpłatnie, a która, mimo to, wydaje 25% dochodów na administrację — zarządzana jest bezprzykładnie kosztownie. Jestem niemal pewien, że gdyby Skarbem Nar. zarządzała którakolwiek z angielskich firm adwokackich, kosztowałoby to nas taniej.

Dekret Prezydenta powinien być znowelizowany w tym sensie, by ustawowo ograniczał górną granicę procentu dochodów Skarbu Nar., który wolno wydawać na cele administracji Skarbem. Taka klauzula hamowałaby "radosną twórczość" w postaci konkursów na odznakę Skarbu Nar. itp. Dopóki nie ma takiej klauzuli nie można wykluczyć,

że za rok wydawać będziemy 40% dochodów Skarbu na skarbową administrację.

Mitologia zgody

W patetycznych frazesach polityków obozu rządowego, w łzawych przemówieniach, wszelkiego typu i kalibru, działaczy społecznych, w pompatycznej nudzie rocznicowych akademii, w dziesiątkach propagandowych artykułów — zagubiono doszczętnie sens tzw. "jedności narodowej". Osiągnięto ideał powszechnej dezorientacji co stwarza znakomitą koniunkturę do utrwalania w masach mitu... "że, my chcieliśmy zgody, ale..."

W londyńskim "Dzienniku Polskim" ukazała się seria listów czytelników, które dokumentalnie ilustrują stopień osiągniętej ignorancji. Nikt już nie wie o co chodzi — kto z kim i przeciwko komu, ale wszyscy są znużeni obecnym stanem rzeczy. Są tacy co nawołują w swych listach do utworzenia jednej partii (!) — drudzy sądzą, że źródłem wszelkiego zła jest partyjnictwo, wobec czego propagują "bezpartyjne" popieranie rządu, a inni (jak np. p. Karol Zbyszewski) obecny trójrozłam emigracji uważają za ideał i dowód naszego geniuszu politycznego.

Rząd polski w Londynie, zamiast rozpisywać konkursy na afisze i odznaki, powinien opracować i wydać udokumentowaną broszurę przedstawiając obiektywnie dzieje obu misji zjednoczeniowych. Obowiązkiem rządu jest informować społeczeństwo emigracyjne, a nie tylko je "propagandować" i karmić sloganami.

Zamiast informacji słyszymy ciągle nabożne wzdychania o zgodę. I to jest właśnie typ propagandy, który dezorientuje społeczeństwo emigracyjne. Nie chodzi bowiem o to, byśmy byli baranio zgodni — ani, tym mniej, nie chodzi o to, by nasi przywódcy stali się pewnego dnia wyznawcami zgodnie wysmażonej doktryny politycznej. Nie chodzi o to, by p. Ciołkosz zgadzał się na wszystko co mówi p. Bielecki — a p. Bielecki zgadywał myśli p. Hryniewskiego. Chodzi natomiast o to, by stworzyć tego rodzaju układ, by ci panowie — o całkowicie politycznie różnych poglądach — mogli na pewnym określonym polu działania współpracować z sobą dla określonego celu. Układ umożliwiający tego rodzaju współpracę nazywamy ustrojem demokratycznym.

Nie należy zatem sentymentalizować na temat zgody, lecz trzeba zadać pytanie, dlaczego na emigracji nie ma politycznej współpracy? Do współpracy nie potrzeba zgody, trzeba natomiast uznania zasady, że mniejszość musi się poddać woli większości. Jeżeli więc grzebiemy się ustawicznie w ustalaniu, kto ponosi winę za stan obecnego rozbicia na emigracji, to wszelkie rozważania na ten temat trzeba zacząć od rozpoznania, która ze stron reprezentuje większość? Czy większość reprezentuje Liga Niepodległości i afiliowane do niej fragmenty stronnictw — czy też większość reprezentują stronnictwa opozycyjne?

Powyższy obraz jest zaciemniany rolą i "statutem" owych po-rozłamowych stronnictw, które wchodzą w skład tak jednego jak i drugiego obozu. Punktem spornym bywają również ugrupowania polityczne, które powstały na emigracji.

Proponuję przeto, by dla jasności naszych rozważań skreślić z tabeli wszystkie wątpliwe i sporne pozycje. A więc zarówno po-rozłamowe fragmentaryczne stronnictwa jak i ugrupowania, które powstały na obczyźnie. Polityczny układ sił na emigracji zredukujmy do skali przedwojennej i oprzyjmy się na czystym legaliźmie z daty 1 wrzesień 1939 r.

Redukując układ sił do skali przed-wrześniowej — nie biorąc pod uwagę po-rozłamowych stronnictw ani ugrupowań, które powstały na emigracji — będziemy mieli po jednej stronie przedwojenny obóz rządowy tj. Ligę Niepodległości — a po drugiej stronie dwa przedwojenne historyczne stronnictwa, a mianowicie PPS i Stron. Narodowe. Wystarczy zatem umieć liczyć do trzech, by móc obiektywnie ustalić po której stronie jest większość.

Spotyka nas często zarzut, że zwalczamy piłsudczyków. Otóż przy tej okazji pragniemy stwierdzić, że nie zwalczamy ani piłsudczyków, ani Ligi Niepodległości. Uważamy natomiast, że Liga Niepodległości jest w gruncie rzeczy takim samym ugrupowaniem politycznym jak PPS czy Stron. Narodowe i nie ma żadnego tytułu do specjalnego statutu czy przywileju.

Publicyści pro-rządowi dzielą prasę niepodległościową na prasę partyjną (endecką, nidową, socjalistyczną) oraz na prasę legalistyczną. "Orzeł Biały" pisze zawsze, że stronnictwa opozycyjne "zwalczają legalny rząd polski".

Źródłem takiej postawy piłsudczyków jest głęboko zakorzenione przekonanie, że wszelka opozycja jest, w gruncie rzeczy, nielegalna i w konsekwencji wszelka krytyka jest walką (nielegalną) przeciwko legalnemu rządowi.

PPS, czy Stron. Narodowe to jest owe zgubne "partyjnictwo", natomiast Liga Niepodległości nie ma oczywiście nic wspólnego z partyjnictwem i stoi wyniośle ponad tym wszystkim. Legalna władza zdeponowana jest wyłącznie w rękach Ligi Niepodległości. Wszystko co dzieje się poza — jest nielegalne.

Nie mamy nic przeciwko piłsudczykom. Sądzimy jednak, że Liga Niepodległości nie ma żadnego tytułu do odgrywania w polskim życiu politycznym roli nadrzędnej. Piłsudczycy winni zgrupować się we własnej partii politycznej i współpracować, na zasadzie równości, z innymi niepodległościowymi polskimi partiami politycznymi, zgodnie z demokratycznymi regułami gry.

Wśród piłsudczyków jest zbyt wielu doświadczonych polityków, by można było przyjąć tezę, że kierownictwo Ligi Niepodległości łudzi się, iż kiedyś, w uwolnionej Polsce, piłsudczycy obejmą władzę spychając opozycję poza margines legalizmu. Dlatego wydaje się nam, że jeżeli piłsudczycy nie zdołają obecnie udemokratyzować swojej ideologii i swoich metod politycznych, zejdą do historycznego grobu bezpotomnie.

Królewska wizyta

Prasa emigracyjna nie przyniosła żadnych komentarzy na temat wymiany wizyt pomiędzy królem Michałem rumuńskim a Prezydentem R. P.

Cat-Mackiewicz, który jest bezspornie naszym największym autorytetem w sprawach monarchicznych zaznaczył — w swej korespondencji w detroickim "Dzienniku Polskim" — że w śniadaniu, wydanym przez Prezydenta na 43, Eaton Place w Londynie, obok rumuńskiej pary królewskiej, wziął również udział gen. Anders, albowiem królowa Anna wyraziła życzenie poznania Generała.

Co najdziwniejsze Cat-Mackiewicz oskarża min. spraw zagranicznych p. Sokołowskiego o to, że "dąży do pomniejszenia tego faktu, do jego ukrycia, do jego zatuszowania"...

Obawiać się należy, że w tym wypadku nie ma czego ukrywać, ani pomniejszać, ani nawet tuszować. Nie podzielamy optymizmu p. Mackiewicza, który zdaje się sugerować, że w czasie tych wizyt mówiono o rzeczach istotnie poważnych.

LONDYŃCZYK.

Kronika niemiecka

Fragmenty gry

Sowiecka agencja TASS zdementowała "wiadomość" o rzekomym wywiadzie, udzielonym przez Stalina przedstawicielowi warszawskiej PAP i przedstawicielowi nieistniejącego "Kuriera Warszawskiego" w sprawie granicy polsko-niemieckiej. W wywiadzie tym miał Stalin dać do zrozumienia, że istnieją pewne możliwości dyskusji na ten temat. Ta rzekoma wiadomość, rozprzestrzeniona zresztą przez niektóre agencje prasowe, była podana przez pismo "Der Schlesier", organ zorganizowanych kół niemieckich spośród wysiedlonych ze Śląska po wojnie. Rzekomy wywiad był wyssany z palca i okazał się jednym z licznych ostatnio balonów próbnych, puszczanych z rozmaitych stron, w prasie niemieckiej. Przy tym wzmianka o "Kurierze Warszawskim", który przestał wychodzić w 1939 r. wskazuje na dyletancki charakter tej roboty.

Bardziej interesujący jest może komentarz, jaki się ukazał w urzędowym sowieckim dzienniku "Tägliche Rundschau", wychodzącym we wschodnim Berlinie w drugą rocznicę podpisania przez przedstawicieli rządu warszawskiego i rządu wschodnio-niemieckiego oświadczenia o wyznaczeniu "ustalonej i istniejącej niemiecko-polskiej granicy państwowej", a w miesiąc po tym, układu zgorzeleckiego. Autor tego komentarza, podpisany inicjałami W. M., po przypomnieniu okoliczności, jakie towarzyszyły podpisaniu oświadczenia i stwierdzeniu, że było ono "potężnym ciosem dla podżegaczy wojennych", pisze m. in. co następuje:

"Jest jednak jasne, że wyznaczenie niemiecko-polskiej granicy państwowej nastąpiło na podstawie ustalenia, już w Jałcie i w Poczdamie, granicy między Polską i Niemcami. Wspomina się też o tym w oświadczeniu o wyznaczeniu ustalonej i istniejącej, tj. istniejącej od czasu Poczdamu, granicy państwowej.

"Nie może ulegać żadnej wątpliwości, że rząd ogólno-niemiecki, który stworzony będzie na podstawie propozycji Związku Sowieckiego, może tylko z zadowoleniem przyjąć i potwierdzić taki układ, jakim jest układ o wyznaczeniu istniejącej i ustalonej niemiecko-polskiej granicy na Odrze i Nysie, gdyż był on, zgodnie z układami poczdamskimi, zawarty w interesie pokoju, dobrosąsiedzkich i przyjaznych stosunków z Rzeczpospolitą Polską, a więc również w interesie szczęśliwego i pokojowego rozwoju narodu niemieckiego".

Analiza tekstu tego bardzo ostrożnie sformułowanego komentarza może prowadzić do wniosku, że jest on w pewnym związku z grą dyplomatyczną, prowadzoną obecnie przez Moskwę. W nocie z 10 maja 1952, wystosowanej do mocarstw zachodnich, rząd sowiecki wyraża przekonanie, iż rządy te, podobnie jak on sam, "będą się kierowały postanowieniami układu poczdamskiego, zwłaszcza w sprawie granic Niemiec". Z drugiej jednak strony, w tejże samej nocie, rząd sowiecki "wychodzi z założenia, iż żaden odrębny układ, zawarty przez jedną i drugą część Niemiec z rządami innych państw, nie może nakładać jakichkolwiek zobowiązań na rząd całych Niemiec. "W tym sformułowaniu niektórzy widzą otwarcie przez Sowiety pewnych możliwości wszczęcia dyskusji na temat ważności układu zgorzeleckiego w chwili, gdyby powstał rząd ogólno-niemiecki.

Gdyby tak było, to w zestawieniu z całością sytuacji i faktami, należałoby potraktować owe redakcyjne subtelności jako fragment "wojny nerwów", prowadzonej na wszystkich odcinkach. Fakty, a wśród nich, na jednym z pierwszych miejsc, intensyfikacja zasiedlenia ziem nadodrzańskich w ostatnich miesiącach świadczyłyby o tym, że Warszawa, przy aprobacie Moskwy, idzie w kierunku dalszego

utrwalenia obecnego stanu rzeczy. Gra dyplomatyczna, polegająca na wywołaniu w Niemczech wrażenia, iż Związek Sowiecki dąży do zjednoczenia Niemiec i obdarzenia ich rządem w pełni suwerennym, który będzie miał możność ponownego puszczenia w ruch "wahadła niemieckiego" między Zachodem i Wschodem, jest dość przejrzysta i toczy się niejako w innej płaszczyźnie, aniżeli rzeczywiste procesy, odbywające się w opanowanej przez Rosję części Europy. Jakkolwiek są w Niemczech zachodnich, i to w bardzo różnych środowiskach, ludzie, którzy usiłują widzieć w propagandowych wystąpieniach sowieckich pewne możliwości na najbliższą przyszłość, to przecież przykład t.zw. krajów satelickich, włącznie z "Niemiecką Republiką Demokratyczną" powinien im uprzytomnić jakiego to rodzaju "suwerenności" mogą oczekiwać od Moskwy. Jak to już wielokrotnie stwierdzano, w ostatnich czasach, w prasie zachodnio-niemieckiej, "granice manewru" dyplomatycznego dla Niemiec są w rzeczywistości dość szczupłe, szczuplejsze niż by się to mogło wydawać z lektury not dyplomatycznych: Toteż powrót do dawnej "Realpolitik" w myśleniu politycznym mógłby się pewnego dnia okazać powrotem do niebezpiecznych złudzeń, z których nic dobrego dla narodu niemieckiego nie wynikło. Toteż dobrze czynią ci, którzy przestrzegają przed braniem zbyt na serio "złotych gór", stawianych im przed oczyma wyobraźni w ostatnich notach Moskwy, w związku z obiecywanym przez Sowiety utworzeniem "demokratycznego i suwerennego" rządu ogólno-niemieckiego.

"Polityką realną" dzisiaj natomiast byłoby zachowanie jak największej ostrożności wobec syrenich głosów ze wschodu a jednocześnie pamięć o tym, że nie wizja nowych wysiedlań, ale pokojowe i zgodne współżycie z sąsiadami z zachodu i ze wschodu może zapewnić narodowi niemieckiemu, w ramach wolnej Europy, szczęśliwość i odbudowanie zaufania, w przyszłości. Było poważnym błędem ze strony mocarstw anglosaskich, że w "grze o niemiecką duszę", jaką narzuciła im przemyślna polityka Moskwy, unikały wyjaśnienia swego stanowiska dyplomatycznego w sprawach, w których same stworzyły nieodwołalne fakty. "Realna polityka" polega między innymi na odróżnianiu faktów od gry.

◆

Placówkę "Książki i Wiedzy" w Lipsku zlikwidowano w kwietniu 1952 r. Nie oznacza to jednak, że wszystkie książki drukuje się w Kraju. Po zlikwidowaniu placówki lipskiej, druk polskich książek — na większą skalę — rozpoczęto w Pradze. Dotychczas drukowano w Pradze nie dużo, przeważnie książki dla dzieci.

◆

Tak samo zlikwidowano w Lipsku szkołę poligraficzną wydawnictwa "RSW Prasa" z Warszawy. Szkoła ta została założona w lecie 1948 r. i, przeciętnie, kształciło się w niej około 30 uczniów we wszystkich działach sztuki poligraficznej. Szkołę zlikwidowano na polecenie KO partii, a ostatnią grupę cofnięto dosłownie z dworca warszawskiego, na kilka minut przed wyjazdem pociągu. Przyczyna... obawiano się, że za wielu z nich skorzysta z dość wygodnej drogi do wolności.

◆

W ostatnim roku zatrudniono w "polskiej misji wojskowej" w Berlinie zachodnim (Schlütterstr. 42) wszystkie żony pracowników konsularnych z konsulatu polskiego w Berlinie wschodnim (Karlsplatz 1). Chodzi o to, aby zatuszować rzeczywistą liczbę pracowników misji. Żony pracowników konsularnych zostały zmuszone do tej pracy, mimo że niektóre z nich mają nawet troje drobnych dzieci w domu.

BERLIŃCZYK.

Kronika ukraińska

Sprawa ukraińska

Pro domo sua

W naszej przedwojennej pracy publicystycznej łączyliśmy ideały mocarstwowej Polski z romantycznym hasłem wolności ludów. Symbol trójjedynej, unowocześniony na wzór szwajcarski lub brytyjsko-dominialny, obejmujący Polskę, Ukrainę, Litwę i Białoruś, wydawał się najwłaściwszym ratunkiem przed naporem dwóch młyńskich kamieni — niemieckiego i rosyjskiego — nieustannie grożących zgnieceniem małej etnograficznej Polski.

Wierzyliśmy, iż w warunkach rosnącej potęgi sąsiadów, przy rusofilizmie Francji i oddaleniu Anglosasów, tylko wielki "szaleńczy" w swym rozmachu aktywizm polityczny mógłby uchronić państwo przed pochłonięciem przez sąsiadów. Narastający, jak się nam wówczas zdawało, konflikt światowy, nadawał naszym tezom proukraińskim piętno aktualności i praktyczności. Jeszcze w atmosferze urzędowego optymizmu i wiary we własną potęgę, w połowie 1936 r. pisaliśmy:

> "Fakt gorączkowego zbrojenia się całego świata, wespół z faktem istnienia szeregu spornych kwestii... zwiastują zbliżanie się konfliktu zbrojnego, w którym Polska... nie będzie mogła nie wziąć udziału... Nie mamy czasu na zdobycze polonizacyjne. Minimalne sukcesy w tym kierunku, jakie nam mogą rokować krótkie lata niepewnego pokoju, nie zmienią na kresach układu sił na naszą korzyść, zmobilizują zaś element rusko-ukraiński przeciwko nam... Polityka pojednawcza jest jedyną polityką, jaką dyktują nam dzieje jagiellońskie, aktualne przesłanki naszej idei mocarstwowej, oraz perspektywy najbliższych przemian na horyzoncie politycznym. Albo staniemy się wielkim mocarstwem w środkowo-wschodniej Europie... albo podminowani od wewnątrz i nie zdolni do zwycięskiego reprezentowania odwiecznej polskiej "wolności dżumy" — rozpoczniemy ponownie wiek XVIII w Polsce".[1]

---

[1] W. Bączkowski, "Założenia wyjściowe" — "Biuletyn Polsko-Ukraiński" (BPU) z 12.7.1936 oraz "Grunwald czy Pilawce?", Warszawa 1938, str. 138-40.

Polityka pojednania zakładała uznanie Ukraińców jako na-odu odrębnego. Dyskusje prowadzone przez szereg lat na ten emat nie dawały pełnych wyników. Toteż chwytaliśmy się tak-ycznej formułki, mającej zbliżyć rozbieżne opinie. Pisaliśmy, ż:

"Na pytanie, czy naród ukraiński istnieje, odpowiadamy: gdyby nie stniał naród, lecz ukraińska masa etnograficzna, to należałoby jej omóc w osiągnięciu świadomości narodowej. Dlaczego i po co? Po o, by na Wschodzie nie mieć do czynienia z 90 milionami Wielkoru-ów plus 40 milionów "Małorusów".[2])

Na wiążący się z tym problem niepowodzenia wyprawy ki-owskiej odpowiadaliśmy, iż z jednej strony wpłynęła tu geo-rafia Ukrainy i jej gospodarcze znaczenie, zmuszające Mo-kwę do najwyższego wysiłku reokupacji tych terenów, z drugiej trony fatalna polityka i wpływy Polaków, głównie właścicieli iemskich na Ukrainie. Tłumaczyliśmy, iż:

"Wielka własność polska na Ukrainie prawobrzeżnej stanowiła około 0-40% całej prywatnej własności ziemi. Ta własność widziała rację 'olski na Wschodzie w restytucji za wszelką cenę polskiego stanu po-iadania. Armii polskiej i jej reprezentantom w owym czasie, gdy wa-unkiem zwycięstwa polskiego była "polityka wolności", narzucano nie-stannie i w opinii masy ukraińskiej przyklejano żółtą łatę kondotie-ów właścicieli majątków ziemskich".[3])

Cytowaliśmy z pamiętnika T. Hołówki "Przez dwa fronty" pisy rozmów w pałacu Potockich w Antoninach na temat yroków na chłopów i palonych chałup, powoływaliśmy się na nych świadków, jak np. księdza Mariana Tokarzewskiego "Straż Przednia"), podających fakty zaniku patriotyzmu pol-kiego u magnaterii na Ukrainie w owym czasie. Sumując na-ze wywody stwierdzaliśmy:

"Świetna propaganda rosyjsko-bolszewicka wykorzystywała refleksje hłopa ukraińskiego i rzucała je na wspaniały plakat o "awanturniczej yprawie potomka magnatów J. Piłsudskiego na Ukrainę dla przywró-enia władzy panów". Propaganda ta trafiła na złotą żyłę odczucia asy ukraińskiej i w dobie wyprawy kijowskiej zneutralizowała wol-ściowe, petlurowskie, propolskie nastroje... Sparaliżowała insurekcję kraińską na tyłach armii czerwonej i organizacji armii ukraińskiej arzuciła żółwie tempo... Błędna, od wieków egoistyczna polityka iden-fikowania racji Rzeczypospolitej Polskiej z materialną i materialis-czną racją polskiego stanu posiadania na Wschodzie, legła przede szystkim u źródeł niepowodzenia wyprawy".[4])

Bliższe jednak były opinii polskiej sprawy stosunków pol-o-ukraińskich w granicach państwa. Codzienne nieporozu-ienia oraz gwałtowne wystąpienia podziemia ukraińskiego i ące w ślad za nimi represje władz przesłaniały nie tylko eę wyprawy kijowskiej, lecz i zasadniczą sprawę organiza-

---

2) W. Bączkowski, "Abecadło problemu polsko-ukraińskiego"—BPU, .6.1938.
3) "Grunwald czy Pilawce?", ibid., str. 201.
4) Ibid., str. 203.

cji Europy Wschodniej w interesie obu narodów. Broniliśmy się przed uleganiem atmosferze wewnętrznego napięcia i na pierwsze miejsce wysuwaliśmy międzynarodowy aspekt stosunków polsko-ukraińskich. Propagowaliśmy tezę Leona Wasilewskiego, iż nie Lwów i Warszawa, lecz Warszawa i niepodległy Kijów są w stanie uregulować istniejące spory:

"Problem walki polsko-ukraińskiej — pisaliśmy — istnieje jako realność namacalna i codziennie doświadczalna... Czy istnienie tej walki nie przekreśla wymowy politycznej naszych tez i twierdzeń? Nim odpowiemy na to pytanie, musimy uświadomić sobie następujące prawdy: a) Teren walki polsko-ukraińskiej obejmuje plus minus 16-17% masy ukraińskiej; b) Główny ciężar ukraińskiej walki niepodległościowej w ogóle znajduje się za Zbruczem; c) Kierunek organicznej ekspansji ukraińskiej jest kierunkiem wschodnim. Wobec Zachodu Ukraińcy są w defensywie... Obrona Kresów przed (samodzielną) 35-milionową, skłóconą z Rosją o Donbas i dostęp do Czarnego morza, Ukrainą, będzie rzeczą łatwiejszą niżeli przed wielką Rosją. Łatwiejszą o tyle, o ile ukraińskie możliwości agresji (miarkowane możliwościami polsko-moskiewskiej współpracy przeciwko Ukrainie) mniejsze są od możliwości rosyjskich... Istnienie walki polsko-ukraińskiej na Kresach nie przekreśla więc politycznej wymowy naszych tez".[5])

◆

Poglądy nasze propagowaliśmy na łamach tygodnika "Biuletyn Polsko-Ukraiński", miesięcznika "Problemy Europy Wschodniej", kwartalnik "Wschód", dwutygodnika "Myśl Polska". Na szerokiej płaszczyźnie zagadnień ogólno-polskich i międzynarodowych te same idee głosiły "Bunt Młodych" oraz "Polityka", wydawane i redagowane przez Jerzego W. Giedroycia [6]). Wymienione wydawnictwa od czasu do czasu poświęcały sprawom wschodnio-polskim specjalne książki. Np. "Polityka" wydała duży tom "Problem polsko-ukraiński w Ziemi Czerwieńskiej" A. Bocheńskiego, S. Łosia i W. Bączkowskiego; "Wschód" — studium M. Kowalewskiego "Polityka narodowościowa na Ukrainie Sowieckiej" w języku ukraińskim; "Biuletyn Polsko-Ukraiński" — studium P. Zajcewa "Szewczenko i Polacy"; "Myśl Polska" — W. Bączkowskiego "Grunwald czy Pilawce?" oraz "W obliczu wydarzeń", itd.

◆

Na samym początku obóz piłsudczyków był dla nas tym[...] piecem, od którego uczyliśmy się stawiać pierwsze kroki. Wśró[d] piłsudczyków było kilku doskonałych znawców zagadnień na[...]rodowościowych i wschodnich i z ich inicjatywy powstały p[...]

---

5) Ibid., str. 202-3.

6) "Biuletyn Polsko-Ukraiński", tygodnik, Warszawa 1932-38. Uka[...]zało się około 290 numerów, objętości około 3.000 stron; "Problem[y] Europy Wschodniej", miesięcznik, Warszawa, styczeń-wrzesień 193[...] Ukazało się 6 małych tomów. "Wschód", kwartalnik, Warszawa, 193[...]39. 7 tomów, około 2.000 stron. "Myśl Polska", dwutygodnik, Warsz[a]wa, 1936-39, 4 tomy. "Bunt Młodych", dwutygodnik, Warszaw[a] 1929-1937, w marcu 1937 roku przekształcony na tygodnik "Polityka". Ukazywał się do ostatnich dni sierpnia 1939. Ogólna ilość numerów 20[...]

926 roku trzy instytuty, zajmujące się badaniami narodowościowymi Polski i Europy Wschodniej. W ścisłym tego słowa znaczeniu sprawami narodowościowymi opiekował się Instytut Spraw Narodowościowych w Warszawie, wydający dwumiesięcznik "Sprawy Narodowościowe" pod redakcją sekretaza generalnego Instytutu Stanisława J. Paprockiego. Instytut Wschodni w Warszawie pod przewodnictwem senatora S. Siedleckiego i pod koniec swego istnienia — Jana Kucharzewkiego, specjalizował się w zagadnieniach ludów Rosji i w prawach Azji w ogóle; wileński Instytut Badań Europy Wschodniej główną uwagę poświęcał wszechstronnym studiom Sowietów, ludom tureckim, kresom północno-wschodnim oraz państwom bałtyckim. W roku 1930 powstał państwowy Ukraiński Instytut Naukowy w Warszawie, stając się wkrótce poważną placówką badawczą i wydawniczą. Między innymi Instytut en wydał najnowocześniejszą bodaj Historię Ukrainy prof. Dorcszenki oraz podjął wydawnictwo najpełniejszego zbioru dzieł T. Szewczenki. Do chwili wybuchu wojny ukazało się 15 zy też 16 tomów tego zbioru. Zebrane publikacje wszystkich ych instytutów złożyłyby się na pokaźną specjalną bibliotekę.

Nie tylko w kołach obozu piłsudczyków i wśród specjalistów grupowanych wokół tych instytutów znajdowaliśmy przyjaiół lub bardzo rozumnych krytyków. Mieliśmy ich i po drugiej tronie barykady ideologicznej, wśród młodszych przedstawiieli narodowej demokracji. K. S. Frycz z "Myśli Narodowej" raz W. Wasiutyński zdradzali duże zrozumienie dla naszego odejścia do sprawy ukraińskiej i wschodniej. Pierwszy napisał łębokie studium o analogiach w odrodzeniu narodów węgierkiego i ukraińskiego. Mur, jaki — zdawało się — przedzielał nas d "Prosto z mostu" zniżał się nieustannie. "Kuźnica" czy wiieński "Pax", "Zet" czy młodziutka "Polska Chrobra" i wiee innych grup w mniejszym czy większym stopniu solidaryowały się z nami. Od czasu do czasu nawet w puszczy wielich żubrów odzywały się głosy walnie nas wspierające. Gdy enerał Denikin na łamach rosyjskiego dziennika w Paryu "Poslednije Nowosti" napisał, iż na Kresach Wschodnich amieszkuje nie mniej nie więcej jak tylko 6.380.000 "Rusich", oburzony Bolesław Koskowski pouczał rosyjskiego generała na łamach "Kuriera Warszawskiego" (Nr 69 z 1937 r.), "naród ukraiński nie jest produktem sztucznym". Wypoiadał się interesująco A. Nowaczyński, sędziwy "Tygodnik ustrowany" zamieścił doskonały artykuł A. Kawałkowskieo na nasze tematy. Właściwie bardzo nieliczne grono spoód wybitniejszych publicystów i działaczy polskich odnosiło ę do nas całkowicie negatywnie. Do zupełnie głuchych na asze idee zawsze należał Jędrzej Giertych, zagadką pozoał Władysław Studnicki. Pomimo ostrej postawy antyrosyjiej zdradzał on wybitną niechęć do Ukraińców. Nie wzruszago uderzające analogie, zachodzące między jego "Sprawą lską" z 1910 roku a "Pidstawamy naszoi połytyki" Dymitra

Doncowa z 1921 roku. I Giertych i Studnicki stali na antypodach politycznych, lecz łączył ich wspólny charakter "ludzi jednej idei".

Opinie nasze powoli zdobywały młodszą inteligencję, a zwłaszcza jej elitę intelektualną, lecz coraz niechętniej traktował nas aparat państwowy, inspirowany głównie przez żywioły kresowe — przede wszystkim z Ziemi Czerwieńskiej. Fatalne zmiany na stanowiskach państwowych przyśpieszały ten proces. Wydział Narodowościowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych po odejściu Henryka Suchenka-Sucheckiego, zamienił się w dużym stopniu w przybudówkę Bezpieczeństwa. Fotel po T. Hołówce, E. Raczyńskim i T. Schaetzlu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych zajął zawodowy urzędnik. Ministerstwo Oświaty opuścił A. Kawałkowski, z Wołynia wyszczuto H. Józefskiego, tolerowano jeno dyspozycyjnych wojewodów, nadsłuchujących pilnie nastrojów miejscowych polskich nacjonalistów i pilnujących telefonu z Warszawy. Wielu b. żołnierzy wielkiej idei osiadało na chlebie dobrze zasłużonych, niejeden z dawnych szermierzy koncepcji 1920 roku "robił" w szlachcie zagrodowej, klecił narodek huculski, produkował "tutejszych" na Polesiu, tworzył policyjny paszałyk brzeski, nasadzał małe powiatowe laski potiemkinowskie. Iluż popełniło samobójstwo moralne, przechodząc do szeregów jawnego lub tajnego frontu ludowego, jak Wincenty Rzymowski, autor wspaniałej książki "W walce i burzy — Tadeusz Hołówko na tle epoki" (Warszawa, 1933). Na najognistszego patriotę i obrońcę "Małopolski sprzedawanej Rusinom przez Warszawę" urósł gen. Paszkiewicz w Tarnopolu, organizator bojówki dla walki ze zwolennikami zgody narodowościowej w Polsce, typ rodzimego hajdamaki, uzbrojonego w autorytet państwa.

Z coraz większym trudem znajdowaliśmy przychylne ucho u władz wyższych. Trzymaliśmy się w dużym stopniu rozpędem pierwszych lat, legendą tajemniczego poparcia. Z końcem r. 1938 musieliśmy zawiesić wydawnictwo tygodnika "Biuletyn Polsko-Ukraiński" i na jego miejsce założyć miesięcznik "Problemy Europy Wschodniej" nadając mu mniej polityczny i bardziej naukowy charakter. Przerażająco kurczyły się wpływy obrońców naszej pracy. ("Bunt Młodych" potem "Polityka" stają się jednym z najczęściej skonfiskowanych periodyków). Trawił ich paraliż woli, pacyfizm polityczny, anemiczna uczciwość. Gwałtowna śmierć od samego początku zabierała najlepszych. W 1931 roku sowiecka agentura w organizacji nacjonalistów ukraińskich wykonała wyrok na Tadeuszu Hołówce. W niejasnych okolicznościach, w pełni zdrowia, w grudniu 1935 roku, zmarł Leon Wasilewski. Na dwa miesiące przed zgonem zdążył wydać testamentarną broszurę: "O drogę do socjalizmu i pokoju". "Imperializm Rosji Sowieckiej — pisał w niej — odziedziczony po caracie stanowi jedno z najgroźniejszych źródeł możliwości zatargów wojennych", podkreślał okrucieństwo sowieckich obozów pra-

cy przymusowej, dzieła Lenina i Stalina porównywał z "Mein Kampf". Wkrótce po próbach zbliżenia z Ukraińcami zamordowany został minister spraw wewnętrznych, Pieracki. W codziennej praktyce politycznej zwyciężała zasada "im gorzej, tym lepiej". Podtrzymywało ją nie tylko podziemie ukraińskie, lecz i skrajny nacjonalizm polski, wspierał podsycany przez hitleryzm coraz aktywniejszy antysemityzm, oraz żywiony strachem przed Niemcami prosowietyzm żydowski, wzmagała się powszechna ksenofobia: nie tylko przeciwko Niemcom i Rosji, lecz i Litwie i Czechom i wszystkim w czambuł mniejszościom. Osamotniona Polska niepostrzeżenie podejmowała wojnę przeciwko wszystkim. Prym w tej wojnie prowadziły Kresy, jej głównym ogniskiem była sprawa ukraińska. Fatalnemu biegowi spraw wewnątrz Państwa towarzyszył narastający kryzys w całym świecie. Zbliżał się wybuch wojny światowej.

Ukraina w dziejach Polski

W gmachu państwa polskiego, poczynając od 14-15 stulecia, zagadnienie Litwy, Rusi i Ukrainy było zawsze zwornikiem głównego i najwyższego sklepienia. Jedna jego ściana wyrastała z podglebia polityki ruskiej Kazimierza Wielkiego i szła w górę, ku szczytom unii horodelskiej i lubelskiej. Druga ściana, od początku 16 wieku schodziła powoli w dół i w linii nieomal prostopadłej spadała gwałtownie od Chmielnickiego i pierwszej próby podziału Polski za potopu szwedzkiego.

Zwycięska walka z niemczyzną opierała się o to sklepienie. Grunwald, który w swych skutkach stabilizował od połowy 15 stulecia, na trzy i pół wieki naszą granicę zachodnią i stwarzał mocny punkt oparcia dla państwa na Zachodzie, tylko w części był dziełem Polaków. Walkę z niebezpieczeństwem Zakonu podjęło nie jedynie małe i odosobnione państwo polskie, lecz połączone państwa, Polska i Litwa. Pod nazwą Litwy krył się w tym czasie czynnik o wielkich możliwościach potencjalnych. Imperium Jagiełły i Witolda obejmowało olbrzymie terytoria i leżało w najważniejszym strategicznie obszarze Europy Wschodniej. Połączenie wysiłków polsko-litewskich dało nam nie tylko niezbędne dla zwycięstwa jazdę litewską, tatarską i twardych smoleńszczan, lecz może przede wszystkim najnowocześniejszą w owym czasie azjatycką szkołę sztuki wojennej.

Dziś może nam się wydawać, iż sprawy litewsko-ruskie nie wiele mają wspólnego z kozacko-ukraińskimi. Tak jednak nie jest. Pas ziem łączących morze Czarne z Bałtykiem jest rządzony naporem jednego zwartego mocarstwa Rosji i tylko punkt ciężkości tego obszaru przesuwał się stale w dziejach Kresów. Na początku leżał na północy. Litwa walcząca z naporem niemczyzny i granicząca z Moskwą i Tatarami była głównym ośrodkiem problemu. Z czasem punkt ciężkości przesunął się na południe i powstały dwa ośrodki: litewsko-bia-

łoruski i rusko-kozacki, przedzielone obszarem Polesia. Wreszcie w trzecim okresie powrócił, jak za Kazimierza Wielkiego, na Ruś-Ukrainę i pozostał tu aż do chwili narodzenia współczesnej sprawy ukraińskiej.

◆

Związek sprawy ukraińskiej z białoruską i litewską rzuca się w oczy i obecnie. Bez problemu Ukrainy zagadnienie Białorusi zredukowałoby się do poziomu sprawy Walii lub Szkocji w Anglii, napięcie zaś w sprawach polsko-litewskich straciłoby swoje ostrze.

Prymat spraw wschodnich nad zachodnimi, znamienny dla dziejów naszych od Krewa do rozbiorów, zaciążył również i nad naszym dwudziestoleciem. Upadek trzech zaborów stwarzał tylko przejściową koniunkturę. Idea rewanżu oraz podbojów nurtowała głęboko Niemcy i Rosję, lecz nie ze strony Niemiec, ale Rosji przyszedł zasadniczy atak na Polskę. Już w początkach 1919 r. czerwone oddziały okupowały Wilno i posunęły się dalej na zachód. Od południowego wschodu Sowiety zajmowały Ukrainę i sunęły ku linii Zbrucza; Białe armie traciły powoli grunt pod nogami, upadała zapora ukraińska zarówno na Wielkiej Ukrainie jak i w Galicji. Nastąpił moment rozpoczęcia właściwej walki o wolność. Po zajęciu Wilna w styczniu 1919 r. czerwone wojska napotkały na oddziały organizującego się wojska polskiego. Na drugim krańcu, na linii Zbrucza, stanęły również wojska Rzplitej. Ofensywa sowiecka została odrzucona i zastąpiona kontrofensywą polską. Zajęto Mińsk, Bobrujsk, Borysów, Wilno. Rydz-Śmigły zdobył Dynaburg i wsparł Łotyszów. Moskwa zażądała pokoju, by wygrać na czasie i zbudować silne armie uderzeniowe. Kuszący pokój zawarty w tym czasie byłby początkiem klęski. J. Piłsudski decyduje się na uprzedzenie przyszłej ofensywy sowieckiej oraz dąży do zabezpieczenia na przyszłość przez zorganizowanie polsko-litewsko-ukraińsko-białoruskiej federacji. Wyprawa kijowska jest tu tylko wykonawczym szczegółem, otwierającym duże szanse polityczne. Przyznają to nawet źródła sowieckie. Stenograficzne sprawozdanie z posiedzenia Centralnego Komitetu Wykonawczego Moskiewskiej Rady Delegatów Związków Zawodowych i Komitetów Fabrycznych z 5 maja 1920 roku zawiera przemówienie Sokolnikowa, dowódcy 8 armii, który — jak pisze T. Teslar — "chcąc wywołać nastrój antypolski... i podkreślić bezwzględność działań polskich, stwierdził, że Polska wiedziała co robi uprzedzając ofensywę rosyjską. Wypowiedział zaś to w następujących słowach":

"dlatego powiedziałem, towarzysze, że nie bez racji dowództwo polskie na nas napada i nie bez racji śpieszy zadać nam cios, zanim przerzucenie i uporządkowanie naszych armii osiągnie całkowity skutek".

Tłumacząc mowę Sokolnikowa, T. Teslar, określa ją jako przyznanie się sowieckie do znanego wywiadowi polskiemu fak-

tu przygotowań Moskwy do ataku na Polskę, uprzedzonych przez obronną ofensywę[7]).

Skutki wyprawy zadecydowały o przyszłości państwa. Wypad aż pod Kijów zdezorganizował bazę sowiecką i skurczył sowieckie możliwości ataku na Polskę. Historyk wyprawy, generał T. Kutrzeba, precyzuje, iż:

"Wojska polskie, zaangażowane na czas pewien na ukraińskim terenie operacyjnym, potrafiły na czas, w odpowiedniej sile i w dużej wartości stanąć do rozprawy rozstrzygającej się nad Wisłą. A zwycięskie dotąd na Ukrainie i Wołyniu armie sowieckie? Czy one wzięły i mogły wziąć udział w tej bitwie? Nie wzięły i nie mogły wziąć udziału we właściwym czasie. Ani XII armia sowiecka, ani szybka konna armia Budiennego w bitwie nad Wisłą udziału nie wzięły".[8])

"Cud nad Wisłą" był przygotowany pod Kijowem.

Niemcy w tym czasie budowały nadzieje na rewanż na potędze czerwonych armii, maszerujących po trupie Polski razem z armiami niemieckimi na Paryż.

Plany federacyjne nie powiodły się, lecz niepodległość została utrwalona z naddatkiem — przyczółkiem Ziem Wschodnich. W granicach państwa znalazło się około 4 milionów Ukraińców i ponad milion Białorusinów. W strategiczno-politycznym zasięgu Polski umacniały swą wolność państwa bałtyckie, Rumunia, nawet Czechosłowacja. Jest jasne, że bez zwycięstwa polskiego w r. 1920 — los ówczesnej Europy byłby podobny do Europy pojałtańskiej. Dziś już jest jałowym dociekaniem, co by było gdyby Polska, idąc w ślady federacyjnej koncepcji sowieckiej (nie jej praktyki) i wyprzedzając powstanie brytyjskiej wspólnoty ludów — przebudowała państwo na federację. Może przyłączyłaby się do niej Rumunia, Bałtyka, Finlandia, Czechy, Węgry, Bułgaria? Może dzieje 1939-1945 wyglądałyby inaczej?

◆

Nikłe, zawieszone w próżni widma Horodła, Lublina, nieskrystalizowane ciągoty do "braterstwa ludów" rychło się roztopiły w powietrzu. Odradzała się dawna, tak dobrze znana z XVI i XVII wieków rzeczywistość. Jak za owych lat popłynęły ze Wschodu pokorne skargi na krzywdy, rażąco przypominające ową, cześnika wołyńskiego Lawrentego Drewińskiego, złożoną przed Sejmem w r. 1623:

"Nie jest tajne — pisał w niej — wielmożności Waszej Przeoświeconej Jaśnie Wielmożny Senacie, to nieszczęsne od lat 20-tu ośmiu dla religii w narodzie naszym Ruskim powstałe rozróżnienie... Cierpimy wielkie praeiudicia, cierpimy okrutne oppresye, a ktoby nas w Ojczyźnie naszej ratował, nikt się znajdować nie chce. Wydarte nam prawa, wydarte swobody i wolność, każą nam służyć i ciałem i duszą

---

7) T. Teslar — "Propaganda bolszewicka podczas wojny polsko-rosyjskiej 1920 roku", Warszawa 1938, str. 105.
8) T. Kutrzeba — "Wyprawa kijowska 1920 roku". Warszawa 1937, str. 342.

ci, którzy do nas żadnego prawa, żadnej władzy nie mają... Dlatego z tąż naszą prośbą... pokornie a uniżenie prosimy communi legum sorti condescendować raczcie: nad prawo naszych swobód i wolności łamaniną ulitujcie się, rękę pomocy utrapionym dajcie".[9)]

I znowu jak za dawnych wieków zjawiają się głosy ostrzegawcze, jak ów zmarłego w 1616 roku Jana Szczęsnego Herburta z Ziemi Przemyskiej, gromiącego w swych wydawnictwach dobromilskich złe skutki polityki ruskiej. W "Zdaniu o Narodzie Ruskim" tego autora czytamy:

"A co jest przeszkodą do uspokojenia Moskwy? Jedno urażona wiara ruska. A co pomogło do pobicia Potockiego? Jedno taż niechęć Narodu Ruskiego ku narodowi naszemu. Siadło kilkadziesiąt tysięcy Rusnaków poborami wypędzonych około Egru i Solnoka, a czego się spodziewać od nich? Jedno, że łupiestwa łupiestwem oddać zechcą, naruszenie wiary swej naruszeniem worków, wozów, i dostatków naszych wetować zechcą. Ktokolwiek cnotliwy jest, ktokolwiek swobody i pokój Polski miłuje miałby do tego skłonić, żeby stare prawa i zwyczaje wcale zostawały".[10)]

◆

Pokorne, sentymentalne głosy Drewińskich i Herburtów tonęły coraz bardziej w napięciu uczuć budzonych przez propagandę i terror skrajnie nacjonalistycznych organizacyj ukraińskich. Sytuacja w pewnym stopniu przypominała w zmniejszeniu rok 1905 w zaborze rosyjskim. Polska walka niepodległościowa, jeszcze od powstań, podniecała Ukraińców do aktywizmu niepodległościowego. W latach 1920-39 historia akcji bojowej P.P.S. była popularną literaturą nacjonalistów. Między rewolucyjnym podziemiem polskim a ukraińskim zachodziły jednak duże różnice. Podziemie polskie sprzed pierwszej wojny światowej górowało techniką konspiracji i napięciem ideowym nad władzami bezpieczeństwa rosyjskiego. Było więc i mogło być suwerenne w swej pracy. Podziemie ukraińskie ukształtowało się w czasach, gdy dawni rewolucjoniści rosyjscy, zwycięzcy znakomitej ochrany i genialni praktycy sztuki przewrotu z łatwością przenikali do wnętrza ugrupowań rewolucyjnych i terrorystycznych nieomal w całym świecie. W pierwszym rzędzie interesowało ich podziemie ukraińskie w Polsce, mogące objąć swym zasięgiem, zwłaszcza przy pomocy polskiej, obszary Wielkiej Ukrainy. Celem i zadaniem inspiracji sowieckiej było więc skierowanie jego ostrza przeciwko Polsce i zniweczenie tym samym zarówno możliwości współpracy polsko-ukraińskiej, jak i uniemożliwienie przeniknięcia jego działalności na własny teren. Zadanie to nie było zbyt trudne, gdyż przez długi czas w społeczeństwie ukraińskim w Polsce pokutowała fałszywa wizja Ukrainy Sowieckiej, jako "bądź co bądź państwa ukraińskiego nad Dnieprem". Walkę z okupacyjnymi władzami Ukrainy uważano więc za niepotrzebną. Później twierdzono, że Ukraińcy nadnieprzańscy sami

9) "Z dziejów Ukrainy". Praca zbiorowa, Kijów 1912, str. 99.
10) ibid., str. 92.

walczą o wyzwolenie i nie powinno się im przeszkadzać. Stale i z naciskiem podkreślano, iż zadaniem Ukraińców na Zachodzie winna być walka z Polską i nie dopuszczenie do zgody z państwem na jakichkolwiek warunkach. Jeden z wodzów nacjonalizmu ukraińskiego w dyplomatycznej rozmowie z korespondentem londyńskiego "Times" w r. 1930 powiedział wyraźnie:

"Nie dążymy do pokoju. Jeśli byśmy pozwolili naszemu narodowi na przyjazną współpracę z Polakami, wyrzekłby się niezależnej Ukrainy, którą mamy nadzieję zbudować w czasie od 30-40 lat. Cokolwiek byłoby dla nas uczynione, ze wszystkiego musimy być niezadowoleni".[11)]

Oddziaływania sowieckie ułatwiło porozumienie Moskwy z Berlinem datujące się od umowy 1922 r. w Rapallo. Sens tego porozumienia w stosunkach polsko-ukraińskich polegał na tym, aby akcję nacjonalistów ukraińskich zamknąć w granicach Polski i nie dopuścić do jej rozszerzenia na terytorium Wielkiej Ukrainy. W dążeniu do tego celu nie przebierano w środkach. Morderstwo Tadeusza Hołówki, wielkiego zwolennika niepodległości Ukrainy, i obrońcy praw kulturalnego i niepodległościowego place d'arme ukraińskiego w Polsce — powzięte zostało z inicjatywy sowieckiej i technicznie wykonane przez centrum niemiecko-sowieckie, zajmujące się sprawami podziemia ukraińskiego w Polsce.

Nawet przy tego rodzaju układzie stosunków skrajni nacjonaliści mogli przegrać kampanię i zaniechać metod terroru, gdyby nie pomogła im bezradność polskiej polityki narodowościowej. Warszawa bardzo rzadko próbowała reagować na nielegalne akcje ukraińskie w sposób pozytywny i rozumny. Na przykład, po zabójstwie Hołówki dążono do rozładowania napięcia i podjęto propagandę na rzecz zgody w imię wspólnego interesu. Przeważnie jednak walczono metodami represji, stwarzając błędne koło bez wyjścia. Najjaskrawszym przykładem takiego zamkniętego koła była pacyfikacja 1930 roku, gdy w odpowiedzi na masowe przeciwpolskie wystąpienia sabotażowe w trzech województwach południowo-wschodnich — rząd odpowiedział represjami, używając do tego celu oddziałów wojskowych. Stosowano zasady zbiorowej odpowiedzialności, niszczono dobytek chłopski i instytucji ukraińskich, bito masowo mężczyzn. Pacyfikacja zahamowała wystąpienia przeciwpolskie, lecz potencjał wrogości do państwa u ludności ukraińskiej wzrósł wybitnie, możliwości konstruktywnej ugody zredukowały się w tym czasie praktycznie do zera, nadzieje na wspólne akcje przeciwkomunistyczne załamały się w dużym stopniu, petlurowcy skryli się pod ziemię, lub potajemnie wyrażali współczucie pod adresem nacjonalistów. Propaganda sowiecka i niemiecka rozwinęły niebywałą aktywność. Odwoływano się do opinii światowej za pośrednictwem bardzo silnych

---

11) Hugh P. Vowles, "Ukraine and Its People", London, May 1939, str. 153-4.

i emocjonalnych chwytów, wyzyskując w tym celu ukraińskie organizacje, rozrzucone po całym świecie. "Prowod ukraińskich nacjonalistiw" wydał grubą książkę w czarnej okładce pt. "Na wicznu hańbu Polszczy, twerdyni warwarstwa u Ewropi" (Praga 1931). Zawierała setki fotografii pobitych chłopów, poniszczonego dobytku, reprodukcje świadectw lekarskich, adresy, itd. Jej skrócona wersja ukazała się w języku francuskim "La plus sombre Pologne" (publié par le Comité des organisations ukrainiennes des Etats-Unis et du Canada, Lausanne 1931), angielskim "Polish Atrocities in Ukraine (New York, 1931) ,nieco później w niemieckim i... hiszpańskim. Nie zatarły się w pamięci wspomnienia pacyfikacji jak przyszły wypadki na Chełmszczyźnie, gdzie martwa zasada prawna odebrała miejscowej ludności prawosławnej około 250 cerkwi pounickich i pokatolickich, oddając je nieistniejącej w dostatecznej liczbie ludności katolickiej. Około połowy tych cerkwi stojących pustkami — rozwalono, czasami nawet przy pomocy dynamitu. Protesty metropolity Szeptyckiego zbyto milczeniem. O wspaniałym przykładzie miłości do inowierców biskupa pińskiego Łozińskiego, pozostawiające pokatolickie kościoły w rękach prawosławnych, aby nie pozbawiać ludności domów modlitwy, zapomniano.

Równolegle z wypadkami na Kresach i Ziemi Czerwieńskie rosły nastroje antysemickie oraz skrajnie nacjonalistyczne. W radykalnych odłamach obozu rządzącego następował podział na skrajną prawicę i zwolenników ludowego frontu. Jednocześnie z wewnętrzną dezintegracją budowano w pośpiechu fasady potęgi: piękne gmachy ministerialne, sypał się grad zarządzeń, niekiedy słusznych lecz spóźnionych, innym razem czysto porządkowych. Coraz mniej liczono na politykę i coraz więcej na policję. Wchodziliśmy w okres głębokiego napięcia i kryzysu. Myśl o katastrofie nurtowała coraz więcej umysły polskie. Punktem wyjścia tych przewidywań była jeszcze z lat 1918-21 pochodząca wizja odradzającej się Polski, która "albo będzie wielka, albo jej nie będzie wcale". Po śmierci Józefa Piłsudskiego zrozumiano, że ani za ówczesnego ani za najbliższego pokolenia Polska mocarstwem nie będzie. Wyzierała zewsząd małość patriotycznej tłuszczy, oraz niedorośnięcie do zadań okresu — elity. W magicznych słowach wiersza zamknął J. Łobodowski obraz tak dawnej i tak współczesnej Rzeczypospolitej "uczynków nie czynów", w której znowu się

> "uherbiony motłoch rozwielmożnił,
> gdy czekający jutra statyści ostrożni,
> czerep dudniący pustką, w gałęzie wawrzynu
> strojąc, na własne barki rwą królewski szkarłat".
>
> (Noc pod Cecorą).

Głęboko wnikliwy, o umyśle ostrym jak brzytwa, Adolf Bocheński, mówił do autora tych słów (w roku 1937?) o konieczności założenia pisma w Szwajcarii, nieskrępowanego w bici

na alarm. "W czarnych barwach widzę losy tej ziemi" podkreślił na kilka tygodni przed śmiercią (październik 1938?) arcybiskup Teodorowicz. Godził się razem z metropolitą Szeptyckim podpisać zbiorowy list pasterski do wiernych Ziemi Czerwieńskiej, nawołujący do zgody w obliczu groźby bezbożnego mocarstwa, znajdującego się o miedzę, lecz obaj z góry nie wierzyli w otrzymanie podpisu od arcybiskupa Twardowskiego. List się nie ukazał. Na kilka godzin przed strzałem samobójczym, 2 kwietnia 1939 r., mówił Walery Sławek o "straszliwej katastrofie czekającej Polskę" [12].



Lata 1918-39 przypomniały nam o głębokich związkach istniejących między zagadnieniami Wschodu a losami naszego narodu. Przypomniały obraz powstawania na szlakach polityki wschodniej imperium jagiellońskiego i odsłoniły kulisy dwukrotnego upadku, głównie dzięki błędom i niezaradności w tejże dziedzinie wschodniej. Czy wobec tego powinniśmy byli wyrzec się zainteresowań Wschodem? Bez tej polityki nie byłoby Grunwaldu oraz Horodła i w konsekwencji naród polski już przed wiekami stałby się etniczną masą, trawioną powoli przez Niemcy. Spokój na Wschodzie kupiony za taką cenę byłby spokojem śmierci.

Tło cywilizacyjne

W stosunkach polsko-ukraińskich zastanawia pewna powtarzalność tych samych sytuacyj. Nie sposób wytłumaczyć tego zjawiska zewnętrznymi przyczynami, takimi jak błędy administracji czy agitacje grup partyjnych. Wyczuwa się działanie czynników głębszych, silniejszych od naszych politycznych intencyj — złych czy dobrych. Co to jest i jak to podglebie wykryć i zbadać?

W wierszu T. Szewczenki "Do Polaków" uderza skupienie uwagi wieszcza na różnicach religijnych i walkach kościołów wschodniego i zachodniego. W każdym z czterech urywków wiersza wraca on do tego motywu, jak gdyby w nim lokując główny ciężar zagadnienia [13]. W pierwszej chwili wydaje się, że z faktu tego wyciąga w zakończeniu fałszywy wniosek. Zamiast podkreślenia nieuniknionego i permanentnego charakteru konfliktu, wpływającego z różnic religijnych (czyli cywilizacyjnych), nawołuje do zgody pod egidą Chrystusa: "Podajże ruku kozakowy I serce czysteje podaj I snowu imenem Chrystowym My osnowym nasz tychyj raj".

---

[12]) T. Schaetzel, "Pułkownik Walery Sławek", Jerozolima 1947. Str. 35.

[13]) 1. "Szcze jak buły my kozakamy, A unji nie czut buło"... 2. "Prijszły ksiondzy i zapałyły nasz tychyj raj... A syrit imenem Chrystowym Zamorduwały, rozpiały". 3. "A ksiondz skażenym jazykom Kryczyt: Te Deum, Allelujah"... 4. "Nesytii Ksiondzy, mahnaty"...

Spróbujmy więc rozpatrzeć zagadnienie w płaszczyźnie cywilizacji posługując się teoriami i pracami takich autorów, jak O. Spengler, Dawson, Sorokin, a przede wszystkim A. J. Toynbee, z którego sześcio-tomowej pracy "A Study of History" czerpać będziemy materiał historyczny. Na wstępie uwaga. Zakładamy, iż życie narodu nie jest zrozumiałe bez powiązania go w całość z rozwojem lub upadkiem tej cywilizacji, do jakiej należy. Jest to właściwie truizm. Dzieje Polski nie byłyby jasne bez związania ich z historią chrześcijaństwa i Zachodu. Nie można w pełni zrozumieć odrębności Ukrainy od Polski bez uwzględnienia jej związków z greko-helleńską odmianą chrześcijaństwa. Używanie więc pojęcia cywilizacji ukraińskiej, lub polskiej jest błędne, gdyż w dziejach obu narodów tkwią głęboko pierwiastki wspólne innym pokrewnym cywilizacyjnie narodom.

Co stanowi kryterium określające cywilizację w ogóle? Większość badaczy uważa, iż religia jest duszą cywilizacji. Zasada ta obowiązuje nawet w społeczeństwie zwalczającym religię. W tym wypadku żyje ona w tradycyjnym układzie stosunków rodzinnych, w zasadach moralnych, socjalnych a nawet politycznych, niezależnych formalnie od religii, lecz bezpośrednio z niej się wywodzących.

Cywilizacja Ukrainy w myśl powyższych zasad ukształtowała się, jako gałąź wielkiej cywilizacji wschodnio-chrześcijańskiej. Ten jej charakter przypominał o sobie z reguły w momentach najwyższych kryzysów w sposób najbardziej głośny i tragiczny. Bogdan Chmielnicki szedł pod cara "wostocznoho, prawosławnoho", opór przeciwko niesprawiedliwościom władz krzewił się w prawosławnych klasztorach na Ukrainie, zaś apele patriarchów Jerozolimy, Konstantynopola czy Moskwy głęboko zapadały w serca ludzkie na Ukrainie czy Białorusi.

Z kolei Polska należy do Zachodu i czynnik potępienia "schyzmatyków" i uczucia niechęci czy pogardy do nich nie były ani mniejsze ani bardziej wzniosłe od ukraińskiej negacji łacińskiwa. Lecz mimo dużego napięcia momentu religijno-cywilizacyjnego nie tu musimy szukać głównej przyczyny dominacji polskiej nad Ukrainą oraz Litwą-Rusią i płynących stąd skutków. Najważniejszym elementem w naszych stosunkach była i częściowo jeszcze istnieje różnica "wieku" naszych cywilizacji: **uwiąd wschodniego chrześcijaństwa na Wschodzie i na Ukrainie i względna świeżość i dynamiczność cywilizacji na Zachodzie i w Polsce.** Już w czasie, gdy Włodzimierz Święty wprowadzał chrześcijaństwo — Konstantynopol wkraczał w okres upadku. W Bizancjum panował teokratyzm, Cerkiew podporządkowano władzy świeckiej, państwo było totalne, nauka urzędowa, chrześcijaństwo szerzono dla zwiększenia wpływów politycznych, hierarchia narzucana podbijanym religijnie krajom, posiadała cechy greckiej agentury i nie cieszyła się autorytetem. Od samego też początku rozpoczęto w Kijowie walki o unarodowienie kościoła. Równolegle z duchowym upadkiem Konstantynopola

szedł w parze i upadek polityczny, rozpoczynający się od wielkiej wojny bułgarskiej (977-1019); jej wynikiem było zdobycie nowych obszarów na Bałkanach, ale jednocześnie stracenie oparcia w podstawowym dla bytu imperium zapleczu w Małej Azji i otworzenie w ten sposób bram dla przyszłych najazdów nomadów.

Od zajęcia Konstantynopola przez Turków rozkład przybrał wybitnie demoralizujące formy. Turcy podbijając Konstantynopol doprowadzili do modus vivendi z Cerkwią Grecką. Nadali jej rodzaj autonomii, obciążając wzamian obowiązkami zajmowania się sprawami chrześcijan w imperium. Mianowali patriarchów, traktując ich jako wysokich dygnitarzy, strącali ich według swego widzimisię wyznaczając innych, jeszcze bardziej uległych. Polityka ta przynosiła duże korzyści. Popierając dążenia Fanaru do zjednoczenia pod jego egidą autonomicznych cerkwi prawosławnych — rozszerzali jednocześnie swoje własne wpływy. Tą drogą opanowali politycznie obszary arcybiskupstw Ochrydy i Pecu, zwiększyli wpływy nad patriarchatami Antiochii, Jerozolimy, Aleksandrii oraz na obszarze autonomicznej cerkwi Cypru. "Skrajna ironia losu spowodowała, iż patriarchat konstantynopolitański osiągnął swój ekumeniczny charakter za cenę stania się niewolnikiem muzułmańskiej potęgi" [14]).

Przyjrzyjmy się z kolei losom cywilizacji wschodnio-chrześcijańskiej na samej Ukrainie. Toynbee dopatruje się jej załamania już w XI wieku i od tego czasu datuje początek tzw. doby niepokojów. Objawami tego załamania był podział socjalny: na rządzącą elitę i masy, opierające się ich gwałtom i narzucanej im obcej religii. Rozdźwięk musiał być silniejszy, aniżeli w innych, podobnych sytuacjach wskutek obcoplemiennego pochodzenia Waregów. Wybuchały więc bunty pogańskie i powstania ludności nawet w samym Kijowie. Drugim źródłem załamania były napady nomadów, odgrywających decydującą rolę w klęskach wielu społeczeństw. W omawianym wypadku napady te świadczyły o głębokości rozkładu socjalnego i zaniku siły magnetycznej Kijowa, ośmielających koczowników do ataków na osiadłe i kulturalne ośrodki. Iż tak właśnie było wynika z dobrych dotychczas stosunków Rusi z nomadami i ich poddawania się kulturze Kijowa. Czynnikami załamania Rusi były więc: a) moment socjalno-wewnętrzny (mniejszość dominująca i masy); b) socjalno-zewnętrzny (Waregowie-Słowianie); c) narodowo-zewnętrzny (Ruś-nomadzi). Między obu rodzajami "mas", a mianowicie ruskimi i nomadów, zachodziły objawy współdziałania przeciwko Waregom. Tak np. w 1068 r. wybuchł bunt ludności Kijowa, która opanowała miasto i ogłosiła księciem wypuszczonego z więzienia chana Połowców. Swary między książętami i wciąganie poszczególnych wodzów nomadycznych w wewnętrzne walki dynastyczne dolewały oliwy do

14)) Położenie Cerkwi pod Turkami przypomina niekiedy omal w drobnych szczegółach położenie Cerkwi w Sowietach.

ognia. Opierając się na historykach rosyjskich — Toynbee podkreśla, że zwrotnym punktem w historii Kijowa w końcu XI w. była chwila, gdy Kumanowie, wyzyskując te walki zapewnili sobie władztwo na stepach. Zniszczenie Kijowa w r. 1169 i odmowa księcia Andrzeja przeniesienia stolicy z Włodzimierza do Kijowa stały się dramatycznym epilogiem w długim procesie degradacji. Najazd mongolski był już tylko rozlaniem roztopów wiosennych po kraju ze zniszczonymi uprzednio tamami. Przypisywanie im źródła klęsk jest błędem, wynikającym z ułomności ludzkiej przypisywania własnych klęsk siłom zewnętrznym.

I tak metropolia wschodniego chrześcijaństwa oraz jej gałąź ruska załamały się prawie jednocześnie i w dość podobny sposób. Można by również powiedzieć, że Włodzimierz Święty sprowadził na Ruś cywilizację już chorą i zdegenerowaną. Jest to bardzo prawdopodobne. Cywilizacja w stanie dezintegracji rozpowszechnia się często łatwiej niżeli zdrowa i młoda. Wynika to stąd, że młoda i dynamiczna kultura narzuca się zwykle całym swym ciężarem duchowym, politycznym i materialnym. Żąda całej duszy i pragnie podbić inne społeczeństwo bez reszty. (Np. wczesne chrześcijaństwo i Islam, lub obecny komunizm rosyjski). Natomiast cywilizacja zdezintegrowana rozpowszechnia się oddzielnymi składowymi elementami i udostępnia obcym ludom przede wszystkim to, co im najbardziej odpowiada: jednym zdobycze techniczne, innym sztukę, trzecim wreszcie religię. Przyjmowana jest więc bez obaw, jako czynnik powiększający wygody życia i nie obciążający nowymi obowiązkami. Włodzimierz Święty przyjął wiarę Greków dlatego, że byli odlegli i nie grozili najazdem, a jednocześnie imponowali siłą materialną. Waregowie sześciokrotnie usiłowali rozgromić Bizancjum i za każdym razem bezskutecznie. Przyjęcie chrześcijaństwa łączyło się również z wielkimi koncesjami: ręką księżniczki bizantyjskiej i uznaniem zdobyczy Chersonia na Krymie.

Sytuację na Ukrainie pogarszało sąsiedztwo z Moskwą, w której cywilizacja wschodnio-chrześcijańska uległa zwyrodnieniu wskutek bardzo płytkiego rozlania się na olbrzymich przestrzeniach, zamieszkałych przez ludy eurazyjskie, posiadające własne kultury i żyjące w zasięgu sąsiednich cywilizacji azjatyckich. Warunki fizycznego otoczenia, diametralnie odmienne od śródziemnomorskich i bardzo różne od kijowskich, potęgowały proces wewnętrznej transformacji. Zachowując formy bizantyńskie wylała się więc w rodzaj pseudo-chrześcijańskiego szyntoizmu, z całkowitym podporządkowaniem Cerkwi państwu i od czasu reform Piotra Wielkiego powoli zanika. Proces ten przybrał z początku formy laicyzacji oraz europeizacji Petersburga i inteligencji imperialnej, od drugiej zaś połowy XIX wieku następuje zdecydowana likwidacja cywilizacji wschodnio-chrześcijańskiej przez rosyjskie prądy rewolucyjne i późniejszy bolszewizm.

Ukraina znalazła się w ten sposób między dwoma ogniami:

rosyjsko-eurazyjskim i polsko-zachodnim. Napór od strony Zachodu łączył się z niwelującym rozkładem, płynącym od Północy i Wschodu.

Unia polsko-litewska w pierwszym okresie stwarzała w swych granicach możliwości uchronienia południowo-ruskiej gałęzi wschodniego chrześcijaństwa. Liberalna polityka Kazimierza Wielkiego wobec prawosławia i zasady polityczne Horodła były doskonałym punktem wyjścia. O dużych perspektywach świadczy przykład Greków pod Osmanami. Jednak wzajemny stosunek sił cywilizacyjnych w Polsce i na Ukrainie był odmienny aniżeli w Azji Mniejszej. Tam prymitywnym Osmanom przeciwstawiał się świat zdegenerowany lecz wielki. Tu cywilizacji zachodniej nie mogła się oprzeć cząstka upadającego świata wschodnio-chrześcijańskiego.

◆

Nakreślony obraz ilustruje tylko część zagadnienia. Wschodnio-chrześcijańska cywilizacja stanowi pierwszy i wstępny pokład duchowych wartości. Ponad nim i nawet w nim samym występuje i rozpowszechnia się cywilizacja zachodnia. Elita ukraińska od początku chyba swej historii odczuwała wartość zachodu i proces westernizacji Ukrainy datować musimy od tych samych Waregów, którzy z motywów politycznych wprowadzili prawosławie na Ruś. Zresztą uleganie Zachodowi od pewnego okresu jest powszechne w całym wschodnim chrześcijaństwie. W Turcji pozycja Greków na początku opierała się na anty-zachodnich reminiscencjach po-krzyżowcowych i na bronieniu wpływów osmańskich, jako tarczy przed łacinizmem. Od XVIII wieku przyszła moda na hasła Wielkiej Rewolucji Francuskiej i Zachód w ogóle, prowadzące do zerwania przyjaznych stosunków turecko-greckich. Bałkany od XIX wieku powoli wstępują w ramy zachodniego społeczeństwa. W Rumunii nastąpiła nawet pseudo-łacinizacja (rumunizacja) języka liturgicznego, przedtem cerkiewno-słowiańskiego. Bułgaria od wieków zaciekle walczy z Fanarem. Na Ukrainie proces uzachodnienia rozpoczął się najwcześniej i na wielką skalę — od czasów unii polsko-litewskiej. Gdyby w tym czasie Zachód sunął na Wschód w formie międzynarodowego katolicyzmu, Ukraina byłaby dziś czysto zachodnim i, możliwe, katolickim krajem. Łącząca się jednak z wpływami Zachodu polityczna i kulturalna polonizacja wywoływała walkę o zachowanie własnych form tradycyjnych, zasłaniając podstawową prawdę życia duchowego Ukrainy, iż uzachodnienie stanowi najwyższą konieczność. Tylko na tej drodze mogła Ukraina uniknąć degradacji cywilizacyjnej i nie zamienić się w etniczny nawóz rosyjskiej Eurazji. W tym świetle polskie dążenia do osłabienia cywilizacji wschodnio-chrześcijańskiej na Ukrainie zbiegały się z interesem narodu ukraińskiego i spór w tej dziedzinie **nie dotyczył istoty sprawy, lecz metod wcielania w życie.**

Nie patrząc na wymienione przeszkody na Ukrainie rozwijały

się i rozbudowywały wszystkie te czynniki, które były związane z Zachodem i dążyły do Zachodu; upadał i moskwiczył się kompleks wschodnio-chrześcijański. Pierwszy proces postępował szybko dzięki codziennym i życiowym aliażom polsko-ukraińskim oraz wpływom idącym z Zachodu, m. in. i via Petersburg. W wiekach XVII i XVIII już się skrystalizował barwny, podobny może do hiszpańskiego czy południowo-włoskiego styl ukraińskiego okcydentalizmu, z Akademią Mohylańską i zamiłowaniem do wszystkiego co reprezentuje Zachód. Drzeworyt Iwana Mazepy W. Masiutyna charakteryzuje ten styl. O wiele wcześniej narodziły się na Ukrainie składniki indywidualnej, ciążącej ku Zachodowi cerkwi prawosławnej, której zewnętrzne formy Rosja carska niszczyła dekretami od początku XIX wieku.



Wróćmy na chwilę do sprawy cywilizacyjnej roli Polski na Wschodzie. Skłonni jesteśmy przyznać się do faktu, iż nie spełniliśmy należycie funkcji reprezentantów Zachodu w świecie wschodnio-chrześcijańskim. Ekspansja religijno-cywilizacyjna prowadzona przez nas w większym stopniu jednoczyła przeciwko nam świat wschodnio-słowiański niżeli go pozyskiwała. Świat ten widział w unii główny kamień obrazy. Wyprawa na Moskwę zamiast ją zbliżać kulturalnie i politycznie zregenerowała jej antyzachodnie i antypolskie pierwiastki.

Nie sposób tego wytłumaczyć błędami politycznymi, anarchią szlachty, nadużyciami władzy. Odpowiedzi musimy szukać w głębokich pokładach upadku polskiej myśli politycznej — w kryzysie cywilizacji. Analizując pod tym względem nasze dzieje ujrzymy, iż Polska wskutek bliskiego współżycia ze Wschodem i relatywnej słabości swej cywilizacji zachodniej — w poważnym stopniu uległa rozkładowym wpływom społeczeństw wschodnio-słowiańskich. Bezpośrednią przyczyną tego faktu stała się ekspansja terytorialna. Szybkie i w dużym stopniu mechaniczno-polityczne obejmowanie olbrzymich obszarów i nieuniknione wchłanianie ich pierwiastków cywilizacyjnych — z reguły powoduje, iż społeczeństwo prowadzące ekspansję różniczkuje się wewnętrznie ponad granice wytrzymałości. W łonie jednego narodu powstają różne sposoby życia, określane przez F. Konecznego, jako główne źródło rozkładu.[15])

Polska miała swój okres ekspansji na Wschód, przyczyniający się do jej wewnętrznego osłabienia. Nim jednak ujemne wpływy tej ekspansji dały się odczuć, występowały dodatnie jej skutki — zradzane przez "stymulujące czynniki nowego terenu". Tak oto powstała teza o Polsce podobnej do obwarzanka, silnej swymi kresami, lecz o słabym i pustawym wnętrzu. W myśli tej kryła się tylko cząsteczka prawdy, znacznie zaś silniej wystąpiły ujemne czynniki ekspansji prowadzonej wszerz a nie w głąb. Przekonanie tego rodzaju zawsze bardzo silnie występowało w

15) Por. F. Koneczny, "O wielości cywilizacyj".

Polsce. Prof. Jan Kochanowski twierdził, iż Polska zagubiła załążki jak najpomyślniej zapowiadającej się państwowości przez ekspansję na Wschodzie wskutek unii z Litwą. Marian Zdziechowski potwierdza, że Ruś wniosła w pozytywnie nastrojoną duszę polską dużo zabłąkanego marzycielstwa. O unii nas wewnętrznie trawiącej czytamy u Michała Bobrzyńskiego. Henryk Sienkiewicz pisał, iż "twardy i wytrwały, z jasną myślą i silną wolą... zbudował Polak w wiekach średnich państwo swoje, ale nastąpiła unia z Litwą i zmysł państwowy zaczął zanikać, rozcieńczyła się męskość od napływu owych pierwiastków, które Wschodem nazywamy i w których łączą się i kłócą kontrasty górnolotnego marzenia i gnuśnej obojętności na zło, mistycznych wzlotów i grubego materializmu, niewolniczej bierności i anarchistycznej swawoli".

Polak, osiadły przez szereg pokoleń na Wschodzie i zlewający się z otoczeniem, bardzo rzadko zatracał związki z Polską, lecz z reguły przestawał być konstruktywnym człowiekiem Zachodu. Ekspansja na Wschód zabrała nam wiele wartościowego elementu i zniżyła jego wartość kulturalną do poziomu otoczenia na Wschodzie. Taka jest geneza sylwetki duchowej przeciętnego Polaka ze Wschodu, pełnego patriotycznych uniesień, lecz niezdolnego do zrozumienia zimnej racji ani swej dzielnicy, ani państwa w całości. Wschód zarażając go silną wyobraźnią, nierozważną odwagą, dynamizmem, poczuciem artyzmu — dawał mu szanse pozornej wyższości nad bardziej skupionym, pracowitym lecz mniej atrakcyjnym Polakiem zachodnim. Polska upodabniała się do Wschodu i odsuwała od Zachodu. W wyniku mieliśmy spadek naszego potencjału cywilizacyjnego w skali ogólno-narodowej. Praktyczne konsekwencje nie dały długo czekać na siebie. Horyzonty polityczne zacieśniały się coraz bardziej i życie państwowe upadało poniżej poziomu, wymaganego przez położenie geograficzne i potrzeby chwili.

I tak degradacji politycznej Ukrainy, wypływającej z rozkładu jej pierwotnej cywilizacji wschodnio-chrześcijańskiej, towarzyszył wybitny kryzys cywilizacji w Polsce. Nie dość silny potencjał Zachodu u obu partnerów nie stwarzał dostatecznej przeciwwagi wobec czynnika rozkładu. W wyniku, w codziennym życiu politycznym, w historii naszej, nieustannie zwyciężał typ — jak pisał J. Łobodowski — ukraińskiego rezuna i lackiego pacyfikatora, których tak trudno namówić, aby wstąpili do rycerskiego zakonu.

Reasumując — w stosunkach między naszymi narodami ścierają się ze sobą dwa sprzeczne prądy: wcześniejszy — upadającej cywilizacji wschodnio-chrześcijańskiej, wpływający degradująco na losy polityczne Ukrainy jak i w bardzo poważnym stopniu Polski, oraz późniejszy — Zachodu, przeistaczający Ukrainę i będący podstawą cywilizacji w Polsce. W obu tych płaszczyznach cywilizacyjnych toczyła się i toczy walka polsko-ukraińska, lecz szczere i głębokie warunki porozumienia leżą w płaszczyźnie wspólnej nam cywilizacji zachodniej.

W tym świetle wiersz T. Szewczenki "Do Polaków" tchnie wieczystą prawdą. Beznadziejność historycznego motywu walki dwóch kościołów nie niweczy wiary w możliwość porozumienia. Jest to czynnik odchodzący do przeszłości, i coraz mniej krępujący zwycięstwo wspólnych ideałów zachodnich.

Posłowie

Rozpatrywaliśmy dotychczas sprawy polsko-ukraińskie z perspektywy wydarzeń zachodzących wewnątrz granic Polski przedrozbiorowej i odrodzonej. Spójrzmy jednak na nie i od strony problemów polsko-ukraińsko-rosyjskich, rzutowanych na tło sytuacji światowej. W tej nowej płaszczyźnie, pomimo fatalnego doświadczenia, mimo krzywd i wzajemnych zbrodni, zabłyśnie nam światło szczerej nadziei. Oto ujrzymy niezrozumiałą w pierwszej chwili organiczną tendencję do wzajemnego wspierania się, dyktowaną przez ukryty zmysł historyczny i instynkt samozachowawczy.

Te właśnie czynniki podyktowały J. Piłsudskiemu i jego otoczeniu, iż po dziesiątkach lat walki za czasów austriackich i po wojnie polsko-ukraińskiej 1918-19 roku — doszło do umowy polsko-ukraińskiej i wyprawy kijowskiej. O mały włos nie osiągnięto wówczas zasadniczego celu odbudowy niepodległej Ukrainy, przekreślającej na zawsze fatalny kompleks nierówności partnerów.

Ten sam instynkt dyktował polskiej polityce zagranicznej i wojsku polskiemu, iż niezależnie od wewnętrznej sytuacji rozwijała się na wpół utajonym nurtem współpraca polsko-ukraińska w przygotowywaniu wspólnego wystąpienia w wypadku powtórzenia sytuacji z 1920 roku i wybuchu wojny na wschodzie. Ukraiński rząd emigracyjny, jako tajny sojusznik rządu polskiego, prowadził wszechstronną pracę we wszystkich głównych krajach Zachodu.

Niejasne i nieskrystalizowane rudymenty tego instynktu rozlewały się właściwie po całym narodzie polskim, dyktując najbardziej zaślepionym nieprzyjaciołom Ukraińców myśl, iż lepie mieć ukraiński Piemont, niż dopuścić do zamienienia Kresów w jednolity obóz moskalofilski. Ukraińcy — rozumował — są leps od moskalofilów, gdyż do Rosji nie pójdą i muszą się trzymać państwa polskiego jak tonący brzytwy. A oto przykład wspierania się biernego i politycznie nieuświadomionego. Ukraińcy posiadali w Polsce swój narodowy pied-à-terre. Niewygodny, ciasny, z oknami wychodzącymi na wysoką ścianę sąsiedniej kamienicy, ale jedyny i niezastąpiony. Jest faktem niezaprzeczalnym, iż około 5 milionów Ukraińców w państwie polskim żył duchowo życiem suwerennego narodu, prowadząc walkę o polityczną suwerenność. Wyjątkowość sytuacji Ukraińców w państwie naszym polegała na tym, iż był to jedyny kraj, w którym Ukraińcy coraz bardziej i w najszerszych warstwach pogłębia własną świadomość narodową, trawiąc w szybkim tempie regio

nalizmy łemkowski czy huculski, kompleks moskalofilski czy też gente Ruthenus natione Polonus. Pod wpływem Ziemi Czerwieńskiej ten sam proces toczył się na Bukowinie i Zakarpaciu i wpływał hamująco na nieuniknioną denacjonalizację wśród emigrantów w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, itd.

Instynkt samozachowawczy, zmuszający do podświadomego spoglądania ku sobie w momentach kryzysów, ujawnił się tuż przed wybuchem wojny 1939 roku. W dniu zawarcia paktu sowiecko-niemieckiego z 23. sierpnia 1939 r. piszący te słowa był w jednej z uczęszczanych przez Ukraińców kawiarni we Lwowie i na własne oczy widział pierwszą, niekłamaną reakcję poważnych ukraińskich polityków. Zrozumieli oni natychmiast, może nawet lepiej niż Polacy, iż między Niemcami i Sowietami doszło do porozumienia w sprawie podziału Polski. Nie mieli najmniejszych złudzeń, iż Ziemia Czerwieńska, Wołyń itd. przypadły w tym podziale Sowietom. Uczuciowo i instynktownie stanęli po stronie państwa polskiego. Znalazło to wyraz w konkretnych decyzjach. Ukraińskie organizacje sportowe, za zgodą najpoważniejszych stronnictw politycznych, zwróciły się do rządu polskiego z propozycją stworzenia rodzaju milicji ukraińskiej, uzbrojonej w broń zimną dla zwalczania ewentualnych odruchów antypolskich na swym terenie w wypadku wojny. Specjalna delegacja przybyła w tym celu na rozmowy do Warszawy. Wypadki potoczyły się jednak szybko i do porozumienia nie doszło.

Zachowanie się Ukraińców było wytłumaczalne i w kategoriach czystej teorii polityki. Kolonia ukraińska w Berlinie od szeregu lat sygnalizowała, iż zainteresowanie Niemiec sprawami ukraińskimi jest płytkie i zamyka się w granicach wyzyskiwania ich dla walki z Polską oraz tylko w wypadku wojny z Rosją dojść może do wykorzystania ich na większą skalę przeciwko Rosji. Poważnych planów odbudowy Ukrainy Niemcy nie mieli, głęboko natomiast ulegali inspiracjom białorosyjskim. Dochodziło do paradoksalnych sytuacji, gdy umiarkowańsze koła ukraińskie w Berlinie zwracały się pośrednio z sugestiami pod adresem Warszawy, by w drodze dyplomatycznej poparła u Niemców postulat niepodległości ukraińskiej na wypadek wojny.

Nawet wśród skrajnych nacjonalistów pakt niemiecko-sowiecki wywołał konsternację i zredukował ostrze ich zamierzeń antypolskich na wypadek wojny. Plan niemieckiej dywersji w Ziemi Czerwieńskiej i na Wołyniu w dużym stopniu załamał się i do walki z państwem po 1-ym września 1939 r. wystąpiła przede wszystkim piąta kolumna niemiecka i w sporadycznych wypadkach anarchiczne bandy chłopskie.

I jeśli tak było po pacyfikacji, po wielu błędach i nieporozumieniach, po wybuchu wojny **na Zachodzie**, to łatwo sobie wyobrazić jak potężnie ujawniłby się instynkt wzajemnego wspierania się, gdyby wojna wybuchła na granicy sowieckiej i była wielką rozprawą Zachodu i Wschodu. Nie byłoby wówczas siły mogącej powstrzymać place d'arme ukraiński w Polsce na czele

ze skrajnymi nacjonalistami przed udziałem w nowej wyprawie na Kijów. Cały potencjał ukraiński w Polsce stanąłby do wojny po stronie Polski i Zachodu.

◆

Tak oto dwoma torami rozwijały się nasze stosunki. Z jednej strony otwarta i głośna walka polsko-ukraińska, z drugiej strony współpraca w podglebiu, zmierzająca ku przyszłym rozstrzygnięciom historycznym. I jeśli ten drugi czynnik skurczył się z biegiem czasu — wina w tym leży przede wszystkim w rozwoju sytuacji międzynarodowej. Od 1933 roku polityka mocarstw coraz wyraźniej zmierzała do zbliżenia z Sowietami wstępującymi do Ligi Narodów. Polska polityka prometejska nabierała cech donkiszoterii, prowadząc państwo do izolacji politycznej w świecie. Pierwszy wrzesień 1939 r. zadał tej polityce decydujący cios. Wojna wybuchła na Zachodzie i Niemcy wystąpiły do działań, jako sojusznik Moskwy, o której względy nie przestał zabiegać obóz antyniemiecki. Reszta wydarzeń potoczyła się znanym torem. Niemcy nie przejęły w spadku polityki wolnościowej po Polsce. Nie mogli go odziedziczyć alianci z początku potencjalni a po 1941 r. aktywni sojusznicy Moskwy. Razem z Polską upadła wielka idea wolności i jej upadek stał się wielkim sukcesem Moskwy. Historia wykaże, że była to zarazem największa, w latach 1939-45, klęska polityczna Ukraińców i innych narodów uciśnionych Rosji.

W. BĄCZKOWSKI.

Sprawy i troski

Jednak wracam z Kanady

Człowiek pracujący w Kanadzie nie zna dwóch — bardzo europejskich — rzeczy: nędzy i ubezpieczeń społecznych. Powiadamy człowiek pracujący a dodajemy pracujący fizycznie. Jeśli jakiś wyjątkowy, a znaczy to indywidualny pech, nie ściga go — żyje dostatnio i z dwuletnich oszczędności kupuje, na wieloletnie spłaty, domek, potem auto.

Robotnik oszczędzać może (jeśli chce) 80 do 100 dol. miesięcznie. Za dwa tysiące kupuje dom, za tysiąc prawie nowy samochód. Potem, mając dom i auto, spłaca dom ratami nie przekraczającymi wysokości normalnego czynszu a na utrzymanie samochodu wydaje około 30 dol. miesięcznie. Jego żony czy córek nikt nie odróżni od żon czy córek biuralistów czy kupców a on sam, w sobotę czy niedzielę, nosi równie drogie ubranie jak jego szef (boss). Uczęszcza do tych piwiarni czy kawiarni co miejscowa burżuazja, ma identyczny styl i prawie identyczny poziom życia. Wita swego szefa czy adwokata tym samym "hallo" którym wita kolegę czy ciotkę, przed nikim nie ściąga kapelusza i nikomu nie podaje — po europejsku — ręki.

Byłem robotnikiem na Zachodzie Kanady. Stykałem się w mej pracy, przy instalacjach kaflarskich, z majstrami i przedsiębiorcami. Nie spotkałem ani jednego "kapitalisty", który by nie był — dawniej — prostym robotnikiem. Przeważnie, prowadząc roboty na własny rachunek, sami też pracowali fizycznie i znali swą robotę lepiej od zatrudnionych. Zręczniejsi robotnicy, po zorientowaniu się w zyskach i ryzykach przedsiębiorstwa, po zaznajomieniu się ze źródłem dostaw i warunkami zbytu, podejmowali pracę na własną rękę w oparciu o oszczędności lub kredyt.

Na wielkiej prerji, na tzw. zachodzie Kanady, do dziś trudno spotkać starszego człowieka, który za młodu nie pracował, i to ciężko, fizycznie. Rzadko kto też pracuje w jednym zawodzie. B. fryzjer jest przedsiębiorcą budowlanym, b. górnik sprzedaje

samochody. Tu się zmienia fach a nie "job", tzn. pracę rozumianą jako zarobek. W każdej pracy wymaga się dużego wysiłku, ale wysiłek ten jest znakomicie ułatwiony standardyzacją produktu, rąk czy maszyn, posuniętą do granic niepojętych dla Europejczyka. Wszystkie elementy każdej konstrukcji, produkowane są masowo i jednolicie w całej Ameryce północnej. Dla każdej czynności przewidziane jest specjalne narzędzie doskonale dopasowane. Tu się niczego nie wyrabia a wszystko składa, niczego nie naprawia a wszystko zastępuje. Dlatego nie trudno jest być kwalifikowanym robotnikiem i nie trudno zmieniać zawód.

Dzisiejszy Kanadyjczyk, bez względu na to czy jest robotnikiem czy biuralistą, ukończył tę samą szkołę, czyta te same gazety i te same magazyny (książek tu prawie nikt nie czyta), słucha tych samych kazań niedzielnych i chodzi na te same zebrania.

Różnica polega na tym, że tylko robotnicy mają swe związki zawodowe. Tylko robotników stać na taką broń bo ludzi uciekających od pracy fizycznej i godzących się nawet na niższe zarobki, po biurach jest nadmiar. Kto należy do "union" jest uprzywilejowany. Ma automatycznie najwyższą stawkę godzinną, najlepszy "job", gwarancję niezwolnienia bez względu na kwalifikacje, zasiłek w razie bezrobocia. Nikt w żadnym zawodzie, żadnej klasie społecznej, takich przywilejów nie posiada. Nieudolnego dyrektora zwalnia się, zły kupiec bankrutuje, kiepski biuralista wylatuje z posady, ale robotnik z "union" jest nienaruszalny.

Pierwsza historycznie warstwa ludności w Kanadzie, robotnicy, stworzyli sobie pozycję odrębną, coś jakby własny stan czy kastę.

W kraju, w którym opanowanie przyrody, ziemi samej i tego co w sobie zawiera, jest dopiero zapoczątkowane, w kraju tak przerażająco ubogim w ludzi — wysiłek fizyczny jest, i długo jeszcze będzie, na pierwszym miejscu. Po prostu nie ma komu robić za drugiego. Ten co już ma pieniądze i nie chce pracować, przeznaczyć musi więcej na tego, który mu dom zbuduje czy ziemię zaora, niż na materiał i maszyny do tego potrzebne, bo materiału i maszyn jest bez liku a ludzi mało. Podobny stan rzeczy jest w Stanach Zjedn. z tym, że ludzi tam nie brak, ale stosunek chcących pracować fizycznie do unikających tej ostateczności, jest ten sam.

Widzimy więc w Kanadzie odwrotność ewolucji europejskiej. W gęsto zaludnionej Europie, robotnicy pojawili się — wraz z maszyną jako odrębna klasa — ostatni i zajęli też ostatnie miejsce i w podziale dochodu społecznego i w stanowisku socjalnym. W Europie robotnikiem jest ten kto nie może być nikim innym, tu zaś ten kto nim być chce. Toteż robotnicy, zwłaszcza na nowym zachodzie, nadają ton i styl życia, a oparci o jedyne w tym kraju przywileje i gwarancje, stanowią coś znacznie bliższego dawnemu polskiemu tłumowi szlache

kiemu niż naszej (pożal się Boże!) burżuazji, nie mówiąc już o "proletariacie".

Nie poziom zarobków wyznacza tutaj styl życia, są one bowiem z reguły wyższe niż po europejsku rozumiane potrzeby materialne. Wyznaczają go właśnie aspiracje warstwy dominującej, tzn. robotników.

Człowiek pracujący fizycznie wszędzie, ale zwłaszcza w tym surowym kraju, dąży przede wszystkiem do komfortu materialnego. Zmęczenie fizyczne, skłania go do chronienia się przed dodatkowym wysiłkiem myślowym. Szuka odpoczynku, odprężenia po pracy. A ludzie tu, by jeszcze więcej zarobić, biorą nadgodziny, płatne o 50% a w niedzielę o 100% wyżej. Toteż cywilizacja tutejsza rozwija się i pogłębia stale w kierunku ułatwienia, udostępnienia codziennego komfortu a pomija prawie bez reszty to wszystko, co przeznaczone jest dla ludzi mających ciekawość mózgu, wymagania oczu, dociekliwość ucha czy smaku, wyrafinowanie serca wreszcie. To wszystko znajduje się poza sferą potrzeb człowieka zmęczonego jednostajnością wysiłku mięśni.

Jest więc to cywilizacja par excellence robotnicza, wyjaskrawiona jeszcze klimatem surowym, wytrzymałość fizyczną absorbującym.

W jednym z największych i najbogatszych miast prerii gdzie pracowałem, było na 130.000 mieszkańców: 27 wspaniałych, ogromnych szkół ludowych, 9 takichże szkół średnich i jedna biblioteka. Obok tego: 14 kin, ani jednej księgarni a tylko po kilka półek "bestsellerów" w trzech domach towarowych i — a zadałem sobie trud liczenia — 177 tygodników kryminalno-awanturniczo-romansowych do nabycia w kilkudziesięciu kioskach i sklepach. W tychże kioskach nabyć można niezliczoną ilość tzw. "comic'sów", to jest komentowanych rysunków dla dzieci, połykanych jednak przez dorosłych w nieprawdopodobnych ilościach. Te comic'sy dzielą się na zwykłe bzdury i na tzw. "classic's". Poza niemieckimi (no i sowieckimi) obozami koncentracyjnymi, jest to najobrzydliwsze zjawisko z jakim spotkałem się w życiu. Chodzi tu o makabryczne rzezanie takich twórczości jak Dantego, Szekspira, Moliera, Göthego czy Tołstoja, "udostępnianych" czytelnikowi amerykańskiemu w formie kilkunastostronicowej broszury, wypełnionej bez reszty ilustracjami scen powieści i bohaterów autora, wypluwających wzajem na siebie (i to słowami wydawcy!) treść filmową, bo nawet nie autentyczną, dzieła. O rozmiarach klęski, o głębokościach zubożenia kulturalnego jakie ten szatański wynalazek szerzy, dowodzi fakt iż Amerykanin, po przeczytaniu comic'sa pt. "Faust", przekonany jest iż wie co pisał i myślał Gœthe. Ten pokarm duchowy amerykański jest do nabycia w każdej dziurze, w każdym "drugstore" za 10 centów.

W ten sposób na nowym kontynencie "Wojna i pokój" Tołstoja jest dwukrotnie tańsza od funtowej konserwy brukwi. Cóż o tym myśleć?

Tłumaczenia angielskie wielkiej literatury światowej istnieją oczywiście i tu, i są dostępne — po stosownej cenie — w większych centrach miejskich dla nabywcy w księgarni a czytelnikowi w bibliotece. Ilu takich w Kanadzie jest, nie wiem. Wiem jednak że kiedy, w trzy tygodnie po ukazaniu, szukałem broszury R. Tafta "Foreign Policy for Americans", nie tylko nie znalazłem jej w 130.000 mieście, w redakcjach dwóch jego dzienników, w bibliotece miejskiej, ale nikt nie chciał podjąć się jej sprowadzenia. A przecież poglądy poważnego kandydata na prezydenta USA, powinny interesować choć kilku mieszkańców, centrum — za amerykańskie pieniądze rozbudowanego — przemysłu naftowego, odległego o 200 mil od granicy Stanów.

Jeśli potrzeba była matką koszmarnego wynalazku comic'sów, to nie była to potrzeba np. Ibsena, ale potrzeba tematu, bo przy olbrzymim zapotrzebowaniu brakowało już widać wydawcom fantazji. Tu nie cena, ale widok grubego tomu odstrasza. Pewny jestem, że gdyby postawiono do wyboru tutejszemu nabywcy oryginał powieści i "klasyczny" comic's, na 1000 ludzi 999 wybrałoby comic's. To nie brak oświaty oddala od literatury. Nie ma tu analfabetów i rzadko który robotnik nie ukończył przynajmniej połowy szkoły średniej. To nie brak czasu przeszkadza pogłębieniu wiedzy i smaku. Normalny tydzień pracy sprowadza się do 44 godzin i odrabiany jest w pięciu dniach, a farmerzy w większości mieszkają stale w mieście i tylko na siewy i żniwa wracają na rolę.

Przyczyna tandety kulturalnej tego bogatego kraju leży gdzie indziej. Jest nią brak warstwy oświeconej. W krajach cywilizacyjnie starszych, gdzie wieki dokonały zróżniczkowań warstwowych, od pokoleń już formowały się elity. Znajdując smak i ochotę do studiów i twórczości niemerkantylnej, pociągały one swym przykładem, zarażały swymi zainteresowaniami, czy też — jak kto woli — wzniecały zazdrość, u innych. Tak więc w społeczeństwach europejskich warstwy nie zaangażowane bezpośrednio w procesy produkcyjne, spełniały rolę motoru postępu. Tu warstw tych jeszcze nie ma. Tu w pewnym sensie wszyscy jeszcze są robotnikami. Człowiek mający fermę, dom w mieście i 100.000 dolarów w banku, poświęca czas wolny od pracy na odmiatanie śniegu przed domem czy kopanie ogrodu, czy naprawę sztachet. Wieczorem zaś czyta te same gazety i te same comick'sy co jego robotnicy. On nadal jest, on czuje się robotnikiem.

Nic dziwnego więc, że socjalizm i wszystkie kompleksy z tym pojęciem związane tu nie istnieją.

Socjalizm, dla kogo? Czy dla tych nielicznych nędzarzy, o których wszyscy wiedzą, że są nimi wyłącznie dlatego iż nie pracowali, nie pracują i pracować nie chcą lub że pili, piją i pić będą?

Socjalizm jaki? Przedsiębiorstwa państwowe i prowincjonalne płacą nie więcej od prywatnych a ubezpieczalnie państwo-

we są droższe i gorsze od prywatnych. Urzędów i urzędników jest mało, bo z wyjątkiem rzeczy zakazanych przez prawo, każdemu wolno robić co, jak i kiedy chce.

Socjalizm, przeciw czemu i komu? W kraju, w którym powodzenie decyduje o celowości wysiłku, w którym każdy dąży do stania się "kapitalistą" a każda rodzina może mieć swój dom i auto a ludzie bogaci snobują się na robotników, nie widzi się i nie czuje różnic społecznych. Kto i w czym dopatrywałby się konieczności rewolucji czy choćby przebudowy społecznej? W każdym razie nie robotnik, który sam ten ustrój, od fundamentów, budował i za własny uważa. Tu nie kapitalista jakiś, którego dochody i majątek, sposób dojścia do nich i korzystania z nich jest znany, rozumiany i aprobowany, ale inteligent, czytający książki, piszący i filozofujący w rozmowach, napotyka na instynktowną jakąś nieufność.

Ci ludzie wszystko zawdzięczają własnej pracy. Sami karczowali swe farmy i budowali swe domy. Ten surowy kraj nie zawierał żadnych możliwości spekulacyjnych. Dziś dopiero otwierają się one w postaci bogactw podglebia, mogących, bez żadnej osobistej zasługi, wzbogacić przez jedną noc. Ale ludzie pamiętają tu jeszcze run na złoto Klondyke i Yukonu, i po sportowemu myślą: dziś mnie a jutro tobie. Jeszcze dziś przecie dostać można darmowy przydział ziemi na północy, jeszcze dziś w Bryt. Kolumbii płucze się złoto i wszędzie szuka niekwalifikowanych robotników po 700 fr. za godzinę, na kontrakt: "pracuj ile chcesz" na pograniczu North Western Territory.

Jeszcze dziś, na wielkich przestrzeniach, żyją, pracują i dorabiają się ludzie, a tylko na mapie istnieje państwo. Niespełna 200 km. od stolicy prowincji Alberta, Edmontonu, mówiłem z farmerem, którego prawa i obowiązki wobec Kanady ograniczały się do dorocznego przekazu podatkowego. Inne prawa i obowiązki stanowił sam.

Jest coś bardzo wielkiego, coś nakazującego głęboki szacunek dla człowieka, coś odżywczego zwłaszcza dla Europejczyka, w tej walce człowieka z przyrodą, klimatem, przestrzenią i to walce prowadzonej często samotnie. Bo — to jeszcze jeden rys charakterystyczny anglosaskiej Ameryki — nie tylko farmerzy i traperzy żyją w odosobnieniu. Ustawiczna pogoń za lepszym "job'-em" powoduje brak tej stabilizacji otoczenia, tak właściwy Europie. Ludzie zmieniają tu stale zawody, miejsce zamieszkania, a więc otoczenie i adresy. Rzadko zastaniesz kogoś w zimie na tym samym miejscu co w lecie. Dotyczy to zwłaszcza świeżych emigrantów (znałem młodą Jugosłowiankę, która w ciągu dwóch miesięcy zmieniła czterokrotnie adres a pięciokrotnie pracę), ale stosuje się do całej ludności. Tutejszy farmer to nie europejski chłop. Nie ma on tego stosunku do ziemi. Jego farma to jest jego business i gotów jest w każdej chwili sprzedać ją, kupując jakikolwiek lepszy business w mieście. Farmer to przedsiębiorca pracujący maszynami i tylko maszynami, dla którego ziemia jest tym samym co drzewo dla stolarza, czy żelazo dla

kowala. Farmer żyje, myśli i pracuje jak robotnik w mieście, jego dom jest identycznie urządzony jak dom robotnika miejskiego.

W kraju bez żadnych ograniczeń poruszania, żadnych "meldunków", w którym pracuje się i mieszka najwyżej z tygodniowym wypowiedzeniem, a w którym co chwila odkrywa się naftę tu, uranium tam a aluminium ówdzie — człowiek kuszony jest ustawicznie nadzieją poprawienia swego bytu. Świadomość identyczności stylu życia, pewność iż dokądkolwiek w tym niezmierzonym kraju zajedzie, zastanie to samo mieszkanie, to samo jedzenie i trunki, te same magazyny i comic'sy, tak samo myślących, mówiących, pracujących i żyjących ludzi, odbiera wszelki lęk przed zmianą a wszelki smak przywiązaniu i zasiedzeniu.

Tę monotonię życia usprawiedliwia po części fakt jednakowości klimatu prawie całej Kanady. Łagodniejszy na wybrzeżu atlantyckim, w południowym Ontario i nad oceanem Wielkim, jest surowy, nawet pólarktyczny, na całym pozostałym, nieprzebranym jeszcze lądzie. Z drugiej strony pomieszanie etniczne, świeżość kraju, nie sprzyjała i jeszcze nie sprzyja, tworzeniu się zwyczajów i nawyków gruntujących odrębności cywilizacyjne. W tych warunkach jedność języka, narzędzi (no i konserw), to jedyne elementy spajające przestrzeń, jedyna gwarancja koniecznych ruchów migracyjnych.

Ogromna większość przestrzeni kanadyjskiej, ma bowiem klimat arktyczny. Zagadnienie jej zaludnienia i — co zatem idzie wyzyskania, — rozwiązane przez Stalina zesłaniem milionów ludzi do łagrów, byłoby nie do załatwienia w kraju, gdzie wolność człowieka jest fundamentem istnienia społeczeństwa i państwa, bez zapewnienia ochotnikowi wyższego zarobku przy zachowaniu przyjętych w reszcie kraju wygód i urządzeń. Na tych obszarach tylko w lecie (nie mającym prawie nic wspólnego z latem europejskim) dokonywać można większości prac. Jedzie się więc gdzieś nad Yukon na sześć miesięcy, by zarobić stawkę roczną i wraca do zaludnionych okręgów na zimę. W miesiącach zimowych życie ludzkie na Północy żarzy się jeno a praca ogranicza się do utrzymywania jej narzędzi, wyczekując — jak cała przyroda — słońca i ciepła by odżyć.

Tu gdzie wszystko ciągle się rusza i zmienia, rozumie się i uznaje wszystko z wyjątkiem jednej, jedynej rzeczy. Tej mianowicie, iż powodem jakiejkolwiek decyzji życiowej mogłoby być co innego jak pieniądz. Cokolwiek zrobisz w jego imię jest zrozumiałe i oczywiste. Nikt się nie zdziwi, że rzuciłeś zawód, miasto, klimat czy nazwisko jeśli business tego wymagał. Jeśli jednak zmienisz cokolwiek w swym życiu nie dla businessu, jeśli dowiedzą się że zarabiasz mniej teraz niż przedtem, jesteś stracony. Stajesz się bankrutem i ludzie odsuwają się od ciebie. Jesteś im obcy.

Tego, że nie lubisz jakiegoś zawodu, miasta czy klimatu i gotów jesteś zarabiać mniej, byle inaczej czy gdzie indziej, czy z

innymi, tego tu nikt nie zrozumie. Gorzej, nie pojmie. Najpierw tłumaczą ci że przecież stracisz tyle a tyle dolarów. Jeśli powiesz że nie o to chodzi, jesteś skończony. Na niczyją pomoc ni przyjaźń liczyć więcej nie możesz. Obraziłeś, odrzuciłeś to co jest podstawą, fundamentem, osią i celem życia: pieniądz. Ta reakcja jest równie instynktowna jak głęboka. Przerażony jej powszechnością i jednomyślnością zaczynasz się zastanawiać, czy może nie mają jednak racji. Zaczynasz badać ten dolar i to co on daje.

Zaglądasz do domów, patrzysz na wystawy, chodzisz do klubów i restauracji, dopytujesz się o związki i organizacje, czytasz dzienniki i czasopisma, rozmawiasz z ludźmi, słuchasz radia. I widzisz że wszystko co możesz osiągnąć za dużo dolarów jest tylko lepsze od tego co możesz mieć za centy. Ale *inne* nie jest. A to wszystko — i za dolary i za centy — służy wyłącznie do tego, by ci było wygodniej i łatwiej żyć.

Wielkie to pokuszenie, zwłaszcza dla starszego człowieka. Może nawet by mu uległ, gdyby nie to że odkrywa jak przerażająco łatwo, z jaką kocią zwinnością, ulegają mu dzieci i biedota z Europy przybyła.

Dzieci naśladują starszych. Czują i widzą i słyszą, że jedyną ich troską jest pieniądz. Że ma się go tyle a mogłoby mieć tyle, że to kosztuje tyle a tamto tyle, że ten kupił to a ów tamto.

W codziennej lekturze comic'sów, w codziennym kinie, wszystko co nie jest romansem, sprowadza się do walki o pieniądz. A znowu te wszystkie rozmowy, lektury i widowiska uczą, że pieniądz daje komfort, wygodę, przyjemność. I małe dzieci mówią tu i myślą o dolarze tak jak nasze o zabawkach. Zdobywają dolary, zarabiają je i wyłudzają. Handlują comic'sami, za wymycie naczynia domagają się od rodziców pieniędzy, za pilnowanie małego braciszka żądają godzinnego wynagrodzenia.

Dipisi od razu wpadają w ten nastrój. Pieniądz, którego w Europie rękami nie zapracujesz, tutaj czeka na ręce. Domy, samochody, kuchnie elektryczne, maszyny do prania, radia, meble itd., itd., cały ten luksus życia, we wszystkich gatunkach, kolorach i cenach, na wieloletnie spłaty, lubieżnie podstawia się wszędzie. Wszyscy kupują i "enjoy themselves" ("radują się w sobie"). Młode dipisy rzucają się na ten dostatek jak głodny na chleb. Kupują najpierw meble, potem radio, potem kuchnię, potem już domy, samochody, a potem już tylko to jest ważne kto ma lepszy dom, samochód, itd., itd. Jeśli b. żołnierz II Korpusu czasem wspomina inne sprawy, inne dzieje i prace, to dzieci jego już go nie rozumieją.

Ale ten starszy człowiek, kuszony komfortem, zaczyna wtedy widzieć całą jego próżnię i czczość. Widzi że naprawdę nie służy ten komfort niczemu i nikomu. Zaczyna rozumieć, że gdy staje się wspólnym celem, całkowicie osiągalnym i powszechnym, traci wszelki sens i zuboża człowieka. Teraz już człowiek służy temu komfortowi, pracuje na niego, żyje dla niego i nim, myśli o nim i biega za nim. Po codziennej pracy, myje samo-

chód, czyści kuchnię, odnawia dom i już na nic nie ma czasu, o niczym już myśleć nie może tylko o wygodzie swej wygody i o komforcie swego komfortu. Ten biedny, umęczony człowiek, późnym wieczorem, zapada w głębokim fotelu, odkręca radio czy telewizję, obejmuje wzrokiem cały, napchany dobytkiem dom i garaż, bierze do ręki kolorowy "classic" pt. "Zbrodnia i Kara" niejakiego Dostojewskiego i... zasypia. Może jutro "classic" dokończy, ale Dostojewskiego nie przeczyta nigdy.

Przeczyta zaś dopiero to jego potomstwo, które, albo przestanie pracować na komfort, albo przerzuci tę troskę na innych. Innymi słowy, obok jedynej obecnie "klasy" dorabiających się i już dorobionych robotników, powstać muszą inne. Używam słowa klasa tylko dlatego, że piszę do tak zwanych inteligentów. Inteligent zaś europejski ma bardzo mało wspólnego z robotnikiem. Nie w poziomie życia ale w jego stylu. Dzieli go właśnie ten styl życia. Pracuje mniej, męczy się mniej, czyta za to i myśli więcej. Tu praca biurowa jest tak zmechanizowana i staylоryzowana, że pracownik w krawacie opuszcza biuro indentycznie wyżyłowany jak robotnik warsztat.

Dlatego uważać można Kanadę za społeczeństwo jednoklasowe. Jest to zapewne uogólnienie. Tym bardziej, że moje obserwacje dotyczą głównie "prerii". W wielkich miastach, zwłaszcza na wschodzie, życie już się różniczkuje. Żyją już ludzie patrzący na pieniądz jako na środek a nie cel. Będzie ich coraz więcej i z czasem ich istnienie zaznaczy się w życiu kanadyjskim pewnymi odrębnościami. Powstaną inne style życia. Nie będzie to już dłużej świat robotniczy. Będzie znacznie bardziej skomplikowany bo nic tak nie wyjaławia życia jak syte zmęczenie fizyczne. Ideał socjalistyczny bezklasowego społeczeństwa dobrze płatnych pracowników, gdzie nikt nie da się "wyzyskiwać" dłużej niż tydzień, będzie należał do przeszłości. Zastąpiony zostanie różnolitością potrzeb, odmiennością ich znaczenia i zaspakajania, rozbieżnością celów. Z tych kontrastów i dzięki nim, powstanie literatura, muzyka, malarstwo, architektura i to wszystko inne, tak nieskończenie ważne, bez czego przestrzeń nie jest krajem a ludność narodem. Dzisiejsza Kanada jest bowiem tylko zaludnioną przestrzenią.

Zbigniew ABDANK.

Najnowsza historia Polski

Przyczynki do Berezy

Któż z nas, będących na emigracji, nie przechodził okresów przymusowej bezczynności? Ciężkie to były chwile. Człowiek szukał jakiegokolwiek zajęcia już nie dla zarobku, który jakże często był nieosiągalny, lecz z potrzeby oderwania się od chwili bieżącej, z potrzeby zabicia czasu i wyładowania wezbranej energii. Cóż mógł w takich chwilach robić inteligent? Pisać. Nawet taki co przegadał życie w Ojczyźnie, na obczyźnie milczał po angielsku i zaczął wprawiać się w pisanie po polsku. W poszukiwaniu tematu — zawsze z tego co się przeżyło — nieraz natykałem się na pokusę: a może tak coś o Berezie... Zwalczałem tę pokusę, bo to i temat szkaradny i Polsce krzywda. Ostatnio gryzmolę przez cały dzień w książkach jakiegoś amerykańskiego biura i z czubem zaspakajam potrzebę wyładowania energii. Prawdę rzekłszy, jestem nawet już pod bilansem na rachunku energii własnej.

W takim to momencie przyszły mi pod rękę wspomnienia ostatniego premiera Polski z okresu przedwojennego, p. Sławoja-Składkowskiego. Ten opatrznościowy mąż przedwojennej Polski poruszył temat Berezy, i upoważnił mnie tym do kontynuowania tego tematu bez obawy narażenia się na zarzut szkalowania Polski.

•

Między dwiema wojnami byłem adwokatem w Polsce. W Berezie nie byłem. Jednak przez moich klientów i klientów moich kolegów doszły do mnie pewne wiadomości o panujących tam porządkach.

Raz jeden miałem następujące, pamiętne dla mnie przeżycie.

Zgłosił się do mnie, w charakterze klienta, niejaki Motel Zołotow, nauczyciel szkół żydowskich, oskarżony o przynależność do Polskiej Partii Komunistycznej. Sprawa nie była groźna,

---

Materiały drukowane w tym dziale, są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

toteż Zołotow odpowiadał z wolności, z której korzystał za niewielką kaucją. Mnie, jako obrońcy, sprawa wydawała się dobra. Jakieś pięć dni przed terminem rozprawy przybiegła do mnie żona Zołotowa i opowiedziała, że, gdy mąż wyszedł rankiem z domu po bułki i mleko dla dzieci, został na ulicy aresztowany przez czekających nań pod domem funkcjonariuszy policji i tegoż dnia wysłany do Berezy.

Nazajutrz, z samego rana, złożyłem w Sądzie Okręgowym podanie z wyjaśnieniem co spotkało oskarżonego i że nieprzybycie jego na rozprawę będzie wynikiem działania władz administracyjnych. W konkluzji prosiłem o wydanie zarządzenia nakazującego dostarczenie Zołotowa do Sądu w dniu wyznaczonej już rozprawy.

W dzień rozprawy byłem w Sądzie przed 9-tą rano aby mieć możność rozmówienia się z oskarżonym, który przez wspomniane wyżej porwanie na ulicy pozbawiony był możności odwiedzenia mnie na dwa-trzy dni przed rozprawą, jak to było między nami umówione.

W każdym sądzie okręgowym urządzona jest specjalna poczekalnia-cela dla sprowadzanych z więzienia oskarżonych. Do tej właśnie celi zdążałem, gdy dyżurny policjant poinformował mnie, że więzień sprowadzony z Berezy jest trzymany oddzielnie. Po krótkich poszukiwaniach znalazłem Zołotowa na sali sądowej, używanej zwykle do rozpraw cywilnych, a więc pozbawionej specjalnego miejsca dla oskarżonego, tzw. ławy oskarżonych. Zołotow siedział na pierwszej ławce sam, zaś policjant, konwojent z Berezy, siedział tuż za nim na drugiej ławce. Gdy zbliżyłem się do Zołotowa z wyciągniętą na przywitanie ręką, konwojent zerwał się i oświadczył, że rozmowa z więźniem jest wzbroniona. Po moim wyjaśnieniu, że jestem obrońcą Zołotowa i mam prawo do rozmowy z nim, konwojent zajął swoje miejsce. Siadłem około Zołotowa i przez chwilę mu się przypatrywałem. Milczeliśmy obaj. Nagle Zołotow przysunął się do samego mojego ucha i urywanym, ochrypłym szeptem mówił: "panie mecenasie, błagam pana, niech mnie pan ratuje, ja jestem strasznie zbity, ja mam cały tyłek posiekany, ja nie mogę siedzieć, oni kilka godzin znęcali się nade mną, niech mnie pan ratuje, błagam"... Pierwszy i jedyny raz w życiu wybuchłem spazmatycznym płaczem i wybiegłem z sali.

Zupełnie nie pamiętam co robiłem i gdzie się znajdowałem w ciągu pół czy nawet całej godziny po tej ucieczce z sali.

Pamięć moja zachowała wezwanie mnie przez woźnego do występującego w sprawie Zołotowa wice-prokuratora, człowieka młodego i niedawno przeniesionego z Piotrkowa Trybunalskiego do Warszawy. Nazwiska nie pamiętam. W sposób bardzo delikatny i życzliwy powiedział mi ów młody człowiek, że został poinformowany przez konwojenta z Berezy o tym, co zaszło na sali, że rozumie, iż Zołotow opowiadał mi o swoich przeżyciach w Berezie, że rozgłaszanie dalej opowieści Zołotowa może ściągnąć na moją głowę wielkie przykrości, że prze-

cież sam wiem, iż nic nie będzie mogło mnie obronić przed osadzeniem w Berezie, gdy odpowiedni czynnik zechce się ze mną porachować za niedyskrecję, że usilnie mnie prosi, w imię przyjacielskich dla mnie uczuć, abym zachował w tej sprawie milczenie.

Gdy w ciągu ubiegłych lat wracałem myślą do tej rozmowy, a właściwie monologu prokuratora, to w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć, jak odpowiedziałem na te życzliwe rady i czy obiecałem milczenie.

Tak czy inaczej, ja milczałem. Nie wynika jednak z tego, że fakt mojego ataku spazmów na sali sądowej nie obszedł pewnych kół, zwłaszcza sądowych, prokuratorskich i adwokackich, bo przecież na sali sądowej było kilka osób, świadków zajścia.

Po wywołaniu rozprawy prokurator zgłosił wniosek o odroczenie jej. Sprzeciwiłem się temu w nadziei, że sąd skaże Zołotowa na zamknięcie w więzieniu i nakaże natychmiastowe osadzenie go w normalnym więzieniu, gdzie drastyczne środki Pana Składkowskiego nie są stosowane. Tym sposobem usiłowałem wyrwać Zołotowa z Berezy. Gdy jednak Sąd postanowił rozprawę odroczyć, zgłosiłem wniosek niesłychany w ustach obrońcy — o zmianę środka zapobiegawczego uchyleniu się oskarżonego od sądu — z kaucji na osadzenie w więzieniu. W tym przypadku Sąd był bardzo liberalny i stwierdził, że nie zachodzą żadne ustawowe warunki dla uwzględnienia wniosku obrony.

Jak się rozstałem z Zołotowem nie pamiętam. Pamiętam natomiast, że postanowiłem sobie solennie interweniować w jego sprawie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Po kilku dniach poszedłem do wiceministra Kaweckiego, prawej ręki Sławoja-Składkowskiego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Kaweckiego znałem z czasów dawnych, jeszcze z roku 1905, gdy jako osiemnastoletni młodzieniec przychodziłem na konspiracyjne spotkania do cukierni ojca, późniejszego wiceministra, przy ul. Marszałkowskiej. W tej to cukierni kręcił się między spiskowcami młodszy o rok-dwa ode mnie Kawecki. Za czasów jego urzędowania w Min. Spr. Wewnętrznych, spotykałem go tylko urzędowo: na sali sądowej w wielkich procesach politycznych, gdy był wzywany w charakterze świadka, lub w jego gabinecie, gdy wraz z innymi przedstawicielami Bundu przychodziłem do niego z zażaleniami na takie czy inne praktyki administracji.

Kawecki przyjął mnie niezwłocznie. Posadził mnie w fotelu z dala od swego biurka, a sam począł kocimi krokami chodzić półkolem tam i z powrotem i, patrząc chytrze na mnie, powtarzał: "pan mecenas raczył mnie odwiedzić; doprawdy, odczuwam strach wobec pana; ja się pana mecenasa boję; i czemu to zawdzięczam ten zaszczyt".

Te drwinki były wysoce nieprzyjemne. Opanowawszy się, po-

wiedziałem, że będę mógł wyjaśnić cel mego przyjścia, jeżeli obaj opanujemy strach odczuwany przez każdego z nas na widok swego vis-à-vis z tym, że ja na pewno mam większe podstawy do strachu, ponieważ on ma władzę, a ja tylko język.

Wreszcie usiadł naprzeciwko mnie i wlepił we mnie wzrok. Wyłuszczyłem, że przychodzę w imieniu żony Zołotowa, osadzonego w Berezie, z prośbą o zwolnienie go z powodu jego słabego zdrowia, a jej choroby, uniemożliwiającej opiekowanie się dwojgiem dzieci.

Kawecki, jak gdyby po raz pierwszy słyszał to nazwisko, powtórzył kilkakrotnie "Zołotow", wstał, wziął z biurka plik papierów i przeczytał z nich imię, nazwisko, wiek itd. Zołotowa, a potem datę osadzenia go w Berezie. Po chwili zwrócił się do mnie i powiedział te słowa (cytuję, w moim przekonaniu, dosłownie): "Niech mi żona Zołotowa złoży podanie z wyłuszczeniem tego, co słyszałem od pana i ja go po miesiącu zwolnię, ale pod jednym warunkiem, panie mecenasie, że pan jej nie powie o moim przyrzeczeniu, a nawet o tym, że pan ze mną rozmawiał. Pan jej powie, "ten drań Kawecki nie chciał mnie przyjąć".

Uśmiechnąłem się kwaśno na ten kiepski dowcip, a on na to: "panie mecenasie, to jest mój warunek, pan jej powie, i znowu, "ten drań Kawecki nie chciał mnie przyjąć".

Jak można najbardziej ugodowo odrzekłem: "panie ministrze, niech pan nie wybiera dla mnie ani stylu, ani wyrażeń dla moich rozmów z klientem. Przecież mam własny styl tych rozmów. Przyrzekam, iż nie powiem, że z panem rozmawiałem".

Gdy opuściłem gabinet i kierowałem się przez pokój sekretarza ku następnym drzwiom, wiodącym na klatkę schodową, usłyszałem za sobą: "panie mecenasie, panie mecenasie", obejrzałem się: we drzwiach gabinetu otwartych na jedną trzecią część szerokości, stał Kawecki i rzucił: "proszę pamiętać, ten drań Kawecki nie chciał mnie przyjąć".

Taki był ten pan, będący prawą ręką Składkowskiego.

Kawecki dotrzymał obietnicy. Zołotow po miesiącu został zwolniony i wkrótce potem przyszedł do mnie. Opowiedział mi, że po powrocie z Warszawy został z lekka pobity pod akompaniament przygadywań: "zobaczysz s . . . synu twego gównianego obrońcę wkrótce tu, jak będzie tobie się skarżył, itp". Dokładnie opowiedział mi Zołotow o życiu w Berezie. Wszyscy, bez wyjątku, więźniowie byli traktowani przez wszystkich dozorców — od komendanta obozu do ostatniego ciury obozowego — per "ty" zawsze z dodatkiem odpowiednich epitetów, jak, łajdaku, Żydzie, komunisto, draniu, s . . . synu itp. Wszystko co tylko było skierowane do więźniów było wypowiadane ostro, okrzykami, z góry, zawsze z towarzyszeniem gestów porywających się do bicia, kopnięcia, pchnięcia, a często-gęsto z rzeczywistymi kopniakami, pchnięciami, uderzeniami, pluciem w twarz. Uwięzieni w Berezie nie mieli prawa poruszać się nor-

malnym ludzkim krokiem: każda zmiana miejsca musiała być dokonana biegiem. Wszystko jedno, czy się szło do stołu, do umywalni, do wychodka czy na robotę — zawsze biegiem. Więźniowie po kolei utrzymywali porządek w pomieszczeniach, lecz niemal wszystko musieli robić gołymi rękami, a zwłaszcza czyścić wychodki zawsze gołymi rękami. Obóz posiadał konie, obok których więźniowie również byli używani jako zwierzęta pociągowe. Wozy na robotę i z roboty w polu więźniowie zawsze ciągnęli sami, poganiani jak konie, okrzykami i uderzeniami. Rozmowy więźniów między sobą były surowo zabronione pod karą doraźną — uderzeniem pałą i późniejszą — karcerem. Użycie papieru w wychodku było też zbrodnią karaną karcerem. Po pracy więźniowie byli brani na musztrę ze znanym "padnij-powstań", powtarzanym wielokrotnie, po kilkadziesiąt razy.

Kończąc smutną opowieść o Zołotowie, dodam rzecz bardzo istotną: na rozprawie sądowej Zołotow został uniewinniony.



Sławoj-Składkowski swoją obronę instytucji Berezy opiera na dwóch przesłankach:

1) "Władze sądowe często nie mogły zasądzać tych agentów (Sowietów i Niemiec) z braku dowodów prawnych"...

2) "Decyzja wysyłania do obozu odosobnienia pobierana była osobiście przez ministra Spraw Wewnętrznych, celem uniknięcia nadużyć w stosowaniu tego drastycznego środka".

Pierwsza z tych przesłanek jest natury rewelacyjnej. Składkowski jest świadomy, że istnieją dowody prawne; że tych dowodów prawnych czasami brak i dlatego sądy nie mogą zasądzać; że brak dowodów prawnych można zastępować dowodami NIEPRAWNYMI; że on, Składkowski, posyłał współobywateli do Berezy na podstawie dowodów nieprawnych!

Zajmijmy się przez chwilę owymi nieprawnymi dowodami.

W procesie karnym wszystkie dowody są dopuszczalne. Nie ma dowodów prawnych i nieprawnych w procesie karnym. Tylko z d o b y w a ni e dowodów bywa czasem nieprawne. Na przykład, przyznanie się oskarżonego do zarzuconego mu czynu jest dowodem prawnym, lecz wydobycie od oskarżonego przyznania, za pomocą bicia czy tortury, jest nieprawne. Tak więc, jest metoda sądowa zdobywania prawdy i dowodów, metoda badania, śledzenia, zbierania poszlak, konfrontowania ich i wnioskowania. Jest i druga metoda, metoda stosowana przez organy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych czasami, za pomocą bicia, prowokacji, fałszu. Sądy całego świata, tej drugiej metody zbierania dowodów nie lubią. Poprawiam się, nie wszystkie sądy: za żelazną kurtyną innych dowodów niemal nie znają, jak tylko te, które są zdobywane w sposób nieprawny.

Jeżeli chodzi o sprawy komunistyczne w sądach polskich, to, jako długoletni obrońca przed tymi sądami w sprawach komunistycznych, mogę stwierdzić, że sądy w Polsce skazywały ko-

munistów przy najlżejszych dowodach i najsłabszych poszlakach, tak więc powołanie się Składkowskiego na to, że sądy często nie skazywały z powodu braku dowodów, jest nieprawdziwe i użyte tylko w celu stworzenia fałszywego argumentu w obronie nieprawnych, terrorystycznych metod traktowania ludzi w Berezie.

Gdyby chodziło tylko o walkę z naruszeniem prawa wtedy, gdy sądy są bezradne z powodu "braku dowodów prawnych", to dlaczego stosowano w tych przypadkach "drastyczne środki"? Tego Składkowski nie wyjaśnił, jak nie wyjaśni nigdy dlaczego stosowano te środki przeciwko ludziom — jak to udowodnię na przykładach, cytowanych przez samego Składkowskiego — którym nie można zarzucić popełnienia jakiegokolwiek bądź przestępstwa, przewidzianego przez Kodeks Karny czy inny przepis karzący.

Nie dla walki z przestępstwem była powołana Bereza, i nie był deportujący do Berezy Składkowski namiastką sprawiedliwości. Składkowski wysyłał ludzi do Berezy, bo rządzić terrorem wydawało mu się łatwiejsze.

Przechodzę do drugiej tezy, do owej gwarancji nienadużywania tego drastycznego środka. Tą gwarancją jest osoba pobierająca decyzję wysłania. Osoba ta jest oczywiście tak światła, tak wszystko wiedząca, tak nieomylna, że daje absolutne gwarancje przeciwko jakiemukolwiek bądź błędowi, czy nieostrożności. Któż nie wie, że taką właśnie osobą był w przedwojennej Polsce Felicjan Sławoj-Składkowski! Wiadomo, nigdy się nie omylił...

Były czasy kiedy Składkowski był skromniejszy i przyznawał się do błędów i błąkania. Opowiadał mi Emil Brajter, legionista, pisarz i adwokat, a także mój przyjaciel, że podczas zjazdu legionistów w Łodzi Sławoj-Składkowski w kuluarach wywnętrzał się przed grupą kolegów legionowych, wśród których był i sam Brajter, iż szereg razy nie słuchał wskazówek Komendanta, a próbował kierować się własnym rozumem i jakie tego były fatalne skutki, "teraz — zakonkludował Sławoj — całuję prewencyjnie w dupę i słucham rozkazów".

W jakiś czas po opowiedzeniu mi powyższego przez Brajtera słyszałem o tym samym "prewencyjnym całowaniu" od kogoś innego. Nie pamiętam tego źródła, ale pamiętam dobrze, że powtórzenie tego samego określenia całowania, ta lekarsko-ginekologiczna precyzyjność "prewencyjnego" całowania, przekonała mnie wówczas ostatecznie o prawdziwości opowiadania Brajtera. To "prewencyjne całowanie" było także popularne między posłami i dziennikarzami, chociaż oni osobiście tego z ust Generała nie słyszeli.

Kto miałby jeszcze wątpliwości co do wiary we własny rozum pana Składkowskiego, tego odsyłam do pozostałych "Strzępów Meldunków", a zwłaszcza do opisanej w nich rozmowy w formie dialogu między Marszałkiem Piłsudskim a Składkowskim.

Gdyby zaś były wątpliwości co do całowania, to je nie-

zwłocznie sam Składkowski rozproszy. Przedtem jednak ja zauważę, że Składkowski stanowczo przecenia całowanie jako źródło i instrument politycznego rozumu i politycznego działania.



A teraz wróćmy do tych, których Składkowski wysłał własnym rozumem i na własną moralną odpowiedzialność do obozu w Berezie.

Czytam więc u Składkowskiego: "Tak więc w Berezie siedział, na przykład, adwokat z Wysokiego Mazowieckiego, rozbijający stragany żydowskie, jednocześnie z radnym żydowskim Krakowa, wnioskującym o skreślenie z budżetu miejskiego pozycji pomocy dla akademików, których wszystkich uważał za antysemitów.

Obydwaj ci zacietrzewieni p o l i t y c y (podkreślenie moje, L. H.), byli szkodliwi dla całości i zwartości obywateli i Państwa Polskiego".

Konia z rządu Składkowskiego temu, kto wyjaśni co to znaczy: szkodliwi dla c a ł o ś c i i z w a r t o ś c i obywateli"!

Tym radnym Krakowa był mój bardzo dobry przyjaciel. krakowski adwokat, socjalista żydowski, członek Centralnego Komitetu Żydowskiej Partii Robotniczej Bund, Dr Leon Feiner.

Stwierdzam tu z całą pewnością, że Feiner nie zgłosił wniosku o skreślenie pozycji pomocy dla akademików, a wniósł o skreślenie symbolicznej j e d n e j złotówki z subwencji miejskiej dla Bratniej Pomocy Uniwersytetu Jagiellońskiego jako wyraz protestu Rady Miejskiej przeciwko wybrykom antysemickim młodzieży, zrzeszonej w tej Bratniej Pomocy. Wniosek nie przeszedł, subsydium zostało uchwalone.

Czy były wybryki antysemickie młodzieży?

Składkowski nam odpowie: "Najtrudniej było zwalczać antysemityzm na uniwersytetach, na skutek dużej ich autonomii. Ale i do uniwersytetów wkraczała policja, gdy w y b r y k ó w młodzieży przebrała się miara".

Oczywiście, łatwiej jest łamać Konstytucję i zastrzeżone w niej prawa obywateli do czynienia wszystkiego tego, co nie jest przez Prawo Karne lub inne przepisy karzące zabronione — niż, dużą autonomię uniwersytetów.

Uroczyście oświadczam: jako zawzięty przeciwnik wszelkich obozów, stalinowskich, mussolinowskich, hitlerowskich i składkowskich, nie mam do Felicjana Sławoja-Składkowskiego żadnego żalu za to, że nie wysłał do Berezy ani jednego polskiego akademika, który przebrał w antyżydowskich wybrykach miarę. Stwierdzam tylko, że nie wysłał, a robię to tylko w celu podkreślenia podwójnej miarki Składkowskiego: za wniosek skreślenia symbolicznej złotówki starszy, z siwą głową, adwokat jedzie do Berezy, a za wybryki, których przebierała się

miara młodzi ludzie korzystali z "dużej" autonomii uniwersytetów.

Pamiętamy, że potrzebę Berezy Składkowski uzasadnił tym, iż sądy były bezsilne z powodu braku "dowodów prawnych", z czego wynika, że Bereza była stosowana do przypadków popełnienia czynu występnego, który ze względów technicznych nie mógł być w przepisany sposób stwierdzony, ale istniał, przynajmniej w umyśle Składkowskiego.

Publicznie zapytuję pana Składkowskiego, jakiego czynu występnego dopuścił się adwokat Feiner przez ogłoszenie swojego wniosku?

Kochany stary Kraków był mocno zażydzony. Posiadał duży odsetek ludności żydowskiej. Ludność ta płaciła podatki miejskie i była uprawniona do wybierania radnych miejskich, którzy mieli nie tylko prawo, ale i obowiązek wglądać w to jak się wydaje zebrane z podatków od całej ludności pieniądze. Każdy radny miał prawo do protestowania przeciwko takiemu czy innemu wydatkowi z kasy miejskiej, jeżeli wydatek ten uważał za niewłaściwy. Na to został wybrany!

W Krakowie był uniwersytet, a w nim młodzież. Polska brawurowa młodzież. Młodzież czasami pozwalała sobie za dużo. Bojkotowała kolegów Żydów, czasami pobiła ich, zawsze niemal — w ostatnich latach — pchała ich na lewą stronę audytoriów, a nawet wynosiła, jak pamiętamy, swoje animozje antysemickie na ulicę. Czy radny-Żyd, wybrany przez ludność żydowską miał się temu przypatrywać biernie? Miał milczeć? Miał tego wszystkiego nie widzieć?

Szczęśliwy Sławoj-Składkowski! Może na cały świat stwierdzić, że młodzież akademicka w Polsce dopuszczała się czasami wybryków antysemickich, nawet ponad miarę. Ale radnemu żydowskiemu, wybranemu przez ludność żydowską — wara.

Tak ta sprawa wygląda, sprawa Feinera, zesłanego przez Składkowskiego do Berezy.

Feiner nie żyje. A Składkowski pośmiertnie spotwarza go, głosząc o nim, że był szkodliwy dla całości i zwartości Polskiego Państwa...

Gdy Feiner pojechał do Berezy, sprawą jego zajęli się nie tylko socjaliści żydowscy, ale i polscy, głęboko dotknięci brutalnością Składkowskiego. Oficjalnie, z ramienia rodziny, interweniował radny warszawski, również członek C.K. Bundu, adwokat warszawski, Henryk Erlich, dwukrotnie skazany przez stalinowską sprawiedliwość na karę śmierci i rzeczywiście stracony.

Erlicha nie chciał przyjąć w tej sprawie, ani Składkowski, ani wiceminister, który zastąpił Kaweckiego. Gdy Erlich podzielił się tym ze mną opowiedziałem mu o Kaweckim, "ten drań Kawecki nie chciał mnie przyjąć". Erlicha skierowano do dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa, p. Żyborskiego. Ponieważ tak się zdarzyło, że Erlich musiał wyjechać, ja w jego zastępstwie dwukrotnie złożyłem wizytę Żyborskiemu. Za

drugą moją wizytą Żyborski powiedział mi tak: "pan minister polecił zakomunikować panu, że każda interwencja w sprawie Feinera przedłuży pobyt jego w Berezie o miesiąc".

Czy to był wymysł Żyborskiego, czy też rzeczywiście polecenie Składkowskiego — jest to bez różnicy. Istotne jest, że bardzo wysoki urzędnik Ministerstwa powiedział coś podobnego do obywatela, który nie mógł tego przyjąć inaczej, jak wyraz terroru. Pomyśleć tylko: oficjalnie mi powiedziano, że za moje zachowanie ktoś inny posiedzi dłużej w Berezie.

Tak to wyglądały w praktyce nauki i zlecenia Składkowskiego o tym, że "urzędnik jest sługą społeczeństwa, i że tabakiera — dla nosa", a także "sprawiedliwość, rzeczowość i obiektywność administracji postawiłem jako naczelne wymagania".

Widziałem Feinera może w 10 godzin po zwolnieniu go z Berezy. Był bardzo opalony, bo pracował w polu, a był to czerwiec i lipiec. Zawsze szczupły, wychudł jeszcze bardziej. Oczy miał zapadłe. Na twarzy malowało się wyczerpanie. Nie bito go w Berezie. Opisane przez Zołotowa porządki i traktowanie całkowicie potwierdził. Po powrocie jego do Krakowa miałem od niego wiadomość, że lekarze zalecili mu dłuższy odpoczynek, który w kilkanaście dni po jego zwolnieniu przerwała wojna.

Wojna. Premier i buńczuczny pan na Berezie, Felicjan Sławoj-Składkowski przezornie opuścił Polskę. Polski generał po różnych peregrynacjach ostatecznie przykucnął pod palmą w żydowskiej Palestynie. Przetrwał. Pisze pamiętniki. Zgadza się na to, by je drukowano z kwalifikacją "Niebohaterskie". Chociaż niebohaterskie, a jednak generalskie.

Żydowski radny Krakowa też przykucnął. Pod nosem i karabinami niemieckiego okupanta. Feiner poszedł w podziemie i wspólnie z Pepesowcami organizował walkę z okupantem. Feiner został przewodniczącym Centralnego Komitetu Bundu i mężem zaufania polskiego robotniczego podziemia. Na Feinera ręce szły pieniądze od amerykańskich robotniczych organizacyj dla całego podziemia robotniczego, nie tylko żydowskiego. On, Feiner, jako Mikołaj otrzymywał te pieniądze początkowo przez Stockholm, a później via Londyn, przez Polski Rząd i samolot. Feiner wyliczał się z tych pieniędzy przed amerykańskim ruchem i przysyłał przez Londyn szczegółowe sprawozdania z podziału, a także o ruchu podziemnym. O nim, o więźniu Składkowskiego z Berezy, pisze Jan Karski w swojej książce "Story of a Secret State", Rozdziały 29 i 30. O nim i jego działalności w podziemiu opowiadał Karski prezydentowi Rooseveltowi, Churchillowi, a także innym. W książce zaś pisze Karski o Feinerze tak (tłumaczę z angielskiego dosłownie): "Na nim ciążył również niebezpieczny i ciężki obowiązek kierowania pracą specjalnego wydziału Delegata Polskiego Rządu, który zorganizował pomoc dla ludności żydowskiej i ratowania z getta najbardziej potrzebnych ludzi".

Szkodnik polski!

Gdy wojska sowieckie zajmowały Polskę, dr Leon Feiner umierał w szpitalu na raka. Na stanowisku swoim trwał do śmierci.



W imię Prawdy i Sprawiedliwości chcę sprostować twierdzenie Składkowskiego odnośnie tego adwokata z Wysokiej Mazowieckiej, którego on wysłał do Berezy za "rozbijanie straganów Żydów".

To nie jest prawdą!

Nazwiska tego adwokata nie pamiętam, ale sam wypadek pamiętam.

Byłem wówczas członkiem Rady Adwokackiej w Warszawie i pamiętam, że sprawa osadzenia tego adwokata w Berezie przyszła pod obrady. Ówczesny dziekan Rady, adw. Leon Nowodworski, jednogłośnie został upoważniony do interweniowania w tej sprawie w imieniu Rady.

Było nas wówczas w Radzie kilku Żydów. Wszyscy byliśmy wrażliwi na rozbijanie straganów i na pewno protestowalibyśmy wszyscy, gdyby na adwokata padło podejrzenie udziału w takim akcie. Nie mam żadnej wątpliwości, że wszyscy członkowie Rady podzieliliby nasze stanowisko, iż adwokat biorący udział w rozbijaniu straganów dopuszcza się tak istotnego pogwałcenia reguł etyki ludzkiej i adwokackiej i obniża tak dalece powagę i godność członka palestry, iż nie mógłby być tolerowany w adwokaturze. W żadnym razie nie mogłoby to przejść bez dochodzenia dyscyplinarnego, gdyby w tym, co dziś opowiada Składkowski, było chociaż trochę prawdopodobieństwa.

Wiem, że ów spotwarzony przez Składkowskiego adwokat był członkiem, czy to Stronnictwa Narodowego, czy też Obozu Narodowo-Radykalnego, a więc był antysemitą. Ale wiem także, że był antysanatorem. Pamiętam, że w swoim okręgu cieszył się powodzeniem na terenie politycznym i właził za skórę ówcześnie rządzącej Polską koterii. I to właśnie zaprowadziło go do Berezy. Aczkolwiek Składkowski zaprzecza, iż wysyłał do Berezy przeciwników politycznych: "wysyłałem tam jedynie ludzi szkodzących Państwu, a nie jakiejkolwiek partii", to jednak nie wysłał tam ani jednego sanatora. Nam, współczesnym, Składkowski nie wmówi, że w sanacji nie było szuj i świń.

Zresztą Składkowski wygadał sie kogo wysłał do Berezy: "Obydwaj (to znaczy, Feiner i ów z Wysokiej Mazowieckiej adwokat) z a c i e t r z e w i e n i p o l i t y c y"... Politycy! Za politykę, a nie za stragany czy złotówki z budżetów na akademików obaj zostali osadzeni w Berezie. Taka jest prawda. Nawet dziś, gdy pisze wspomnienia swoje, Składkowski myśli o tych swoich ofiarach, jako o politykach i tym daje świadectwo prawdzie.



Składkowski obecnie przypomina swoje najbardziej bodaj pamiętne przemówienie w Sejmie i mówi: "po napiętnowaniu barbarzyństwa załatwiania spraw przez pogromy, wskazałem drogę współzawodnictwa handlowego i przemysłowego dla tych, którzy chcą zwalczać Żydów, mówiąc:

Walka ekonomiczna, i owszem.

Dziś Składkowski zaprzecza, że tym "I, owszem" aprobował bojkot Żydów w Polsce.

Jako polski Żyd, jako obywatel Polski, stwierdzam z całą stanowczością, że wszyscy w Polsce, a nie tylko "na lewicy społeczeństwa polskiego i w sferach nacjonalistycznych — żydowskiego", jak mówi Składkowski, powyższe słowa premiera przyjęte zostały jako nawoływanie do bojkotu, lecz bez gwałtów.

Żadne wykręty tu nie pomogą!

Ci, którym Składkowski wskazał drogę współzawodnictwa handlowego i przemysłowego nie przyjmowali udziału w pogromach, to chyba jasne; zaś ci, którzy uczestniczyli w pogromach nie mieli ani środków, ani możliwości handlowego i przemysłowego współzawodnictwa z Żydami.

Słowa Składkowskiego były rzucone w atmosferę wielce napiętą, kiedy bojkot wszystkich sklepików, sklepów, usług we wszystkich dziedzinach szerzył się jak leśny pożar, kiedy biedota żydowska była gromiona przez taką samą biedotę polską, kiedy rozum masowy zastąpił afekt, kiedy rozagitowane masy w unicestwieniu żydowskich straganów widziały jedyne wyjście ze swojej ciężkiej sytuacji materialnej. Dla tych mas, to subtelne słówko "walka ekonomiczna, i owszem", było nawoływaniem do trwania w bojkocie, a nie oliwą na wzburzone bałwany.

Jeżeli przyjąć, że Składkowski szczerze myślał — przyznaję się, że ja to przypuszczenie odrzucam — iż używa tych swoich słów w intencji powstrzymania bojkotu, to wystawił sobie świadectwo, że nie nadawał się na to wysokie i odpowiedzialne stanowisko, które zajmował, że nie rozumiał atmosfery dokoła niego, że nie znał się na psychologii mas, że nigdy nie słyszał o tym jak działa aparat asocjacyjny tłumu.

Składkowski pisze, że nie przejmował się tym, iż mówiono o nim, że nawołuje do bojkotu. Może i dziś się tym nie przejmować, ale Składkowski dodał oliwy do nastrojów antysemickich w Polsce — to jest opinia nie tylko moja, jednego Żyda, to jest opinia wszystkich polskich Żydów, tych, którzy zginęli i tych, co jeszcze dziś przypadkiem tylko żyją.

Chcę wierzyć, że z polskiej strony odezwie się też jakiś głos w tej sprawie.

•

Kilka słów o "uboju rytualnym", o którym Składkowski pisze: "mimo półtorarocznego dyskutowania jej (ustawy o zniesieniu uboju rytualnego) w Sejmie, ustawa o zniesieniu uboju rytual-

nego w Polsce nie została uchwalona przez ciała ustawodawcze i nie weszła w życie, wbrew opowiadaniom wielu ludzi"...

O co szło inicjatorom ustawy? Nie o pobudki humanitarne. Szło o wyrugowanie Żydów z przemysłu i handlu rzeźniczego i bitym mięsem. We wszystkich prawie rzeźniach Polski, z wyjątkiem b. Dzielnicy Pruskiej, rzeźnicy Żydzi stanowili bardzo poważny odsetek pracowników. Wiele rzeźni należało kiedyś do Żydów. Inicjatorom chodziło o odżydzenie tego odcinka. Zamiast zastosować się do rady premiera i wejść na drogę współzawodnictwa, postanowiono użyć przemocy prawodawczej. Tu mamy typowy przypadek zastosowania bojkotu w formie działalności izb ustawodawczych.

Półtora roku dyskutowano o tej ustawie... Czy to nic nie mówi? W ciągu tych półtorarocznych dyskusyj, badań, rozważań wyjaśniło się, że cel, o którym mowa wyżej, może być osiągnięty i w przypadku wyrzucenia z nagłówka ustawy jednego słowa "zniesieniu". Nadano ustawie bardziej eufemiczne brzmienie. Tylko.

Dla tych, którzy by chcieli rzecz sprawdzić u źródła i przekonać się jak dalece rzetelny jest Składkowski w swoich wypowiedziach obecnych, podaję numery Dziennika Ustaw, zawierających odnoszącą się do przedmiotu twórczość prawodawczą i administracyjną:

Dz.U.R.P. Nr 29 z 1936 r., poz. 237, Ustawa z dn. 17 kwietnia 1936 roku, "O uboju zwierząt gospodarczych w rzeźniach".

Dz.U.R.P. Nr 70 z 1936 r., poz. 504, "Rozporządzenie Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dn. 26 sierpnia 1936 r., wydane w porozumieniu z Ministrem Wyznań Religijnych oraz Ministrem Spraw Wewnętrznych o sposobach i warunkach uboju rytualnego zwierząt gospodarczych".

Dz.U.R.P. Nr 70 z 1936 roku, poz. 505, "Rozporządzenie Ministra Przemysłu i Handlu z dn. 5 września 1936 r. wydane w porozumieniu z Ministrem Rolnictwa i Reformy Rolnej o warunkach obrotu mięsem, pochodzącym z uboju rytualnego".

*

Strzępy moich wspomnień o Składkowskim i jego podwładnych chcę zakończyć opowiedzeniem epizodu, charakteryzującego nastrój rzeczowości, sprawiedliwości, no i lojalności wobec władz najwyższych, a także obywateli. Rzecz jest tym ciekawsza, że rozegrała się w stolicy, pod samym nosem Składkowskiego.

Pewnego dnia w roku 1938, zgłosił się do mnie klient i przedstawił mi następującą sprawę: siostra z Ameryki przysłała mu affidavit dla niego, żony i małego dziecka; jest szewcem, Żydem, jest dookoła bojkot, żyć nie można, ciągle słyszy dookoła "do Palestyny"; chce emigrować; napotyka jednak na przeszkodę w postaci niemożności otrzymania świadectwa niekaralności, bez którego konsul Stanów Zjednoczonych wizy nie

udzieli. Był karany więzieniem na dwa lata za posiadanie odezw komunistycznych i karę odbył przed trzema laty.

W rozmowie wyjaśniłem, że od czasu opuszczenia więzienia nigdy nie był przez policję zatrzymywany i notowany; po wyjściu z więzienia ożenił się, ma małe dziecko i polityką się więcej nie interesuje.

Wytłumaczyłem temu człowiekowi, że jedyną radą w jego sytuacji jest zwrócenie się do Prezydenta z prośbą, by w drodze łaski nakazał zatarcie skazania w rejestrze karnym. Pozostawiłem jego decyzji czy chce z tej drogi skorzystać. Nie miał ani chwili wahania. Wobec jego postawy napisałem, oczywiście, w jego imieniu, podanie do Pana Prezydenta, w którym krótko, lecz szczegółowo wyjaśniłem sytuację petenta i cel, dla którego molestuje Głowę Państwa o tę łaskę.

Po uzyskaniu, zgodnie z przepisami o ułaskawieniach, przychylnych opinii sądów okręgowego i apelacyjnego, podanie przesłane zostało do kancelarii cywilnej Prezydenta. Po kilku tygodniach otrzymałem reskrypt Prezydenta przychylający się do prośby petenta. Zapis o karalności został z rejestru karnego wykreślony.

Z tym reskryptem Prezydenta ów przyszły emigrant udał się do starostwa przy ul. Długiej i prosił o wydanie mu świadectwa o niekaralności. Polecono mu przyjść za kilka dni. Po tych kilku dniach przyszedł do mnie przestraszony śmiertelnie i opowiedział, iż w starostwie oświadczono mu, że świadectwa nie dostanie i nie może dostać.

Udałem się na ul. Długą, gdzie mi wytłumaczono, iż wydanie zaświadczeń o niekaralności należy do kompetencji wydziału bezpieczeństwa Komisariatu Rządu, zaś starostwo jest tylko organem wykonawczym. Decyzja odmawiająca przyszła z Komisariatu Rządu.

Poszedłem do wydziału bezpieczeństwa Komisariatu Rządu i byłem skierowany do "pana radcy" Szmakfeffera. Oświadczył mi on głosem podniesionym i bardzo kategorycznie: "nie dostanie świadectwa o niekaralności; mam dosyć tego: wyjeżdżają z Polski i tam nadal uprawiają swój komunistyczny proceder i w ten sposób wyrabiają Polsce zagranicą opinię skomunizowanego kraju; nie dam zaświadczenia i nic mnie nie obchodzi łaska Pana Prezydenta; ja trzymam się takiego trybu: jeżeli w ciągu pięciu lat po zwolnieniu z więzienia skazany nie był ani razu zatrzymany czy notowany, to mu świadectwo niekaralności dam bez względu na to czy Prezydent ułaskawił czy nie, a do upływu pięciu lat nie stwierdzę niekaralności".

Słuchając tej buffonady, myślałem o tym, do czego to może dojść przewrotność ludzka: przecież ten sam pan na pewno w odpowiedniej chwili i miejscu wygłasza opinię, idącą z góry, że Żydzi powinni z Polski wynieść się — przecież nawet taki Franciszek Paschalski, ongiś liberał, głosił to z trybuny Rady Miejskiej stolicy — a gdy biedny Żyd chce wyjechać i

ma ku temu możność, to pan radca właśnie mu w tym przeszkadza.

Zapytałem pana Szmakfeffera, czy to jest jego ostatnie słowo. Był bardzo zdumiony. Odwracając się ode mnie rzucił, że nie ma nic do dodania.

Tegoż dnia napisałem list do Pana Generała Felicjana Sławoj-Składkowskiego, do którego załączyłem odpisy reskryptu Prezydenta i mojego podania, aby unaocznić, że łaska była okazana właśnie w celu umożliwienia petentowi wyjazdu. Pisałem do Składkowskiego jako do Ministra Spraw Wewnętrznych i powiedziałem tak: "przedstawiam Panu Generałowi dowody tego, iż podwładny Mu urzędnik dezawuuje Pana Prezydenta".

Na czwarty dzień po wysłaniu tego listu przyszedł mój klient z wiadomością, że tegoż dnia z rana odwiedził go policjant i zapytał, czemu nie zgłasza się do starostwa po odbiór zaświadczenia, które tam leży przygotowane od kilku dni.

Ale mnie Pan Generał Felicjan Sławoj-Składkowski na list nie odpowiedział. Pan Generał całował Marszałka. Potem całował chłopki. Ale odpisać na list żydowskiego adwokata — co to, to nie.

Ludwik HONIGWILL.

Książki

Nagrody literackie «Veritasu»

W roku 1950 Katolicki Ośrodek Wydawniczy "Veritas" w Londynie wystąpił z cenną inicjatywą nagród literackich dla pisarzy tworzących na emigracji. Po pierwszym udzieleniu nagród, w tymże roku, grupie pisarzy za twórczość "zgodną z zasadami wiary i obyczajów katolickich" Veritas ufundował powtórnie własnym sumptem przy pomocy składek czytelników sześć nagród w łącznej kwocie £ 200. Przyznanie tych nagród nastąpiło w maju br.

Skład Jury był następujący: mgr. M. Danielewiczowa, prof. W. Folkierski, O. J. Jarzębowski, red. W. Wasiutyński i niżej podpisany. Przewodniczył prof. S Stroński, sekretował red. J. Bielatowicz.

Przydzielenie nagród literackich na emigracji nie jest zadaniem prostym ani łatwym. Różni się ono bardzo swoim zakresem i mnogością celów od udzielania takich nagród w normalnych warunkach, kiedy nagradzanie pisarzy miało raczej charakter literackiego sportu; dzisiaj stało się ono poważną akcją społeczno-narodową. W bardzo trudnym położeniu ogółu pisarzy polskich na emigracji, prawie bez możliwości drukowania książek, bez powszechnego odbioru i oceny i wśród ciężkiej walki o byt nagrody literackie przyjmują na siebie równoczesną rolę wysłuchania pisarza i przeżycia jego dzieła, osądu i szerokiego uznania, a zarazem choćby jednorazowej i najskromniejszej pomocy materialnej — słowem, rolę społecznego odzewu. Instytucja nagród literackich czy raczej ich spontaniczny, a jednak celowy łańcuch, nawiązujący się od jednego kraju wygnania do drugiego, usiłuje zastąpić dzisiaj pisarzom na obczyźnie, to co zwykło dawać normalne społeczeństwo i rozległy krąg czytelników — którego dzisiaj nie staje.

Ten szczególny charakter nagród literackich na emigracji narzuca im, poza miarą bezwzględnej wartości literackiej, ca-

ły szereg dodatkowych, a przyjętych umownie wskazań jak: możliwie szeroki zakres nagród, nie mnożenie ich w stosunku do jednego pisarza (chociaż w wypadku Parnickiego Jury uczyniło od zasady tej wyjątek), liczenie się do pewnego stopnia z sytuacją materialną itp, co wszystko musi komplikować wybór i wykracza daleko poza proste zadania oceny czysto literackiej. Dodać do tego trzeba ograniczenia, jakie w danym wypadku wykreślał katolicki charakter nagród, jakkolwiek Jury w znacznym stopniu rozszerzyło te granice, przyjmując, że może nagradzać wszystkich pisarzy "których twórczość nie jest sprzeczna z zasadami katolicyzmu".

Mam jednak wrażenie — jeśli uczestnikowi wolno orzekać — że mimo tylu różnych i przeczących sobie nieraz wytycznych, Jury Nagród Literackich Veritasu udało się dokonać sprawiedliwego i trafnego wyboru; poziom i jakość pisania były przede wszystkim brane pod uwagę jako mierniki decydujące w dyskusjach jury — zdradzę, że nieraz gorących.

Materiał, jaki sędziowie Jury mieli do oceny był dwojaki: 1) utwory nadesłane w rękopisach (nadeszło ich 28) — oraz 2) całokształt działalności każdego pisarza.

Bardzo ciekawe wnioski można by wysunąć z charakteru prac nadesłanych. Oczywiście, tajemnica obowiązująca Jury nie pozwala ujawnić szczegółów. Mówiąc jednak ogólnie: nadzieja, jaką z uporem żywię, iż wielkość emigracyjnego pisarstwa może się kryć właśnie w utworach nieznanych i dotąd nie drukowanych — nie została tym razem potwierdzona. Materiał nadesłany, to przeważnie opowieści obracające się w dotychczasowym rejonie łowów literackich wyobraźni emigracyjnej: w obozach niemieckich czy łagrach sowieckich, albo najwyżej w przedwojennym kraju. Poziom literacki w wielu wypadkach dobry, choć nie uderzający.

Najbardziej zaciekawia inna grupa. Utwory pisarzy całkiem młodych, próbujących swego pióra, nieporadnych jeszcze, a nawet nie zawsze władających dobrze językiem polskim, by nie mówić już o literackim. Pisarzy tych wyraźnie kształtowało już środowisko obce. Materiał ten, dla surowości swej i braków językowych, nie nadawał się, niestety, do udzielania nagród, ale niewątpliwie był obiecujący, żywy, o aktualnej i świeżej tematyce. Z tych dzikich jeszcze, ale jędrnych odrośli starego pnia coś powinno się narodzić.

Wybija się zwłaszcza krótka powieść z życia hostelu polskiego w Anglii, przypominająca bardzo poczuciem rzeczywistości humorem, werwą a zarazem brutalnością ujęcia "Wspólny pokój" Uniłowskiego.

Nagród było sześć: 1) Za ogólną działalność pisarską dla pisarza przedwojennego. 2) Nagroda młodych. 3) Nagroda za niedokończony utwór literacki. 4) Nagroda za katolicką działalność publicystyczną. 5) Nagroda za pracę naukowo humanistyczną. 6) Nagroda poetycka. Pierwsze dwie po £ 50, następne po £ 25.

Nagrodę za ogólną działalność pisarską przedwojenną i obecną otrzymał Teodor Parnicki. Paweł Hostowiec omówił już w "Kulturze" tak celnie prawo Parnickiego do literackiej nagrody — że nie pozostało mi chyba nic do dodania. Odsyłam po prostu czytelników do nr 54 "Kultury".

Nagrodę młodych, przeznaczoną dla pisarza, który nie wydał książki przed wrześniem 1939 r. otrzymał Janusz Jasieńczyk za całokształt swej twórczości (dwie powieści wydrukowane za granicami kraju, a trzecia już w druku), w szczególności zaś za nadesłaną w rękopisie powieść "Słowo o bitwie".

Wybór Jasieńczyka do "nagrody młodych" wydaje się równie trafny, jak nagrodzenie taką samą nagrodą Tadeusza Nowakowskiego przez Jury pierwszych nagród Veritasu. Choć starszy od Nowakowskiego latami, jest Jasieńczyk niemniej młody charakterem swej twórczości: śmiałym, niespokojnym i szukającym ciągle nowych dróg. Można by go nazwać szturmowym pisarzem emigracji — za to że w każdym swym utworze zmaga się z nowymi zagadnieniami myśli i formy. "Słowo o bitwie", przyjęte jako główna podstawa do udzielenia Jasieńczykowi nagrody jest oryginalną trawestacją rzeczywistej bitwy pod Gazalą, oglądanej we wspomnieniach jej ofiar w szpitalu wojennym. Całość dąży, przy pełnej wyrazistości i plastyce obrazów, do wniknięcia niejako w istotę każdej bitwy i zapowiada się na jedną z najlepszych powieści wojennych naszych lat.

Następna — to nagroda za utwór niedokończony. Prac rozpoczętych w rękopisie nie było wiele do wyboru. Nadesłano raczej całości zamknięte. Nagroda dostała się Michałowi Samborowi, nie tylko za nadesłany przezeń zbiór poetyckiej prozy, pełen szczerego uczucia i zamyślenia nad życiem, ale bardziej jeszcze za całokształt jego twórczości krytycznej — rzeczowej, poważnej, który wyróżnia Sambora wśród krytyków emigracyjnych.

Nagroda "za działalność publicystyczną w duchu programowo katolickim", należała się bezsprzecznie Marii Winowskiej. Od wielu lat celne i wymowne jej pióro wkracza wszędzie, gdzie poruszane są problemy katolicyzmu. Wyrobiła ona już sobie autorytet i wszechobecność instytucji. Był to wybór, można powiedzieć, nie unikniony.

Natomiast wyborem przymusowym — bo wbrew woli nagrodzonego — można by nazwać udzielenie nagrody prof. Kościałkowskiemu za jego długoletnią działalność naukowo-humanistyczną, nie w tylko w książkach i artykułach, ale przede wszystkim poprzez żywe słowo. Chociaż dostojny wybraniec zbuntował się przeciw nagrodzie i odmówił jej przyjęcia, Jury jest spokojne, iż dokonało słusznego wyboru.

Nagrodę poetycką — potrzebny równoważnik w tym zalewie nagrodzonej prozy — otrzymała Zofia Bohdanowiczowa. Miłośnicy jej prostych, szczerych i uroczych — właśnie przez swoją szczerość i prostotę — wierszy ucieszą się nagrodze-

niem tej pieśniarki ziemi wileńskiej i nieukojonej za Wilnem tęsknoty.

Uroczyste wręczenie nagród odbyło się 15 maja 1952 r. w Sali Katolickiej Misji Polskiej w Londynie. Było to zarazem pożegnanie tej owocnej imprezy, podjętej przeszło przed dwoma laty przez "Veritas" — owocnej nie tylko w swym bezpośrednim działaniu, ale i przez rozpoczęcie łańcucha innych nagród podobnego typu.

Z ust kierownika "Veritasu", J. Kisielewskiego, padła po rozdaniu nagród, zapowiedź przejścia do nowej, bodajże jeszcze bardziej celowej formy pomocy pisarzom i kulturze polskiej na obczyźnie. "Veritas" zamierza przystąpić do periodycznej akcji wydawniczej książek polskich na szeroką skalę, która objęłaby zarówno wartościowe wznowienia, jak drukowanie dzieł nowych, powstających na emigracji. Niedawno czytaliśmy o podobnej, choć na razie skromniejszej periodycznej akcji wydawniczej księgarni B. Świderskiego w Londynie. Zdawało by się więc, że książka polska na obczyźnie, która powoli dogrywała od tylu lat, zaczyna wreszcie wracać do normalnego życia.

Może pisarz polski będzie mógł tworzyć nie tylko dla swej teki i przyjaciół, albo dla umieszczenia kilku fragmentów w którymś z nielicznych czasopism, lecz w tym poczuciu że dzieło jego pójdzie między dalekich czytelników, w prawdziwym wcieleniu książkowym.

A nagrody literackie przestaną być potrzebne, gdy pisarz będzie mógł taką normalną drogą dobijać się u swych czytelników o najcenniejszą nagrodę — nagrodę zrozumienia, uznania i skromnego choćby dochodu z rozsprzedaży własnych książek.

Wit TARNAWSKI.

Na szlaku B. Constant i Prousta

Najtrafniejsze dla mnie określenie roli pisarza daje Proust w "Temps Retrouvé": jak zwykle u Prousta, jest to długie porównanie pisarza do okulisty, książek do szkieł, które kolejno próbujemy przed tablicą, aż natrafimy na tę parę okularów, która rozproszy mgłę i nada otaczającym nas formom ostre kontury. Książka — rzecz prosta — daje nam jasną wizję w głąb nas samych. Podobnie jak okulary — innemu czytelnikowi może nie pomóc, może mu nawet zaciemnić pole widzenia.

---

*) Emmanuel Berl: "Sylvia", Gallimard, 1952.

Pisarze, którym zawdzięczam pierwsze jaśniejsze spojrzenie na siebie samego — to Benjamin Constant i Proust. Myślę, że nie jestem w tym odosobniony: "Adolphe" jest pierwszą obiektywną auto-analizą człowieka, który przez swoją niepewność istnienia bardziej jest nam duchowo współczesny niż swojej epoce: "Czas Utracony", to pierwsza próba uchwycenia życia w jego prawdziwej formie, odpowiedzi na zagadkę, którą nam stawia pojęcie "ja".

Może dlatego głównie jestem pod urokiem książki, która przywodzi na myśl i Benjamin Constant i Prousta. Autor "Sylvia", Emmanuel Berl, nieco młodszy od Prousta, urodził się w tym samym środowisku zamożnej paryskiej burżuazji żydowskiej. Podobnie jak Proust delikatny jako dziecko, tak jak i on opierający się wszelkimi siłami życzeniu rodziny, aby poprzez Ecole Normale wybrał jakąś "karierę", tak jak młody Marcel wożący po palace'ach dandysowskie zmęczenie i nudę, Berl stara się u schyłku życia w "Sylvia" znaleźć klucz do swej własnej zagadki. "Sylvia", to właściwie nie powieść, lecz ściśle autobiograficzne opowiadanie na wzór "Cécile" Benjamin Constant. Berl nie zmienia nawet imion ani nazwisk: Anna de Noailles, sam Proust, Drieu La Rochelle, jego własna żona i kochanki, przewijają się poprzez jego książkę wraz z Paryżem lat dziewięćsetnych, frontem nad Marną, zagadnieniami, które go pasjonowały. Ale tak osoby jak i wypadki nie mają w "Sylvia" wagi bezpośredniej: Berl nie pisze tu "wspomnień". Nie jest to również, jak "Cécile" analiza miłości: sama Sylvia jest raczej "leitmotivem" książki, symbolem bardziej niż bohaterką.

Na roli Sylvii, na charakterze tego symbolu, polega zresztą różnica pomiędzy Proustem i Berlem. Całe strony książki Berla wydają się nam "variations sur un thème de Proust". Rytm książki, charakter obrazów, sama materia życia jest niemal identyczna. Wystarczy zacytować jedno zdanie, aby wykazać jak głębokie jest to pokrewieństwo (Berl mówi o wierzbach swej młodości, które były dla niego **autentycznym** przeżyciem): "Sprowadzone do wspólnego mianownika słów, moje wierzby znad rzeki Auge nie są warte, ani mniej, ani więcej od innych. Nie należą już ani do mnie, ani do nikogo, aż do chwili, gdy wewnętrzne lub zewnętrzne zdarzenie, wspomnienie wzruszenia lub widok arcydzieła mi ich przypadkiem nie powróci". Czyż to nie skrót tej wizji życia, która zawiera "la madeleine" i nierówność bruku na dziedzińcu hôtel de Guermantes, trzy drzewa na drodze do Balbec, żółtą ścianę Vermeera i "la petite phrase" z sonaty Vinteuila? Ale dla Prousta błyskawica wspomnienia i autentyczne przeżycie artystyczne — to jedyna forma prawdziwego istnienia, jedyny sposób zatrzymania fali czasu, która unosi niezliczone i bezwartościowe wcielenia naszego "ja". Dla Prousta człowiek jest zawsze i beznadziejnie samotny, pomiędzy ludźmi nie ma żadnej możliwości komunikacji, miłość jest chorobą, a przyjaźń

fikcją. Berl opisuje w "Sylvia" kilka swoich wizyt u Prousta i pasję z którą Proust chciał zniweczyć jego "złudzenia". Jest coś przejmującego w tym opisie chorego człowieka o opuchniętej asyryjskiej twarzy, który przyjmuje przyjaciół dopiero po północy i który cierpliwie uczy Berla bezwzględnej, bezlitosnej analizy. Dopiero kiedy Berl, który czuje prawdę swego stosunku z Sylvią powie Proustowi, że miłość nie jest tylko halucynacją onanistyczną, Proust wyrzuci go za drzwi krzycząc: "Vous êtes bête!".

Gdyż świat Berla nie jest równie beznadziejny, równie zdeterminowany jak świat Prousta. Pomimo, że życie jego jest zmarnowane, miłość do Sylvii nie zrealizowana, pisze on pod koniec książki: "Wszystko mi stało zawsze otworem, moje życie nie było niczym innym jak nieskończoną serią omyłek". Książka Berla jest próbą analizy tego zasadniczego nieporozumienia. Jest również próbą odnalezienia sensu własnego życia. Sens ten który Berl tak jak Proust znajdzie w transformacji osiągniętej przez wspomnienie i sztukę, oraz — inaczej niż Proust — w autentycznym stosunku do Sylvii, doprowadzi go do dziwnie współczesnej formy mistycyzmu: do wiary w nieobecnego Boga, który nie stworzył świata i którego nie jesteśmy obrazem. "Sylvia" kończy się wyznaniem wiary, które może się wydać paradoksem, a jest zgodą na życie, sformułowaną przez cywilizowanego człowieka, któremu trudno być nihilistą.

KAJ.

Książki nadesłane

LITERATURA

BARDET (G.). **Demain c'est l'an 2000!** Pp. 308. (Ed. Plon, Paris, 1952, fr. 480).

MALRAUX (A.). **Les voix du silence.** (Ed. Gallimard, 1952, Paris, fr. 1900).

NEUMANN (A.). **Le diable.** Pp. 406. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1952).

BUECHNER (F.). **Tout un jour pour mourir.** Pp. 250. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1951).

VIDAL (G.). **La saison du confort.** Pp. 273. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1952, fr. 900).

PERRIN (M.). **Monnaie de singe.** Pp. 252. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1952).

YOURCENAR (M.). **Alexis ou le traité du vain combat.** Pp. 191. (Ed. Plon, Paris, 1952, fr. 300).

HAMP (P.). **Hormidas le Canadien.** Pp. 253. (Ed. Plon, Pari[s] 1952, fr. 420).

ELIADE (M.). **Le mythe de l'éter[nel] nel retour.** Pp. 254. (Ed. Galli[mard] mard, Paris, 1949.

ELIADE (M.). **La nuit bengal[i]** Pp. 260. (Ed. Gallimard, Pari[s] 1950, fr. 275).

ZAGADNIENIA CHWILI

Les archives secrètes de la Wilhelmstrasse. Cz. III: L'Allemagne et la guerre civile espagnole (1936-1939). Pp. 800. (E[d.] Plon, Paris, 1952, fr. 1500).

ROUNAULT (J.). **Le troisièm[e] ciel.** Pp. 254. (Ed. Plon, Pari[s] 1952, fr. 390).

ANDERS (W. Gen.). **Klęska Hitlera w Rosji, 1941-45.** Str. 13[?] (Wyd. "Gryf" Publications, Lt[d.] Londyn, 1952, cena 12 sh. 6 d.

MARIA KUNCEWICZOWA

LEŚNIK

Powieść

We are not real,
We crave reality . . .

(Hermon Ould).

Paryż 1952

I

Izabella Rawicz była młodziutką, piękną wdową po starym hrabi, trwoniącą bez pamięci mężowską fortunę na białoruskich kresach Polski. Ruda, sarniooka kobieta oddychała, zdawało by się, tą namiętnością: kupować. Skoro, w roku 1848-ym, przedsięwzięła zamianę parafiańskiego ogrodu na park angielski, skupowała po sąsiednich majątkach stuletnie lipy i przeflancowywała, jak kwiatki, we własny grunt. W rok później, od popa kupiła dzwonnicę, którą rozebrała, przewiozła do siebie i zamieniła na "belweder". Kupowała kamienie, przypominające głowy ludzkie i zwierzęce. Przepłacała w czwórnasób czarne koty, białe źrebięta, żydowskie lichtarze, chłopskie korale i cygańskie chusty. Z tego kupowania powstały wkrótce wielkie długi.

Piotr Krzysztofowicz, kancelista z Bernawczyckiego Zarządu Powiatowego, często musiał się zjawiać w Druwieńcach, by asystować komornikowi, albo wręczać pani Rawiczowej nakazy podatkowe i upomnienia. Służący prowadził go do kancelarii nieboszczyka, niewietrzonej od lat, gdzie było oddane zniszczeniu wszystko czym niegdyś żył stary graf — księgi rachunkowe majątku, broń, papiery rodowe, listy narzeczonej, pasy słuckie, łacińskie modlitewniki i zbiór rękopiśmienny przemów "regenta" Mitarnawskiego, Demostenesa miejscowego, wszystkie zaczynające się od litery *Z*.

W zatęchłym pokoju czekał godzinami na jaśnie dziedziczkę. Zwykle dawała znać, że jej nie ma, albo, że czasu brakuje, bo właśnie zajęta kupnem tatarskiego siodła, czy też win królewieckich.

Pewnego razu — znudzony czekaniem — błądził po parku i natknął się na tę Izabellę. Nic nie kupowała. Czasu wydawała się mieć wbród, ale czy rzeczywiście była w Druwieńcach obecna, można by powątpiewać, tak nieobecnie patrzyła. Po długich certacjach raczyła wreszcie pojąć na czym rzecz polega i po co ten człowiek się zjawił. Ale się nie przejęła. Z uśmiechem nietutejszym zaczęła mówić bzdury, od których Piotra rozbolała wątroba. Wysuwała jakieś swoje racje, psu na budę niezdatne, czegoś gniewała się i gardziła. Głos miała czyściutki. Piotr po chwili złapał się na tym, że to nieważne o czym dziedziczka mówi, tylko należy słuchać jak ów głos dźwięczy hrabiowską piosenką. Odszedł z niczym.

W następstwie postarał się, by za każdym razem, gdy wypa-

dała sprawa z Druwieńcami, "pristaw" jego tam posyłał. Posta nowił ratować hrabinę wbrew niej samej, radą i uczynkiem Oczywiście rady nie usłuchano, jednak kilka zwłok płatności, kil ka redukcji sum należnych skarbowi, udało się kanceliście uzys kać drogą drobnych urzędniczych matactw. Izabella przyjmo wała później jego zdyszane relacje, mówiąc o czym innym. Łat wo zrzekł się jej uwagi, chodziło mu tylko o możność napawa nia się grą twarzy i głosem. Odnosił wrażenie, że wtedy on, pi sarz z Powiatu, przenika do kraju Lucypera. Nie widzi wpraw dzie i nie słyszy tego co hrabina, ale jakimś cudem jednak bie rze udział w grzesznej rozkoszy arystokratów. Uczuciem najbar dziej pochłaniającym go w tamtych czasach był wstyd. Wsty dził się patrzeć na Izabellę, na jej cudaczne i pachnące suknie na cienkie palce ze śpiczastymi paznogciami, na twarz, które nagość była bardziej miłosna, niż gołe ciała dziewek bernaw czyckich. Gorzał ze wstydu, ale patrzył i był szczęśliwy. Na sa mym dnie świadomości tliła się nadzieja, że nieunikniona ruin skaże Izabellę na przytomniejsze — kiedyś — spojrzenie w jeg oczy.

Jesienią pałac miał być wystawiony na licytację. Pod konie lata Piotr miał okazję częściej niż kiedykolwiek kursować mię dzy Urzędem a Druwieńcami. Tymczasem hrabina stała się nie uchwytna. Lokajczyk wzruszał ramionami.

— Jaśnie hrabinia wierzchem wyjechała...

albo —

— Nikogo puszczać nie kazano, jaśnie hrabinia spoczywa — zakrywał dłonią uśmiech, który oznaczał coś szpetnego.

Piotr zaczął przesiadywać w czeladnej. Pokojowe szeptały p kątach i podtykały mu różne przysmaki. Usiłował pochwyci wieść o Izabelli, ale one brały wizytę do siebie i szeptały o nim Któregoś popołudnia, kiedy rozłożywszy torbę z aktami na ko lanach, czekał sposobności, pogryzając ulubiony, ponoć, serni dziedziczki, od strony pokojów wszedł do izby wysoki mężczyzn w liberii. Na jego widok służące poczerwieniały. Stał w prog i patrzył na nie. Frak liberyjny był czarny ze srebrnymi galona mi, pończochy na muskularnych łydkach białe. O ile ubrani świadczyło o zawodzie lokaja ,o tyle głowa przeczyła mu — by ła pańska, pokryta czupryną, jak zwichrzonymi piórami. Jedn takie buntownicze pióro leżało wpoprzek czoła, pogłębiając czer oczu. Nie chciało się wierzyć, że usta tego mężczyzny przezna czone są do milczenia, lub do służbistych odpowiedzi.

— Kawa! — mruknął — kawa i likwor.

Dziewczyny zakrzątnęły się, tłumiąc chichot. Wkrótce na ta cy stanął imbryk, dwie filiżanki, flaszka i dwa kieliszki. Piot odchrząknął:

— U pani hrabiny goście?

Czarny odwrócił ku niemu piękną twarz. Przez chwilę przy glądał mu się, zarozumiale krzywiąc wargi; potem zaprzeczył.

— Tak proszęż zameldować mnie, ja w wiadomej sprawie Powiatu, bardzo pilno! — poniosło pisarza... Sam nie wiedzi

kiedy się znalazł w drzwiach do pokojów. Tam jednak żylasta noga w jedwabiach zagrodziła przejście.

— Gdzie? Bez zameldowania nie wolno.

— Puszczaj! — rozgorączkował się czegoś Piotr.

Liberyjne bary jeszcze urosły. Piotr szarpnął srebrną pętlę, ale tamten zamknął jego kiść w swoje palce, jak w kajdan. W tej samej chwili z daleka doniósł się czyściutki głos:

— Bojarsiu! Bojaruniu! Nasza kaffa... café...

Nie zwalniając uścisku, Czarny przekręcił tors w stronę głosu:

— Tu nie kaffa, tu papierki z Powiatu.

Piotr jednocześnie zakrzyknął:

— Jaśnie pani hrabina! Molestują mnie. A sprawa zwłoki nie cierpiąca..

W głębi korytarza coś zaszumiało, głos zaśpiewał:

— Wpuść Pafnucego, Bojarsiu!

Frak zwolnił przejście.

Na żółto-białym obłoku unosiła się Izabella Rawicz. Dopiero po chwili kancelista zrozumiał, że obłok, to łoże i pościel. Znowu wstyd! Znowu szczęście. Piotr spuścił oczy, bo i perfum było dosyć dla rozkoszy. Hrabina roześmiała się:

— Cóż za sprawa, dla której chorych trzeba napastować?

Piotr, tym razem, nie byle co ze sobą przynosił: owoc żmudnej dreptaniny, nocy bezsennych, niezliczonych wykrętów, przeszpiegów, gróźb i skamłania.

— Pani hrabina... ja... mnie udało się... Subhasta cofnięta być może. Pan sprawnik zgadza się. A tylko on prosi, co by to żyto...

Coś ugięło się, coś dźwięknęło. Piotr podniósł wzrok — i zmartwiał. W obłoku białym, obok Izabelli, unosił się teraz Czarny. Nie miał już na sobie fraka z pętlicami, śnieżna koszula oblekała tors, pozwalając szyi pysznić się nagością. Na dłoni trzymał filiżankę i dzwonił łyżeczką w jej ściany. Pisarz wypuścił z rąk papiery. Nieswoim szeptem wyrzekł:

— Jaśnie hrabina... Prosza sługa odprawić. Rzecz nadto serjozna.

Obłok wzburzył się i rozbłysł dwojgiem ramion, jak błyskawicami.

— A kysz, a kysz, Pafnucy! Bacz, by sługa ciebie nie odprawił. Masz co gadać, gadajże, a nie, to wracaj skąd bogi przywiodły.

Ściany i zwierciadła runęły do nóg Piotra razem z porządkiem świata.

— Jaśnie hrabina, jakże to! Ja mam iść precz, któren o dobro twoje zabiega, a bradiaga jakiś koło osoby twojej? I jakiż ja Pafnucy! Nie Pafnucy, a Piotr, krew i życie za pomyślność twoja oddać gotowy.

Koło obłoku znalazł się nagle Piotr, siłą niedobrą rzucony naprzód. Ale widać żadna siła nie mogła podołać Czarnemu. Znowu dał się słyszeć cieniutki śmiech:

— A na co mnie krew twoja, twoje życie, Pafnucy? Subhasta

tyle nas teraz zajmuje co *les neiges d'antan* i co ty sam, pa
nie Krzysztofowicz.

Kancelista porwał się z miejsca. Zanim jakakolwiek myśl ul
żyła naporowi krwi, wyciągnął szpony do nagiej szyi gacha.

— Paszoł won! — zacharczał.

I zaraz znowu poczuł na sobie zbójeckie kleszcze tamteg
Obrócony w kupę dygocącego mięsa, musiał przypaść do ziem

— Dosyć, Bojaruniu! — zaśpiewała hrabina — chodź do mnie
Bonne chance, adieu, mój Pafnucy.

Piotr zwlókł się z kobierca i poszedł. Na progu przystaną
żeby splunąć w kierunku obłoku. Te same żelazne ramiona, któ
re go sponiewierały, kołysały teraz ciało hrabiny. Dwie gło
wy wspierały się o siebie — ruda i czarna. Dwie głowy, mie
czem rozkoszy odcięte od świata. Pośród złoto-białego puch
leżała męska pierś przekreślona blizną, a nad blizną fruwa
ły dłonie Izabelli i szept:

— Bojarsiu... bojarze mój... Nic nie mów, kocham twoje mi
czenie.



Milczenie pokryło odtąd Piotra Krzysztofowicza. W pół ro
później ożenił się z Cecylią, o której mówiono Augusta. Nie wia
domo czemu, może od imienia złej pamięci króla Sasa, w be
nawczyckim powiecie Augusta oznaczało Niemkę i osobę brzyd
ką. Podobno — zwierzyła się z czasem jego siostrze, Reginie
Piotr nigdy z nią nie rozmawiał i wcale się nie oświadczy
Wszystko załatwił faktor.

Cecylia "Augusta" była córką "starego Elichwira" (tak chł
pi miejscowi przekręcali saskie nazwisko Eichler) i jego biał
ruskiej żony, Martyny, młynarzówny z Szerska. "Staryj Elich
wir", ożeniony późno i niestosownie, stanowisko nadleśnego
dobrach ks. Mittgensteinów piastował od czasów niepamiętnyc
Jego jedyne dziecko, Cecylia, wychowana w lasach, była prz
zwyczajona do ubogiego wątku życia i do tego, że pytań n
warto zadawać. W dni powszednie obrządzała kurniki, szył
tkała, leczyła — w niedzielę, jeśli ojciec był w domu, odczyt
wała na głos psalmy luterskie; jeśli go nie było, śpiewała
matką i dziwkami "*Ne chody, Hryciu, na weczernyciu*", a
siebie w izdebce przez lat kilkanaście wertowała zawsze te s
me mało zrozumiałe książki: "Pamiątkę po Dobrej Matce" Kl
mentyny z Tańskich Hoffmanowej — dar pani administrator
wej, tom pierwszy "*Gœthes sämtliche Werke*" w twardej,
wyplamionej okładce, ofiarowany jej kiedyś przez mło
stryjenkę, i stary kalendarz Wileńskiego Towarzystw
Rolniczego. Słów ludzkich, ani lenistwa nie była ci
kawa. Idealne zdrowie i duch niemieckich prababek
połączeniu z białoruską ciszą usposobiły ją do zgo
na każdy los. O mężu wiedziała, że nie żądał za nią p

sagu, że jest z polskiej, znaczy ze szlacheckiej, rodziny, i że na rządowej posadzie. Jego domek w Bernawczycach nad rzeczką Leśną potraktowała jak dziuplę, gdzie będą się lęgły małe. Obetkała szpary, i czekała porodów.

Piotr od początku do końca wspólnych dni jedyną rację bytu żony widział w zaprzeczeniu hrabinie. Cecylia miała być tym, czym nie była hrabina. A więc błogosławioną brzydotą powszedniości. Rozsądkiem. Karmicielką. Niewolnicą. Próżnią jego serca i pełnią sumienia.

Stała się tym wszystkim bez żadnego wysiłku.

Rodziła i pieczołowicie chowała dzieci. Nie dbała o urodę swoją i bliskich, żadnej rzeczy, ani sytuacji. Nawet wiersze, które pisywała, zatrudniając tym odwieczerze świąteczne, były bardzo brzydkie. Za to w całym obejściu, co więcej: w sąsiedztwie — póki żyła Cecylia — nie znalazłbyś istoty głodnej, nieopatrzonej w chorobie, opuszczonej w smutku. Obchodziło się przy tym bez rozmów. Gdyby nie ta milkliwość, kto wie jakby się ułożyło współżycie z Piotrem. Zwolniony z wyjaśnień, zapadający co noc, wraz ze swoją haniebną raną — w ciche, tłuste objęcia, Krzysztofowicz dość szybko odzyskał poczucie własnej ważności. O szczęściu przestał marzyć. Znielubił je nawet, jako zabawkę arystokratów. Nie wiedział właściwie, co lubi. Wiedział tylko, czego nienawidzi: tajemnic. Chciał, żeby każda godzina była nawskroś wiadcma, każdy ruch żeby był celowy, każda rzecz żeby była bezpośrednio przydatna. Niezwykłe skojarzenia myśli, przedmiotów, czy uczuć, uznał za bezecne, czyli arystokratyczne.

Dwa razy Cecylia naraziła się mężowi. Raz z powodu konwalii, i raz bez powodu.

Odkąd byt Piotra spoczął na solidnych małżeńskich podstawach, kariera urzędnicza potoczyła się gładko. Przełożeni nie przepadali za nim, ale dbali żeby awansował ten gorliwy człowiek, którego milcząca praca mogła się każdej chwili obrócić przeciw ich gadatliwemu lenistwu. Pewnej wiosny został mianowany asesorem z pominięciem dwuch starszych biuralistów. Zanim zdążył wieść o tym osobiście zakomunikować żonie, została uwiadomiona przez pisarczyka. W domku nad Leśną zapanowało wzburzenie. Ciotka Regina — ociężała i ślamazarna pannica — rzuciła się na dzieci z pawimi okrzykami:

— Królewicz ty mój! Królewna! Obaczycie, wasz tatko nie długo *sprawnikiem* zostanie! Klęknijcie, pomódlcie się Bogu.

Ponieważ modły nie dały się zorganizować, uciekła, łkając, do ogrodu, gdzie — swoim zwyczajem — zaszyła się w pewną, pamiętną dla siebie, gęstwinę nad rzeczką.

Cecylię także poniosło natchnienie. Uczucie, jakie ją ogarnęło, to była wdzięczność dla Piotra. Wyprowadził ją z lasów, osadził pośrodku szanownych rodzin miejskich, obdarzył sekretem nocnym, nade wszystko zaś godnością żony i matki, teraz znów pomnaża dobrobyt, dodaje ważności. Chwyciła narzutkę — popędziła do rzeźnika po pół funta świeżutkiego łoju.

Gdy o zwykłej porze, ani o chwilę wcześniej, Piotr Krzysztofowicz, nowomianowany *stanowoj pristaw*, przez Polaków zwany asesorem, wkroczył do jadalki, zastał na stole przy swoim talerzu butlę żubrowej nalewki, niebawem zaś pojawiła się dymiąca misa kołdunów. W odpowiedzi na czułe stękania Cecylii ucałował ją w czoło, dzieciom pozwolił wdrapać się sobie na plecy, wreszcie, chrząkający, triumfalny, siadł do obiadu. Jak zwykle, porozumiewano się raczej ruchami brwi i łokci i nieartykułowanymi dźwiękami. Dzieci, Kazio i Frania, pakowały w jadło wszystkie dziesięć palców i twarze. Jeżeli wybuchał między nimi zatarg albo psota, rzecz pozostawiano naturalnemu biegowi, co najwyżej przykazując wzrokiem Reginie by uprowadziła niesfornych. Kołduny były znamienite, żubrówka siarczysta, a racuchy, polane konfiturą z czarnych porzeczek, rozpływały się w ustach.

Piotr otoczony dziećmi, wielbiony sapaniem Cecylii, lękliwością Reginy, odczuwał pełnię życia. Znużył się wreszcie, odepchnął talerz i leniwym ruchem sięgnął po sól, by — wedle swego obyczaju — zakończyć obiad kromką osolonego razowca. Kiedy myszkował garścią między przedmiotami, jakaś rzecz nagle przewróciła się, coś wilgotnego spadło na dłoń, a w twarz buchnął zapach najzupełniej od kuchennych różny. Leśny, albo parkowy. Słodki i ostry, świeży jak powiew od sukni jedwabnej, czy od jakiegoś obłoku. Perfuma hrabiny... Asesor uważnie spojrzał i stwierdził, że na ręku leży mu pęk konwalii. Podniósł wzrok na żonę. Jej płaska twarz rozpłynęła się w błogim uśmiechu. Wyzwolił rękę spod kwiatów, strzepnął wodę ze złością warknął:

— Cóż to jest? Co to znaczy?

— *Maiglöckchen* — odszepnęła Cecylia, na pół dumna, na pół niespokojna.

Dawno temu, gdy była podlotkiem, przyjechał był na leśnictwo w drodze powrotnej z Drezna do Petersburga stryj ze świeżo poślubioną, młodą *Gemahlin*. Jedyny to był okres, kiedy w domu rodzinnym używano na co dzień niemieckiej mowy. Ojciec, chodzący w ruskiej czapie i w łapciach, musiał na cześć brata przypomnieć sobie stare słowa, których jego ślubna baba nie znała. Wtedy właśnie Cecylia jadła tort upieczony białymi rączkami Drezdenki i nauczyła się na stole jadalnym stawiać *Maiglöckchen*. Natychmiast po odjeździe gości zarzucono zagraniczne obyczaje. Ale teraz, w dniu sławy Piotra, dusza Cecylii była głęboko poruszona, i wypłynęło na wierzch tkliwe, niepowszednie wspomnienie. Okazało się ono złą usługą. Piotr chwycił konwalie i odrzucił daleko, pod piec.

— Ty! Augusta! Żeb' mnie więcej nigdy głupstw na stole nie bywało.

Pchnął krzesło, bez żadnego słowa odszedł, a wieczorem kazał sobie posłać na ceratowej kanapie w kancelarii. Tak pusto i srogo zakończył się ten dzień, który Cecylia pragnęła w pamięci utrwalić jako wybrany z tysiąca.

Drugi raz Cecylia została przez męża nazwana Augustą po odpuście w Klerohach.

Udała się tam parę mil piechotą w towarzystwie Kaziuka i licznych znajomych. Chodziło o dziękczynienie za cud. Kazio, karmiony potrawką cielęcą, połknął kostkę i został, siniejący już, z oczami w słup, ofiarowany do cudownego obrazu Chrystusa Pana w Klerohach. Jakoż niebawem kostka opuściła w ataku straszliwego kaszlu organizm sześcioletniego dziecka. Nazajutrz po święcie Przemienienia Pańskiego, dobrze z południa, w upalny sierpień, wróciła pątnica do domu wraz z synem. Chłopiec, ledwie żywy ze zmęczenia, położył się od razu na podłodze w kuchni. Cecylię, przez cały czas pielgrzymki wesołą, czynną, także wtedy moc opuściła. W obecności osłupiałej Reginy i wylękłej sługi pozwoliła sobie kucnąć koło Kazia, pocałować go w rękę, i zapłakać. Na tę właśnie chwilę Piotr stanął w progu.

— Co to? — rzucił się do małego — chory? co jemu? — Wtenczas oboje — matka i syn — roześmieli się. Cecylia krzyknęła:

— Jaki chory?! Jak rybka zdrowieńki!

Krzysztofowicz obrócił się w stronę żony. Blady, patrzył na nią uważnie i bez przychylności.

— Tak czegoż płakała?

Wzruszyła ramionami, nie ruszając się z miejsca. Siedziała na klepisku, wielka, nieforemna, istna bryła surowego ciasta, przyrzucona szmatami; pot ściekał po twarzy, kosmyki włosów oblepiały czoło, czuć ją było mlekiem, czy drożdżami, jak zawsze w ciąży. Policzki, targane raz śmiechem, raz płaczem, krzywiły się bez sensu.

— Nu, a śmiejesz się czego?

Podszedł tak blisko, że kolanami dotykał jej ust.

— *Nia wiedajesz?* — przemówił raptem po białorusku. — *Tak tady htoż wiedać budzie? A?*

Szarpnął ją za ramię.

— Wstawaj! Wstyd tobie, Augusta, przy ludziach podłogi suknią drogą wycierać. Wstyd, wstyd! Grafinią być zachciała...

Trząsł nią, aż kolebało się obfite łono i czepiec opadł z głowy. Stanęła na nogi, Kazio także zerwał się przerażony, jednak ojciec nie puszczał matki, pchał ją gdzieś w kierunku drzwi i niemal bódł czołem rozbiegane oczy. Zaczęła się skarżyć:

— Piotruś czegoż ty? Puść, a to boli. Czegoż?...

— Czegoż?... — powtórzył — *Nia wiedaju.*

Regina była świadkiem obu tych upokorzeń bratowej. Zbyt gnuśna, zbyt czuła, sama nie umiała jeszcze zadawać bólu istotom nienawistnym. Cecylię i Reginę stawiano kłótliwym kobietom za wzór. Jednak Regina doznawała ulgi, kiedy na Cecylię, lub jej dzieci, spadały plagi losu.

II

W jakiś rok po ożenku Piotra, Regina, która z powodu swego sieroctwa mieszkała z braterstwem, przeżyła wielkie szczęście, zakończone bolesnym zdumieniem.

Oto hrabicz Michał z Durny, kiedy ją zobaczył u pani Czuczyńskiej, pulchną, złotorzęsą, "zrobił się dziwny".

Do pani Czuczyńskiej, wdowy po plenipotencie dóbr Durniańskich, zamieszkałej na dożywociu w Bernawczycach, dwór zwykle zjeżdżał po sumie. W Durnie nie gospodarzyła wówczas żadna dziedziczka, tylko porał się sam z majątkiem i dwojgiem dzieci zdziwaczały wdowiec. Więc po kościele można było wracać na obiad, albo nie, stosownie do humoru hrabiego.

Zaczynała się wizyta od "kieliszeczka nalewki" w salonie, którą z dygami roznosiły na tacach piegowate — matka i córka — Czuczyńskie. Ale później zwykle stół rozsuwano w jadalni i jaśnie państwo wraz z francuską guwernantką zgadzali się pokosztować bigosu. Jeszcze później dziekan z wikarym przychodził na elbika i hrabia z księżmi siadał do kart pod rozczulonym wzrokiem Czuczyńskiej.

Wtedy Mlle Joséphine mogła bezpiecznie ulotnić się do sypialni pani domu na kawę z anyżkowym likierem i na porcję sekretów o alkowach i stodołach durniańskich, podczas gdy hrabianka Marta szła się bawić z Zenią Czuczyńską, a hrabicz przepadał nie wiadomo gdzie.

Hrabianka była "doskonałym towarzystwem", więc wszystko co o tych zabawach opowiadała potem matce na ucho skruszona Zenia, obracało się przeciwko niej.

— Onaż sierotka! Niech dokazuje, póki pora, aniołeczek biedny.

Regina, starsza bo szesnastoletnia, miała w dokazywaniu bardzo ważną rolę. Jeżeli nie mogła przyjść z powodu zajęć gospodarskich, posyłano po nią nie raz i nie dwa razy. Ona to, przybrana w ornat z obrusa, musiała dawać hrabiance ślub z Zenią, której węglem odmalowywano wąsy i bakenbardy. Ona też — później — w charakterze porucznika gwardii, wskakiwała w spodniach furmana Hawryłki przez okno z ogrodu, żeby Martę wyrwać z objęć małżeńskich Zeni i uprowadzić — tą samą drogą — z łóżka do altany.

Któregoś popołudnia (wczesna to była jesień, jeszcze upalna, ale już trącąca przestałymi liśćmi), Marta szczególnie grymasiła.

— Ach, nie tak, nie tak! — wołała do Reginy — *c'est pas du tout ça.* Nie wiadomo jak ty romansujesz! Jeśli po pańsku, tak szeptajże ile wlezie, oczy wywracaj, klękajże... *"Mon ange!... Oh, ma biche!... Ma fleur céléste"*, i ręka suń pod sukienka. A jeśli po chłopsku, tak wal się na mnie z butami, a ja tedy trocha zakrzyczę. Ty, Regina, ni ryba, ni rak, potniejesz tylko, a miłości ni ni.

Reginka już chciała zrzucić z głowy kaszkiet i, na znak buntu, rozpuścić żytnie włosy, kiedy poczuła, że jej plecy opasuje jakieś ramię, czyjeś ciepło ogarnia ją całą i ktoś mówi z cicha:

— Ja pokażę. Ja nauczę jak trzeba.

Potem coś miękkiego i gorącego przypieczętowało jej usta. Od razu pojęła, że ramię jest nieznajome, smak pocałunku obcy i że tej nauki nie wolno przyjąć. Udała, że nic nie wie. Z upajającą świadomością grzechu umyślnie zamknęła oczy. Nawet chichot Marty i biadolenia Zeni nie zdołały jej zmusić do uznania prawdy. Zenia wszakże zaczęła szczypać nielegalną parę. Twarde ramię zmiękło i trzeba było otworzyć oczy na świat już przemieniony.

To był, oczywiście, hrabicz Michał, brat Marty. Od tamtej wrześniowej niedzieli nauka trwała przez długi, piękny miesiąc.

Złota młodzież ogłosiła, że *"ce brave Michel"* zrobił się dziwny. Mickiewicza sonetów, widać, się naczytał, bo opuścił doborową kampanię i "po zadworkach supiry do księżyca wypuszcza".

Istotnie ogród kancelisty w Powiecie schodził do rzeki Leśnej, którą księżyc umiał prześlicznie marszczyć w fałdeczki, polerować na srebro i przesycać baśniami.

W chłodne, coraz mocniej zgnilizną pachnące, wieczory. Reginka — oszołomiona — pobierała lekcje szczęścia. Siadywali z Michałem na zmurszałej ławeczce w altanie, wokoło nich liście umierały na tysiączne sposoby, jedne jak zwinięte od żaru karteczki, inne jak ćmy w bezwładzie zimowym, niektóre jak sama miłość, szepcząca coraz rzadsze przysięgi. Hrabia uczył łagodnie i cierpliwie. Sonetów Mickiewicza bynajmniej nie czytał, a supiry wypuszczał z tej racji, że Reginka była pierwszą w jego karierze dziewczyną ufną. Jego dotychczasowe konkiety — gumienne, dworskie i miasteczkowe — każda miała swoją świadomą, lub nieuświadomioną strategię. Wszystkie spodziewały się złego, nie dobrego, i jeśli ulegały, to z desperacją, albo z nadzieją na cud. Reginka chłonęła nauki bez żadnej myśli ostrożnej.

— Przysuń się. Nie mów "hrabia Michał", mów "Michasiu", w domu nie opowiadaj, rozpleć warkocz, nie wzdychaj tak głośno, kaftanika tego nie noś, Stokrótko, połóż się, nie drżyj — tak przykazywał nauczyciel, i tak postępowała złotorzęsa Reginka.

Rodzinie nie opowiadała, ale ani na chwilę nie wątpiła, że niebawem "Michaś" sam, wziąwszy ją za rękę, wprowadzi do domu, gdzie brat — purpurowy ze szczęścia — uczęstuje gościa, a bratowa wyciągnie z kufra sztukę płótna na sierocą wyprawę. Tymczasem Leśna przestała błyszczeć. Sieczona deszczem ławeczka, po tylu rozkołysach padła w gruzy. Przy tym smażono powidła, solono rydze, Reginka była ciągle potrzeb-

na i w ogród wybiegała okutana; przez tołubczyk trudno było się dobrać do jej śliskiej skóry.

Raz, po dniu szczególnie cierpkim, znowu księżyc wzeszedł nad opustoszałe drzewa. Ale nazbyt jasno i zimno przyświecał. Reginie nos posiniał, pod stopami coś chrupnęło — kałuża, powleczona lodową koronką. Hrabicz miał rękawice podbite futrem i łaskotał nimi twarz Reginy. Broniła się. Raptem jedną ręką, odzianą, chwycił jej obie dłonie, a drugą — nagą — uderzył w policzek. Łzy zasłoniły jej wzrok, jednak z uśmiechem spojrzała na nauczyciela:

— Za co?

Zaśmiał się.

— Za nic, Stokrótko.

Przyglądał się jej spod oka, poświstując.

— Regina... Ot, i Regina — powiedział. — A wiesz ty, rabo moja, co twoje imię znaczy? Ono znaczy: królowa.

Teraz śmiał się długo i tak złośliwie, że ziąb przeniknął do jej serca. Wstała i skierowała się ku domowi. Widocznie jednak nie chciał, czy nie mógł, jej jeszcze porzucić, bo wstał także. I tak jakoś oboje weszli w dom Piotra.

Braterstwo właśnie odsiadywali kolację, on przy garnuszku polewki, ona z pończochą na grzybku. Regina obejrzała się, czy hrabicz aby wszedł na pewno. Zobaczyła jak stawiał nogę na skrobaczce u drzwi, i serce w niej rozgorzało nie mniej, niż uderzony policzek. Śmiało pisnęła:

— Bracie! Niech brat pozwoli... Hrabicz Michał przyszedszy.

Przymknęła oczy w oczekiwaniu na błogi los kobiecy zaprzedany mężowi. I, po raz drugi w życiu, podniósłszy powieki, zastała świat odmienionym. Twarz brata, zazwyczaj senna, była skurczona wściekłością, zęby obnażone jak u psa, który zaraz ugryzie. Bratowa w popłochu wycofywała do kuchni kosz z bielizną.

— Won! — wrzasnął kancelista. — Won z poczciwego domu, paniczyk bezecny! Do siostry mojej przyczepił się, hrabskie nasienie? Żeb' mnie tu noga twoja nie postała! A nie — tak psami wyszczuję.

Regina zakwiliła podobnie do ugodzonego zająca.

— Co ty, co ty, bracie drogi? Zmiłuj się!!

Pisarz nie myślał o zmiłowaniu. Płynnie podbiegł do siostry i, jak gdyby skuszony potrzebą jakiejś haniebnej symetrii, uderzył ją w ten policzek, który jeszcze był blady.

— Ot, tobie amory — objaśnił. — A bękarta wyrzucę.

Że po tym wszystkim czas się odwrócił dla Reginy do góry dnem i że to dno — czarna kopuła — nie miało na sobie żadnej gwiazdy, rzecz jest zrozumiała. Ale czyn braterski, tak bardzo zuchwały, został niepojęty na całą resztę życia.

Bękart się nie zjawił. Nie pojawiła się także zemsta. Michał wolał schować obelgę do kieszeni, niż dać sprawie rozgłos. Tak oto i zło i dobro pierzchło z egzystencji Reginy. Owszem,

dziecko nawiedziło wkrótce domek nad Leśną, ale był to Kaziuk, syn Cecylii i okrutnego brata.

Regina powzięła do malca uczucie złożone ze sprzecznych namiętności. Obserwując pęcznienie żywota bratowej podejrzliwie spozierała na swój panieński brzuszek. Kiedy Kaziuk po raz pierwszy wrzasnął na tym świecie, Regina, krzątając się koło Cecylii, chwyciła się za łono, po czym przycisnęła dłonie do uszu. Krzyk niemowlęcia szarpał jej wnętrzności grozą i rozkoszą. I zawsze już później, patrząc na Kaziuka, czy słuchając jego głosu, rozdarta bywała między chęć przyswojenia sobie istoty, która raczej jej się od Boga należała, i żądzę starcia w proch bratowego dziedzica.

III

Mały Kaziuk lubił wszystkie smaki, i kwaśne i słodkie. A nawet jeżeli mu się trafiła gorzka jagoda, nie wypluwał, bo po gorzkim słodkie jeszcze lepiej smakuje. Gdzie gąszcz był zbity, pełzał rankiem po ogrodzie od krzaka do krzaka i obskubywał raz porzeczki, raz maliny. Gdy robiło się gorąco, siadał i patykiem grzebał w ziemi. Często udawało mu się wygrzebać glistę, albo zagrodzić drogę mrówce, czy jakiemuś żukowi zdążającemu nie wiadomo dokąd i po co. Malusieńka "żywioła" borykała się z patykiem sprytnie i żarliwie, o co bynajmniej nie czuł żalu. Jedyne, czego nie mógł darować, to bezwładu. Czasami żuczek, czy mrówka — przygniecione — traciły prężność, odmawiały gry. Wtedy zachęcał je szturchaniem i prosił:

— Nuże, nu! Uciekaj. Kąsaj. A nie, tak schowaj się, jaż ciebie i szukać nie będę...

Jeżeli, mimo to, nie dawały nadziei, że gdzieś kiedyś wyjdą znowu spod jakiegoś listka, wpadał w złość. Miażdżył sabotażystów, a nieraz dostawało się także rumiankom i lebiodom, bo stały obok, nie próbując nic poradzić na upór zmarłych.

Zdarzało się, że w takich chwilach płaksiwy głos kobiecy zaczynał wołać od strony domu:

— Kaziuk, Kaziuk, gdzie ty? Odezwij się, a to mama prosi.

Rzucał patyk i drętwiał. To przed czym uciekł do ogrodu, sunęło znowu za nim. Przybierał czym prędzej postać takiego samego niezguły, jak przetrącony robak. Zatajał dech, nie odpowiadał na żadne zaklęcia.

Ciotka Regina chrzęściła gałęźmi i wreszcie odnajdywała chłopca.

— Isz ty! gadzina... — wzdychała, opuszczając ręce. — U mnie dusza mało nie wyskoczy, a on maliny przed śniadaniem żre.

W domu czekały tortury. Przed komodą stał już stołeczek, a na niej miseczka porcelanowa z wodą. Zawijano do środka kołnierz od kurtki Kaziuka i uchylano na piersiach koszuli. Tak obnażony, musiał wstępować na swój szafot — na stołek przed komodą. Ciotka chwytała ręcznik i mydło, on kopał, pluł mydlinami; na pewno potop nie większy gniew budził u postaci biblijnych, niż u Kaziuka ten półkwaterek mydlanej deszczówki. Tymczasem usta Reginy tak często drżące z lęku przed bratem, czy z zazdrości o bratową, robiły się wąskie i twarde. Ogarniała wściekłe ciałko, dławiła jego opór piersiami i nogami. Kiedy, ocaliwszy z zalewu uszy, stawał znów na podłodze, ciotka miewała oczy zasnute bielmem. Pokora? triumf? — w bernawczyckim domku nie było osób biegłych w odcyfrowywaniu skrytych namiętności.

Ojca zazwyczaj już się w stołowym nie zastawało; wychodził do Powiatu, nie doczekawszy końca krzyków i ablucji. Za to matka w brudnawym kaftanie, luźno puszczonym na fałdzistą spódnicę, w czepku, a nieraz w chusteczce, przytrzymującej na czole plaster cytryny od bólu głowy, siedziała przy zastawionym stole. Skoro zza drzwi sypialni wyłaniał się Kaziuk, otwierała ramiona. Nawet jeżeli Regina oskarżała bratańca o ugryzienie jej w palec, matka milczała, nie wypuszczając syna z uścisku. To on po chwili już znowu się szarpał, to on się wyrywał, aby wreszcie spocząć z dala od wszelkich objęć, bądź wrogich, bądź serdecznych.

Czasami, gdy wieczorem nad miarę wojował z Reginą, chwytała go za rękę i ciągnęła w stronę kancelarii. Nigdy wtenczas nie przerywał stanu niegrzeczności, ale dawał się wlec bez oporu.

— Nu, tak poczekajże! Niech ciebie tatko nauczy.

Krzysztofowicz, z fajką w zębach, siadywał przed kantorkiem pełnym szuflad o tajemniczej zawartości. Regina zawodziła:

— Proszenż ja Piotra skarcić Kaziuka. Zachciało się jemu żaby w słoiku hodować, a ot modlitewka, co ja jego nauczyłam, za nic on nie chce na Anioł Pański zmówić.

Piotr chrząkał i odsuwał się od kantorka. We wzroku, którym obejmował syna, dałoby się wyłowić trochę zdziwienia, trochę nudy, i sporo obawy, poza tym mógł się w nim taić równie dobrze gniew, jak mogła pełna obojętność.

I Regina i Kaziuk mieli nadzieję na gniew.

Niebacznie prowokowany, ten gniew ojcowski wybuchł znacznie później i przy nikłej okazji. Oto Olutek — Kiełbaszka, zwany tak bo nade wszystko uwielbiał kiełbasę, preceptor asesorskich dzieci, przyszedł pewnej niedzieli pod koniec kanikuły odwiedzić pupilów. Jak zwykle, Frania uwiązała sobie wnet różową kokardę, Regina zadzwoniła kluczami, a Cecylia schowała się do sypialnego. Wkrótce całe młode grono zasiadło na ganku wkoło butli z kwasem chlebowym. Olutek wyciągnął z kieszeni brudne karty i poszła gra w *"halb zwölf"*. Frania z początku krzyczała, że chce grać na orzechy, jednak kiedy

szczęście jej posłużyło, znikła w loszku i wyłoniła się z powrotem z zardzewiałą blaszanką pełną ciężkich miedziaków. Nastrój zrobił się zgryźliwy, kiedy fortuna odwróciła się od właścicielki skarbu, a miedziaki poczuły magnetyczny pociąg do Olutka-Kiełbaszki.

Wtem od strony ogrodu zjawił się asesor. Szedł ze spuszczoną głową i dopiero na schodkach ganku zadziwił się i drgnął. Olutek szastnął nogami, Regina westchnęła... Piotr uporczywie patrzył na stos miedziaków i na pustą blaszankę.

— Cóż ono za nowość? Od kiedyż to wy tak?

Kaziuk poskoczył z ławki.

— Ono wcale u nas nie nowość, proszę tatki. Nas pan Olutek jeszcze w zimie wyuczył; my ksiendza dziekana zausim ograbiliby...

— Pieniądze czyje? — mruknął Krzysztofowicz.

— Oni moje byli — rozżaliła się Frania — a to pan Olutek ich wymaniwszy był.

Tej nieścisłości Regina nie mogła znieść. Cała w ponsach, szepnęła:

— Nie wymaniwszy, a wygrawszy powiedz.

Asesor zbladł. Decyzje rodziły się w nim, jak ataki choroby. Dopiero co łagodny, rąbnął pięścią w stół i zaryczał:

— Dosyć! Nie potrzeba mnie profesorów takich! W karty pieniądze tracić wyuczył? A? W dzień święty oszukiwać durniów nie powstydził się? A? Dosyć! dosyć!

Olutek znikł jak kamfora. Tegoż dnia zostało postanowione, że od jesieni Regina z dziećmi zamieszka w Brześciu, gdzie Kaziuk i Frania będą uczęszczali do szkół powiatowych.

W domu niejakiego Wrońskiego wynajęto dwa pokoje i we wrześniu nastąpiły przenosiny. Za domem był sad, gdzie Kaziuk poznał bezkarność spożywania zakazanego owocu. Pan Wroński spokojnie obserwował zza firanki, jak młody lokator obrywa gruszki. Dopiero kiedy złodziejaszek zeskakiwał z drzewa, znajdował się w obliczu brodatego starca, który spozierał nań z litością.

— Sł'ej, sł'ej*), ty bełwanie, co z ciebie będzie? — zapytywał starzec.

Początek nauki zrazu zupełnie pochłonął małoletniego Kaziuka. Zajmowały go sposoby oprawiania kajetów, rytuał powitań między klasą a pedagogiem, pienia religijne na początku i końcu dnia szkolnego, nade wszystko zaś ściągi, podpowiadania, ukryty nurt ironii, grube słowa, handel markami, gra sprzymierzeń i zdrady. Niejednego guza oberwał od siłaczy klasowych, niejeden też chuchrak szczypał go pod ławką, wpatrując się anielskim wzrokiem w pedagoga. Do ostrych starć nigdy jednak nie dochodziło. Wbrew najszczerszej chęci Kaziuka w groźnej chwili coś mu zawsze dyktowało słowa i ruchy, które zażegnywały katastrofę.

---

*) Słuchaj.

"Kapelan"*) Lwigórski lubił o sobie mawiać, że jest "majstrowaty". Na lekcji religii rzadko roztrząsano prawdy wiary, za to, jeżeli ktoś okazał zepsuty zegarek, ksiądz brał się raźno do naprawy. Rozkładał na stoliku kółeczka i śrubki, chłopcy opuszczali ławki. Niebawem wkoło amatorskiego warsztatu skupiał się tłum majsterków; inni siadali gromadkami na podłodze, grali w orła i reszkę, wkuwali historię, albo bili się. W wypadku zbyt potężnych hałasów, ksiądz porywał się od pracy i chustką, uwiązaną w supły, grzmocił walczących po głowach.

Osobny dział majstrowania stanowiły szopka i Grób Chrystusa Pana. Przy tym zajęciu zainteresowanie było powszechniejsze, często nawet uczniowie z innych klas, w charakterze perukarzy albo krawców, bywali wzywani, a sam pan "prefekt" (dyrektor) dostarczał swoich starych kamizelek na dalmatyki królewskie, batystowych zaś pantalonów pani "prefektowej" na anielskie szaty. Rzecz dziwna; w miarę jak przybywało kłopotów, a to z równowagą żłobka, a to z krzywizną posochów pasterskich, a to z gołębim Duchem, mającym przyświęcać Grobowi, serca wypełnione wrodzoną namiętnością do żarcia, do bijatyki, do kobiecych łydek, szlachetniały. Kiedy raz Milo Dubowski, starszy już kawaler, oblekając święte Niemowlę w koszulkę, upuścił Je na ziemię, nie tylko kapelan jęknął, wszyscy runęli na złoczyńcę z zaciśniętymi pięściami, a przecież ani jeden cios nie został wymierzony, bo Milo, z oczami pełnymi łez, sam ukląkł i całował Jezuska.

Kaziuk wiedział, które postępki radują kapelana, a które starszyznę klasową. Wydarzeń takich, jak owo z upuszczonym Jezuskiem, kiedy i ksiądz i uczniowie czuli jednakowo, bywało niewiele. Najczęściej trzeba było wybierać między chaberkowym spojrzeniem "Lwigóry", a tłustym rechotem Mila. Otóż tu Kaziuk poznawał swoje nieszczęście: wyboru nigdy nie mógł raz na zawsze dokonać. Skoro tylko Dubowszczuk odciągnął go w kąt, aby pokazać nieprzyzwoitą rycinę, albo ziać w twarz machorą, malec dałby się za Mila posiekać. Kiedy jednak kapelan podczas spowiedzi świętej przestrzegał przed Milem obrzydzając grzech nieczystości, Kaziuk zaraz wyrzekał się kamrata.

W drugim roku nauki rozgniewał bardzo nauczyciela geografii. Był to człowiek młody, bardzo nerwowy. Słysząc szepty, idące śladem "wyrwanego" do mapy, widząc osłupiałe oczy ucznia utkwione w ustach podpowiadaczy, dostawał histerii. Kaziuk uczyniłby wszystko dla uspokojenia pulsujących mięśni w twarzy geografa. Ale i protegowanie głuptasów pociągało go bardzo. Kiedy więc — pewnej pamiętnej soboty — Wincuś Gorolko załamał się na Himalajach, asesorczuk, zwinąwszy kajet w trąbkę, zaczął zza pleców sąsiada czym prędzej trąbić utrapione nazwy. Gaurizankaru już nie zdążył. Nauczyciel

*) Ksiądz, nauczyciel religii.

chwycił go za kark... Przerażając błyskiem króliczych zębów, wypchnął za drzwi, powlókł do salki rekreacyjnej i tam grzmotnął nim o podłogę. Odszedł, zanosząc się jak w kokluszu.

Narastała okropna cisza. Kaziukowi jeszcze ciągle, a nawet coraz bardziej, było żal geografa. Ale i Wincusia także było mu szkoda. Czuł skruchę i szczerze pożądał rózeg woźnego Krassoty. Nagle zmartwiał. Była sobota. Właśnie ten dzień, kiedy pan prefekt w sali rekreacyjnej odczytywał wszystkim klasom tygodniowe noty i komu należało kazał sprawiać suchą łaźnię. W oddali rozległy się kroki... Kaziuk zamknął oczy i zasłonił uszy; bronić się nie zamierzał, pragnął tylko, aby ta cała potworność — publiczne ściąganie portek, piekący ból, rozwiana broda Krassoty — nadciągnęła i minęła prędzej. Tymczasem kroki zatrzymały się koło jego głowy.

— Ty, kochaneczku, kto będziesz? — zapytał głos prefekta. — Podnieś że łepetynę, niech zobaczę czyją fizys swawola szpetotą naznaczyła.

Pulchna ręka uchwyciła podbródek Kaziuka.

— Tek... tek... Ot, i nieładnie. Takiej zacnej familii odrostek do stanu pożałowania godnego własną swawolą doprowadzony. Bożeczka moj, jakiż to *crimen* na sumieniu twoim, Krzysztofowicz?

I oto Kaziuk, żałujący zarówno geografa, jak Gorclki, już nie wie, który grzech ważniejszy: podpowiadanie, czy nieczułość dla kolegi — i umywa ręce.

— Panie Prefekcie, jak Bog kom*), jaż nic złego nie chciał. Ja tylko tak sobie lekcja przepowiadał, a pan Bielewicz raptem rozchorowawszy się. Aj, aj, jak u niego oczy wyłupili się! Ja mało ze strachu nie umarł.

Rzeczywiście, Kaziuk zatrząsł się i zapłakał, przerażony sobą i zawiłym światem. Nie dziw, że koleżkowie mawiali o nim: "suchy z wody wychodzi" — bo skończyło się na klęczeniu.

Tego dnia, kiedy po szkole biegł do domu, napadł go taki wstręt do wszystkiego, że nagle rzucił książki za płot i pomknął bokiem w pola.

Oprzytomniał dopiero na przedmieściu Wołyńskim, na jakiejś dalekiej miedzy. Siadł i rozejrzał się. Łubiny tak cicho rosły na piasku... oset tak cicho je przerastał... Była zgoda na polu, bo czyż łubin może się gniewać na oset? I czyż można ukarać słońce, albo piasek? Tymczasem ludzie najwyraźniej muszą się gniewać i karać, muszą wybierać między dwiema niedobrymi rzeczami, i muszą ponosić kary. Kaziuk bardzo, ale niedługo, był markotny. Przy sobocie mógł się spodziewać przyjazdu ojca z Bernawczyc... Myśl o nim natchnęła go otuchą. Srogi i ważny ojciec będzie za niego wybierał.

Opodal zaskrzypiał wóz. Kurzliwa droga ciągnęła się nudno między zbożami w stronę mostu, wiszącego nad Bugiem, ku groźnym bramom fortecy, ku zakratowanym okienkom koszar,

---

*) Jak Boga kocham.

ku ogródkowi Wrońskich i ku chłodnym kościołom. Uniesiony nagłym szczęściem, Kaziuk popędził za wozem. Chłop w słomianym kapeluszu odwrócił się i pogroził batem. Kaziuk wskoczył na tylną luśnię. Chłop zaczął powoli i długo kląć, ale był za leniwy, żeby odwinąć biczysko. Wstrząsany wybojami, Kaziuk jechał, a sercem wyprzedzał konia, chcąc prędzej wejść do domu i zapytać: "Czi tatko przyjechawszy był dzisiaj?"

Niestety, Piotr Krzysztofowicz nie często kwapił się do odwiedzania dzieci.



W czasie ferii szkolnych, spędzanych w Bernawczycach, Kaziukowi przeważnie nudziło się i w domu i w miasteczku. Lubił wyprawy letnie do lasów w Szerokim na borowiki, rydze i zielonki. Lubił widzieć samowar, buchający parą na mchu, rozszarpywać palcami pieczoną kurę, wyobrażając sobie, że jest dzikiem i rozszarpuje sarnę. Lubił także przed nosem pani Czuczyńskiej, która była duszą tych wypraw, wbijać gałąź w "zarydzone" miejsce i krzyczeć: "to moje, nie dam ni krztynki!" Ale baby były ślamazarne i nikt nie bił się z nim o ten jego zabór.

Podobnie, podczas harców nad Leśną po łąkach za warzywnikiem, jeżeli starsze chłopaki odebrały mu piłkę, albo koziki wystarczyło wrzasnąć, i już z domu biegła ciotka Regina, wzywająca pomsty na głowy różnych Homdziuków, Gresiuków, Rossaluków. Homdziuki, od kołyski straszone asesorem, pierzchały, i Kaziuk zostawał sam ze swoim zapałem, czy gniewem.

W Wielkim Tygodniu chłopcy miejscowi zazwyczaj wykradali matkom kraszanki do gry w "wybitkę". W pewną Wielką Sobotę, w kilka dni po przyjeździe z Brześcia, poszedł spać, zasunąwszy pod łóżko węzełek z półtuzinem twardych jak kamień "marykanek", które to słowo zapewne oznaczało jajko kury amerykańskiej, czyli produkt wyborowy. Nazajutrz po sumie stanął, pełen walecznego ducha, do turnieju w wąskiej uliczce za kościołem. Była tam także Frania z gromadką koleżanek, wszystkie szumiące wykrochmalonymi majtkami i chichoczące fałszywie. Jeden po drugim wychodzili z szeregu Homdziuki, Gresiuki, Rossaluki, spoceni w odświętnych kożuchach i pod bacznym okiem starej Czuczyńskiej, zaledwie raz uderzywszy jajem o jajo, składali haracz "panyczowi".

Stos nadtłuczonych kraszanek piętrzył się u jego nóg — krochmalone majtki szumiały pochwalnie. Naraz, gdzieś z głębi gromady wystąpił gołowąsy Kalinowszczuk, synalo zrusiałego szlachcica.

— Buwaj, Kaziuk — mruknął.

Przystąpił do zwycięzcy i lekkim pchnięciem zmiażdżył nie zwalczoną dotąd, pierwszą jego "marykankę". Rossaluki w wrzask:

— *Ej, hor'ka jahoda Kalina!*

Majtki przycichły. Kaziuk odrzucił precz niewierne jajko

sięgnął po drugie. Zanim zdążył je nastawić właściwym końcem, już mu stopniało w ręku. Złapał trzecie... To samo. Kiedy szóste z kolei, najgrubsze, gęsie, strzaskał mu Kalinowski, Kaziuk miał twarz zalaną ogniem. Ogromny wyrostek ciągle przed nim sterczał ze swoją straszną "marykanką", nastawioną do boju. Asesorczuk runął przed siebie, bodąc głową brzuch swego pogromcy. Rossaluki gwizdnęły, ale mordercze jajo wypadło z ręki Kalinowskiego i ciężko gruchnęło o ziemię. Skorupa odskoczyła... z wnętrza prysnął kawałek ołowiu.

Kaziuk poczuł w ustach smak zagryzionego języka. Wicher wielkiego zdarzenia zjeżył mu czuprynę, machnął pięścią... Ktoś wstrzymał mu ramię. Zielony teraz z gniewu, obrócił się przeciw wspólnikowi wroga... I któż to nim był na Boga? Matka. Cecylia Krzysztofowicz. Jej tłusta twarz, jak niewzruszony księżyc, pochyliła się nad bójką, niebieskie oczy patrzyły poważnie. Swoim zwyczajem nie rzekła nic, tylko ogarnęła syna spódnicami, ciepłem — i zadusiła "zdarzenie".

IV

Dziad Elichwir mieszkał w Bobrówce, gdzie dworek był siedzibą nadleśnego dóbr Gomaczewskich. Książęta saskie Mittgensteiny, właściciele tych dóbr, zruszczone i za wierne służby carowi hojnie nagradzane, odwiedzali swoje białoruskie włości, położone na granicy Korony i Litwy, jedynie w celach sportowych. Elichwir tedy od lat kilkudziesięciu rządził się w lasach tak samowładnie, jak jego Martyna na Leśnictwie. Tyle, że ona miała mniejszą biedę w gospodarstwie z kunami i łaskami, niż on z kłusownictwem mużyków. Często na jesieni książę zjeżdżał sporym dworem do pałacu w Gomaczewie i przez kilka tygodni trwały polowania; czasami przeciągały się aż do ponowy, kiedy najlepsza obława na wilki. Także rybołóstwo od czasu do czasu ściągało jaśnie oświeconych z Petersburga. Wyprawiano się wtedy nocą czółnami na połów w Bugu z "poświatem". Ekscelencje osobiście machały trójzębnymi ośćmi, rubli na beczki ze smołą dla iluminacji brzegów wychodziło więcej, niż wart był cały połów, a strachu stary Elichwir najadał się dwa razy tyle co w obliczu niedźwiedzia. Bo goście o każdą przeciwną okoliczność — deszcz, czy zimno — mieli pretensję do administracji, własną zaś nieudolność składali na karb złego sprzętu, albo gapiostwa rybaków. Wieczną zmorą była także zapowiedź, że z wiosną, na toki głuszców zjedzie ze stolicy ktoś tak ważny, że wymówić straszno; może sam wielki książę, a może...

Zatem przed świętami Zmartwychwstania Elichwir zwykle bywał mroczny. Jak na złość, w tym właśnie czasie na Leśnictwo często zjeżdżała rodzina. Zwłaszcza córka, Krzysztofowiczowa z mężem i dziećmi, wiele przyczyniali zachodu. Odkąd zięć z kancelisty w Powiecie został asesorem (czyli "stanowym pristawem"), do należnych mu świadczeń familijnych, przybyła uwaga na własny interes. Elichwir nie zawsze mógł na czysto wychodzić z Hryciami, bo zdarzali się tropiciele książęcej zwierzyny tak nieomylni, że jedyną radą na ową nieomylność musiała być kula w stwór dwunożny nieomylnie puszczona. Takie sprawy były w lasach wiadome od wieków i dosyć obojętne. Jednak odkąd do "Północno-zachodniego kraju" nastali carscy "sprawnicy", zdrowie Hryciów podskoczyło w cenie. Elichwir, chociaż w stadle z młynarzówną dawno o "państwie" zapomniał, poczuł na sobie niewygodną skórę "pana".

— *Pany, znaczitsia Lachy proklatyje, dobrych ludi strelajut, których car prawosławny trogać nie dozwala. Ano my Lachów przykrócim* — mówili carscy urzędnicy.

Na Polesiu wtedy nikt dobrze o sobie nie wiedział Lach on czy Litwin, czy ruski człowiek rdzenny, albo li może z Germańców. Jedno podawali urzędnicy za pewne: kto chłopa gnębi, ten "pan", inaczej powiedziawszy: Polak. Mieć więc zięcia carskim urzędnikiem z Polaków mogło się przydać Elichwirowi.

Po prawdzie mógł uniknąć wielu trudności, przymykając oko na niespodziewane tropy, a ucho na trzaski nocne: gomaczewski zwierzostan nie łatwo się przerzedzał. Wszakże natura Elichwira nie pozwalała na opieszalstwo w służbie. Martyna z początku nie bardzo sprzyjała książęcemu dobru. Między kłusownikami niejeden chodził jej pociotek i w kuchni błoto często bywało naniesione z "hadkich" dróg; często ktoś barczysty, kudłaty żłopał mleko z dzbanka i znikał za najlżejszym szmerem. Aż jeden się trafił nadto zuchwały, który nie uląkłszy się Elichwirowego stąpania w łapciach, został przez niego złapany wraz z fuzją. Martyna poczuła wtedy na grzbiecie władzę mężowską. Elichwir zbił ją srogo sznurem konopnym, czym jej nazbyt chwiejne usposobienie ku sobie, odmienił w miłość nieulękłą. A tak dwcrek bobrowski wyrzekł się ostatecznie tajnego czucia z Hryciami.

W 1863-im roku Krzysztofowicze przybyli na święta już w Wielki Piątek ogromniastą bryką, wyładowaną prowiantem i dziećmi. Przybyli szczególnie nie w porę. Mianowicie babka Martyna właśnie tego dnia, lustrując śpichlerz, zauważyła, że żyto jej na przednówku przeje. Sądny dzień nastał na Leśnictwie. Chwiliny i Praksedy biegały, zgięte w kabłąk pod worami, znosząc niewczesny plon do domu. Wszelkie dery, a nawet poszwy i prześcieradła przeznaczone zostały do dźwigania ziarna. Niebawem cały dwór służył już za podściółkę zwilgotniałemu zbożu.

Kiedy, dokonawszy dzieła, babka spoczęła w kuchni na przy-

piecku, zajechała bryka. Rozległy się tupoty dziecinne, wrzask psów, chrząkanie Pietra, wzruszony sap Cecylii — a zaraz później okrzyk Kaziuka:

— Ot, tobie na! U babci swironek w miejsce domu okazał się.

Nie w smak to poszło Krzysztofowiczowi, że — zdrożeni — musieli do na prędce skleconego posiłku zasiąść na twardych ławach w kuchni pod ciekawym wzrokiem dziewek, wędzić się w dymie, który wybuchał z komina, i odpędzać spoufalonego gąsiora.

Asesor przepadał za myślistwem. Tym razem także szybko odespał podróż i zaczął sposobić się na głuszce. Ale Elichwir wynajdywał czegoś coraz to nowe przeszkody: a to w wielką sobotę strzał św. Hubertowi obraza, a to wtorek poświąteczny — właściwie pół święto, a to wreszcie środa na mróz pokazuje i koguty do toków nieusposobione. Sęk zaś w tym, żę w lasach teraz straszyło podwójnie. Raz: książęta żadnej wieści o przyjeździe nie podali przede święty, więc chłopi bardzo pilnie się przykładali do swego łowiectwa; dwa: między szałasami, które szerski podleśny trzymał zawsze w pogotowiu na wypadek wysokich przyjazdów na taki, zauważono ognie i swąd jak gdyby z warzy żołnierskiej. Straż otrzymała rozkaz rozebrania owych szałasów, żeby odebrać złemu siedlisko; mimo to nocne gwary w haszczach nie ustały, czasami nawet wiatr przynosił z boru w bobrowskie obejście rżenie konia, co wskazywało na sprawy zupełnie różne od kłusowniczych.

Elichwir dobrze wiedział co się święci. Jego brataniec, student moskiewski, w czasie swoich wakacyjnych odwiedzin na Leśnictwie rozpowiedział mu niejedno o czynach Garibaldiego, pokazywał też pisma Hercena i numery londyńskiego pisma "Kołokoł", napełnione obłędem wolności. Siostrzeńcy zaś Martyny, zamiast terminować u kupca w Brześciu — tknięci nagłą dewocją, nosili się po różnych miasteczkach gdzie tylko pleban pozwolił po sumie śpiewać po polsku patriotyczne pieśni.

Jeden z nich, Kostuś, za te "religijne" pienia mało już w turmie nie osiadł; ledwie go matka wybroniła przed policją, podając za przygłupka. Mimo to, w kilka dni później, podążyli do Kodnia na misję O.O. Kapucynów, znanych z tego, że sprzyjali powstaniu. Do domu później bali się bracia wrócić, i, zmizerowani, na piechotę przyszli do Bobrówki. Martyna z początku nie chciała ich wpuścić, wzywając od "*wołokit - biełoruczek*", że to szwagier był zubożałym szlachetką, stroniącym od pracy, a do śmierci zagniewanym na parantelę z młynarzem. Gdy jednak chłopcy zaczęli bardzo kaszlać w sieni, udobruchała się. Reszta nocy zeszła na smarowaniu zziębniętych borsuczym sadłem, przy czym Elichwir, korzystając z łuczywa, odczytywał tajne druki, których mieli pełne kieszenie.

Lichwir bardzo był temu wszystkiemu nierad. Nie żeby miał co przeciwko zagranicznym swobodom, albo przeciw Polsce. Tylko że on swoje życie ustawił na drodze leśnej, dalekiej od głównych traktów, głucho zarośniętej, prowadzonej do poręb i

zagajników, do nor lisich, do paści, do niewodów, do kancelarii pałacowej i do grobu wspólnego z Martyną pod prawosławnym krzyżem cmentarnym. Owszem, rozumiał, że jego dziady Eichlery, kiedyś, za Augusta II-go, odbiły się od jakiegoś głównego traktu w Europie w te tutaj nadbużańskie bory. Rozumiał, że krewni jego, chociaż z Saksonii aż do Petersburga zabrnęli i tam osiedli, głównego traktu nie opuścili, czytając stale gazety, jeżdżąc po świecie extra pocztą i małżonki przywożąc sobie z Drezna. Rozumiał i pochwalał. To samo, jeśli o szlachtę szło. Że oni się burzyli z powodu utraty swojej polskiej wolności, nie zdawało mu się dziwne. Ale on przynależał do dóbr gomaczewskich. Do jaśnie oświeconych Mittgensteinów. Kto zacz owe Mittgensteiny, pany saskie, carskie, czy polskie — nie badał; były to w każdym razie pany trwałe. Tymczasem teraz właśnie trwałość leśnego obyczaju zaczynała szwankować... Zbuntowani ludzie, tym gorsi od Hryciów, że nie podlegli chłoście, płoszyli kniaziowskie łanie, gotowi zaszkodzić rykowisku.

Niepewny własnego gruntu, Elichwir bał się wpuszczać zięcia do lasu, bo i tego nie był pewien, czy Krzysztofowicz bardziej carskim czynownikiem był, czy Polakiem.



Asesor osępiał. Drażniło go żyto w domu, choć i zgarnięte w kopczyki na rogożach, drażnił go bas teściowej, wzywający to Makara, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki gospodarskich robót. Nade wszystko drażnił go Elichwir w bezszelestnych łapciach, w świtce parcianej, mruczący "*Vater unser*" pod prawosławną ikoną. Przy tym Cecylia w Bobrówce robiła się jak gdyby podwójna. Zwolniona z miejskich obrządków narówni z Chwiliną i Praksedą biegała po chlewach i oborze ugięta, bosa, bez czepka, ze stertą roztrzęsionych ryżych włosów nad wilgotnym czołem. Spod odzienia, górą i dołem, wyzierało obfite, młode ciało. Piotr nie nadążał oczu odwracać: zewsząd zaskakiwały go te białe połcie.

Śmiała się też — rzecz w Bernawczycach rzadka. Jej głos w miasteczku tak nieznaczny, tutaj dawał się słyszeć. W kuchni razem z Martyną przedrażniały czasem Żydów, popów, uczyły dzieci pachciarskich powińszowań i jakichś mściwych gadek chłopskich, kursujących od Brześcia po Humań.

Pisarczyk zaś z "Ministracji" brząkał na gitarze, śpiewając brawurowo przez nos piosenkę rzekomo "tancerek perskich".

W kilka dni po świętach wiosna zrobiła się nagle z zimnej nienaturalnie gorąca, ptactwo rozkrzyczało się za oknem, bór rankami huczał w silnym wietrze z południa, odzywały się nieznajome zwierzęta, a spośród ścian domu ten młody Litwin odpowiadał im "persikimi" słowami.

Piotr czuł się, jak kukułcze jajo.

Kiedy wracał z przechadzki, zamroczony słońcem, odó

chlewu i kuchni, a także ciemność gościnnego pokoju, były mu wstrętne. Serce kurczyło się w nim i twardniało z niechęci do bobrowskiego świata. Nie wiedzieć czemu przyszła mu na myśl i nie dawała spokoju kopia pewnego dokumentu zagrzebana w szufladzie kantorka w Bernawczycach. Mocą tego dokumentu jego pradziad, Jakób Krzysztofowicz herbu Ślepowron, darował swój majątek Wrożyszcze w Kobryńskim — *cum boris, piscibus et fluviis* — na wieczne czasy niejakiej pani Bortnickiej herbu Łabędź oraz jej prawym potomkom. Kopię przechowywano w rodzinie ze zgryzotą i pietyzmem, komentując krzywdzący dla potomków czyn pradziada rozmaicie, w zależności od usposobienia komentatora: raz jako dowód obłędu, raz szantażu, którego ofiarą padł właściciel Wrożyszcz, raz znowu jego pańskiej wielkoduszności. Piotr należał dotąd do srogich sędziów Jakuba. Aż dopiero wśród "bałakania" tych wszystkich Praksed i Chwilin, a zwłaszcza, jako odtrutka na piosenkę "perskich" tancerek, łacińskie słowa rodzinnego dokumentu, przyprószone makaronem, przypomniawszy się, napełniały go ukojeniem. "*Cum piscis, boris et fluviis*... herbu Ślepowron" — powtarzał w duchu, dumny i rozmarzony — "herbowi Łabędź"... Nie czuł już żalu do przodka. Przeciwnie; wdzięczny mu był za to, że od niego otrzymywał pomoc w przebaczeniu teraz, po trzynastu latach... Izabelli Rawicz.



Kazio był w Bobrówce na pozór bardzo szczęśliwy. Miał wbród wszelkiej "żywioły", wbród przyśpiewek, przytupywań, orzechów w miodzie, paschy z twarogu, późnego niespania. I — rozwód z Reginą, która razem z Franią zostawała na łonie Czuczyńskich. Jednak nuda z tego wynikała bodaj większa, niż w Bernawczycach. Zamiast Reginy deptało mu po piętach burzliwe stado Chwilin, drażniąc, łaskocąc, karmiąc "panyczka". Zewsząd czyhały rozwarte, spocone ramiona, zewsząd czyhał nieproszony ratunek.

Pod sam koniec tego wielkanocnego, w 1863-im roku, pobytu w Bobrówce, trafił się wreszcie dzień, który Piotra, a wraz z nim Kazimierza, wyzwolił. Podczas obiadu leśnik wywołał Elichwira do sieni. Szeptali tam, mruczeli... Elichwir po chwili wrócił i sięgnął po fuzję. Asesor porwał się od stołu.

— Ojciec do lasu? Ja z ojcem. Może choć do wrony puknąć uda się.

Stary przecząco potrząsnął siwymi kudłami.

— Jaka tam wrona! Proszę ja Piotra bez turbacji posilać się. A to u mnie dzieło w lesie krótkie będzie.

Piotr nie ustępował.

— Jak raz turbacja przyda się; kałdun przetrząsnąć trzeba.

— Powietrza dziś czegoś niedobra — Elichwir na to — Komu służba, a komu za stołem siedzieć lepsza rzecz.

Niby grzecznie się certując, postępowali w stronę drzwi. Na samym progu dziad zastawił je sobą:

— A ot ja co Piotru powiem: las nie kancelaria, czinowników nie lubi.

Krzysztofowicz został.

Wieczorem piskorze wypłynęły pod wierzch butli, gwiazdy stanęły w gałęziach sosen, Elichwir wślizgnął się na przyzbę — bielejący w swojej parciance, jak próchno. Kos zągwizdał — przedwczesny amant wiosny, zza węgła domu, spośród chlewów, świronków, z różnych ciemnych drzwiczek powysuwały się Praksedy, Daniły, Hrycie — ofiary niebieskiego szczurołapa. Wpodle ganku, gdzie na ławach siedziało już "państwo", uformował się chór. Bezgłosy zrazu, potem — w miarę jaśnienia księżyca — coraz wymowniejszy.

Śpiewali:

Susid rańsze mene sije
U susida zelenije...

kiedy jakiś tenor urwał nagle nutę i — zgaszony — szepnął:

— *Szto heta takoje?*

Ramię w płóciennym rękawie wyciągnęło się w kierunku gołego jeszcze w tej porze dębu. Gwiazda, która tam uplątana była w sieć z cienkich witek, ciągnęła za sobą jasny warkocz. Pieśń ustała. Ludzie wbiegli na ganek.

— *Szto heta? Strast'! Szto heta?*

— Kometa. Ciało niebieskie — objaśnił asesor.

— Nie już kobieta? I jakaż u niej ciała niebieska? *Na szto?* — zdumiała się Martyna.

— *Ni na szto. Prosto na czużu biedu...*

— *Sol widno doroha budzie* — westchnęła Horpyna.

— *Sol, tak sol* — mruczeli starzy, — *a ot za Napoljona także samo na wojnu pokazywało.*

— *Wojna budzie* — hyr poszedł.

— *Jaka wojna?*

— *Widno polska. Pany znów Polszczu odwojujuć.*

— *Ni. Car szlachtu izriezać prikaże.*

— *Polszcza na wierch stanie.*

— *Ni. Polszcza padnie.*

Wtedy Elichwir przeciągnął się, aż skrzypnęła ława, ziewnął i rzekł:

— *Nechaj chutko ona na wierch staje, czili pada, Polszcza ona,* póki jelenie nie grzeją się, a nie, tak czort z nią i ze Stasukiewiczem.

Niezapomniane słowa! Nieobliczalne skutki słów! Urzędnik carski, Krzysztofowicz z bernawczyckiego "stanu", powstał jak długi i trzęsącym się głosem oznajmił:

— Nie dozwalam! O Polsce ja tak — nie dozwalam.

Przepchał się między siedzącymi, chwycił za rękę sennego przy boku Cecylii, Kazia; szarpnął nim — wielkimi krokami uprowadził w las.

Cecylia biegła z początku za zbiegami aż ziemia dudniła. Biegła wołając:

— Piotruś! Piotruś! wróć się. Kaziuka choć zostaw, a to zmarznie on i lichoradki dostanie.

Kazio kurczowo ściskał rękę ojca. Krzyki matczyne zmieniły się w płacz, ale ojciec nie zwolnił kroku. Wkrótce też zamarł gwar leśniczówki i poufnie, sędziwie zaszumiał wielki bór.

Szli na przełaj, od razu zboczywszy z duktu, jak prawdziwi złoczyńcy. Kazio zamknął oczy, spuścił głowę, prawem ramieniem osłaniał się przed ciosami gałęzi. Czy długo wędrowali, nie umiałby powiedzieć. O pewnej chwili ojciec, stanąwszy, powiedział:

— Patrz.

Byli na polanie. Wyglądała jak pięknie umieciony pokój, szklisty od księżycowej czystości. Podobne do kolumn, wznosiły się brzegiem sosny, splątane czubami.

Jedna brzoza — istna świeca — bielała pośrodku, jeszcze nie odziana w liście. Wpoprzek leżały zwalone kłody. Rosista trawka zaściełała ziemię; tu i ówdzie, zwinięte w baranie rogi, paprocie już wynikały z gruntu, kępa wielkich zawilców srebrzyła się, a przylaszczki sino znaczyły wzór kobierca. Trzaskało coś w gęstej ciszy, coś spadało, to znów przebiegało chyłkiem; nieznaczna kędzierzawość puszyła się na zaroślach, czyniąc je drżącymi, jak młode zwierzęta. Oczywistość życia była wielka w śnie leśnym zaledwie tkniętym wiosną.

Wtem skrzydła załopotały nad głową Kazia; ogromny ptak, srebrny od księżyca, przeważył się po świetle... Znikł. Kazio ledwie mógł wymówić:

— Co to? Co to? Czy to orzeł biały?

Po wzniesionej twarzy ojca lało się szkliwo księżyca. Kometę dawno przesłoniły drzewa. Jednak chyba myślał o sprawach przez nią wywołanych, odpowiadając synowi:

— To wszystko jest Polszcza. Ona paść nie może.

V

Cecylia nie miała szczęścia w macierzyństwie. Jak łatwo się rodziły, tak łatwo umierały jej niemowlęta. Brzydsza z każdym porodem, nie wzbraniała żadnej praktyki, żeby zapewnić im trwałość. Kiedy różne babiny kąpały jej syneczków, sądziła, że Bóg nie zechce zrobić na przekór tylu zacnym intencjom. Ale w trzecim miesiącu zazwyczaj dzieci zaczynały się wić po nocach, zrzucać pokarm i schnąć. Pod koniec pierwszej połowy pierwszego roku, skrzyczawszy się na śmierć, ucichały.

Cecylia nie płakała. Przechowywała koszulki nieboszczyków, nosiła szkaplerz, w który zaszywała ich mięciuchne, płowe włosy, ale nie skarżyła się. Najczęściej też wkrótce po pogrzebie nawiedzała ją nowa nadzieja. Ludzie znający się na rzeczy twierdzili, że ma zły pokarm. Tymczasem Kazio i Frania, wykarmieni jej piersią zanim jeszcze Piotr nazwał ją Augustą, rośli zdrowo... Niepowodzenia z następnymi dziećmi przypisywała niezbadanym wyrokom Boga, którego czcić można tylko pokorą. Po każdym pogrzebie korzyła się usilniej i usilniej dziękowała Stwórcy za Piotra. Rzeczywiście nigdy nie wyrzucał jej niefortunnego macierzyństwa. Jednakowo pobieżnym spojrzeniem ogarniał krwistego noworodka i zimne ciałko w trumnie. Chrząkał, odwracał wzrok... Na obronę przed kondolencjami miał swoje niezawodne milczenie. "Mruk mrukowi oka nie wykole" — mawiali sąsiedzi o żałobnej parze. Regina skradała się czasem nocami na palcach pod drzwi sypialki, żeby poprzez chrobot myszy i tupanie jeża podsłuchać słowa, którymi brat będzie ranił żonę. Nigdy nic nie słyszała prócz jęku. Tak; Cecylia przerażona pustką w kolebce, póty jęczała, obejmując nogi męża, póki nie rozgrzała jego obojętności. A kiedy Piotr wracał do przytomności, jęk, rozbrzmiewający w sypialni, był jego.

Czwarty z kolei syn, Grzegorz, zaraz po urodzeniu ofiarowany został do zakonu. W komodzie brązowa sukienka mnisia czekała na pierwsze jego kroki. Cecylia, jak zwykle pełna otuchy, na jedno nie umiała się ważyć: podróżować z niemowlęciem do Brześcia. Natomiast w dniu, kiedy mąż spodziewany był stamtąd, od rana przesiadywała w ganku, oczekując nowin o Kaziu Frani.

Piotr mało kiedy coś powiedział, bo rzadko widywał dzieci. Urzędy — obok bieżącej roboty — przeżuwały kwestie powstania. "Stanowoj pristaw", czyli asesor, przedstawiciel władzy wykonawczej na obwód administracyjny, prawa ręka "sprawnika" musiał niejeden węzeł rozsupłać między gubernialną racją stanu, a bernawczyckim szaleństwem.

Z ust do ust chodziła wieść o ataku Romana Rogińskiego na Białą Podlaską, o krwawych bojach w jej okolicy z przemożnymi siłami, o dzielności młodziutkiego dowódcy, który z garstką ludzi niemal bezbronnych zwycięsko odpierał Moskali.

Handelek Głuchowskiego w Brześciu trząsł się od pohukiwań panów szlachty. W pierwszej izbie za sklepem półmiski flaszki krążyły nad głowami, służba rzucała łyżki i talerze, w kącie pod łbem rogacza, obróconym na wieszak, siadywał sam pan "sprawnik". Tutaj było państwo solenizantów, rybkowiczów kieliszkowych przyjaciół. Coraz to rozbrzmiewał stukot taradajki po kocich łbach, później alarm ochrypłego dzwonka, i nowy gość wkraczał do Głuchowskiego — administrator, dzierżawca, nieraz sam pan dziedzic, albo jego stołeczny kuzyn. Trafiał się i miejscowy urzędnik, rejent, doktór... Rychło przestawało to być ważne, kto jaką godność piastuje.

Z początku sumiaste gęby tkwiły sztywno na karkach, spo

zierając z wysoka na sąsiednie stoliki. Ale wódka nie pozwalała na piękną prezencję. Ledwie przekąsiwszy ogórkiem, przybysz zaczynał głośno dopominać się o rydze, potrącał sąsiadów, po czym rzewnie ich przepraszał, czy też — jeśli był krewki — fukał i gromił. Jedni za gromionymi brali stronę, inni za gromiącym, powstawał harmider, oblicza krzywiły się, wąsy nasiąkały tłuszczem. Z podania soli wynikały namiętne skłonności, nieznajomi rzucali się sobie w objęcia, odkrywając śmiertelne sekrety. Wkrótce pod łbem rogacza "sprawnik" szeptał z głównym "miatieżnikiem", a urzędniczyna powiatowy odbierał pokorne służby jaśnie oświeconego klienta.

Za pierwszą izbą była druga, ciemnawa i cicha. Tam tylko niektórzy chyłkiem wkraczali. W zielonym lustrze nad kanapą pływały twarze, jak gdyby nie odbite z obecnych, tylko zapomniane przez tych, co stąd dawno odeszli. Młodzi ludzie, a i starsi panowie, popijając tam, nie podnosili głosów, to zaś co mówili widocznie miało sens, bo notowane było na karteczkach, przyjmowane jak Ewangelia. W drugiej izbie nikt się długo nie zasiadywał. Ledwie trzech, skłoniwszy do siebie głowy, wysłuchało czwartego, już co najmniej jeden opuszczał radę, by śpiesznie zdążać ku drzwiom od podwórka. Często koło stajni ktoś czekał na wychodzącego, często ze żłoba wyjmowano spod obroku różne nie stajenne przedmioty, coś ukrywano w sianie i — świecąc ślepą latarką — ruszano z powrotem w miasto.

Piotr Krzysztofowicz przebywał raczej w tej drugiej izbie. Dostawał się do niej "czarnym chodem", przysiadł pod zwierciadłem na skraju kanapy, odgadywał swoje, stękając, pilnie słuchał, wiele miewał do czynienia w wozowni.

Niejeden z pierwszej izby, jeśli zajrzał w głąb handelku i dostrzegł asesora, cofał się na palcach, kiwał na kamrata i kazał mu się mieć na baczności: "*de publicis*, bracie, ani mru-mru, w bokówce pies carski nasłuchuje". Kupili się w pobliżu kanwowego Kościuszki, by okoliczność rozstrząsnąć:

— Sprawnik — dusza-człowiek. On za Polskę w ogień skoczyć gotowy, a to w Rosjanach afekt słowiański ze wszystkim rozbudził się i samodzierżawie nadojało nieszczęsnym. A ot Krzysztofowicz — renegat; dla orderu braci rodzonych zaprzeda.

Tak więc Piotr pozostawał w podwójnym podejrzeniu. Bo Regina także zaczęła snuć domysły. Brat nazbyt często pojawiał się teraz w Brześciu i nazbyt mało udzielał się dzieciom. Regina, gdy wypadło oczyścić mu ubranie, albo spakować torbę podróżną, węszyła za damską perfumą. Z wypiekami na twarzy przetrząsała kieszenie, czy nie wypadnie z nich wstążeczka, liścik, cokolwiek co by świadczyło o klęsce Cecylii. Wobec zapytań Kazia: "gdzie tatko? czemu nie nocował?" — kładła palec na ustach: "ciekawość pierwszy stopień do piekła".

Frania spuszczała oczy, Kazio czuł, że baby myślą nie to co potrzeba. Ciotka z panią Wrońską ściboliły obok, kiedy on odrabiał lekcje.

— Nie wiadomo już co i gotować, brat zawsze spaźnia się. Machnęła ja ręką i zimną kwaszelinę co dnia przygotawiam...

— A w domu pani asesorowa na takie spaźnianie pozwala?

Regina sznurowała usta:

— Trudnoż człowieku całe życie być niewolnikiem... Ja myślę, że dla mężczyzny świat szeroki domem okazuje się.

Kazio po raz pierwszy gotów był przyznać jej rację. W pamięci stawała mu polana zasnuta nocą, księżycowa polana, gdzie ojciec pośród drżących krzewów widział Polskę.

Regina mrugała na starszą panią. Wychodziły, obrzucając ucznia surowym wzrokiem. Za progiem wszczynały długie szepty, wzdychania i śmiechy.

A z Piotrem Krzysztofowiczem sprawa była taka: akt darowizny majątku Wrożyszcze — *cum boris, piscibus et fluviis* herbu Ślepowron — herbowi Łabędź — stał się od pewnego czasu wielką kartą jego egzystencji. Przełożył ją sobie do podręcznej szuflady. Nadal nie sprzyjał jaśnie państwu; spluwał ile razy ulicami Bernawczyc sunął tabor pana Kossarzewskiego: bryczki wiozące kuchnie i kucharzy, kufry, naczynia, a sam dziedzic pośród klaskania biczysk i trąbień forysia kolebał się w karocy. W urzędzie lubił przygnębiać ziemian swoją władzą. Niechętnie patrzył na przyjaźń Cecylii z Czuczyńską — "hrabską służką" i pochwalał projekt uwłaszczenia chłopów. Ale w godzinach samotności to życie znajdowało koniec, i z głębin jestestwa podnosiło się życie prawdziwe — niedorzeczne, ulubione, takie jakie nigdy nie było i nie będzie.

Razem z przeklętym dziadem, marnotrawcą fortuny, Piotr przechadzał się, obleczony w sajety, po majętności Wrożyszcze i raz jeszcze — całą, calutenką, *cum boris, piscibus et fluviis* — słał ją do stóp herbowi Łabędź. Imość Bortnicka szumiała spódnicami nad coraz innym stoczkiem, pod coraz inną brzozą, dziad Jakób herbu Ślepowron — za nią. Tylko że, kiedy o księżycu wychodzili do Piotra, imość na łabędziej szyi niosła głowę Izabelii Rawicz; asesor musiał znów klękać i błagać o oddalenie rywala. We śnie dawało się to uskutecznić; dziad znikał. Piotr wstępował na złoto-biały obłok, brał hrabinę w ramiona i płynęli. Dopieroż wtedy okazywało się, w jak pięknym świecie ubiega ludzki czas. Izabella miała oczy przymknięte, wydawała się zapominać, że żyje. Natomiast Piotr, czując z dawna marzone ciepło kobiece, zyskiwał możność widzenia tego co zazwyczaj nie ściąga uwagi.

Każde drzewo rysowało się na niebie innymi listeczkami, słup od gołębnika okrywał się to srebrem, to złotem, dymy polatywały nad wodą, rozsnuwając zapach piekarni i pogodnego wieczoru. Wreszcie las podścielał swoje mroki pod ów przelot miłości: Izabella Rawicz na wieki oddana Krzysztofowiczowi. Piotr rozdzierał obłok; osiadali z hrabiną na polanie przy kępie zawilców — Piotr nachylał się nad ustami, pił bogactwo, pił wolność, odrywał wargi i słyszał własny szept: "To wszystko jest Polszcza; a to ja — krew za nią oddać gotowy".

Taki był podskórny nurt urzędowania. Aż tu pewnego dnia głębokiej jesieni roku 1863 przyszedł papier z *ujezdu*, który — wbrew najoczywistszym racjom — wydobył ów nurt na powierzchnię. W papierze był nakaz egzekwowania Ołyńca, ostatniego folwarku dóbr druwienieckich. *Stanowoj pristaw*, Krzysztofowicz miał się tam udać w asyście dziesiątki kozaków, aby dworek, gdzie po licytacji pałacu w r. 1854 mieszkała pani Rawicz, opieczętować, a dziedziczkę wysiedlić. Jako przyczyna represji. podane zostało: stosunki z partią Stasukiewicza.

Niestare serce Piotra zabiło na trwogę. Papier złożył drżącymi palcami i przeżegnał się; wieczorem poszedł do Czuczyńskich, gdzie było ognisko plotek. Niezbyt zgrabnie ta wizyta wypadła. Emerytka, świadoma niechęci asesora do siebie, droczyła się. Po każdym pytaniu wybiegała do kuchni. Dopiero na widok urzędowego dokumentu wyznała: o Bojarskim słuch dawno zaginął. Któregoś rana, przed ośmioma laty, Iza obudziła się w swoim łożu samotna. Nie pomogły srebrne zawołania: Czarny poniósł gdzieś w obce strony swój piękny, mały łeb i muskularne ciało. Hrabina oćwiczyła podkuchenną, którą podejrzewała o konszachty z nim, podarowała pierścień lokajczukowi, ale ślad nie dał się wytropić.

Wyjechała zagranicę. Podobno włoski markiz chciał się z nią żenić. Rada familijna ustanowiła nad nią kuratelę, ale ani za mąż jej wydać, ani fortuny uratować nie mogli. Po powrocie osiadła w Ołyńcu w towarzystwie wiernej garderobiany, zdziczała, nosić się zaczęła z chłopska, włóczyła się konno po lasach, polowała w pojedynkę, albo w towarzystwie parobków.

Ostatnim dopiero czasem zaczęły napływać gadki, że widziano Bojarskiego w grupie jeńców, których generał Nostitz przyprowadził spod Siemiatycz. Inni znów mieli go rozpoznać pośród dywersantów, rabujących w ślad za sołdactwem majątek ubitego przez Rosjan pana Śnieżki.

— Hrabinia... jego widziała? — wystękał.

— Hrabinia! Wariatka ona, nie hrabinia. Samaż ja i powiedziała jej o nim. Pan asesor myślisz ona wzruszywszy się była? Bajki! Oczy tylko na mnie — ogromne te swoji — postawiła i mówi: "Bojarski? Ot, śmieszne nazwisko! Bojarskiemu bojarem należy się być, a nie żulikiem". I w śmiech.

Czuczyńska byłaby nie poskąpiła dalszego ciągu powieści. Ale Piotrowi dosyć było tego: Czarny, jak we śnie, ustąpił i nawet nazwisko jego zostało zapomniane. Miejsce na obłoku było wolne obok Izabelli Rawicz. Tegoż dnia pojechał do Ołyńca bez asysty.

Jakie tam było widzenie, pozostało tajne dla pana *sprawnika*. Złożył rapot, że egzekucja w toku. Podówczas to właśnie asesor zaczął nawiedzać handelek Głuchowskiego w Brześciu, wzbudzać czujność patriotów i domowych kobiet.

Otóż Izabella powiedziała:

— Pafnucy, jeśli Boga masz w duszy, doprowadzisz mnie do partii Stasukiewicza. Zaklinam ciebie, zaklinam! Dwór bierz

choć zaraz, *pieds-nus* pójdę za tobą, by nigdy nie wrócić w te miejsca, gdzie serce moje siedmioma mieczami przebito.

To mówiąc, patrzyła na asesora zdumiona i do każdej drogi gotowa. Kiedy w zająkliwych zdaniach przedstawiał grozę przedsięwzięcia, chuchała na szybę i rysowała na niej palcem serca i miecze... serca i miecze...

Zaczęło się podwójne życie Piotra. W urzędzie bernawczyckim sporządzał pisma w sprawie *ostawlennoj w podozrienji* Izabelli Rawicz. W Brześciu szukał Kostusia, niesfornego siostrzeńca Martyny, by zasięgnąć języka o Stasukiewiczu. Nie łatwo mu z tym szło. Wprawdzie przez jakiś czas w rodzinie mówiono o dziwnym postępku Piotra, kiedy w Bobrówce ujął się ni stąd ni zowąd za Polską i w las poszedł urażony — ale była to niepewna poszlaka patriotyzmu, i Kostuś bał się dopuszczać *pristawa* do powstańczych sekretów. Krzysztofowicz najchętniej by milczał i czekał aż jakaś okazja sama wpadnie w ręce; jednak, hrabina patrzyła nań — obecna, czy nieobecna — zdumionym spojrzeniem.

Któregoś dnia, siedząc w Brześciu przy Kostusiu w bokówce Głuchowskiego, czując że każdy z sześciu mężczyzn wokoło jedną myśl chowa: "zgiń, przepadnij, psie carski, i nasienie twoje niech przepada" — czując to, oraz niezmierne obrzydzenie do siebie, nabożeństwo do nich, strach przed awanturniczą wyprawą, a także zachwyt dla niepojętych zachceń jaśnie hrabiny Rawiczowej, Ślepowron Krzysztofowicz zapadł nie tylko na dusznicę bolesną, ale i na jakiś cichy obłęd, niewidoczny dla ludzi. Szanując dzień powszedni nad wszystko, musiał — ku własnej rozpaczy — szarpać, węzeł po węźle, bezpieczne nawyki, próbować ich mocy, mścić się na istotach najwierniej sobie oddanych za to, że sam je sobie ustawił wpoprzek drogi, która wiodła do jakiejś wariackiej, szlacheckiej niedzieli. Doskonale rozumiał, że naraża los rodziny, a przecież — przy tych wszystkich sześciu — głośno i wyraźnie powiedział:

— Za pozwoleniem... Prowiantu w lesie potrzebno? Nu tak u mnie na ten cel parsiuków i cielaków para sztuk znajdzie się.

Drgnęli jak na głos Belzebuba, więc szybko dodał:

— Żeb' konfuzji nie było, nie ty mnie, Kostuś, a ja tobie kwit wystawię na prowiant ten...

Potykając się, wyszedł, i odtąd regularnie dostawiał żywność, która ze stajni Głuchowskiego wędrowała potem do lasu. Skąd ją brał? Od kogo ukwestował? Jak dalece nadwyrężał kasę domową? Nikt ani pytał, ani dziękował. Po pewnym czasie pozyskał sobie całkowite zaufanie i Kostuś uznał za stosowne wskazać mu niektóre tajemne przeprawy.



Otóż i nadeszła noc pojednania. Na wozie kiepsko wymosz-

czonym, Piotr Krzysztofowicz, meldując się wartom powstańczym, jechał w księżyc z Izabellą Rawicz.

Hrabina w mużyckich szmatach i w dostojeństwie dojrzałych lat kobiecych, była inna, niż za czasów Druwieńca, ale wzruszenie Piotra było takie samo. Księżyc świecił listopadowy, mroźny. Krzysztofowicz nie śmiał nic mówić, prawie nie śmiał istnieć. Sam powoził. Izabella siedziała obok, tuląc do piersi szkatułę z klejnotami. Myślał z uniesieniem o tych szmaragdach i szafirach, które pomógł zataić przed likwidatorem mienia "osoby podejrzanej", a które teraz zasilą skarb powstania. Za nimi w sianie był zagrzebany wór mąki i ubity cielak. Kiedy na wybojach ramię hrabiny przylegało do ramienia Piotra, zagryzał wargi.

W połowie drogi wiatr przywiał mu na usta pasmo włosów. Wypuścił lejce z rąk, koń stanął, pani Rawicz ocknęła się:

— Co to? co to?

— Nic to — westchnął. — Proszę, jasna pani, śnić dalej, Bóg nas od złego uchroni.

Zagruchała po francusku, wsparła czoło o jego plecy i rzeczywiście usnęła. Wjechali w las. Okolica dobrze była asesorowi wiadoma, bo zmierzali do owej leśniczówki, której oddano w pieczę głuszce dla dygnitarskich polowań. Asesor szperał oczami po gęstwinach, naświetlonych miesiącem, czy gdzie zza krzaka nie wystąpi stary Elichwir w parciance, mrucząc *Vater unser*. Wspomniał wiosenną bytność z Kaziem na polanie, gdzie za przyczyną komety pokazała im się Polska. Tkliwość go ogarnęła dla tego dziecka, postanowił sobie odtąd więcej uwagi mu poświęcać.

Tymczasem zatajał dech, żeby nie zbudzić Izabelli. Odkąd ustąpił cień Czarnego, wydawała mu się własną najdroższą córką. Pragnął ją dowieźć wraz z klejnotami — śpiącą, czystą — na to miejsce, gdzie dopełni się ofiara. Wiedział już teraz, że nie będzie jej mógł zatrzymać dla siebie. Rozumiał, że jego szanse ciężkiego, porządnego człowieka były gorsze od lokajskich. Nie chciałby nawet i nie próbował gramolić się w łoże, obok którego kiedyś klęczał. Ale chciał, ale nareszcie *mógł*, zobaczyć Izabellę niczyją. Postanowiła resztą majątku zasilić powstanie. A że Stasukiewicz był klerykiem, hrabina złoży w poświęcone ręce swoje kolie, brosze i naramienniki, wabiące mężczyzn. Sprzed ołtarza Ojczyzny odejdzie samotna. Jak kiedyś kupowała sobie z pańskiego grymasu tureckie szale i kulbaki sadzone perłami, tak teraz kupi sobie nędzę, męczeństwo, może śmierć. Krzysztofowicz czuł upajający, konwaliowy zapach spraw niedorzecznych; szlacheckich spraw, pieczętowanych ptakami, kwiatami, krzyżami i mieczami.

Wóz podskoczył, Izabella siadła prosto i rozwarła powieki. Drzewa się rozstępowały, droga wiodła w coraz szerszy dukt, zimny księżyc napełnił srebrem złote zazwyczaj oczy. Hrabina była blada. Chusta opadła z głowy, rude loki, gdzieniegdzie przetkane srebrem, błyszczały jak korona. W jednej chwili

Krzysztofowicza ogarnęło zwidzenie, że to nie hrabinę ze skarbczykiem doprowadza on do partii, tylko samą Polskę wiezie do wieczności. Przeraził się, westchnął, ale konie prychnęły, dym wypłynął spośród gałęzi, dalekie szmery obwieściły tłum ludzi i Piotr — zawstydzony — powrócił do jawy.

Wreszcie stanęli na dobre. Była to, zwarzona jesienią, ta sama polana, na której błyszczały w tygodniu wielkanocnym zawilce i drżały pączkujące krzewy. Nic nie pozostało z tamtej czystości. Trawa była wydeptana, spalona od ognisk, wszędzie pstrzyły się ogryzki, końskie łajno, szmaty, pakuły... Kłody widać zrąbano, gdzieniegdzie bielały trociny. Smród ludzki i bydlęcy szczególnie raził nocą. Między szałasami i płachtami, krzywo osadzonymi na drągach, mającymi osłaniać od wiatru, kręcili się mężczyźni w półkożuszkach, w czapach kwadratowych i krągłych, obszytych barankiem, w butach z cholewami, przeważnie brodaci. Spętane konie rżały pośród drzew, wozy zestawione w prostokąt o trzech ścianach tworzyły zagrodę, gdzie mieściła się kuchnia, skład sprzętu, obora i chyba lazaret, bo porywiste jęki donosiły się stamtąd narówni z rykiem krowy. Furmankę z Brześcia natychmiast obstąpiono, znowu dwóch z pistoletami w garści podeszło do asesora — Piotr znowu wręczył pismo Kostusia. Przyświecili sobie, przeczytali, potem latarkę podnieśli na wysokość twarzy; w żółtym świetle, kłócącym się z księżycem, długo oglądali zawstydzone oczy Krzysztofowicza i senne usta Izabelli Rawicz.

Uchylili jeszcze dery nad prowiantem, pomacali wór z mąką, cielę... Zabrali fuzje... Odeszli.

Hrabina sfrunęła na ziemię. Stąpnąwszy, zaczęła się skarżyć, że zwichnęła nogę, ścierpła, przemarzła, że chce do ognia. Trzęsąc lokami, ruszyła — kuśtyk, kuśtyk — w kierunku taboru; Piotr, rad nie rad, za nią. Ludzie śpiący gromadami pod osłoną płacht i bez osłony, podnosili rozespane głowy, mruczeli coś i spali dalej. Czuwający natomiast byli wielce zajęci tumultem w zagrodzeniu. Owe jęki, pomięszane z krowimi rykami, zdawały się być ośrodkiem sprawy. Przybysze prędko dobrnęli na miejsce, ale nie od razu zobaczyli w czym rzecz, bo gęsty tłumek zastawiał plecami scenę. Pewnie tam pośrodku ktoś leżał cierpiący, bo coraz krzyk boleściwy szedł w górę. Iskry snopami ulatywały z ogniska, brodacze klęli, niektórzy jednak śmieli się, przygadując:

— Dobrze jemu tak. Teraz popamięta. Na drugi raz lepszą konduitę obierze.

Izabella ziewnęła. W tej samej chwili głos cierpiącego człowieka ścieniał, wyostrzył się i z jęków przeszedł w słowa:

— Panno Najświętsza! Izabello!! ptaszko moja!! Na pomoc..

Wargi rozciągnięte ziewnięciem — zastygły; źrenice — stężały. Hrabina podniosła pięść i zaczęła kuć w plecy powstańców. Zaskoczeni, odstępowali; luz powstał, w migającym blasku odsłoniło się jądro zdarzenia: umęczone ciało.

Nagi, brązowy, z małą zwichrzoną głową odgiętą w tył, klę

czał Czarny. Ręce miał przykrępowane do tyłu; na piersi, plecach, ramionach — krwawe pręgi. Dwóch smagało go rózgami, które — miast w wodę — co chwila zanurzali w płomień. Właśnie te rozżarzone pręty znów unosili w górę, kiedy między nich a klęczącego runęła masa chust, loków, płaczu i zaklęć. Zanim kto zdążył dech złapać, Izabella wytrąciła rózgi oprawcom.

— Bojarze mój!

Ludzie zamilkli. Rude włcsy pałały. Samodział osunął się z ramion, zaciśnięta pod lewą pachą szkatułka ukazała bogate wieko.

— Dla ciebie, królu mój, przywiozłam szafiry i szmaragdy, abyś się do mnie powrócił...

Piotr Krzysztofowicz zamknął oczy. Martwica złapała go za czoło i za stopy, jak nagły mróz. Pod powiekami powstał obraz szarej lodowatej rzeki, która swoje wody toczy jemu naprzeciw, aby niechybnie zatopić. Uczyniło mu się nudno, żal wszystkich fatyg, jakie kiedykolwiek pcnosił, i tęskno do ostatecznej topieli.

— Kupić, kupić... — po dłuższej chwili spostrzegł się, że powtarza to słowo; zacisnął zęby, wyszedł z koła i przysiadł na pieńku.

Tymczasem powstańcy ochłonęli z czaru rudowłosej. Ten i ów ją poznał. Pan Tarbutt w bobrowym kołnierzu przysunął się i rzekł:

— Jakiż on bojar, jaki król, hrabino? Oprych, gwałciciel i grabieżca. Z Feliksem Jarminem do partii przystał, obełgawszy go, iż emisariuszem Warszawy będąc, u pani tajnie kwaterował. Wiaręśmy mu dali, bo pierścień z klejnotem pani okazał. Dziś atoli żandarmi nasi przychwycili go na zbójeckiej robocie, jak w ślad za naszym patrolem, furaż w Leśnictwie biorącym do Bobrówki wpadł, dziewkę służebną przyniewolił, starca-nadleśnego, nazwiskiem Eichler, w oczach żony zastrzelił i do skrzyni z dobytkiem sięgał.

Co, gdy pan Tarbutt powiedział, żandarmi podnieśli wytrącone rózgi, a ogień wyżej buchnął. Jednocześnie z gromady wyłonił się Stasukiewicz, zbudzony przez wartowników.

Z listem Kostusia w ręku szedł, pytając:

— Gdzie jest obywatelka owa, co skarb przywiozła? Dawać ją! skarbu nam wielce potrzeba.

Piotr wstał na drętwe nogi. Bojarunio zawył... Tarbutt coś krzyczał, Izabella w niebogłosy prosiła:

— Puście Bojara mego, puście!! Wykupić go pozwólcie...

Ale wszystko utonęło w szarych wodach; i Piotr w nich do swojej powszedniości odpłynął.

VI

Rok 1863 zamknął się w Bernawczycach, jak wieko grobowe. Cecylia Krzysztofowicz straciła dwie bliskie istoty, niewinne żadnej polityce: ojca, zwanego Elichwirem, i małego synka, Grzegorza, niedoszłego mniszka. O ojcu pomyślała, że był do cna wyżyty, i że matkę zostawił opatrzoną, a córkę szczęśliwie zamężną, i że nigdy już, obuty w łapcie, modlący się po niemiecku, nie będzie stawał między nią a mężem, coraz bardziej niechętnym wszystkiemu, co bobrowskie. Śmierć Grzesia także jej nie zdziwiła. Odkąd Piotr zmienił milczenie przychylne na wrogie, nie wierzyła aby owoce ich nocy małżeńskich miały siłę trwania.

Postanowiła teraz nie prosić już tak męża o uścisk; Bóg widocznie żądał od niej czystości. Postanowiła odsłużyć Piotrowi jego wielką łaskę istnienia obok, przyjaźnią. Kraj był smutny, szlachcianki przywdziały czerń, po ulicach dzwoniły drewniane różańce i srebrne bransolety, przypominające kajdany. Większość znajomych młodzieńców ukryła się pod ziemią: w mogiłach i syberyjskich kopalniach. Starsi przywarowali każdy na swoim zagonie. Trzeba było znowu ubić pokłonami ścieżki do urzędów, zarośnięte w czasie "miatieżu". Trzeba było odszczekać zuchwalstwa; urodą córek uprzedzić konfiskaty; dowcipem petersburskich ciotek naprostować śledztwa.

Chłopi także upadli na duchu: car ze swoją łaską był daleko, pany, rozeźlone za zdradę, były blisko.

Pośród ogólnej żałoby Cecylia czuła się w zgodzie ze światem. A nawet w jej położeniu zaszła pewna poprawa: różni ludzie, którzy dawniej milkli na widok asesora, a jej samej dawali wykrętne odpowiedzi na życzliwe pytania, albo zabraniali swoim dzieciom przyjaźnić się z Kaziem i Franią, teraz poniechali tych wstrętów. Którejś niedzieli sędziwy Kalinowski, osierociały po bitnym synalu, stanął w progu, wlekąc kosz zwierzyny; stanął i zapłakał:

— *Ej, hor'ka jahoda Kalina! ej, hor'ka* dola nasza, braciaszki!

Asesor porwał się od kantorka i otworzyli sobie ramiona. Strachy opuściły dom, bo nawiedziła go bieda: konszachty z Kostusiem nie uszły Piotrowi na sucho. Kiedy uciekał z szer[...]skiej polany na pożyczonym koniu, zostawiwszy Izabellę wraz z jej skarbem wijącą się u nóg Bojarskiego — pierwszą osobą, która za rogatką brzeską o świtaniu pozdrowiła go chytrym uśmieszkiem zza szyby — był pop bernawczycki.

Wy budete jak grafy — mawiał ten batiuszka chłopom. Więc nic dziwnego, że któryś Daniło ołyniecki przewąchał ekskursję hrabiny z czynownikiem do lasu i o tej sprawie doniósł komu należy.

Zainteresowanie samego generał-gubernatora Murawjewa nie długo dało na siebie czekać:

"Ustranit' od dołżnosti, predat' wojennomu sudu, jesli sledstwijem donos potwierditsia — zakluczit' w kriieposti do okonczatielnaho prigaworа".

Do Bernawczyc zjechał porucznik delegowany do usunięcia Krzysztofowicza z urzędu i do objęcia po nim władzy.

Cecylia mogła teraz śmiało patrzeć w każde oczy. Nigdy by się nie poważyła odwodzić męża od jakichkolwiek postanowień, pochwalać lub ganić jego zajęcia. Póki wzbudzał niechęć szlachty i poważanie "sprawnika", napędzała Kazia do rosyjskiej "azbuki" i odęciem warg, które wyglądało bardzo komicznie, odpowiadała na zjadliwy szept snujący się za nią po kościele. Jednak ruina kariery urzędniczej wydała się jej drobną opłatą za przywilej noszenia takiej samej jak pani Kalinowska bransolety, wyobrażającej kajdany.

O twierdzy, o kibitkach myślała z przyjemnością. Tyle kobiet szło wraz z mężami na zesłanie. Marzyła, że zostawiwszy dzieci zabezpieczone resztą chudoby pod opieką Reginy i całej społeczności poleskiej, na katorżnych drogach będzie towarzyszyła Piotrowi. I w jakiejś chacie, przywalonej śniegiem, na barłogu, Piotr znowu, jak kiedyś, powie do niej "Cesiu".

Tymczasem Krzysztofowicz, wspomagany przez niedawnych wrogów, tępiony przez zwierzchność, wyprzedawał konie, zaprzęgi, zapasy gospodarcze, co pokaźniejszą ruchomość. Między jednym a drugim wyjazdem do Brześcia na przesłuchanie u władz śledczych, przyjmował gości i kupców. Ze stołu w jadalce wcale nie sprzątano: raz się oblewało sprzedaż gniadych, raz szafy, to znowu przychodził dawno nie widziany znajomek i milcząc obracał na obraz Ostrobramskiej wzrok przesłonięty łzami. Coś w rodzaju stypy trwało nieustannie pod dachem *pristawa.* Cecylia, — taka opuszczona w dniach pogrzebu ojca i małego Grzesia, — stan swój urzędniczy chowała w licznej asystencji przyjaciół.

Z przyczyny transakcji gotówka ciągle brzęczała w szufladzie; z przyczyny niepewności losu przetrzymywano dzieci w Bernawczycach, nie odesławszy ich po Bożem Narodzeniu do szkół w Brześciu. Kazio i Frania zbijali bąki, uszczęśliwieni nieładem: nastrój był świąteczny.

Wreszcie z przebiegu śledztwa zaczął przeglądać wyrok. Powoli stawało się jasne, że — jakkolwiek wypadnie wymiar kary — o powrocie do dawnego życia nie będzie już mowy.

Kazio zresztą coraz gorzej czuł się w Powiatówce. Jungur, nowy nauczyciel historii, siwawy garbus o małym nosie, o oczach i ustach schowanych w głębi twarzy, tupał po klasie ohydnymi butami, które brzescy chłopcy, nie świadomi elegancyj wielkiego świata, nazywali ze wstrętem: *krokodiłowyje sapogi.* Tupał, mnąc w garściach fałdy zbyt szerokiego surdutu, popluwał ziarnkami i szydził.

Niech tylko gdzie mignie sutanna księdza Lwigórskiego, już Jungur ściąga gębę w grymas nabożeństwa, spuszcza ślepia na dno oczodołów, układa na brzuchu ręce w małdrzyk i za-

czyna drobić krokodylowymi buciskami jakiegoś małpiego gawota. Niby to składa reweranse, niby przyklęka, żegna się, czaruje...

— *Ach, rimskij papa! Ach, czienstochowskaja mama!* "Za waszym przewodem złączym się z narodem". Albo wyjmuje z zatabaczonej kieszeni jakąś książczynę, siada, wzdycha, owija sobie połę surduta na palcu: udaje poetyczną panienkę: "Jaki to chłopiec piękny i młody, Jaka to obok dziewica?" Kryguje się, a potem jakby go osa ukąsiła — dalejże w pląsy, w hołubce; krótkimi ramionami żegluje w powietrzu, piejąc: — "Młodosti — podaj mi skrzydła!"

Nie daj Boże, wówczas zachować powagę. Należało ryczeć ze śmiechu, szydzić razem z belfrem, a kiedy przeminęła burza błazeństw, podnieść dwa palce, stanąć, wypiąć pierś, lewą dłoń schować za siebie, prawą położyć na piersi i deklamować wśród złowrogiej ciszy odę Dierżawina *"Do matuszki Rossieji"*.

Wielu było takich, którzy milczeli i odwracali głowy, kiedy Jungur szalał. Byli i tacy, co spluwali; był jeden, który zbiorek poezji Kokowa podarł przed nauczycielskim stolikiem. Kazio zazdrościł im kar i sławy. Wstydził się piątek z historii, mierziły go przyjacielskie miny Jungura. Płacze matek na korytarzach, ponure spojrzenia winowajców, wrzask prefekta — to było lepsze. Podziwiał i uwielbiał bunt: to że ktoś nagle jakimś niespodzianym słowem, albo ruchem, wywraca cały porządek; nade wszystko podziwiał, że ktoś może się nie śmiać z rzeczy śmiesznej, bo pamięta, że ona jest zła.

On nie pamiętał. On śmiał się do łez z kawałów Jungura. Chłonąc dziwaczne prysiudy i tony, zapominał o świecie. Także, jeśli Jungur żądał Puszkina, Kazio wyskakiwał z ławki, by z przejęciem deklamować: "*Skaži'-ka, diadia, wied' nie darom Moskwa spalonnaja požarom Francuzu oddana*". Bo to było ładne. A jednak cały czas po skurczu własnego serca poznawał, że coś niedobrego się dzieje, że ten śmiech nie jest wesoły, a wiersze Puszkina, tu w Brześciu, nie są wzruszające.

Jungurowi trafiały się i wzniosłe przemowy. Większość klasy w takich wypadkach chrząkała, kichała... Kazio słuchał. Pewnego razu, dowiedziawszy się, że książę Józef Poniatowski rzekomo był pośmiewiskiem Europy z powodu peruki, doznał tak wielkiego smutku, że głośno zapłakał. Garbus poskoczył ku niemu, chłopcy odwrócili się w ławkach; anioł prawdy osłonił Kazimierza i dał mu w rękę miecz. Kazimierz wstał, otworzył usta... Ale jakąż to prawdę powiedział Jungurowi? Powiedział: "Tak czegoś... Braciszek mój, Grześ umarł..."

Wraz z pomyślnością rodziny przerwała się ta nauka. Na reszcie mógł całymi dniami łazić za ojcem; za swoim wspaniałym ojcem, który pokazał mu noc w lesie i stracił swój "czin" dla Polski. Homdziuki i Rossaluki pochowały się za płoty i stamtąd strzykały śliną. Nie był już asesorczukiem, tylko synem takiego co niedługo "w turmie siądzie". Obcy panowie

nie gładzili go po czuprynie: kłaniaj się tatce, kochaneczku... Czuczyńskie patrzyły, jak na raroga.

Mimo to nigdy dawniej nie czuł się taki bezpieczny. Nie wiadomo czyje srogie oczy za oknami, czyjaś niewidoczna karcąca obecność w czterech ścianach domu — wszystko to nagle znikło. Chodził po Bernawczycach z głową zadartą i świstał. Ojciec za niego powiedział prawdę, ojciec za niego dokonał wyboru.

Ogromnie pragnął z nim porozmawiać. Nieraz umyślnie plątał się pod nogami, żeby tato choć krzyknął. Ale z Piotrem mówić nigdy nie było rzeczą łatwą, a cóż dopiero teraz, kiedy słowa nie mogły sprostać nadmiarowi nowin. Żywioł asesora — powszedniość — rozwiał się: każda godzina była wolna, wszystkie były niepewne. Na śledztwie "sprawnik", tak dawniej respektujący gorliwość Krzysztofowicza, składał zeznania nieprzychylne.

"Mruk — oświadczył — i wódki nie lubi. Znaczy się — sumienie nieczyste".

Za to ów chłopina, ktory doniósł popowi o wycieczce *pristawa* do Szerska, zaczął się wycofywać. Może strach go obleciał przed panami? może zwątpił o potędze niewidzialnego cara? Twierdził, że asesor nie z hrabiną, lecz z własną babą jeździł, i nie do Szerska, lecz do Bobrówki, gdzie teścia mu powstańcy zamordowali. Gdy pop wygrażał mu przed nosem pięścią, przypominając pierwotny donos, Daniło nabożnie się żegnał, mrucząc "*Ne baczu*".

Piotrowi opowiadali to ludzie — i nie wyrażał zdziwienia.

Zdziwienie z powodu obecności na ziemi Izabelli Rawicz, kilkanaście lat temu przemienione w ból przez Czarnego, na polanie szerskiej osiągnęło wymiar zgrozy, którego żadne dalsze niespodzianki, godzące we własne życie i w byt rodziny, nie mogły ani umiejszyć, ani powiększyć. Piotr najostateczniej oniemiał.

Za to Cecylia, nagle tak obficie udarcwana czasem mężowskim, popadła w zachwycenie. Nie narzucała się, ale ciągle była w pobliżu, oczekując znaku.

W potrzasku tych dwuch oczekiwań: synowskiego na przyjaźń i żoninego na miłość — Krzysztofowicz coraz głębiej grążył się w swojej topieli.

Polubił spacery. Na rozmokłej szosie, pod wiatr, było mu łatwiej nie myśleć. Wrony krakały swoje, gałęzie szumiały swoje, nieludzkie głosy niczego nie obwieszczały przeciw czemu należało by się bronić, lub na co byłaby potrzebna zgoda asesora. Nowe życie, prześwitujące zza katastrofy, szukanie nowych miejsc, nowych sposobów zarobku, nade wszystko zaś nowa rola wśród bliźnich: rola bohatera — o tym wszystkim Piotr nie chciał myśleć. Szara bełkotliwa woda, która podpłynęła na przeciw, kiedy odstąpił Izabellę wrzeszczącą z pasji do opryszka, zdawała się teraz przepełniać mu wnętrzności. Chodził po de-

szczu, brnął z koleiny w koleinę i nasłuchiwał: kiedy wykończy się jej szemranie, jej nuda, ten tępy nieustanny ból serca?

Którejś niedzieli w styczniu wrócił wcześnie z popołudniowej wędrówki. Chwyciły ostre mrozy, powietrze stwardniało, obszar stał się nieogarniony i straszny. Krzysztofowicz poraz pierwszy od dawna z przyjemnością wkroczył między przedmiejskie chałupy. Świeciło się tu i ówdzie za szybami, sine fuksje przezierały zza lodowych kwiatów. Pies zawył... Asesor ucieszył się myślą, że jutro zabierze ze sobą na przechadzkę wyżła Karusia i świat przestanie być straszny. Karuś swoimi skokami zapełni go, Karuś — lepszy od syna i żony — nie zażąda wzamian za swoje ciepło, przyjaźni, ani miłości. Przez oszadziały sadek i skrzypiące gankowe schodki wszedł do sieni.

Pachniało tam mięsem i kapustą. W kancelarii piec był napalony, z sypialni dochodziło terkotanie Czuczyńskiej, w jadalce brząkano naczyniami: widać szykowano kolację; dzieci chyba gdzieś pobiegły — nie słyszało się ich głosów. Piotr głęboko zaczerpnął tchu. Dawna radość z domowego jadła, ze szczelnego dachu, z dozgonnej towarzyszki zatliła się w sercu. Może życie jeszcze nie stracone? Usiadł w fotelu przed kantorkiem i nie szukał siarczyków. Za ścianą babska pogawędka to cichła, to wybuchała. W pewnej chwili asesor usłyszał, że jego małżonka, Cecylia, krzyknęła:

— To być nie może! Jezus ty mój, ja nieszczęsna...

Tak wiele słów Cecylii nie było rzeczą zwykłą. Ułagodzony zmrokiem, nakłonił uwagę ku temu co się działo w sypialce. I otóż, zachłystując się i przerywając, mówiła Czuczyńska:

— Prawda, rybka moja złocieńka, prawda, jak mnie tu żywą widzisz! Onże sam, małżonek twój, Krzysztofowicz, Żydom za nią oczami świecił i fintifluszki te wykupywał... Na toż i krowa wasza poszła... A ty co myślała? Dzieciom na książeczki? Potem żeż sam po nocy wiózł jej, z klejnotami tymi, do lasu, gdzie gagatek ten, Bojarski, w ręce naszym pcpadł się i oni jemu nauczka dawali. Jakie u niego myśli byli, u Piotra twojego, Bóg jego wie i gienerał Den*)... Kostuś powiada: sumienie szlacheckie rozbudziło się i dla ojczyzny skarbczyk hrabski chciał ocalić. A tylko czegoż jemu było za szuba Izabella ta chwytać, kiedy ona żulika broniła — i krzyczeć i płakać: "Jasna pani, zapomnij jego, zapomnij!!??" Taka ona jasna pani, jak ja koliberka italska. Widno stary kniaź, jej ojciec, z wiedźmą jej spłodził przy świętojańskim miesiącu, bezwstydnica hadka...

Tak mówiła Czuczyńska, a rzeka boleści przewaliła przez próg i znowu wlewała się Piotrowi do piersi... Za ścianą Cecylia jęknęła.

— Oni tam (mnież wszystko Feliś Jarmin rozpowiedział) oni mało w dudki nie poskręcali się, kiedy ona zaczęła patłami rudymi nogi tego Asmodeusza omiatać. Nie daje i nie daje przystępu — prosto wściekła się. Cóż było robić? Tarbutt wyjął pi-

*) Powiedzenie lokalne, którego sensu nie znam.

stolet; jak raz strzelił w łeb szubrawcu temu, Bojarskiemu, a Izabelka — znaczi się — odciągają... Ty myślisz: ona oprzytomniała? Bajki! W trupa jedna ręka wczepiła się, druga szkatułka otwiera, brylanty, rubiny rozrzuca, krzyczy: "wszystko bierzcie, Bojarunia mojego oddajcie!" No i dostała gaszka za skarb, co z babki prababki kniaginie, hrabinie za cnoty swoje uzbierali — martwego gaszka kupiła, tak i do domu sobie nocna pora powiozłszy była.

Piotr omackiem otworzył szufladę. Kopia aktu darowizny majątku Wrożyszcze leżała na wierzchu — dotknął jej drżącymi rękami. Dotknięciem jak gdyby pytał, co oznaczają te sprawy, te słowa, te bezsensowne uczucia? Za co dziad Jakub obdarował panią Bortnicką dobrem swoich wnuków? Za jakie zdrady? za jakie męczarnie? I dlaczego on sam, nie zaznawszy nigdy żadnej rozkoszy cprócz wyrzeczenia, musi teraz zdradzić tę swoją wierną Augustę śmiercią, która się w niego przelewa z losu obcej, opętanej kobiety?

Słuchając Czuczyńskiej, wyraźnie poczuł, że owo szemranie — zimna rzeka coraz pełniejsza, coraz wyższa — to śmierć. Pragnął uczepić się czegokolwiek. Zatęsknił do Kazia i zaraz znielubił go za nieobecność. Wydrapał z szuflady dokument...

Czuczyńska zaś dalej mówiła:

— Co powiesz, gołąbka moja śliczna, co fiksatka robi? Myślisz: mogiła kopać każe? Bajki! Łoże puchowe ściele, Bojarunia swojego kładzie, w sajety obleka, sama w koronkach, na pół goła u jego nóg klęka — i śpiewa. Trzeciego dnia — chociaż i czombrem i jałowcem i aloesem kadzili — nieboszczyk tak niemożliwy okazał się, że służba ze dworu na swironek uciekła, a to kęsa chleba nikt przełknąć nie był w stanie. Do popa... do policji... Rodzina Izabelki koroniarska sprowadzili... I dniem piątym w kilkoro chłopa odciągnęli na koniec od padła cuchnącego. Jego w ogrodzie jak nie bądź zakopali, a ona cichutka zrobiła się, siły u niej nijakiej już nie ma. W Brześciu, póki do Warszawy nie zabiorą, familia stancyjka jej najęła, tam ona siedzi z Francuska hadka co zawsze za garderobiana jej miała. Jeść odmawia i chustka piekna kaszmirska na krążeczki tnie, pieniądze — znaczy się — wyrabia, klejnoty jakieś to nowe kupować zamyśliła...

Asesor wstał z krzesła. Zanim serce mocniej zaboli, postanowił mówić z Cecylią. Dosyć milczenia! Niech żona zwoła dzieci, niech zwoła przyjaciół. Dosyć łabędziej śpiewki! Z Pafnucym koniec! Piotr Krzysztofowicz wszystkim wyzna: nie Polskę wiózł on przez lasy do wieczności, tylko ladacznicę do gacha.

— Ce-siu... Ce-siu... — postąpił kilka kroków w ciemności. Potknął się, uderzył skronią o kantorek i runął. Łoskot napełnił dom. Drzwi trzasnęły, światło buchnęło z sypialki: wrzask, kroki...

Piotr Krzysztofowicz leżał na podłodze z zakrwawioną głową; w ręku trzymał dziadowski testament. W godzinę później umarł na udar sercowy.

Tak więc nie spełniła się nadzieja Kazia: ojciec nic za niego nie postanowił. Nigdy dawniej nie miewał doń o to żalu, że się przed nim chowa. Wystarczało wiedzieć, że w jakimś świecie niedostępnym dla dzieci wypełnia on swoje męskie zadania. Kiedyś miała się przecież znowu trafić taka chwila, że sam wyjdzie ze swojej gęstwiny i razem z synem przepadną na jakiejś polanie. Tymczasem ojciec ukrył się na zawsze. Kazio bez jednej łzy stał przed trumną. A obok stało wieko, podobnie jak jesienią wieko stoi obok skrzyni pełnej sprzedanych owoców. Nigdy już nie zostaną zadane niektóre pytania: "Tato, powiedz!" — powtarzał, marszczył się i ganił siebie za dziecińtwo.

Cecylia zachorowała na oczy. Spuchnięta, pokładała się na dywanie przed trumną; ona także nasłuchiwała ostatniego słowa... Cisza nie chciała jej go wydać. Tego upragnionego "Cesiu", które kiedyś na Leśnictwie rozpaliło jej serce, i poraz ostatni zabrzmiało nie przy niej, powierzone śmierci.

VII

Zdrada i śmierć męża ugodziły Cecylię prawie jednocześnie. Ledwie cień obłąkanej hrabiny zamajaczył w blasku piekielnym obok tak ubóstwianego, za wzór dzieciom stawianego, małżonka, już jego wargi zastygły. Podobna w tym do Kazia, odczuła jako boleśniejszy objaw wzgardy nie zdradę — o której można by zapomnieć — ale właśnie śmierć, z której nie ma powrotu. A przecież i tę obelgę zaraz zmarłemu odpuściła i po kilku dniach nieopanowanej rozpaczy, przyłożyła się usilnie żeby z ruin odgrzebać swoje istnienie dla dzieci. Kazio i Frania pozostali przecież na dowód, że wiek męski Piotra Krzysztofowicza z nią, a nie z kim innym, upłynął.

Czuczyńska rozprawiała teraz o niewdzięczności "Niemkini" która nie tylko nie chce słuchać co przyjaciółka pragnie z dobrego serca jej doradzić, ale nawet tylnym wyjściem ucieka na dziedziniec, kiedy żałobni goście kołacą do drzwi.

Rzeczywiście, dawniej tak rada odwiedzinom, choć i niewymowna, zdała na Reginę przyjmowanie wyrazów współczucia. Jej, wątła jeszcze, nadzieja nowego życia najbardziej sprzyjające warunki znajdowała w kościele. Póki trwał karnawał, skoczne białoruskie kolendy obudzały pamięć tych czasów, kiedy wraz z Piotrem śpiewała pierworodnej córeczce o Koźmianie i Damianie, pasterzach, którzy przynieśli Boskiemu Dzieciątku *"horszok boćwiny"*...

Błogie to były czasy małżeńskie i nie każdej kobiecie sądzona bywa taka słodycz — myślała, mocno ściskając różaniec. Po cóż

więc do okropnych wspomnień się przywiązywać, a nie do słodkich? Na dodatek, zmory wywoływane przez Czuczyńską, nie wspomnieniami wszak były, lecz obmową ludzi zazdrosnych. "Zgiń, przepadnij, stwora niedobra"... — szeptała Cecylia, odżegnywując się od diablicy, zwanej przez tych ludzi Izabellą.

Późnie nastał post i obraz Matki Boskiej ukrył się w fijoletach, włócznię św. Jerzego przewiązano czarną krepą, organy zamilkły. Cecylii się zdawało, że święci i aniołowie biorą udział w jej żałobie i serce w niej z tkliwości topniało. Czuła w swojej ręce rękę Piotra, jak niegdyś na ślubie tutaj, w tym samym kościele. Z ufnością obracała wzrok w stronę kaplicy, gdzie — niedługo już, niedługo — babki kościelne miały umaić Grób na święto Zmartwychwstania. "Co zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebie" — powtarzała słowa Pana Jezusa do św. Piotra. Znaczy się — medytowała — my z Piotrem moim kiedyś znowu spotkamy się, chociażby i w czyśćcu.

Co do Reginy, to ona lat swoich trzydziestu dożyła w stanie prawie niewidocznym, chociaż obcych ludzi chętnie brała za powierników, przepadała za plotkami i za babką z zakalcem. Miała nawet opinię osoby zręcznej do robótek, nieocenionej pielęgniarki chorych. Ale nikt nigdy nie mówił o tym, jak ona wygląda, a dzieci, nawet małe, nie uważały za potrzebne kiedykolwiek dziękować "Regusi". Nie wynikało to z niczyjego uprzedzenia. Sama wprowadziła taki porządek przez swoją głęboką wiarę, że wstęp do "prawdziwego" życia został jej raz na zawsze wzbroniony przez brata. Jego "ordynaryjny postępek" przypisała w znacznej mierze wpływowi "gminnej Augusty", za co znienawidziła ją zimno i trwale. Ale hrabicz Michał nigdy się nie upomniał o swoją, ani "Stokrótki" zniewagę, nigdy nawet zobaczyć jej więcej nie zechciał. A zanim — wówczas — doszło do tej haniebnej sceny z bratem, sam przecież uderzył ją po twarzy. Widocznie czułe słowa i księżyc nie były dla niej. Widocznie i hrabicz i brat mieli prawo biciem wyprowadzić ją z błędu. A że przed tym piękny młodzieniec tulił ją do siebie — po prostu żartem było.

Nazajutrz po pamiętnym wieczorze klęski dobrze przyjrzała się sobie. Ze starego zwierciadełka, którego tafla była podobna do zarzęsionego stawu, twarz, spuchnięta od płaczu i uderzenia, wyjrzała jak strzyga wodna, z zielonymi włosami. A szklane drzwi od szafy kuchennej odbiły kształt spowinięty w spódniczynę i stanik byle jakie, kształt zupełnie niepodobny do kwiatu, choćby i tak niepokaźnego jak stokrótka. Cofnęła się rakiem od szafy, przewracając szaflik, lusterko zaś zdjęła ze ściany i schowała do kufra na całą już odtąd swoją niezauważalną młodość.

Brat w końcu umarł. Umarł, a przez to zemścił się na Auguście za jej mużycką miłość i ordynaryjne wpływy. W pierwszych dniach po śmierci Piotra cierpienie Cecylii, które nawet przy okazji chorób i zgonów własnych dzieci nigdy inaczej nie wyglądało jak frasunek, budziło grozę. Obfite, powolne ramiona miotały się w pokracznych drgawkach, nogi tak koślawo stą-

pały, jak gdyby ziemia bez męża naprawdę się zapadła. Brzydota z mdłej zrobiła się straszna i dzieci uciekały przed matką. Natomiast Regina na krok nie odstępowała bratowej. Sąsiedzi budowali się: w nieszczęściu poznajesz przyjaciela.

Po pogrzebie Cecylia nie miała siły się rozebrać z zimowej odzieży. W pokoju jadalnym zastawiono poczęstunek dla żałobników, ale ona siedziała w bawialce, tak jak przyszła ze dworu, w czapie bobrowej przewiązanej włóczkową chustką, nasuniętej na nos, w tołubie ciasno opiętym na olbrzymiej piersi, w walonkach, z których śnieg — topniejąc — odpływał strużkami po podłodze. Regina nikogo do niej nie dopuszczała, sama wbiegała co chwila do bawialki i siadała naprzeciw. Nic nie mówiła i nie podsuwała jedzenia, tylko zachłannie patrzyła. Gdy zaczęło zmierzchać, wbiegła i zapaliła świecę, którą ustawiła blisko twarzy Cecylii, chyba po to, żeby nic nie uronić z gry żółtego blasku na sinych workach pod oczami i z drżenia tych wielkich powolnych łez, jak gdyby ołowianych. Zdawało się, że dopiero teraz wyraźnie widzi żonę Piotra, która z racji swego starszeństwa i zamężnego stanu, miała — odjęte jej — prawo do czułości do księżyca; tę bliską, nienawistną kobietę, której łono mogło dotąd co roku bezkarnie pęcznieć i owocować.

Późnawym wieczorem goście się rozeszli i Regina jeszcze raz stanęła przed bratową. "Nuże! Spać pora" — rzekła. Po chustkę, związaną pod brodą, sięgnęła tak porywczo, że pani Krzysztofowicz drgnęła. Szybkimi, nieubłaganymi ruchami odmotany został węzeł, czapka bobrowa upadła na podłogę. Słabo upięte włosy rozsypały się konopną grzywą po czole spoconym i potłustym karku. Teraz, sztuka po sztuce, Regina ściągała z osłupiałej szorstką, nową czerń, jeszcze trącącą sklepem bławatnym, prostacką bieliznę, ułożoną w kilka warstw na ciele niepięknym i niemłodym. Wreszcie już tylko zgrzebna koszula pozostała... Cecylia odzyskała czucie. Osłoniła rękami piersi i, schylona, okropna w swojej żałości, odeszła do sypialni. Regina jeszcze przez chwilę wpatrywała się w opuszczone krzesło, po tym podniosła dłonie do ust i zakręciła się jak fryga.

Nazajutrz Frania i Kazio, ujrzawszy Regusię, wkraczającą do jadalni, w pierwszej chwili nie poznali jej, tak piękną suknię miała na sobie.

— Ciocia w gości zebrała się? — spytała Frania, nie śmiejąc nazywać tak świetnej osoby Regusią.

Kazio niedowierzająco pociągnął nosem: w powietrzu, nasyconym zapachem wczorajszych potraw, rozchodziła się woń różanego olejku.

Od tego dnia Regina zaczęła przemawiać grubym, stanowczym głosem i spozierać na ludzi zaczepnie. Ze z dawien dawna nie otwieranego kufra wyłoniły się fatałaszki, jakich nikt się po niej nie spodziewał. Przez długie lata szyła je ona i łzami oblewała po nocach, nie śmiejąc wkładać, żeby znowu siebie nie narazić na jakąś pomyłkę i okrutną karę. Lustro zginęło z bawialki i znowu zawisło w jej pokoju. Drzwi swoje, dotąd zawsze

otwarte, trzymała zaryglowane. Spędzając znaczną część dnia w kościele, Cecylia nie zauważała tych zmian, interesanci zaś, krewni i znajomi, zniechęceni do tak roztargnionej i bezradnej wdowy, szybko zwekslowali w kierunku panny Reginy Krzysztofowicz.

W następstwie zgonu Piotra śledztwo zostało umorzone, a rodzinę "wobec braku dostatecznych poszlak" zostawiono w spokoju. Gotówki ze sprzedaży koni i bryczek tymczasem starczało na wydatki, mimo to Regina wszczęła starania o sprzedaż domu, w czym wydatną pomoc okazywał Olutek-Kiełbaszka.

Tak niegdyś srogo odprawiony przez ojca, obecnie, na prośbę ciotki, a ku niezadowoleniu Kazia, powrócił do obowiązków mentora. Ponieważ piastował posadkę w magistracie, lekcje odbywały się nieregularnie, przeważnie pod wieczór, po czym Olutek zostawał na kolacji ;wreszcie, starym zwyczajem, zasiadano do kart.

Ksiądz Lwigórski zapewnił, że "asesor z wyżyn nieba czuwa nad synem". Wobec tej nadprzyrodzonej czujności, Kazio spróbował szukać u matki poparcia przeciw lekceważeniu ojcowskich zarządzeń. Zanim zdążył objaśnić o co chodzi, pogłaskała go ciepłą, pulchną ręką i westchnęła z przejęciem:

— Uczyć się trzeba, aj trzeba...

Ta niewątpliwa prawda miała wkrótce uzyskać potwierdzenie nieoczekiwane.

Któregoś dnia w lutym Regina, ziejąc mrozem, głośno skrzypiąc kaloszami, poszła prosto ze dworu do sypialni Cecylii. Po chwili krzyknęła stamtąd na Franię i Kazia. Kiedy weszli do pokoju, matka wyglądała na ogłuszoną nowym ciosem, a ciotka, jeszcze czerwona z chłodu, siedziała sztywna, skubiąc jakiś papier złożony w trąbkę, czegoś raptem bardzo podobna do nieboszczyka brata. Kazio uczuł ten sam dreszcz ważności, co wtedy kiedy ojciec uniósł się na dziada Elichwira i poszedł do lasu. Frania ,jak zwykle w niepewności, głupio się zaśmiała. Ale Regina nie długo dała czekać na swoją niespodziankę. Wyciągnęła przed siebie rękę z tym papierem złożonym w trąbkę i powiedziała ostro:

— Nu, tak wy dzieci słuchajcie, a osobliwie ty słuchaj, Kaziuk! Ojciec wasz, a śp. brat mój, Piotr Krzysztofowicz, szlachcicem był. I za Polska on swoje życie położył. Serdce, znaczy się, jemu z bólu było pękłszy, kiedy ojczyzna z okowów wyzwolić nie udało się.

Tutaj wydęła wargi i ze zmrużonych oczu cisnęła w Augustę jadowite spojrzenie.

— Niektóre osoby niższej kondycji uczuciów tych nie znają. A to w mużyckich, czi nawet i luterskich rodzinach, pełna miska ważniejsza okazuje się... Tylko ot śp. brat mój Piotr, wieczny jemu pokój!... On w grobie przewróciłby się żeb' jego syn w mużyki, czi Lutry, czi tam Kacapy, popadł się...

Nienawykła do długich przemów, straciła wątek. Zaraz jed-

nak, odsapnąwszy, rozgniewana na mużyków, Kacapów i Lu
trów, zaczęła znowu potrząsać swoim papierem.

— Ot, tutaj scheda moja po rodzicach ukochanych — (gło
zrobił się grubszy) po dziadach waszych, znaczy się,. dzieci..
I ta scheda (odetchnęła głęboko) ja ot, na kształcenie Kaziuk
w Warszawie przenaczam, żeb' on dla ojczyzny wstydu nie na
robił i godność swoja szlachecka uszanował!

Osłupienie trojga słuchających było w każdym wypadku inn
Cecylia, najlepiej zorientowana w sytuacji, bo do podjęcia u re
jenta owej "schedy", czyli posagu Reginy, potrzebny był j
podpis, nawet nie próbowała dociekać, jakimi drogami Regin
doszła do tak niezwykłej decyzji; wystarczało, że przedstaw
cielka "wyższej kondycji" Krzysztofowiczów oznajmiała jej w
lę nieboszczyka.

Frani — ta jeszcze jedna odmiana w sprawach rodzinnyc
które od roku blisko nie pozwalały trzech dni spokojnie spędzi
wydała się już nie niewygodą, a żartem. Oto wyblakła, zahu
kana Regusia, przedzierzgnięta w elegantkę, zamiast warząch
wią, nagle jakąś "schedą" potrząsa rodzinie przed nosem, obi
cując wywieźć Kaziuka do Warszawy! Odchyliwszy w tył głow
zaniosła się ze śmiechu.

Kazio — przeciwnie — bał się poruszyć, żeby — broń Boże -
nie obudzić się z pięknego snu. Głos Reginy, kiedy wymawia
takie niezwykłe słowa, jak Ojczyzna, Lutry, scheda, z piskliweg
robił się prawie męski, podobny do ojcowskiego. Jej niezroz
miały gniew także ojca przypominał, wróżąc wielkie zdarzeni
A właściwie nie wróżył, lecz już oznajmiał cud: naukę w Wa
szawie.

Tupet Reginy w końcu zgasł. Hałaśliwie odsunęła krzesło i
"schedą" pod pachą odeszła do kuchni.

Teraz uprzedzenie do Olutka musiało się skryć głęboko w se
cu Kaziuka. Ciotka w nowej roli powiernicy ojcowskich polece
zza grobu onieśmielała go i napawała miłością.

Pod wiosnę znalazł się kupiec na dom. Olutek oprowadzał g
wszędzie razem z Reginą, pukając zgiętym palcem w ściany d
okazania dobroci budulca. Z kolei udali się do sypialni i, w za
pale kupieckim, bez stukania otworzyli drzwi. Cecylia klęcza
pośrodku pokoju między dwoma otwartymi kuframi, obsypan
wszelkim rupieciem. Na fotelu leżały ułożone w stos ubran
asesora, kilka książek, obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej
safianowa teka, z której wyglądały dokumenty. Dźwignąwszy s
ciężko na nogi, ukazała twarz postarzałą, naznaczoną rzadkim
u niej wyrazem niechęci. Objaśnień udzieliła dorzecznych, a n
pytanie, kiedy mógłby dom zwolnić, odpowiedziała: "choć za
raz". Pretendent do kupna, gieometra, przybyły skądciś aż
Korony, przyjemnie się zdziwił, ale Regina nie mogła powstrzy
mać okrzyku: "Ot, tobie na! A gdzież to, bratowa, prędko ta
udać się zamiarujesz?" Nie słysząc pytania, Cecylia zakreśli
ręką niepewny krąg: "Nic tu nie ma mojego. Wszystko Piotra
dzieci własność".

VIII

Po morderstwie, którego ofiarą padł stary Elichwir, nowy nadleśny, lękając się w czasach niespokojnych takiego odludzia, nie chciał zamieszkać w dworku bobrowskim. Leśniczówka, splondrowana przez bandę Bojarskiego, została więc za zasługi zamordowanego ofiarowana w dożywocie Martynie. Niepiśmienna i niezbyt przywiązana do milkliwej córki, o fakcie tak doniosłym dała przecież do Bernawczyc wiadomość przez faktora, zaznaczając, że Krzysztofowiczowa z dziećmi może przyjechać kiedy wola, i zostać na zawsze.

Tegoż samego dnia, w którym Regina oznajmiła swój szczodry zamiar co do Kazia, Cecylia postanowiła wrócić z córką do lasu, skąd ją Piotr kiedyś wyprowadził. Nie śmiała zagradzać synowi drogi do wyższych przeznaczeń, więc wolała wyrzec się go od razu, póki jeszcze sił, podniecanych rozpaczą i modlitwą, starczało na ważne postępki.

Frania tymi czasy mocno podrosła. Któregoś dnia Cecylia się spłoszyła, widząc jak córka dopina stanik na pełnych, falujących piersiach. Na miejscu ulizanych warkoczy "w koronę", nad czołem płaskim, białym, jak płytka marmurowa, zjawiły się misternie spiętrzone loki. "Franusia, co ty? — jęknęła matka. — Wstyd! Małpa ze siebie zrobiwszy". Frania tylko ramionami wzruszyła.

Wreszcie termin wyjazdu do Bobrówki ustalono na Wielki Czwartek. Cecylia, przekonana, że Kazio zechce spędzić święta z matką i siostrą, przemogła niechęć do tej swojej pierwszej wdowiej Wielkiej Nocy i w Sklepie Towarów Kolonialnych, założonym niedawno, nabyła za wysoką cenę najmodniejszą nowość warszawską: "marmurkowy" papierek, którym jajka owinięte i zanurzone w gorący ocet, miały nabierać cudownych kolorów. Kiedy Kazio przechodził koło drzwi jej sypialki, z nieśmiałością wręczyła sprawunek.

— Takim sposobem ty babci psota zrobić możesz... Przyniesiesz jak budto z kurnika i powiesz: a ot, u babci kury teraz jajka marmurowe znosić nauczili się...

Zaśmiała się zbyt głośno i zaraz umilkła, bo Kazio, zwykle tak skory do towarzyszenia w śmiechu, nawet ust nie skrzywił, tylko z przejęciem wykrzyknął:

— Jaka psota! Jaka babcia! Jaż do Bobrówki wcale nie jadę tego roku.

Ponieważ matka dziwnie poruszyła wargami, dodał głosem wcale niepodobnym do młodocianego barytonu, którego używał w rozmowach z ciotką, drżącym i cienkim:

— Mamaż sama uczyć się mnie po polsku każesz... A jakaż tam w Bobrówce polska nauka!

Cecylia zaczęła więc raczej garnąć się do Frani. Ale ją także było trudno uchwycić. Regina ułożyła się z nowonabywcą, że do dnia wyjazdu do Warszawy zamieszka z Kaziem w dwuch

pokojach na górce, toteż przenosiła graty, stukała młotkiem, wybierała skrzynie w wozowni. Frania, jeśli była w domu, wo lała razem z Olutkiem i Kaziem uczestniczyć w tym weselszym pakowaniu.

Pewnego razu, pragnąc zasięgnąć jej rady co do wietrzeni pościeli, Cecylia skierowała się w głąb domu, skąd dochodził gędzenie Reginy. Przed drzwiami piekarni przystanęła: Regin prawiła, widać, jakąś ważną historię, bo jej głos miał w sobi ten plotkarski patos, jakim wilgi rozbrzmiewają na wiosnę.

— Twój ojciec, śp. brat mój — mówiła — hrabicza Michał kochał i szanował. A to szlachcic k' drugiemu szlachcic'u zaw sze skłonność czuje, a jeszczeż k' takiemu! Z rodziny tak moż nej, ojczyźnie zasłużonej...

— Tak znaczy się tatko nasz zawsze z *miatieżnikami* strona trzymał? — pisnęła Frania, zachwycona.

— Tatko wasz zawsze taka strona trzymał, jaka honor szla checki nakazuje — pouczająco zapiała Regina. — A tylko hra biczu *miatieżnikiem* być wcale nie przychodziło się, a to jeg sam car siadać prosił i w karecie swojej woził.

Powstała pauza, wypełniona uwielbieniem. Później Frania ła miącym się głosem spytała:

—Tak jeżli tatko sprzyjał, a hrabicz o ręka prosił, czego ciocia za hrabicza tego nie wyszła?

Cecylia już chciała poruszyć klamką, gdy uniesienie Regin znowu buchnęło kaskadą:

— Czegoż? czegoż? A ot tegoż, że mamuni waszej, Augusty te bobrowskiej. kompania przekleństwem dla mnie okazałaby się jeślib' ja hrabicza w rodzina moja była wprowadziwszy!

Cecylia cofnęła rękę. Tamten odległy wieczór, jak żywy, sta nął w pamięci... Stół niesprzątnięty po kolacji, kosz dziurawych skarpetek, miły zaduch i ciepło domowe pod lampą, a na czar nym tle drzwi porywczo otwartych ze dworu, w powiewie świe żym, w gorzkim zapachu zwiędłych liści — hrabicz Michał Reginka. A potem zryw męża od stołu; jego warga nagle wy sunięta, jak u psa który ugryzie; wzniesienie ręki; klaśnięcie palec sztywny, godzący poprzez pierś hrabicza w noc i obcoś jesienną... "won, won, paniczyk bezecny!" Teraz, jak i wtedy usta Cecylii Krzysztofowicz otwarły się w podziwie nad fałszem ludzkich słów i tajemnicą uczuć. Jak potrafiła najciszej ode szła, cisnąc dłonią serce, które wydawało się większe i cięższe

Tymczasem Franię wybuch ciotki nie tyle uraził, ile oszoło mił. Życie rodziny, ujrzane nagle z hrabiowskiego dystansu, wy glądało niewyraźnie; nawet różnica między matką i ciotka czy też dobrocią i złością, całkiem się zacierała. Jedynie wi doczny — i olśniewający — był fakt, że między światem hra biowskim a domem asesora jednak kiedyś przędły się jakie nici.

— Ciocia! Ta altana, znaczy się, gdzie ja swoja salopka dzi siaj wietrzyć powiesiłam, ona taż sama, gdzie hrabicz Michał ręka cioci wtedy oświadczał się?

Z wypiekami na twarzy, ciotka potwierdziła. I zaraz wszedł Olutek, niosąc piłę do przycięcia skrzyni. Regina odęła się i poszła myć ręce; a Frania wzięła piłę, odłożyła na bok i pociągnęła Olutka do ogrodu zobaczyć "czy salopka moja żulik ze sznura nie ściągnął".

Altana brzydka, wiadoma na pamięć, o której przez wszystkie czasy się mówiło, że trzeba ją zburzyć, bo tylko sowy i nietoperze się tam lęgną, kusiła ją teraz z nieodpartą siłą. Jak na skrzydłach, wbiegła, stanęła — i zobaczyła altanę po raz pierwszy w życiu. Zobaczyła, że zmurszałe, nierówno pokrzyżowane listewki mają połysk szarego jedwabiu, że pędy dzikiego wina niektóre są blade z zimy, a inne już zaróżowione od wiosny, że jedna gałąź dzikiej róży pełza u progu, a druga zwiesza się z dachu i chwyta za włosy. Zobaczyła i usłyszała — pierwszy raz w życiu? — że rzeka w dole nie tylko płynie, ale i błyszczy, nietylko pluska, ale i szepce, a niebo widziane przez drewnianą kratę jest inne w każdym kwadracie, jak osobny malutki świat opleciony gałązką, każdy z własnym obłokiem, własną bzyczącą muchą, własnymi pączkami, a nawet z ogonem albo dziobem przelatującej jaskółki. Poczuła też — pierwszy raz? — że w altanie są uwięzione blade i rozczulające zapachy. Obróciła się pytająco w stronę Olutka... Badał salopkę, która nietknięta wietrzyła się na sznurze. "Ot, i popadł się! — złapał mola w powietrzu — niegodziwiec jeden". Frania zdjęła salopkę, odwiązała sznur i wyszła z altany na palcach.

Tego wieczora Kazio, w bardzo dobrym humorze, przyszedł spóźniony z rekolekcji, które Ojciec Misjonarz prowadził w kościele parafialnym. Dawniej zawsze uważał na kazaniach i rozbiorach sumienia, spłoszony wspaniałością kaznodziei i własnymi grzechami. Tym razem słuchał gromów, jak burzy, która przechodzi bokiem. Patrzył na miny, jedne skruszone, inne ospałe, jeszcze inne kpiące, starych znajomych, koleżków, panien, z którymi od małego bawił się w chowankę — i myślał: biedacy! po wakacjach znowu się tutaj przytelepią klepać zdrowaśki, a ja wtedy jakże daleko będę! Miał to przekonanie, że do Warszawy ani złość Szatana, ani karząca moc Boga nie sięgają.

Kolację już podano. Cecylia poniosła do siebie kubek zsiadłego mleka i kawał razowca. Przy stole siedziały Regina i Frania, mając między sobą Olutka, zajętego racuszkami z miodem. Już od progu wzrok Kazia przyciągnęła Regina, przystrojona z niewiadomej okazji w czarne atłasowe kwiaty we włcsach i na gorsie. Ozdoby te, widać, ją samą żenowały, bo sztywno dziobała widelcem po talerzu, unikając baranich spojrzeń Frani i pytających uśmieszków Olutka. Wejście Kazia było pożądaną dywersją; złożyła usta w ciup i klasnęła w dłonie, jak to niedawno czyniła Klara w "Ślubach Panieńskich", odegranych u pani Czuczyńskiej przez Kółko Amatorów

— Ot, i kawaler nasz! — wykrzyknęła jednym ze swoich dwuch nowych głosów: ptasio-perlistym, uniesionym.

Kazio z zapałem przerzucił się z nastroju pogodnego w wa-

riacki. Podskoczył i puścił się niedźwiedzim galopkiem dookoła stołu w stronę ciotki. Po drodze przewracał oczami i coś, ni to po francusku, ni to po koroniarsku, bełkotał — nie darmo tak go urzekały karykaturalne scenki Jungura. Gdy stanął za krzesłem Reginy, przypadła w strachu do ramienia Olutka.

— Co ty? blekotu najadł się, Kaziuk?

Silny efekt podniecił aktora. Skrzywił twarz w wyraz rzekomo romansowy, zamaszyście wyrwał różę z mozolnie uwitych splotów i poniósł do ust.

— Że wu zjem!*) — huknął ciotce nad uchem.

Kok i cały ozdobny wygląd rozsypały się w mgnieniu oka, ukazując Reginę rozczochraną, purpurową ze złości, brzydką jak strach na wróble. Podczas kiedy Frania histerycznie piszczała, Olutek błyskawicznym ruchem odsunął racuszki w strefę bezpieczeństwa, po czym jednym ramieniem tuląc ciotkę, drugim zaczął odpychać Kazia.

— Paszoł! Żarciki z dam stroić zachciało się, durniu...

Ten gotował się do dalszej hecy, którą miało być klęknięcie i oświadczyny, gdy Regina pchnęła Olutka, pchnęła krzesło i łkając, wypadła z pokoju. Kazio z rozmachu padł na kolana. Frania przycichła... Drzwi od bawialki otwarły się i w progu stanęła matka w czarnej narzutce, nie taka tęga jak dawniej. Pasując się z opornemi słowami, mocno splotła dłonie.

— Dzieci... Niedawno... wasz ojciec w trumnie tutaj leżał...

To ciche zjawienie się i słowa bardziej wstrząsnęły, niż płacz Reginy. Mnąc niefortunną różę, Kazio wymknął się z pokoju i pobiegł na górkę. Frania zapragnęła w ogóle uciec z domu, by znaleźć się nareszcie w takim miejscu, gdzieby nie było matki w czarnej narzutce, ojca w trumnie, ani w pamięci, głupiego Kaziuka, ani tobołów do pakowania. Sama nie wiedząc co robi, chwyciła znów za rękę Olutka i znów pociągnęła go w ogród. Przemknęli po oślizgłych ścieżkach i wpadli do altany. Frania trzęsła się z wrażenia i z zimna wczesnej pory kwietniowej.

— Czegoż to panna Frania? Do jutra i znaku z familijnej turbacji nie będzie.

— Aj, aj, aj! — zakwiliła Frania, zraniona wielkością nocy i bezsensem Olutka. Stuk, stuk... uderzała pięścią o zmurszałą kratę, o mrok. I pod własną pagórkowatą piersią, do której jeszcze nie przywykła, słyszała skwapliwe echo: stuk... stuk...

— Aj, aj, aj! — krzyknęła z uniesieniem i zgrozą.

— Jak Bog kom, wszystkie sfiksowali — mruknął Olutek. Objął ją i twardo przycisnął ustami jej wargi.

Regina tymczasem wpadła do swojej stancyjki i rzuciła się do siarczyków. Ręce jej drżały, ale zaświeciła lampę i przysunęła do lustra. Z czernidłem rozmazanym od łez, z włosami w nieładzie, wpiła się oczami we własne odbicie... Boże miłosierny, czyż to doprawdy była na zawsze odtrąconą Stokrótką, za brzydką, za nieśmiałą na miłość, a teraz pewno i za starą? Szarpnęła

*) Je vous aime!

różę z gorsu i z pasją cisnęła w lustro, potym dmuchnęła w cylinder od lampy; krztusząc się dymem, po ciemku padła na łóżko.

— Ot, żmija na łonie wyhodowałam, ot żmija...

Wieczór, który miał być koroną jej zabiegów o lepszą przyszłość bratanka, pożegnaniem bernawczyckiej przeszłości ze wszystkim co w niej było poniewierką panieńskich uczuć i marzeń, odświętny wieczór na rozstaju dróg: jedna piaszczysta powrotna do lasu, do boćwiny siorbanej z garnka pospołu z czeladzią, do ordynaryjnych robót i śpiewek, do zgrzebnego wdowieństwa — droga Augusty i Frani; i druga — nieoczekiwana, buchająca iskrami z lokomotyw, Terespolska droga żelazna do Warszawy, gdzie Kazimierz Krzysztofowicz, dzięki szczodrości swej ciotki, szlachetnie urodzonej Reginy Krzysztofowicz, miał się kształcić na prawego Polaka... ten wieczór zmienił się w pośmiewisko! Za czyją przyczyną? Tegoż samego Kaziuka, którego bronzowe włosy układały się nad czołem w dwie łagodne fale, jak niezapomniane włosy hrabicza Michała... Przez Kaziuka, który — tylko przez niepojętą, nie wiedzieć łaskę, czy złośliwość losu — urodził się Auguście, nie jej.

Za moje dobro, ot jak mnie malczyszka odpłacił! Herbaty napić się, czy co?... Ale w kuchni mogła się natknąć na Franię, albo na szkaradną Augustę. Wstała szybko i na palcach podkradła się z powrotem do drzwi jadalni, skąd przez szparę mżyło światło. Posłuchała chwilę. — Otworzyła drzwi i skierowała się prosto do apteczki, której od śmierci Piotra nikt nie ruszał; gąsiorek z żytnią nalewką stał na zwykłym miejscu, obok — szklanka. Obejrzała ją pod światło lampy — na krawędzi widniał jeszcze lepki ślad po wargach brata. Nie starła go; chlupnęła wódki i duszkiem wypiła. W gardle ją zapiekło, oczy się załzawiły. Sięgnęła znów po gąsior i razem z nim, lekko... lekko, jak duch odeszła do siebie, szepcząc: "Ot, i po nieboszczyku napiła się... Teraz poznam ja twoje robaczywe myśli, braciaszku".

Następnego dnia zbudziła się z głową, jak kocioł. Stukano do drzwi. Głos Kazia, ufny w swoje czary, perswadował:

— Proszęż ja cioci odezwać się, a to mnie smutno po wczorajszym, a i pan jeomentra przyszedłszy...

Wstała i — bez słowa — zasunęła rygiel. Zerknąwszy po drodze w lustro, zadziwiła się zimnem swego wzroku. Takim samym katem ty dla mnie okazałeś się, Kaziuk, jak — kiedyś to — tatunio twój był... No tak i ja serce swoje raz na zawsze zatwardzę.

Jakże łatwo przychodziło nienawidzieć Augusty, córki przybłędy z Niemiec i bobrowskiej chłopki! Ale i Kaziuka Regina teraz znienawidziła za zniewagę jej lepszej, nowej postaci. A skoro znienawidziła, nie było żadnej potrzeby edukowania go w Warszawie na Polaka! Tę obietnicę dała mu, jako była narzeczona hrabicza, dziedziczka szlacheckiej tradycji, osoba piękna, można... Jako ta właśnie osoba, przystrojona w atłasy i czarne róże, witała go, siedząc sztywno za stołem. Czy ją uszanował?

Nie; zniszczył i na śmiech podał. Niechże więc i jego przyszłość w brzydki śmiech się obróci!

Wszystko dokonało się samo, szybko, bez myśli, kiedy piła drobnymi łykami żytniówkę nieboszczyka, krztusząc się i omijając miejsce, gdzie był na szkle ślad jego ust. Co więcej: dokonała się chęć okrucieństwa. Póki co nic nie powiem... Niech Kaziuk przywyka do lepszej kondycji, niech nabiera smaku do nowego swojego życia... A już jak ostatni czas podejdzie, zawołam ja jego i powiem:

— Pardon, Kaziuk! Nijakiego życia nowego nie będzie. Tamto wszystko o Warszawie omyłka była... Ja, choć i w suknia ładna ubrałam się, ta sama co dawniej szlaja i koczkodan, a i ty — choć po koroniarsku nogami szastasz — taki sam jak dawniej, tutejszy, durny Kaziuk...

Tak to wyglądało po obudzeniu i przez cały ranek w zamkniętym pokoju aż do godziny 11-ej. Ale o tej godzinie znów zapukano do drzwi.

— Panna Frania posłała zapytać, czy panna Regina, może być, na filiżanka rosołu z kury życzenie ma?

Olutek... Regina uniosła ciężką głowę, chciała coś powiedzieć i tylko poruszyła ustami. Ze swoim nowym sercem w gardle czekała czy niepokój o jej zdrowie okaże się mocniejszy, niż szacunek. Jakoż, po chwili pukanie powtórzono. Wtedy zerwała się z pościeli i, dudniąc bosymi stopami, przemknęła do szafy.

— Ja zaraz... Ja zaraz zbiorę się i wyjdę.

Sięgnęła po odzienie... i cofnęła rękę. W jakiej postaci dzisiaj się ukazać? Gorycz i żar powróciły przy dotknięciu atłasowego stanika. Jednak sukienczynę tabaczkowego koloru, w które przed śmiercią brata chadzała dzień w dzień, bez namysłu ominęła. Nie; teraz kiedy "scheda" leżała zagrzebana w sienniku a rewers na nią był w kancelarii rejenta, nie było już do niższej kondycji powrotu. Wyjęła z szafy szarą suknię cybetową z białym oszyciem, swoje dawne "wyjście" do kościoła.

W tym to stroju, z włosami gładko zaczesanymi, ale spiętymi szyldkretowym grzebieniem (nigdy dawniej nie noszony dal Czuczyńskiej) pośpieszyła z "górki" około południa.

Nie bardzo wiedząc co mówić, wysunęła się w ogród, niby szukając gieometry. Ku swojemu niezadowoleniu, natknęła się zaraz na niego, bo czekał aż niedysponowana wydobrzeje, żeby dopełnić ostatecznych formalności. Przywitał szarmancko, utarł nosa i uroczyście zagaił interes. Siadła obok na ławeczce, uskubnęła jakiejś trawki, którą zaczęła uważnie oglądać. Kiedy wreszcie powiedział:

— Taką szosą, rozumiem, że posesję całą, opróżnioną, obejmuję w należytym porządku w dniu sierpnia 25-ym, czyli więc nazajutrz po panny Reginy dobrodziejki odjeździe z bratańcem jej do miasta stołecznego Warszawy... —

Ona także wstała i głosem lekkim, dla niej samej obcym, odrzekła:

— Pardon... Nijakiego tu obejmowania, ani odjazdu z bratań

cem do miasta stołecznego, nie będzie. A to ja w domu tym z bratanica moja, Frania, zostaję się, bratowa moja i bratańca spłaciwszy.

Błyskając kłami, w wielkich susach gieometra popędził przez ogród w stronę otwartego okna sypialki, gdzie wdowa w nieświeżej matince znaczyła czerwonym atłaskiem sześć nowych koszul Kazia "na Warszawę".

— Zadatek! Taką szosą zadatek liczy się podwójnie!

Cecylia zasłoniła biust i uciekła do kancelarii. Dzieci wybiegły przed sień. Olutek spojrzał na zegar ratuszowy, widoczny spod gruszy, złapał się za głowę i znikł. Regina sennym ruchem wyjęła zza gorsu sakiewkę i odliczyła ruble na ławce. Potym rozwinęła niewielki papierek.

— Chwałaż Bogu — westchnęła — pan Olutek dobrze mnie poradził... Ot i umowa, że zadatek zwróccny być może.

Przez resztę dnia Kaziuk, zaszyty w słomę na strychu, tak szlochał, że źdźbła latały pod pułap. Cecylia, klęcząc w sypialce przed obrazem Ostrobramskiej, który odpakowała z Kaziowego kufra, odmawiała różaniec; Frania zaś, jak na skrzydłach, fruwała między górką ciotki, strychem brata, klęcznikiem matki — i altaną, gdzie, pachnący pomadą i wiśniakiem, czekał na nowiny Olutek.

IX

Babka Martyna Eichler, oprócz krzepkiego jeszcze męża, straciła w powstaniu prawie całą ruchomość. Sprowadzając do siebie na leśnictwo w Bobrówce owdowiałą córkę z synem, liczyła na pomoc w ponownym dorabianiu się majętności. Że Frania znowu została w Bernawczycach przy Reginie, ubodło ją, bo wnuczkę przeznaczała była do kurników; ogród, chlew i kopanie kartofli zachowując dla sługi Anisji, kuchnię dla Cecylii, a dla siebie dozór ogólny i krosna.

W sprawie blisko szesnastoletniego Kazia zdobyła się na wyprawę do Szerska, do samego głównego administratora dóbr, z prośbą, aby mógł być przyjęty na młodszego leśnika i na miejscu przećwiczony tak, żeby z czasem może nawet dziada zastąpił. Śmierć męża z ręki Bojarskiego, którego banda, podszywając się pod partię Stasukiewicza, grabiła okolicę rzekomo w odwet za odmowę koni dla powstania, dała Martynie nie tylko leśniczówkę w dożywocie, ale i uważanie w szerskiej "ministracji". O tym, że Elichwir, na prośbę Kostusia, przez pięć dni ukrywał w świronku Traugutta z jego adiutantem Ottonem Kosteckim, Martyna nie wiedziała, więc nawet i nie bardzo pokornie dziękowała, gdy "ministrator" przyjął łaskawie jej prośbę.

Pierwszego wieczoru po przybyciu Krzysztofowiczów z Bernawczyc deszcz lał jak z cebra. W kuchni ubrania parowały przed kominem, szerząc niemiły zapach mokrej wełny, jedna osowiała kura napastliwie dziobała pod stołem niewidoczny po ślad, Anisja mieszała chochlą obierzyny dla "parsiuka", Cecylia wodziła wzrokiem po ławie, gdzie rok temu Piotr, nieboszczyk, siadywał nachmurzony. Martyna zapaliła knoty w misie pełnej słonecznikowego oleju, i w świetle pełgających płomyków podeszła do Kazia, wielka, w chustce czarnej, opiętej mnisim fasonem koło brązowej, pobrużdżonej twarzy. "Ot tobie, wnuku, podarunek na święta i po dziadu twoim pamiątka" — wyciągnęła z kieszeni w fałdach spódnicy nóż myśliwski krzywy, z rękojeścią rogową wyślizganą od dłoni Elichwira. "Jaśnie wielmożny pan Borkuć, ministrator znaczi się, na służba książęca ciebie przyjąć zgodził się. Na początek pomocnikiem u leśnika Rokiciuka tobie być przyjdzie się. A tam rewir puszcza prawdziwa, rysiów da wilków ćma, ta nóż przygodzi się tobie". Z nożem w garści, którego ostrze czerwono pobłyskiwało, patrzyła ostro na niewielkie, pulchnawe ręce Kazia. Chociaż ten nóż miał być przeciw rysiom i wilkom, ona sama zdawała się raczej z nimi trzymała przeciwko wnukowi. Spojrzał niepewnie na matkę... Cecylia zmarszczyła się. "Podziękuj babci, Kaziuk! A nożyk, póki co ja dla ciebie zachowam". Przeczucie rzeczy strasznych chwyciło go za gardło, bąknął coś — i uciekł do sieni. "A cóż to jemu ukąsiło?" zdziwiła się Martyna. — "Noża zląkł się? a? Nu tak i mołodca ty sobie, córko, na panskim chlebie mężowskim utuczyła".

Odłożywszy na półkę nóż, Cecylia zabrała się do szorowania garnków, chcąc jakby pracą własną wykupić Kazimierza. Nazajutrz wstała do dnia, by zaczynić ciasto, i odtąd coraz rzadziej widzieć ją było można modlącą się, a prawie zawsze zajętą jakąś ciężką domową robotą.

Minęły święta Wielkanocne, bez paschy z twarogu, bez szafranowych bab, tylko z plackiem i z szynką żylastą z dzika, cuchnącą jałowcowym dymem. Dopiero w poniedziałek po Przewodach Kazio, przebierając się w codzienną kurtkę, natrafił w kieszeni na pakiet z "marmurkowymi" papierkami do barwienia jaj — i zapłakał nad trwałością niepotrzebnych papierków i nietrwałością szczęścia. Trzy tygodnie temu, kiedy matka wręczała mu te "marmurki", jakiż on był dumny, jaki niezwyczajny! Wtenczas Frania była przeznaczona do Bobrówki i do kurników, a on do Ciotki Reginy i do nauki w Warszawie... Z wypiekami na twarzy gotował się zniszczyć "warszawską nowość", aż tu matka weszła do pokoju. Jej wzrok od razu zaczepił się o pakiecik: "Na przyszła Wielkanoc da Bóg przyda się on tobie lepiej babci na psota". Zatem Bobrówka zapowiadała się na wieczność! Chwycił kaszkiet i wybiegł na dwór.

Z dnia na dzień topniał strój miejski Cecylii Krzysztofowicz. Najpierw znikł fanszonik z czarnej koronki, który Czuczyńsk tak starannie upinała na jej grubych, siwawych warkoczach

potem i korona z warkoczy zmieniła się na nieporządny węzeł z tyłu głowy. Brosza ze srebrnym krzyżem, kotwicą i sercem na hebanowej tarczy, bransoletka w kształcie kajdan, pierścionek z włosów katorżnika, misternie upleciony w dewizę: *patria amor sancto* — niedawne dary Piotra, z których tak była dumna — gdzieś przepadły, odłożone na dzień śmierci, czyli ponownego spotkania z mężem, albo może poświęcone na ofiarę Bogu. Pora coraz cieplejsza sprzyjała prostocie ubioru. Któregoś dnia Kazio zawstydził się ujrzawszy matkę w luźnej koszuli parcianej, podpasanej krajką, stąpającą cicho i ciężko w łapciach z łyka — istny obraz dziada Elichwira. "Mama ze wszystkim na chłopska moda przerobiła się" — spróbował się zaśmiać, ale śmiech wyszedł jak kaszel. Otóż i on ani się obejrzał kiedy, bystrym spojrzeniem babki przynaglany, pochował na dnie kuferka książki i zeszyty, globusik, piórnik, bluzę uczniowską i sześć koszul czerwono znaczonych. Ani się obejrzał kiedy zaniechał starań o koroniarską wymowę i szuranie nogami w ugrzecznionych ukłonach. Na myśl zaś o Reginie i Frani taki szum powstawał w jego głowie, że czym prędzej biegł machać siekierą dla upustu wzruszenia.

Wieczorami w kuchni ludniej bywało niż za Elichwira. Młynarska i wszelka inna, "tutejsza" rodzina Martyny ośmieliła się zniknięciem przybłędy, który choć i w parciance chadzał, i modlił się przed ikoną, taki zawsze od panów i od Germańców się odbił w te strony, żeby ludzi fuzją swoją i milczeniem swoim nietutejszym straszyć. Grube i chude baby, w chustkach przeważnie białych albo czarnych, zawiązanych pod brodą, siadywały na przyźbie, piskliwie się śmiejąc i popluwając ziarnkami. Mężczyźni w juchtowych butach i grubych kaftanach, brodaci, wąsowi, inni w świtkach, sprytnie zerkający spod grzyw równo na czole przyciętych, milkli na widok Kazia i pociągali nosami. Nieraz jakaś dziewucha zachichotała nie wiadomo czemu. Zmieszany szukał matki, i z bólem serca znajdował ją w gromadzie, niczym się nie różniąca od reszty, chyba poważnym spojrzeniem i powolniejszymi ruchami. Czasem śmiała się razem z innymi, mówiła szybciej i więcej, niż w Bernawczycach, a używała różnych takich słów, których dawniej nie słyszał.

Kościół najbliższy był w Szersku o 2 mile. A konie ludzie Bojarskiego uprowadzili podczas napadu. Więc w niedzielę po śniadaniu wołała go do swego pokoju i kazała, klęcząc przed obrazem Ostrobramskiej, odmawiać modlitwy z książki przeznaczone na Mszę. Obraz ze schedy po ojcu był teraz jego własnością, toteż przyglądał mu się z ciekawością, szczerze pragnąc znaleźć w nim zachętę do pobożności. Ale trudno było odgadnąć czego życzy sobie Najświętsza Panna Ostrobramska, bo oczy miała spuszczone. Uwagę przyciągała jej ogromna korona zrobiona z bardzo długich, bardzo spiczastych promieni, które wszystkie godziły w niebo, całkowicie obce temu, co się ku nim wzniosło od ziemi. Zresztą bez organów, bez tłoku, bez dzwonków i śpiewania, Kaziowi tak strasznie było nudno, że przeskakiwał

całe strony, łykał sylaby i, zanim minęło piętnaście minut, już ogłaszał jękliwie: "*Ite missa est*, idźcie obiad jeść". Na co Cecylia niezmiennie — żegnając się — odpowiadała: "obżarstwo grzech główny, Kaziuk" — i z wyrzutem patrzyła na syna.

Przez sień przesuwał się ciszkiem, zerkając po drodze w głąb "gościnnej", gdzie babka biła pokłony przed grubo złoconą ikoną Twerskiej Bożej Matki, umieszczoną w rogu, prawosławnym sposobem. Był to skarb osobiście przez Martynę ocalony z pogromu: wycięta w złotej blasze, twarz ciemna i naga, o wąskim bizantyńskim owalu, oczach długich, szeroko rozwartych, o dużych, ludzkich ustach; twarz, która się wydawała Kaziowi za piękna dla świętej i za młoda dla Matki; uwięziona w złocie jak listek jesienny w jaskrawym świetle zachodu. Krępował się tych długich boskich oczu kobiecych, a niewolnicze pokłony babki przed takim obrazem wzburzały go, jak gdyby Martyna czyniła rzecz nieprzyzwoitą. "Prawosławne sztuki..." — pełen niesmaku wsuwał się do kuchni.

Tam zazwyczaj, zajęta gotowaniem, Anisja przemawiała do ognia, nie rzadko ciskając weń szczyptę soli, to znów plując — jeśli dymił — i wzywając "wiły" na świadków, że dała mu jeść i to dobrych szczap smolnych.

We wsi, mimo że spodnie wpuścił za cholewy i włosy zaczął sczesywać na czoło, ludzie chowali się przed nim, a dzieci rzucały kamienie. Idąc pośród chałup, czuł spojrzenia kłujące go w plecy. Wiedział, że zamiast przyśpieszać kroku, należało iść wolniej, śpiewać sobie ładnie po polsku, a może zatrzymać się i grzmotnąć pięścią po czyimś łbie. Ale ciągle jeszcze nie mógł się rozgniewać. Ciągle tylko litość go rozpierała nad samym sobą, i mdlący żal do Reginy. Za odryną był parkan; przeskoczyć go — i bez drogi byłeś w gęstym lesie, gdzie sosny szumiały powłóczyście albo porywczo, próbując odejść razem z wiatrem i nie wrócić. Ptaki się tam zrywały niewidocznie; często niższe konary skrzypiały, a zwisające gałęzie chwiały się ciężko, jak głowy krów, pędzonych z pastwiska. Pod wieczór mgły pływały między drzewami, a w dzień zarośla się rozstępowały i w wieńcu z tarniny stawała czasem nieruchoma twarzyczka sarny, z oczami pełnymi obojętności.

Którejś niedzieli, już po zachodzie słońca, zauważył koło swojej ulubionej kłody na wzgórku, skąd był widok na porębę, pęki nowych, zwiniętych w rogi paproci. Serce w nim stuknęło: była ta sama pora roku, co wtedy. Pamiętał doskonale słowa ojca: "To wszystko jest Polszcza... Ona paść nie może". Od tamtego czasu Stasukiewicza rozbito, Traugutta powiesili, powstanie upadło, ojciec umarł. Cóż z Polską? Płochliwie zerknął na niebo nad porębą: gwiazda błyszczała na zielonkawym skłonie wschodnim, mocno przytwierdzona, nie zdradzając zamiaru spadania. Tymczasem zaczęło robić się czarno. Nie śmiał już patrzeć na coraz mglistsze brzozy, poczuł się obrzydliwie mały i sam na wielkim świecie. Gdzieś niedaleko zaskomlił pies — to go uspokoiło. Lecz zaraz po tym włosy zjeżyły mu się na g

wie... To raczej wilczyca... Prowadzi spać swoje bliźniaki, a wilk pilnuje, czy nie trzeba na jej drodze uprzątnąć jakiego człowieka. Struchlały, zamknął oczy i słuchał trzasku gałęzi. Kiedy znów je otworzył, zobaczył przed sobą, jak gdyby w powietrzu, parę jarzących się ślepi. Krzyknął ... ślepia skoczyły wyżej i straszny koci wrzask rozdarł uszy. "Ryś... ryś..." — powiedział do siebie. — "To ryś... Nie bój się". Ale nie bać się teraz już nie mógł. Las patrzył na niego i groził. Las szedł na niego razem z gwiazdami, z mużykami, z carem, z Anisją i z ogniem, z rysiami i wilkami. "Tatko!" — zawył, i rzucił się na oślep przez trzęsawisko w stronę domu.

Tej nocy z początku trząsł się w łóżku i dziękował ojcu za to, że jego duch okazał się mocniejszy od wilka: przeniósł go przez mokradło na bobrowski dziedziniec. Potem rozmyślał o Polsce. Jeżeli gwiazdy nie popadały, widocznie i ona nie "padła", mimo upadku powstania. Czymże ona jednak była? Co oznaczała? Czyżby tylko drzewa i gwiazdy i rzeczkę Leśną? Czyżby Reginę z jej bajdami o ojczyźnie i honorze szlacheckim? Czyżby książki? Może Warszawę? Muszę zapytać mamy — westchnął. Ale z matką nie można było mówić o nietutejszych rzeczach. Tatko, tatko!... Gniew go ogarnął. Cóż mnie z ducha przyjdzie? Anisja mówi: duch ludzki kręci się koło domu i rodzinie pomaga przez parę miesięcy... A potem odlatuje, albo włazi w żywioły człowiekowi przeciwne. Tak i ty mnie dziś od wilka wybawiłeś, a za miesiąc sam może wilkiem okażesz się!... Jak żywą, zobaczył przed sobą twarz księdza Lwigórskiego, kiedy wesoło zapewniał, że "śp. asesor Krzysztofowicz miłością swoją do Polski na wczesne niebo zasłużył sobie u Boga". Zawstydził się i przestraszył... Wierzyć w zabobony — grzech śmiertelny. Zresztą ojciec nie winien temu, że "serdce jemu z bólu było pękłszy".

Gniew minął, samotność została. Kręcił się i kręcił na sienniku, walcząc z chęcią przekradzenia się przez sień do matki; ale bał się obudzić Martynę. Dopiero o świcie przypomniał sobie, że "Bóg miłosierny jest wszędzie". Wylazł spod koca i, drżąc w chłodzie porannym, zaczął się modlić w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Nazajutrz nic matce nie powiedział o swojej przygodzie. Po śniadaniu, zaszedłszy do jej pokoiku, niedbale zapytał: "Mama, a gdzie ten nożyk obraca się, co babka mnie jego na Wielkanoc sprezentowała?" — "On tobie na co, Kaziuk?" Wzruszył ramionami. "Babka nadęła się, że ja nożyka tego jej za paskiem nie noszę". Podziw dla światowej mądrości swego dziecka mignął w oczach Cecylii Krzysztofowicz. Podniosła wieko skrzyni. Uwolniwszy nóż z chusty perskiej w którą był zaplątany, trzymała go w ręku z miną zatroskaną. "Ale ty biegać nie będziesz, kiedy za pas jego zatkniesz, a?..." Mrugała usilnie. "I gniewać się nie będziesz? A to nóż złemu człowiekowi nie para".

Później już szybko nadszedł maj i pierwszy dzień służby leśnickiej Kazimierza.

Odkąd poczuł na biodrze chłodne ostrze własnego myśliwskie-

go noża, znacznie się ośmielił do lasu, i dzień ten rozpoczął z gorliwością. Uzbrojony w dubeltówkę ojca, stawił się o szarym świcie przed chatą starego Rokiciuka, ciasno opasaną moczarem, przez który trzeba było znać przejście z bierwion, po wierzchu zarośnięte. Tylko jeden raz Rokiciuk pokazał mu to przejście, i teraz Kazimierz był dumny, że trafił. Leśnik, ogromny chłop, siwo owłosiony do pół policzków, wylazł do niego, ziewając i drapiąc się po całym ciele, bo komarów było pełno wszędzie. W odpowiedzi na grzeczne powitanie, kłapnął zębami i splunął. Potem cofnął się do sieni i drzwi znowu za sobą zaryglował. Minęła godzina, zanim się wysunął po raz drugi, obładowany sakwami, ze strzelbą na sznurku. Bez słowa odwiązał psa; nie patrząc na Kazimierza, skierował się na wschód od chaty przejściem innym niż to, jakie Kazimierz poznał. Idąc tropem psa kudłacza, kluczył to w lewo, to w prawo i, gdyby Kazimierz nie lubił tak bardzo przedrzeźniać cudzych ruchów, pewnie by kilkakroć zapadł w trzęsawisko. Gdy tylko grunt stwardniał pod stopami, Rokiciuk w dwójnasób przyśpieszył kroku.

Drzewa szumiały tak wysoko, że ciągle ochota brała głowę zadzierać, żeby dojrzeć ten podniebny szum, a miejscami skupione były tak gęsto, że się szło w ciemności. Przy coraz widniejszym dniu ukazywały się brodate pnie i konary. Naraz gąszcz się przerzedził i o kilkanaście kroków przed Kaziem promienie uderzyły w jeziorko, płosząc wodne ptactwo. Złożył się ze swojej dubeltówki... Po chwili kudłacz wylazł z wody z ptakiem w pysku. Nie bacząc na wściekłe warczenie, Kazimierz rzucił się do psa i w tej samej chwili poczuł na ramieniu łapę Rokiciuka. "Stój!" — pierwszy raz usłyszał ten głos, zadziwiająco cienki u tak zwalistej postaci. Ale szaleństwo zabawy już go ogarnęło; wychwycił nóż zza pasa i błysnął nim w słońcu... Rokiciuk puścił jego ramię. "Elichwirow nóż..." — patrzył w krzywe ostrze, jak urzeczony. "A Rokiciuk co myślał? Ot, ja zaraz kaczka nim i wypatroszę". Rokiciuk gwizdnął — pies puścił zdobycz.

Na początku drugiego tygodnia maja, kiedy z rana Kazimierz zakołatał do leśniczówki, by jak zwykle zameldować przyjście i odebrać opaskę z blachą, którą w czasie służby miał obowiązek nosić na ramieniu, stary wysunął za próg worek soli, sam cofnął się do chałupy i drzwi znów za sobą zatrzasnął. Znaczyło to, że trzeba łosiom soli podłożyć do stogów; rozkaz taki czasem przychodził do "Ministracji" z Petersburga od samego księcia, który ponoć z zagranicy nowinkę taką przywiózł i w dobrach swoich wypróbować postanowił.

Kazimierz przez mokradło jakoś wór przeniósł, stękając, a stamtąd już ciągnął po ziemi do pierwszego stogu, który na szczęście był blisko. Tam kilka bryłek rozrzucił, a do innych postanowił sól roznosić w swojej obszernej czapce. Sól była w wielkiej cenie, chłopy nieraz "parsiuka" dawały Żydowi za ćwiartkę, więc trzymał czapkę ostrożnie w obu rękach i uno-

sił się w duchu nad wspaniałością "kniaziów", którzy swoją zwierzynę solą karmić rozkazywali.

Nad jeziorkiem usiadł sobie na pniaku żeby się pożywić, a czapkę, pełną solnych grud, pieczołowicie ułożył na kolanach. Gdy uczuł pragnienie, przechylił się by dłonią zaczerpnąć wody. Wtedy czapka ześlizgnęła się z kolan i wraz z cenną zawartością chlupnęła do jeziorka. Nie bacząc na ubranie, polazł w ślad za skarbem; ale pływać nie umiał. Zdążył tylko chwycić się korzeni pniaka, i oto znowu był na brzegu, mokry, bez czapki, wstrząsany chłodem i wyrzutami sumienia. Rad nie rad, musiał wracać do wora i przez resztę obchodu dźwigać go na plecach.

Pierwszy stóg stał na wzgórku, pośród kępy starych dębów. Zbliżając się doń, posłyszał chrupki szelest, jaki wydają wilcze paprocie, kiedyś ktoś, czy coś je rozgarnia. Czyżby łosie zwietrzyły sół i już ciągnęły na ucztę? Rozwiązany worek, wsparty o pień dębu, pozostał poniżej stogu. Stratują go, rozerwą, całą sól rozwleką. Ot, tobie na! — jęknął. "Ministrator" do tiurmy mnie posadzi, a mamę z Bobrówki przegoni... Drżącą dłonią sprawdził, czy nóż jest na miejscu, zerwał strzelbę z ramienia i nieprzytomnie popędził naprzód. Stanął gdy zobaczył stóg; siano leżało nietknięte, brył solnych nie było, między dębami pusto, a pod drzewem worka ani śladu. Odwrócił głowę... Nisko między paprociami, ujrzał, sunący powoli w dół, wielki słomiany kapelusz. Odetchnął z ulgą: jakiś dzieciak psie figle stroi! Machając strzelbą, pocwałował w jego kierunku. Ale zanim dogonił, kapelusz, jak odrzucony sprężyną, skoczył w górę: siedział na głowie chudego Hrycia o złej twarzy, który przedtem pomykał, widać, zgięty w pół pod ciężarem. "Ty co? złodziej?" — Kaziuk zapienił się i uniósł dwururkę. "Zaraz mnie sól oddawaj, a nie, tak pożału..." Nie zdążył skończyć, bo Hryć grzmotnął go workiem w głowę, a sól zasypała oczy. Piekący ból oczu i gorzko słony smak miały odtąd towarzyszyć we wspomnieniu tej ciemnej chwili. Ciemnej nie tylko z powodu oślepienia, ale i gniewu, który odebrał resztę przytomności. Kto kogo pierwszy przewrócił? Dlaczego został użyty nóż Elichwira? Jedyne co Kazimierz pamiętał, to wariacki zapał z jakim dźgał czymś ostrym coś miękkiego, jednocześnie odpychając z wysiłkiem, od którego czaszka zdawała się pękać, czyjeś natrętne ramię.

X

Kiedy Rokiciuk przyciągnął omdlałego na Leśnictwo, Cecylia czekała u bramy. Podobno na długo przed zwykłą porą powrotu syna z obchodu weszła do kuchni i powiedziała: "Z Kaziukiem nieszczęścia". Potem zaraz wyszła przed bramę.

Z początku złożyli go w "gościnnej" i pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, odzyskawszy przytomność, był odblask lampki oliwnej na złotej szacie Bożej Matki z Tweru. Wtedy resztka niedopalonego gniewu wybuchła w nim: "Żeb' tobie płocho było, prawosławna kukła!"

W dwa dni później przebudził się już słaby, żałujący, spragniony pokuty. Bał się podnieść wzrok na ikonę, po cichu płakał i przepraszał "tutejszego" Boga. Kiedy mu powiedziano, że wstanie za tydzień, rozszlochał się nie z radości, tylko z żalu, bo pragnął umrzeć. Podwójną wiadomość: o śmierci Hrycia z powodu tego, że "dubeltówka sama wypaliła podczas bójki" i o swoim przeniesieniu w nagrodę za gorliwość na stanowisko pisarczyka do samej "Ministracji" — przyjął w milczeniu. Ale po chwili szepnął: "Mama, ty weź mnie do siebie... Ja tu boję się". Cecylia z Anisją przeniosły go do pokoiku pani Krzysztofowicz.

Bał się rzeczywiście nie tylko smutnych oczu ikony, ale i przenikliwych babki Martyny, która lubiła zajść do "gościnnej" i, z rękami pod fartuchem, stać w progu, przyglądając się niezgrabnym zabiegom Cecylii. Nigdy nie pomagała opatrywać wnuka, ani karmić go. Czuł, że nawet obojętność poczytuje ona sobie za ustępstwo na rzecz córki. Raz tylko, kiedy matka, porządkując pokój, natrafiła na sławetny nóż, przyniesiony przez Rokiciuka, Martyna żywo wyjęła go z jej ręki i podniosła do oczu. Rozcierając palcem rdzawą plamę, spytała: "*Heto szto? krow'*" — i spojrzała na wnuka cieplej, niż kiedykolwiek. Nie mógł teraz znieść widoku tego noża, więc płaczliwie pociągnął nosem — i płomyk w spojrzeniu babki zgasł. Niedbale rzuciwszy nóż na komodę, wyszła, prosta, wysoka i czarna.

W izdebce Cecylii, tej samej w której podczas świąt przesiadywał asesor rozdrażniony dżdżystą pogodą, było znacznie przytulniej. Okno wychodziło na zdziczały sadek, gdzie kwitła jabłoń. Kantorek dziada Elichwira stał w rogu, a na nim stały fotografie zmarłych braciszków.

Tutaj mógł na całe godziny zapominać o strachu. Cecylia jak po załamaniu się kariery Piotra, kiedy Sybir i bieda zaglądały im w oczy, czując koło siebie syna zdanego wyłącznie na jej miłość, nabrała rezonu i chęci mówienia.

Któregoś popołudnia ulewa odpędziła ją od okopywania kartofli, więc wcześnie przyniosła synowi kolację. Grzmiało, zapadł chwilowy mrok, miała na sobie swoją bernawczycką żałobną suknię, zamiast zmoczonej, roboczej. Zjadłszy pół garnka kaszy tatarczanej, westchnął: myślał z niechęcią o tym, że wstanie za dwa dni.

— Smutno, mama...

— A ty czego nie czytasz? Jaż książki wszystkie przywiozła tobie tutaj.

— Tak jakoś, nie chce się — ziewnął. — Na co mnie czytać? Daniłko ten czernomazy mnie dawno powiedział, że pisarczyki

w Ministracji tylko do stu rachować umieją, a pisać tak tylko z małych książek do dużych przepisują.

Zmieszała się, jak gdyby ta wiadomość poruszyła jakieś przeczucia, czy plany.

— Tak znaczy się ty do Ministracji nie chcesz?

Nie odezwał się.

— A w lesie także samo zostawać się nie można, a to mużyki za Hrycia ubiją...

Jakiś czas patrzyli w okno bez słowa.

— Nu tak cóż mnie z tobą robić, Kaziuk?

Naciągnął prześcieradło na głowę.

— Ty uczyć się chcesz... pojechać gdzie nie bądź do wielkiego miasta...

Zerwał prześcieradło i ryknął baranim głosem:

— Niegodziwa Regina! Aj, jakaż niegodziwa!

— Nu, obaczym...

Wstał nie za dwa dni, ale nazajutrz. Matka nie pozwoliła mu wychodzić z pokoju, mówiąc wszystkim, że syn cierpi na zawroty głowy.

— Ja tobie mówię, ucz się — powtarzała. — Ty i tak w naukach zapóźniony.

Chociaż więc nie wiedział po co, wziął się znowu do gieometrii i deklinacji łacińskich.

Pod koniec maja w stancyjce zrobiło się duszno. Czasami wyłaził przez okno na ogród i tam, ukryty w kępie bzów, mruczał: "Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze, ten — młody — zdusi centaury"... Niezbyt ciekaw sensu dziwacznych wyrazów, ziewał i z powrotem przeskakiwał parapet, bo pociągał go kantorek dziada Elichwira. Bawił się otwieraniem i zamykaniem skrytek, aż któregoś dnia wyciągnął teczkę, pełną starych papierów. Rozwinąwszy pierwszy, ucieszył się; z czystym sumieniem mógł czytać, a jednocześnie się uczyć, bo dokument był po łacinie, z notatką u góry: Duplikat. Zaczynało się tak: "*Anno Domini* 1772 Kobryń"... Ogarnęło go zdumienie, że o Kobryniu można pisać po łacinie. Jakże ono się wzmogło, kiedy w następnym wierszu natrafił na swoje własne nazwisko: "Jacobus Petrus Casimirus, vel Jakób, Piotr Kazimierz Krzysztofowicz herbu Ślepowron"... Z płonącymi uszami przyłożył się do tekstu, utkanego ze słów łacińskich i polskich. "*Cum boris, lasis, fluviis et piscibus* — dukał. — Jaśnie Wielmożnej Róży, Emilii, Annie, herbu Łabędź, Bortnickiej, oraz potomkom jej, *dominium meum* Wrożyszcze *districtu* Słuck in *possessio aeternam* dawam i zapisuję". Uważnie się przyjrzał zżółkłemu papierowi: był z dwuch stron nadarty, wyraźnie zmięty, później wygładzony. Jak w świetle błyskawicy, zobaczył ten straszny obraz: ojciec z siną twarzą leży na podłodze kancelarii, a koło niego matka na klęczkach ostrożnie roztwiera pięść zaciśniętą wokół zżółkłego papieru...

Nazajutrz znowu otworzył szufladę. Tym razem sięgnął po zeszyt domowej roboty o nierównych kartkach. Strony, pokryte

drobnym, pochyłym pismem ojca, składały się z wielu krótszych i dłuższych ustępów, przedzielonych lukami, jak gdyby sprawa, której były poświęcone, toczyła się nierówno i z przerwami. Wzrok padł na końcowy ustęp jednej z kartek: "Nie doczekał się ja hrabini i poszedł. Żal, a to podpis jej na prośbie do Naczelnika Powiatu pilny bardzo. Wracał ja taradajką po tyśmierskim trakcie. Na zakręcie koło Bożej Męki tupot koński posłyszał i z lasu dwa jeźdźcy wysunęli się i szczupakami przez pole sadzili. Jeden był mężczyzna wysokiego wzrostu w rejtuzach, a drugi był kobieta w sukni długiej czarnej i w kapeluszu wysokim z welonem barwy błękitnej, któren na wietrze niósł się. Mój siwka społochawszy się i ja zatrzymać jego nie potrafił, a tylko śmiech ja słyszał taki wesoły, jak kiedy srebro na srebro rzucasz. I czego ona śmiała się, i nad kim, i do kogo, hrabinia ta, Izabella?"

Odwrócił kartkę. Dużo tam było napisane, ale wszystko pokreślone, zamazane tak, że ani jedno słowo nie pozostało czytelne. Przerzucał dalej... Już tylko białe kartki. Powrócił do początku, ale nie czytał, bo nic go nie interesowało tak, jak to co było ukryte pod gryzmołami. Przysunął się do okna i wpił wzrokiem w rękopis; tu i ówdzie zaświtały poszczególne słowa: "mierzawiec"... "sukin syn"... "łajdaczka". Śmiertelnie czegoś ciekawiąc się i wstydząc, uniósł kartkę pod słońce i wyraźnie zobaczył zakończenie: "Jeden tylko krwawy żal pozostał się mnie teraz na całą resztę życia: czemu to mnie psa tego wściekłego, Bojarskiego, rękami moimi własnymi zadusić nie zdarzyło się?"...

Pot wystąpił na czoło i przypomniał się płaczliwy głos "Regusi", jak zrzędziła na kwaterze w Brześciu: "ot, i znowu trzewiki podarte, a tatko wasz do czorta na Kuliczki w taradajce trząść się musi żeb' dla was na chleb zapracować"... i szepty pani Wrońskiej w których imię "Izabella" wracało... i drżące pytanie matki, zaraz po śmierci ojca, skierowane do Czuczyńskiej "nie już to Piotr słyszał co my o Bojarskim i o hrabini mówili?..." Jak przedtem łaciński dokument, tak i ten zeszyt, odrzucił z niechęcią, bo dosyć miał własnych zmartwień.

W sieni rozległy się kroki, ale kantorek, jak na złość, się zaciął i zanim Kazimierz zdążył docisnąć blat, matka stanęła we drzwiach. "Ty co, Kaziuk?" — zbladła. "Ja nic, mama, onoż łacina". Popatrzyła uważnie na rozrzucone papiery. "Ty pamiętnik ojca czytał"... "Nie... ja tylko o majętności Wrożyszcze". Kłamstwo uwięzło mu w gardle. Odchrząknął desperacko: "Ten Jacobus, Petrus, Casimirus, herbu Ślepowron, kto on taki, mama?" Dopiero zatrzasnąwszy biurko i schowawszy klucz do kieszeni, odwróciła się: "On pradziad był twojego śp. ojca". "Tak czegoż jemu było majętność nasza Róży tej jakiejś herbu Łabędź oddawać?" Pokiwała głową: "Polska natura szeroka"... Potym surowo: "Ty łacina z książki ucz się, Kaziuk!"

Na progu się zatrzymała. "Ojciec twój także samo człowiek był

szlachetny..." Poczerwieniała. "A tylko on substancja swoja dla Polski poświęcił".

Minął tydzień nauki w zamknięciu, a około trzech od wypadku, kiedy Cecylia wróciła z kuchni do swojej stancyjki, mieniąc się na twarzy. "Kaziuk, ty w czepku rodził się... Uklęknij, Bogu Wszechmogącemu podziękuj". Sama opuściła się na klęcznik przed Ostrobramską, Kazimierz ukląkł obok i, chociaż nie wiedział za jaką, żarliwie podziękował Bogu za łaskę, której właśnie był podobno dostąpił. Nareszcie Cecylia siadła i wyjęła z kieszeni list. "Kaziuk, ty o dziadka twojego, Elichwira, bracie słyszałeś?" Tyle tylko słyszał, że ów legendarny "Elichwirów brat" mieszkał w samym Petersburgu, był bogaty i ożeniony z arystokratyczną Drezdenką. "Nu, nu — gorączkowała się — onże dawno nie żyje i majątek cały w karty on przegrał i żona jego z rozpaczy umarła. A tylko córka ich, Anna Michajłowna, ona *Institut Błagorodnych Diewic* ukończyła i guwernantką u samego grafa Kuriagina dziesięć lat już pozostaje się". Patrzyła z bliska na Kazimierza wypukłymi, bladymi oczami, wstrząśnięta świetnością tych spraw i własną odwagą wplątania się w ich krąg. On tymczasem niecierpliwie się kręcił. "Tak cóż, mama, ty prędzej mów".

— Jaż tobie mówię: Anna Michajłowna tobie ciotka cioteczna przychodzi się... Nu tak na drugi dzień po nieszczęścia ja do niej i pismo posłała... — Rozłożyła kartkę. — Ot, dzisiaj odpowiedź z poczty przynoszą... — Raptem zapłakała. — Kaziuk... widać tobie sądzona Warszawa". Siedział chmurny, skubiąc brzeg kurtki... Aż naraz się zerwał i z uniesieniem krzyknął: "Mama! Dziękuję tobie! Dziękuję!".

Rzecz miała się tak: Anna Michajłowna, panna stara, bo z górą trzydziestoletnia, była znana pośród petersburskiej socjety nie tylko ze znajomości języków, ale i z katastrofy finansowej jej ojca, bankiera, Michaiła Karłowicza Eichlera, orderami odznaczonego radcy dworu, który nad Newą dorobił się majątku, a później szybko go stracił, wraz z posagiem drezdeńskiej baronówny. Przez pamięć tego wielce w swoim czasie popularnego utracjusza i facecjonisty, córkę sierotę nie tylko w wyższych sferach ceniono, jako nauczycielkę domową, ale i nazywano z westchnieniem "osobą z towarzystwa". Jej długi list, pisany po rosyjsku, brzmiał w tłumaczeniu jak następuje:

"Wielce Szanowna, chociaż nieznana, Kuzyno i Dobrodziejko! Kiedy byłam maleńką dziewczynką, w czasach błogich i niepowrotnie minionych, śp. Ojciec mój opowiadał mi wieczorami piękne bajki "o wielkich, wielkich lasach, gdzie rządzi wielki, wielki niedźwiedź, zwany Elichwir". Dopiero po tragicznej śmierci Ojca mojego — nie wiem czy Kuzynie wiadomo, że przedwcześnie On życie zakończył, spłaciwszy co do kopiejki dług honorowy niebacznie zaciągnięty, przez co wprawdzie majątku zostałam

pozbawiona, lecz imię niesplamione zachowałam... Otóż dopiero papiery Ojca mojego przeglądając, pojęłam, że ów ulubiony mój "niedźwiedź" nie kim innym był, tylko Stryjem moim rodzonym. Przyznam Ci się, Kuzyno Łaskawa, że i dotąd w nieświadomości pozostaję jakimi drogami Opatrzność zaprowadziła Szanownego mojego Stryja (czyżby śp.?) — na kresy wschodnie nieszczęśliwej Polski. W listach pozostałych po Ojcu moim znalazłam wzmiankę, że wkrótce po ożenieniu się w Dreźnie ze śp. Matką moją, w drodze powrotnej do St. Petersburga, odwiedzał On swego szanownego Brata, w kraju zwanym Litwą, obecnie podległym Najjaśniejszemu Cesarzowi Wszechrosji. Na kartce dziennika gdzie Ojciec mój wiadomość tę zanotował, ręką Matki mojej dopisane zostało: "Konwalii pięknej wbród... *Maiglöckchen*". Cieszę się zatem, Kuzyno Szanowna, że po śmierci Twojego tak szlachetnego Małżonka, powrócić mogłaś w te czarowne miejsca rodzinne, pełne kwiatów, poezji i najczulszych wspomnień. Niemniej pojmuję troskę Twoją o odpowiednie stanowi wykształcenie drogiego jedynaka, którego czyn bohaterski do głębi mnie wzruszył. Nie tylko pojmuję, ale szczęśliwa jestem, iż — być może — dopomóc Ci w zbożnym przedsięwzięciu zdołam. Tutaj nadmienić muszę, że list Twój — czy wolno mi nazwać Cię Cecylią, Kuzyno moja? — A więc list Twój sprawił mi radość niewymowną. Nie chcę, Boże chroń, oskarżać o nieczułość nader zacnych moich przyjaciół, ale pojmiesz łacno sercem Twoim zbolałym, że życie osoby pozbawionej Rodziny, trudne jest i nad wyraz smutne. Na wieść, że istniejesz, Ty tak ścisłymi węzłami krwi ze mną złączona, poczułam, że świat nie jest pusty. Dziękuję! A teraz do rzeczy:

Senator, graf Kuriagin, Ojciec moich pupilów, jest człowiekiem jak najlepiej usytuowanym by okazać protekcję młodzieńcowi zdolnemu do nauki i już, Kochana Kuzyno, udało mi się Go losem dzielnego mojego Siostrzeńca (czy wolno mi Go nazywać Casimir?) zainteresować i obietnicę całkowitego poparcia uzyskać. Niestety! Istnieje pewna okoliczność, która, być może, wywoła Twoje niezadowolenie. Piszesz, że pragnęłabyś, aby Syn Twój kształcił się w St. Petersburgu. Otóż graf Kuriagin miesiąc temu Kuratorem honorowym I-go Gimnazjum w Warszawie mianowany został, i niebawem przenosimy się całym domem do Przywiślińskiego Kraju. Konstantyn Iwanowicz, tak bowiem nazywamy grafa, upewnić się zechciał w Min. Oświaty, że na podstawie załączonego przez Ciebie, droga Cecylio, świadectwa szkolnego, trudności żadnej nie przewiduje się w przyjęciu Casimir do piątej klasy. Jeśli więc nie zrazi Ciebie okoliczność, iż gimnazjum to znajduje się w Warszawie, byłabym osobą najszczęśliwszą, gdybyś zezwoliła mi troskę o byt materialny Siostrzeńca mojego przejąć na siebie. Zapewniam Cię, drogą Kuzyno, że dołożę wszelkich starań, aby otrzymał On warunki rozwoju odpowiednie dla Jego wrażliwej i szlachetnej natury. Poświęcając Mu każdą wolną chwilę, czuć się będę przydatna w kształtowaniu młodej duszy Krewniaka, a w ten sposób melanklia mego własnego sieroctwa rozproszoną zostanie.

Boga prosząc, aby raczył Ciebie, Czcigodna Kuzyno Cecylio, ıatchnąć zgodą na moją uniżoną prośbę, kreślę się z rodzinnym ɔrzywiązaniem i głębokim szacunkiem.

Anna Michajłowna baronówna Eichler."



Powiadomiona o zmianie w losach wnuka, Martyna okazała ;adowolenie; obecność jego na Leśnictwie nie zapowiadała ni-:zego prócz kłopotów. "*Bóg z tobą, rebionok*, jedź zdrowo" — ıścisnęła go, jak gdyby konie stały już przed gankiem. Od tej :hwili, w przerwach między nauką brodził swobodnie po obej-;ciu, wiedząc że oczy Martyny chodzą za nim, a jej głos w czas ;o odwoła z miejsca, gdzie akurat w tej chwili nie powinien się ɪajdować.

I tak nastał ostatni jego wieczór na Leśnictwie... W ciągu lnia Cecylia była roztargniona i w ruchach porywcza. Po ko-acji zaraz wzięła Kazia do siebie, żeby pokazać jak i gdzie niał popakowane rzeczy. Po środku pokoju, jak wyspa samotna, ;terczał wypełniony po brzegi "czemodan". Cecylia siadła na óżku. "My z Tobą, Kaziuk, może być, bardzo długo nie zoba-:zym się"... Siedzieli sztywno koło siebie, omijając wzrokiem ɔrzedmioty do niedawna miłe, a teraz obce i smutne. Jeden, vidocznie przez pomyłkę wyrzucony z komody, był naprawdę ɔbcy: książka ze złoconymi brzegami i gotyckim napisem: *Goethes Sämtliche Werke Gedichte*. — "Ty, mama, po niemiec-ku umiesz"? "Jaż Niemka"... — "Niemka... A babcia? Zna-:zy się matka twoja"? — "Oną tutejsza". "Tak ty, ma-na, znaczy się nie ze wszystkim Niemka. Ty na poło-wa tutejsza"? — "Tak ono i jest: na połowa". Zamyś-ili się, patrząc oboje na książkę. "A tatko"? — "Tat-ko twój czysty Polak"... Ze wstydliwością: "Po mieczu i po kądzieli szlachcic". — "Polaki wszystkie szlachta"? Uniosła ɔrwi: "*Nia wiedaju*. Ja w Koronie nie była". Zrobiło mu się gorąco; poczuł się szlachcicem i namiętnie zapragnął być w Warszawie już zaraz, bez zwłoki. Skoczył do kufra. "Mama, a ;y mnie daj papier ten o majętności Wrożyszcze! Tamże Śle-ɔowron, nasz herb". — "Papier na dno kufra ja tobie poło-żyła". W charakterze szlachcica zdumniał. Napuszczny, szast-nął nogami: "Nu tak ja, znaczy się, Casimirus Krzysztofowicz, ıerbu Ślepowron, polski szlachcic". Wypukłe oczy Cecylii przy-ćmiła czułość: "Na połowa"... Schyliła się po *Goethes Werke* odłożyła książkę do szafy. Później wzięła syna za rękę. "Ot, co ja tobie powiem" — rumieniec wypełzał na policzki — "a ;ylko ty nie śmiej się".

Znowu siedli. "To dawno było... Na Leśnictwie w kuchni ja ciebie raz maleńkiego karmiła. A matka moja, babcia twoja Martyna, kołduny gotowała. Jak raz drzwi otwierają... Wchodzi ɔabka moja, twoja, znaczy się, prababka, Ulina. Słowem Bożem ɔozdrawia. Tedy dziad twój, Elichwir, fuzja swoja, która on

czyścił, odkłada, ikonie trzy razy kłania się i każe: "Sława Bohu... —

Uhrane, Grossmutter, Mutter und Kind
In einer Stube beisammen sind...

Ono po polsku znaczy: prababka, babka, matka i dziecię w jednym pokoju zgromadzili się... Ja do ta pora pamiętam jak ja roześmiałam się i mówię: "ot, miszkulancja! *Uhrane* — tutejsza młynarzycha, *Grossmutter* za Niemcem, *Mutter* za Polakiem, a *Kind?* czym to jemu, biednemu, przyjdzie się być?... "I tedy dziad twój na mnie popatrzył"... "Jemu dobrym człowiekiem być przyjdzie się" — ot, co on mnie na twoje konto powiedział"... Przyciągnęła go do siebie "Tak ty bacz, Kaziuk!"...

Pocałowała go drżącymi wargami.

Nazajutrz o świcie odjechał bryką do Stradecza, stamtąd karetą pocztową do Terespola, z Terespola zaś koleją żelazną na Białą — Siedlce — do Warszawy.

XI

O tym, że pociąg kolei żelaznej jest szeregiem domków na kołach, ciągnionym przez pękatą, świszczącą maszynę, i że te domki w pędzie przecinają lasy i wzgórza, cały czas pozwalając podróżnym siedzieć jak u siebie i pić herbatę z butelki Kazimierz słyszał; teraz stwierdził to bez zbytniego podziwu. Wolałby nawet, żeby pociąg był dużo dziwniejszy: na przykład, żeby się jechało wisząc w hamaku, albo biegając po dachach wagonów. Sprawą dziwną okazała się nie kolej, tylko szybkość, z jaką uciekały rzeczy znane, a nadbiegały nieznane.

Kraj za Bugiem nie od razu stał się inny i nazwy stacji były wiadome. Mimo to, za każdym otwarciem drzwi przedziału, obcość uderzała mocniej. Ludzie mówili po polsku nie tak jak w Bernawczycach; żeby zrozumieć, musiał powtarzać w myśli niektóre słowa, nadając im inny akcent. Kiedy on się odzywał, wszyscy, jak ukąszeni, odwracali głowy w jego stronę. Małe dziecko zawołało do kur za oknem cip-cip, a nie cyp-cyp, jak w Bobrówce.

Nasunąwszy czapkę na oczy, udawał że śpi, ale ukradkiem patrzył, jak pola i wioski lecą wstecz, rozciągając bez końca obszar rozłąki. O matce nie myślał, ale nawet Frania, nawet Regina, pobudzały do smutku. Jeden ojciec nie wydawał się stracony; galopował konno w kłębach pary, sadowił się obok i zapewniał nosowym, śpiewnym tonem, że "to wszystko jest Polszcza, ale w Warszawie będzie lepiej".

Za Siedlcami Kazimierz usnął. Kiedy się obudził, w przedziale był ruch, a za oknem zachód. Skoczył na równe nogi. Ludzie się pchali, dziecko wrzeszczało, kuferek, przywalony cudzymi tobołami, leżał w przejściu; okraczył go i wyjrzał oknem... Z zapachem mułu, wiklin i sadzy zjawiła się przed oczy Warszawa za rzeką, błyszcząca oknami, spiętrzona w dachy, wieże i kominy. Rozweselił się, jak w szkole na pauzie. Pociąg zgrzytał, zwalniał... Kazimierz chwycił kuferek i ryknął: "Jeszcze Polska nie zginęła". Ludzie pootwierali usta i patrzyli na niego, jak na wariata. Więc zaciął wargi, zarzucił sobie na plecy kuferek z mosiężną rączką i, po dziesięciu godzinach podróży, wyskoczył jak z kotła na peron dworca Terespolskiego w Warszawie.

W ostatnim liście Anny Michajłowny stało: "Po przyjeździe na foksal proszę Kazimierza trzymać się przy okienku kasowym odpowiedniej klasy, dokąd i ja przybędę". Minęło ze dwadzieścia minut zanim tłum się przekotłował i dwojgiem ujść odpłynął z hali, zostawiając u okienka z napisem "Klasa Trzecia" figurę przygarbioną pod ciężarem drewnianego kuferka. Kilka razy rzucał się ku damom, które odpowiadały jego pojęciu o "Cioci Ani" (tak ją w myślach nazywał). Kilka zażywnych staruszek, ubranych w kapotki i mantyle, jak pani Czuczyńska na sumie, usunęło mu się z drogi. Tragarze, ocierając pot z czoła, wracali z ulicy, kiedy wzrokiem szczerniałym z niepokoju dojrzał po przeciwnej stronie hali, u okienka z napisem "Klasa Pierwsza", postać kobiecą wysmukłą, chyba młodzieńczą, w kapeluszu z malinowymi wstążkami. Po chwili postać krokiem lekkim, choć zdradzającym wahanie, zaczęła się zbliżać. Na odległości dwuch sążni przystanęła; brwi się uniosły podczas gdy od ust, które drgnęły, uleciał na policzki rumieniec. Podszedł kontroler biletów: "Kawaler czego uważa"? "Ja... z Terespola". Malinowe wstążki się poruszyły i jedwab zaszumiał. "Czy to... Kazimir Piotrowicz"? — po rosyjsku.

W podobnych do siebie dwuch parach oczu — podobnie oprawionych, podobnie rozwartych — odmalował się zawód, graniczący z paniką.

To, co Kazimierz widział w czasie swego pierwszego przejazdu przez Warszawę z Pragi na ulicę Złotą dotarło do niego poprzez bliskość parasolki z wysoką rączką uwieńczoną czaplim łebkiem rzezanym w kości. Faeton z watowanym rosyjskim "kuczerem" na koźle toczył się po bruku w podskokach; cierpł ze strachu, że kuferek stoczy się z przedniego siedzenia na nogi w prunelowych trzewikach, skrzyżowane opodal jego butów. Anna Michajłówna (cióciu Aniu, ach gdzie ty?!), zdaje się że pytała o matkę, o Franię, ale później nie wiedział, czy i co odpowiadał. Pozostał w pamięci tylko ogłuszający huk kopyt i kół na żelaznym moście przez Wisłę, potem dziwna wklęsła brama w jednym z domów przy szerokiej ulicy, żelazne szta-

chety, parę cylindrów, zaduch i dwa szeregi latarń, w których już się chybotały blade, gazowe płomyki.

Swoim szumnym zjawieniem się na Złotej u państwa Krzyżanowskich, w charakterze opiekunki nowego ucznia, nieociosanego, jak się zdało, drągala z Litwy, Anna Michajłówna wywołała popłoch. Ale, ledwie zamieniwszy w przedpokoju kilka słów z panią Krzyżanowską, wycofała się, jak gdyby zagniewana.

Stancję Kazimierz zawdzięczał stosunkom księdza Lwigórskiego, bo pani Krzyżanowska pochodziła z Brześcia nad Bugiem. Pokój miał też dzielić z dawnym koleżką, Milem Dubowskim, który od roku uczęszczał do gimnazjum realnego w gmachach pojezuickich za Katedrą. Za radą księdza Kapelana Kazimierz przyjechał o parę tygodni wcześniej, żeby się oswoić z miastem, więc Mila nie było.

Nazajutrz, obudziwszy się po źle przespanej nocy dość późno zapragnął wyjść na ulicę nie tylko z ciekawości, ale i z obawy, że Ona (nowe miano Anny Michajłówny), znów się pojawi, a z nią ten srogi zawód. Tymczasem pani Krzyżanowska zajrzała do pokoju prosić na śniadanie. Pan Krzyżanowski był urzędnikiem w Banku. Kiedy Kazimierz na prędce ubrany wsunął się do jadalni, ujrzał już tylko jego wąskie plecy w jasnym sak-palcie, chybko oddalające się w kierunku sieni i biura. "A wylij tam, Magdziu, ze dwie kwarty zimnej dyszczówki na łeb tego litewskiego miglanca!" — usłyszał szydliwy głos; potem drzwi frontowe trzasnęły.

Dwunastoletnia Stefunia i dziesięcioletnia Elzia — niebieskie przebiegłe oczka i zadarte nosy — siedziały przy stole, mocząc bułki w kawie. Elzia zaterkotała: "Mateczko, ojczulek prosił żeby mateczka sprawiła dyngus temu kawalerowi, to niech mateczka mu sprawi..." — "lanie" — dokończyła basem Stefunia. "Aj, przestańcie, przestańcie, dzieci!" — pani Magdalena Krzyżanowska wyglądała na stroskaną owcę, szczutą przez pińczery.

Okazało się, że "panna baronówna" zostawiła dwadzieścia rubli na mundur szkolny i podręczniki dla Kazimierza. Więc wybrano się po sprawunki. W sklepach na ulicy Granicznej było milej, niż w tłumie, ciemno, chłodno i pachniało cebulą, jak w składzie towarów bławatnych w Brześciu. Kazimierz się ośmieszył. Zapytany ile łokci wychodzi na jego "inekspryrmable", odpowiedział, że nie zna łokci, tylko arszyny, a "eksprymablów" nie nosi. Jeszcze był czerwony, kiedy na Placu Zamkowym wsiedli do omnibusu. Chociaż pilnie wyglądał przez szybę, nic nie widział, bo Elzia szczypała go, pytając: "a to co? co to jest? Kawaler przecież powiedział, że eksprymablów nie nosi"..

Wysiedli u zbiegu ulic w pobliżu kościoła. "Proszę uważać — powiedziała pani Krzyżanowska — tu jest ta gimnazja, do której Kaziowi chodzić przyjdzie się". Brzeski akcent rozpogodził go; z nabożeństwem przyjrzał się pałacowi Staszica. Ale więcej zajął go, otoczony krzewami, pomnik mężczyzny w sza-

cie podobnej do świtki, z długimi włosami przyciętymi chłopską modą na czole. Wspomniawszy jedną z powiastek historycznych, krzyknął: "Patrzcie! Kazimierz, król chłopków!" Przechodzień obejrzał się, ubawiony, a Stefunia pisnęła: "Dureń! Mateczka słyszy? On Kopernika królem nazywa". Znów zmarkotniał: "No, tak, czegóż Niemca w Warszawie na pomniku sadzać"? — tym razem zaczerpnął z pouczeń perekinczyka Jungura. Stefunia się zaniosła: "Niemca? Mateczka słyszy?! Ojczulek miał rację, że ten litewski miglanc na łajdaka wygląda".

Przez dwa następne dni Kazimierz kuł bez ustanku z nowych podręczników, popijając kawę żołędziową; nauka dawała dobry pretekst do unikania Krzyżanowskich. Trzeciego dnia pod wieczór usłyszał dzwon kościelny i popatrzył na niebo. Było takie same jak w Bernawczycach — różowe, pierzaste smugi — na wiatr. Dzwon, widać nie wielki, także był podobny do bernawczyckiego, bił smutno w oddali. Przez chwilę wierzył, że za drzwiami jest matka nad koszem skarpetek. Zerwał się, rozejrzał, jak złapany w potrzask... i wyskoczył oknem.

Mieszkanie na Złotej było parterowe; okno stancji wychodziło na podwórko obstawione oficynami; w głębi mur je dzielił od ogrodu sąsiadów. Mur także przesadził, zanim ochłonął wśród pokrzyw. Po drugiej stronie był sad. Urwał sobie jabłko i poszedł w zmierzchu aleją zarośniętą, o nawisłych gałęziach. Ropucha przepełzła drogą, powłócząc nogami; na ławce leżał dziurawy kapelusz ze słomy. Zerknął za siebie, czy nie rzucić zerwanego owocu; ktoś taki, jak stary Wroński w Brześciu, tutaj także mógł skądciś wyjrzeć i zapytać: "słej, słej, ty bełwanie, co z ciebie będzie"? Wyjście okazało się furtką w płocie, zamkniętą na skobel, prowadzącą na podwórze jednego z domów równoległej ulicy.

W progu drewnianej oficynki siedziała tam kobieta, kołysząc w ramionach dziecko. Po chwili wstała i, z dzieckiem na ręku, obróciła się w stronę sieni. Jak urzeczony, poszedł za nią z daleka. Gdy drzwi oficynki się zamknęły, podkradł się do okna. Za nim, w świetle ogarka, tkwił przy warsztacie wąsaty szewc w sile wieku; ziewał. Kobieta stała przy nim. Nagle coś się widocznie, stało w głębi izby, wymagającego jej ręki — bo, szastnąwszy spódnicą, wręczyła mu dziecko i znikła. Sumiennie, bez zapału, zaczął je kołysać tym samym ruchem, co ona. Jednak malec najwyraźniej odczuł różnicę zainteresowania; wierzgnął w sposób tak gwałtowny, że senny ojciec upuścił go na ziemię.

Kazimierz usłyszał wrzask. Kobieta znów się ukazała w polu widzenia. Oboje rodzice ruszali się z ogromną żywością, podnosząc i tuląc niemowlę. Później scena opustoszała... Pewnie układali je w kolebce. Już miał odejść, kiedy znowu się zjawili. On, całkowicie rozbudzony, mechracił sobie włosy; to ona teraz ziewała, trzymając go za ramię.

Kazimierz — wycofał się rakiem.

Wieczór zapadł. Podwórze było puste, w oknach świeciły się lampy. Skacząc powtórnie przez ten mur, za chwilę byłby znowu "litewskim miglancem"... Wyszedł z bramy na ulicę i wolnym krokiem ruszył w drogę okrężną. Unikał patrzenia na wielkomiejskie kamienice; patrzył raczej na własne, ochoczo stąpające nogi, na pomyje w bielonym rynsztoku, albo na gwiazdy. Cieszył się, że szewc, upuściwszy dziecko, nie zaczął kląć, że dziecko się nie zabiło i że szewcowa, utuliwszy je, nie wyszła siąść — obrażona — na progu. W ten miły wieczór wszystko było miłe i wszyscy wszystkim przebaczali w Warszawie.

Następnego wieczoru, mimo że w przeddzień udało mu się, jak sądził, wrócić przed kolacją, nie ściągnąwszy uwagi domowych, postanowił otwarcie poprosić o pozwolenie na spacer. Kiedy wyłonił się z pokoju, zastał drzwi frontowe i kuchenne zaryglowane, z czego wywnioskował, że nikogo nie ma w domu. Chciał coś przegryźć, ale szafa w jadalni, jak zwykle, zamknięta była na klucz. Znowu więc wyskoczył oknem i tym razem pomaszerował na miasto.

Na ulicy Nowy Świat, o której słyszał w Brześciu, zwolnił kroku. Mimo schyłku dnia, tłok, przy pięknej pogodzie, był znaczny. Wypomadowani mężczyźni z laskami unosili wysoko kapeluszy na widok znajomych dam, które sunęły, jak na kółkach, unosząc w ręku ogony jasnych sukien. W obłokach kurzu grzmiały pojazdy, z otwartych okien wyfruwały muślinowe firanki, walczyki i kolacyjne odory. Trzymał się blisko murów, bo ich gorący dech mniej mu dokuczał, niż dowcipne spojrzenia przechodniów.

Raptem ktoś grzmotał go w łopatkę. "A co, Kaziuk? Warszawianki zaczepiać wybrał się"? Promienny dryblas w ciemnym tużurku... "Milo! Ty skąd!" — "Z hotelu. Babcia kitę odwaliła. Wakacje nie wakacje, my z ojcem na pogrzeb przyjechali". Drapieżnie rozdął chrapy. "Spadku pilnować trzeba"

Wzięli się pod ręce i zaraz żądła przechodniów opadły. Bywalec Milo zatrzymywał się przed szybami sklepów, wskazując cukiernie, gdzie grywali w bilard studenci i inne, dokąd urzędnicy przychodzili na szachy, i nawet jedną taką, gdzie bywały aktorki. Na Krakowskiem Przedmieściu przecięli jezdnię, żeby obserwować panny, wychodzące z nieszporów u Wizytek. Z kruchty kościoła powiało kadzidłem. Kazimierz pomyślał: mama... Nie zmartwił się, tylko poczuł, że ma coś bardzo ważnego do powiedzenia Milowi o czymś, w co oni obaj są osobiście zamieszani. "Ty! — zaczął, i utknął. — Ty! Wczoraj... Pamiętasz, jak raz w klasie upuściłeś Jezuska z szopki i nic ci za to nie zrobili"? Milo robił miny do wypindaczonej panny z różańcem i nie słuchał.

Wkrótce znaleźli się na Placu Zamkowym u wylotu Nowego Zjazdu ku Wiśle. Milo nadął się, jak śpiewak przed występem na wieczorynce u Czuczyńskich: "Zamek widzisz"? Ka-

zimierz objął wzrokiem wielką, gołą budowlę z wieżą pośrodku fasady i budką szyldwacha przed bramą. "Kolumnę króla Zygmunta pośrodku placu widzisz"? Widział. "No! więc tenże sam potężny nasz polski król, Zygmunt, kiedyś w tym zamku mieszkał. A teraz gienerał gubernator, Moskal, w polskim tym zamku królewskim mieszka..." Zabrakło mu tchu i roześmiał się. "Zygmuntowi ta, ot! tylko kolumna została się, na której on stoi z tym swoim krzyżem i z tym mieczem, i na deszczu moknie". Kazimierzowi zrobiło się przykro jak gdyby za ojca. Może i lepiej, że ojciec umarł? Zaraz jednak poweselał: "Co tam! Pan Bóg zawsze wszystko na dobre obraca". Milo wytrzeszczył oczy. "Ty co? Do Seminarii Duchownej wstępujesz"? Obaj zaczęli się okropnie śmiać.

Było ciemno, kiedy Kazimierz wrócił na Złotą. Pośpieszał, ubawiony, szykując się, jak w Bernawczycach, opowiedzieć przygody i "pokazać" co śmieszniejsze, zauważone na ulicach, osoby. Za pociągnięciem dzwonka drzwi natychmiast ustąpiły. W progu stał pan Krzyżanowski ze świecą w ręku; za nim bielał czepiec pani Magdaleny. Drzwi się zamknęły i pan Krzyżanowski zasyczał:

— Ach, to tak? To opiekunów po nocy budzić rezonu wystarcza? Ale za dnia, to się od nauki oknem do cudzego sadu na owoce ucieka, złodzieju!?

Ucho Kazimierza zostało szarpnięte i skręcone żelaznymi kleszczami.

— Już ja ciebie, ptaszku, złodziejskich sztuczek oduczę!

Przeprowadzony za ucho przez korytarz i stołowy, później kopnięty, Kazimierz padł na łóżko.

— Następnym razem porozmawiamy inaczej...

Krzyżanowski znacząco wsadził rękę za pasek rzemienny. Znikł... Zaklaskały małe bose stopy po podłodze jadalni.

— A to dobrze ojczulek zrobił temu litewskiemu miglancowi!

— A to się dobrze udało tego złodzieja przyłapać!

Kazimierz leżał bez ruchu, skupiony, czujny, napięty do ostateczności. Łóżko, gdzie go Krzyżanowski porzucił, było nieznanym mu miejscem świata. Mógł lada moment zapaść się stamtąd aż do piekła. Czekał... Po dłuższej chwili wstał i nasłuchiwał. Cisza... Podszedł do okna. Zamknięte... W głowie huk; ucho pałało. Nie chciał dotykać, żeby nie natrafić na ślad wstrętnej ręki. Dotknął za to tasiemki na szyi, na której wisiał kluczyk od kuferka; od jego bernawczyckiego, brzeskiego i bobrowskiego skarbu. Po ciemku namacał i otworzył. Z twarzą nachyloną jakiś czas wdychał zmieszany zapach desek sosnowych, samodziału, trawy żubrówki i suszonego owocu. Potem sięgnął na sam spód, pod bieliznę, i wyjął nóż Elichwira. Spróbował palcem gładkości ostrza, przyłożył je do gorących policzków. "Złodzieju! — zasyczał, jak pan Krzyżanowski. — O, nie! Nie "złodzieju"... Ja jestem morderca". Włożył nóż pod poduszkę, zmówił Ojcze Nasz, wsunął się pod kołdrę i zasnął.

XII

Na kilka dni przed rozpoczęciem roku szkolnego, wcześniej niż zapowiedziano, zjawił się Milo z koszykami, z których hoj-nie rozdawał kiełbasy, sery i owoce. Gdy pani Magdalena z wylaniem dziękowała, pan Krzyżanowski ostrzegł: "Niech sobie jaśnie wielmożny Agenor Dubowski nie imaginuje, że cztery dni żarcia opłaci swemu gagatkowi gruszkami"! Córecz-ki skrzywiły wypchane buzie: "to nawet nie są gruszki, pro-szę ojczulka, to są ulęgałki".

Nazajutrz krawiec odniósł mundur Kazimierza. Milo wydo-stał i oglądał swój. Jego był czarny ze złoconymi guzikami, Ka-zimierza granatowy ze srebrnymi i ze srebrnym galonem na kołnierzu. "Ty, czego nie w granatowym"? — zapytał Kazio. "Bo moja buda realka". Kazimierz wiedział, że gimnazjum "realne", w przeciwieństwie do "klasycznych", miało przewagę matema-tyki. Wiedział też, że Milo w Brześciu miewał pały z rachun-ków. "Od kiedy ty matematykę polubiłeś?" — "Wcale nie po-lubiłem. Pater mnie tam wsadził. Z realki do uniwersytetu nie puszczają, więc u nas najwięcej jest nauczycieli Polaków". — "No to polscy nauczyciele są lepsi, czy gorsi"? — "Ni to, ni sio. Tam uczą, gdzie można". "Znaczy się Polakom w "klasycz-nych" nie można? A ja"? Milo krytycznie przyjrzał się Kazi-mierzowi. "Ty... Ty nie jesteś belfer. Swoją drogą nie wiado-mo jakim sposobem zalazłeś do I-go gimnazjum... Ono jest dla prawosłanych. Dla generalskich synków". Nadął się. "A twój ojciec co był? Ani prawosławny, ani wysoki czynownik"! ("Twój ojciec — mówiła Cecylia — człowiek był szlachetny i dla Polski substancja on swoja poświencił..."). Kazimierz przemilczał i znów zagabnął: "Twój ojciec znaczy się nie chce ciebie na uniwersytet posyłać". Milo się zniecierpliwił: "Mój ojciec, mój ojciec! Mój ojciec kiełbie we łbie ma! Chce mnie do Szkoły Głównej posyłać. Tylko że, zanim ja realkę skoń-czę, Moskale dawno g... z niej zrobią".

W tej chwili zza portiery, oddzielającej jadalnię od alkowy wyłonił się pan Krzyżanowski. Płaska kwadratowa twarz zie-mistego koloru wyrażała skwapliwość. Podszedł do Mila i trzas-nął go w policzek: "To za kiełbie"! Trzasnął w drugi: "To za g...". Wyszedł powoli, kołysząc się, jak w polonezie.

Wieczorem, kiedy już byli w łóżkach, Kazimierz nareszcie wykrztusił: "Czy ten Krzyżanowski wszystkich nienawidzi"? Ale niewzruszony Milo chrapał.

W dniu rozpoczęcia roku szkolnego wszyscy zerwali się przed czasem. Stefunia i Elzia, uczenice pensji prywatnej Mademoi-selle Guérin, wydzierały sobie wstążki do warkoczy i piórnik. Milo piłował paznokcie na przyjęcie defilady "gęsi", które mia-ły parami ciągnąć do kościoła na Krakowskiem. Pan domu nie wyszedł przed ogólnym śniadaniem i to także wzmagało napięcie. Wreszcie, zasiedli do stołu, córeczki w haftowanych

białych kołnierzykach i czarnych alpagowych fartuszkach, Kazimierz z Milem sztywni we wciętych mundurach. Po modlitwie Milo sięgnął po największą bułkę-mularkę. "Mnie siły potrzebne do dźwigania teczki — wyszczerzył zęby do Kazimierza — a na twoich plecach *raniec* sam pomaszeruje do budy". (Dowcip na temat wojskowych płaskich tornistów ze skóry, zalecanych przez rosyjskie Ministerstwo Oświaty, sabotowanych przez warszawską młodzież). Krzyżanowski się ożywił: "Aha. Nasz Kazimir Piotrowicz już się zaopatrzył w *raniec?* No, proszę. Winszuję gorliwości". Kazimir Piotrowicz... Jedyną osobą, która go przedtem tak nazwała była Ona... Ta, co znikła — pewnie na zawsze? — trąciwszy kuczera w plecy parasolką, kiedy Kazimierz pierwszy raz stał struchlały w oknie tego domu...

Zakrztusił się, przewrócił filiżankę, kawa się wylała. Krzyżanowski przyglądał się z satysfakcją. "Radzę się nie denerwować. Kazimir Piotrowicz powinien mieć silne nerwy. Gorliwcy wyznania rzymsko-katolickiego nie są zazwyczaj gładzeni po główkach, o nie"... Roześmiał się złowieszczo.

Wstawali od stołu, kiedy służąca Jagusia wpadła wystraszona: "Po tego nowego panicza ta ruska panna przyjechała!"...

Anna Michajłowna w ciemnej sukni i w kapeluszu z woalką siedziała w powozie tak samo sztywna, jak watowany kuczer, tylko sto razy chudsza. Kiedy Kazimierz, z *rańcem* pod pachą zamiast na plecach, wyłonił się z bramy, nie poznała go.

Kazimierz nic o tym nie wiedział, że podczas ostatnich tygodni niespania, skąpego jadła i ciągłego bicia serca o cztery strony świata, dziecinna skóra opadła z niego razem z bobrowskim odzieniem. Nie dawno wysiadł z powozu beztroską stworą leśną — teraz wsiadł smutnym Odyssem. Mundur obciskał szeroką pierś i wąskie biodra, nad srebrnym galonem policzek miał dramatyczną bladość, cień pod oczami i nad wargą wzruszał. To, że milczał, obróciło się teraz nie przeciw niemu (grubianin), tylko przeciw niej (zasłużyła sobie karygodną obojętnością). Wyjąkała: "Strasznie żałuję. Nie mogłam wcześniej... Obowiązki". Ze zgrozą pomyślała o tym, jak zawiodła zaufanie kuzyny Cecylii. Z uniesieniem, że Cecylia jest jej jedyną, choć cioteczną siostrę. I że ten właśnie syn jej siostry jest sierotą, zdanym na łaskę bezdusznego świata. Tak zajechali przed pałac Staszica.

Wyskoczył pierwszy. Wyciągnęła rękę, którą — gdy wysiadała — w roztargnieniu uścisnął. Wprawiło ją to w ogromną wesołość. Pobiegła przodem w górę, po schodach przedsionka.

W otwartych drzwiach westibulu, strofując tłoczących się chłopaków, stał inspektor. Na widok powozu kuratora objął wzrokiem Annę Michajłownę i wysokiego nowicjusza, potem zgiął się w ukłonie. "Życzę zdrowia, Anna Michajłowna, młody człowiek z panią?" — woźny się zakrzątnął, odbierając czapkę. Złote epolety pedagogów błyskały w tłumie. Jeden przystanął: "Jak się pani żyje, baronessa?". "Przywiozłam panu pod opiekę

mojego kuzyna. *Casimir* — wymówiła po francusku — *Casimir..* pozwól się przedstawić". Na słowo *baronessa* wiele głów się odwróciło i wiele spojrzeń się prześliznęło po dwuch twarzach, które były podobne.

Zabrzmiał przeszywający dzwonek. Nauczyciel ujął Kazimierza za łokieć i — popychając go, jak wieżę na szachownicy — wprowadził do klasy. Między ławkami uwijał się wychowawca, wyznaczając miejsca.

— Fiodor Nikitycz — powiedział znajomy Anny — to jest ten pupil grafa Kuriagina. Posadźcie go nie daleko katedry, bo on niezbyt dobrze zna rosyjski; to Polak". Klasa ucichła, wychowawca grzecznie wskazał miejsce. Kazimierz siadł i na chwilę zamknął oczy; lecąc z lodowatej wyżyny, spadł na puchowe łoże.

Po zapisaniu rozkładu zajęć i wysłuchaniu w sali aktowej przemowy dyrektora, miał nastąpić wymarsz do cerkwi. Gdy już ta chwila nadeszła, Kazimierz zacisnął zęby: nawet groźbą natychmiastowego usunięcia z gimnazjum nie zmuszą go do pójścia na prawosławne nabożeństwo! Schodząc do szatni, w myśli gorączkowo układał list: "Kochana mamo... postanowiłem wstąpić do terminu u szewca, bo w I-ej gimnazji nie można być katolikiem. Proszę mamy napisać i przeprosić Annę Michajłcwnę...". W tej chwili zrównał się z nim Fiodor Nikitycz. "Kristofowicz — położył mu rękę na ramieniu — ja zapomniałem uprzedzić, że naturalnie ani ty, ani Neumark, nie musicie iść do cerkwi. Możecie iść do waszych własnych świątyń". Uczeń, z którym Kazimierza posadzono w klasie i który szedł obok, ukłonił się i podziękował. Kazimierz teraz dopiero na niego spojrzał. To był Żyd; pulchny, czyściutki, z długimi rzęsami; jak panienka. Pociągnął Kazimierza za rękaw w stronę ustępów. "Nie trzeba im teraz na oczy leźć. Tu można porozmawiać". Rumieniąc się, przeszedł na polski. "Ja o kawalerze... Czy można mówić Kazik? Ja o Kaziku wszystko słyszałem" Zdziwiony Kazimierz milczał. "Żeby nie Kazik, to jabym tutaj nie był — rozchichotał się po dziecinnemu. — Mój tatuś mnie nawet kazał Kazikowi podziękować". Kazimierz się odsunął, pulchny Neumark skrzywił się, jak do płaczu. "Bez obrazy kawalera, temu sekretarzowi, co załatwia podania, mój tatuś przez parę miesięcy posyłał krymskie wino i Kiachtinski czaj, żeby w czas się dowiedzieć o tym interesie". "Jakim interesie?" "No, o katolickim wyjątku. Chyba małe dziecko wie, że nasamprzód musi być katolicki wyjątek, żeby Izraelitę mogli przyjąć do I-ej gimnazji". Do głosu wkradł się zachwyt. "To jest bardzo sprawiedliwy, bardzo świetny wyjątek! Mój tatuś sam powiedział: za takie zasługi dla państwa...". — "Jakie zasługi?" — "Kazik nie potrzebuje być skromny. Dziadzio Kazika został zamordowany przez powstańców, no to on musiał być dla Ruskich bardzo zasłużony. Ale Kazik sam..." Zastrzygł rzęsami. "Oj, ja nawet nie wiem, jak Kazik mógł takie bohaterstwo popełnić, żeby tego rozbójnika własnoręcznie zastrzelić?". Kazimierz cierpiał go-

rzej niż przy rwaniu zęba. "Mój tatuś handluje lasem — zachłystywał się Neumark — to on wie, co znaczy ks. Mittgenstein! On tak do cesarza z wizytą chodzi, jak mój tatuś do pana Moryca Goldberga. On *może* się Kazikowi odwdzięczyć".

W kilka minut później opuścili gmach szkolny i poszli Nowym Światem w kierunku Krakowskiego. "A tatuś Kazika czym się zajmuje?". "Mój ojciec"... Zdanie tyle razy powtórzone: "jemu serce z bólu pękło po stracie ojczyzny..." zaofiarowało się znowu. "Mój ojciec nie żyje" — powiedział.

Przed stopniami kościoła św. Krzyża stanęli. Ach, jak bardzo Kazimierz chciał pożegnać Neumarka i znaleźć się w złotym mroku katolickim, dyszącym modlitwami! Obciągnął mundur, poprawił czapkę ze srebrną cyfrą I i już miał powiedzieć "do widzenia", kiedy dwuch wyrostków zepchnęło ich do rynsztoka. "Gdzie? To kościół, nie sobór. Ani nie bożnica". Zanim oprzytomniał, tamci pobiegli w górę po stopniach. Na podium koło figury Chrystusa, dźwigającego krzyż, wyższy przechylił się przez balustradę i obficie splunął na Kazimierza, który właśnie podnosił twarz.

XIII

Za czasów dzieciństwa każde wieczorne wyjście rodziców na petersburski wielki świat było dla Anny okazją do wykradania się na schody, by, drżąc tam w nocnej koszuli, polować na chwilę kiedy matka wyłoni się z mroku pod światło dwuch świeczników, trzymanych przez lokai u drzwi z sieni na podjazd. Zimą mało co było widać spod puchowego szala i futrzanej rotundy; czasami tylko strzeliły blaskiem brytanty w uszach, zaszumiał jedwab, korki stukały po marmurze i wiew perfum docierał na górę. Doczekawszy odjazdu karety, Anna wracała do łóżka grzać się i towarzyszyć myślami matce w jej triumfalnym przelocie przez miasto.

Aż tu kiedyś zdarzyło się tak: po południu matka leżała z migreną na kozetce w salonie. W sypialni rodziców pokojówka chowała do szuflad porozrzucane drobiazgi, które Anna brała do ręki dla przyjemności potrzymania. Podniosła z dywanu bloczek — karnet z kości słoniowej, w którym pisało się ozdobnym ostrym ołóweczkiem, żeby potem zetrzeć i na tym samym miejscu pisać dalsze imiona i tańce. Rozsunęła płytki, ciekawa z kim i co matka tańczyła ostatniej nocy... Tabliczki były czyściutkie. Pobiegła do salonu. "Mamo, czym ty tak ładnie wytarłaś litery, że śladu nie ma"?

Spod bladej grzywki matka uśmiechnęła się łzawo. "Wcale nie wytarłam". — "Wcale nie zapisywałaś? Dlaczego?" — "Bo

przez całą noc byłam tylko jeden raz proszona do tańca — za płakała. — Przez twego ojca! Z litości..." Aniuta — pomyślała wtenczas Lotte von Eichler — dała dowód oschłości, bo nie po całowała matki. Ostrożnie złożyła na palisandrowym stolik karnet, jak rzecz zarażoną, i bez słowa odeszła.

A jednak nie przestała po tej rozmowie wycinać z gazet kro niki towarzyskiej z nawiskiem baronessa Lotte von Eichler ani dotykać pieściwie jej źle skrojonych, za obfitych jedwa bi, ani nawet patrzeć z uznaniem na odbicie w lustrach wątłe matczynej figurki. W czasie krótkiego wdowieństwa matki — umarła w dwa lata po ojcu — córka opowiadała przyjaciółkom jak matce ciążą atencje (nie istniejących) konkurentów.

Kiedy ojca ogłoszono bankrutem miała, od wczoraj, osiem naście lat. Wieczorem śpiewała duet z Saszą Riazańskim, jed nym z najświetniejszych młodzieńców. Skończyli *pianissimo* w tym samym mgnieniu oka, jak gdyby w dwojgu piersiach mieli jedno tchnienie. Wyszli do oranżerii i siedli pod palmą. Sasza powiedział: "Aniuta, ja *wiem*... I kocham jeszcze bardziej. Mi chaiła Karłowicza nie ma co już kłopotać... Proszę *ciebie* o rękę twoją". Zerwała się: "Jak śmiesz, Aleksandr Mikołajewicz! Bez pozwolenia papy nie wolno tak do mnie mówić". Potrząsnę ła bransoletą z szafirów na drobnej, białej kiści. "*Ty wiesz*... A ot! co papa dzisiaj mnie dał na urodziny".

Ponieważ ojciec wkrótce się zabił, sprzedała tę bransoletę i sobolową mufkę, żeby spłacić jego dług honorowy. Mimo to Sa sza padł ofiarą swego niedowiarstwa. "Pan nie wierzy, że papa zabił się z pogardy? Pan wątpi, że gdyby papa chciał, spłaciłby wierzycieli i założył drugi bank?". — "Ach, wierzę, wierzę, — kajał się, zapatrzony w jej duże ciemne oczy (Gdyby sama umiała się gniewać, tak by wyglądała — myślał). Daremnie. "My nigdy nie bylibyśmy szczęśliwi — szeptała. — Nigdy. Pan nie szanował papy..." Niestety! W to także Sasza wkrótce uwierzył, i wyjechał na zawsze.

Anna miała teraz 32 lata, w rodzinie Kuriaginych przebywała od lat dziesięciu. Kiedy się u nich zjawiła, Lida nie dawno skoń czyła 6, a Jasza 4. Hrabina Kuriagina na widok swoich dzieci a jeszcze, broń Boże, niegrzecznych, albo zaziębionych, miała zwyczaj eterycznie znikać. Hrabia był uprzejmy, zajęty karierą i administracją rozległych majątków; dom przelewał się za możnością i pustką. W tych warunkach odpowiedzialność osoby dwudziestoparoletniej za dwie istoty kilkuletnie mogła dopro wadzić albo do tyranii, albo do niewoli. Anna (dzieci nazywały ją *Annchen*) zaprzęgła się w tyrańską niewolę. To znaczy od dała bez reszty swój czas, talenty i uczucia na usługi pupilów, ale nieustępliwie żądała, by z nich korzystano.

Z czasem pogodziła się z tępotą Lidy, przybraną w trzpiot wartość, i nieżyczliwą inteligencją Jaszy. Pogodziła się nawet z tym, że Lida co chwila kocha kogo innego, raz kucharkę, raz ją, a najczęściej nikogo. I że Jasza uważa ją za starą kobietę. Pocieszała się, że jej miejsce w życiu dwojga, którym zastąpi

matkę, jest nienaruszalne. W ostatnim roku okazało się to nieprawdą. Lida zaręczyła się w sekrecie przed nią, w spisku z matką. Jasza powiedział ojcu — słyszała, przechodząc koło bibliotki — "Ojcze, proszę mnie uwolnić od *Annchen!* Wszyscy się śmieją, że ja jeszcze mam niańkę". List od Cecylii nadszedł wkrótce potem.

W dzień przyjazdu Kazimierza ranek upłynął na wielu czynnościach, z których żadna nie była konieczna. Po obiedzie wzięła książkę do ręki.

Who will, may hear Sordello's story told
His story?

To imię ją fascynowało.

...still in loneliness
A slender boy in a loose page's dress...

Sordello...

Wysmukły chłopiec w luźnym pazia stroju — przetłumaczyła szeptem i zamyśliła się. *Firs and pines*... to świerki i sosny. No, tak... Wielkie, wielkie lasy, w których rządzi wielki, wielki niedźwiedź, zwany Elichwir..

Odłożyła książkę i zaczęła przymierzać kapelusze. Wybrała budkę z malinowymi wstążkami.

Anna Michajłowna zwykle nie poddawała się zawodom. Ale na to, by rozstać się z Sordellem bez znienawidzenia Kazimierza, musiała ćwiczyć wolę około dwuch tygodni. Już sam jego wygląd i ubóstwo nieosłonięte żadnym pozorem (nie tylko przyjechał trzecią klasą, ale i stał na dworcu przed kasą klasy trzeciej! zgięty pod chłopską skrzynką, usmarowany sadzami, ze spodniami wpuszczonymi w cholewy), już ten widok przejął ją głęboką niechęcią. Cóż dopiero przejazd przez rojną i strojną Warszawę w takim towarzystwie? W surducie przedpotopowego kroju, widocznie po domowemu przerobionym z ojca, w kaszkiecie chłopca stajennego, siedział w powozie, patrząc ponuro na swoją skrzynkę, cuchnący dziegciem i olejem słonecznikowym, głuchy na grzeczne pytania. Nie przywitał, ani nie pożegnał, słowa jednego nie rzucił. Co więcej, wyglądało, że Anna budzi w nim wstręt, bo ile razy suknia dotknęła butów, żywo się odsuwał.

Na szczęście Lida i Jasza z matką byli na wsi u znajomych. W rozmowie z hrabią łatwiej było kłamać: "O, tak. Miły. Prosił go usprawiedliwić, że nie zaraz z uszanowaniem pośpieszy, bo musi nadrobić braki podług nowych podręczników". Ton niepewny hrabia wziął za rodzinne wzruszenie. Z początku postanowiła udać sama przed sobą, że nigdy nie było żadnego listu od Cecylii, ani żadnej rodziny "na Kresach wschodnich nieszczęśliwej Polski", i że nikt do niej stamtąd nie przyjechał.

Dni mijały na smażeniu konfitur. Tom Roberta Browning'a znikł w szafie i za każdą myślą wlókł się karykaturalny cień.

W przeddzień rozpoczęcia szkół wróciła hrabina z dziećmi. Jasza miał uczęszczać do tego samego gimnazjum, co... no, ten z lasów. Natomiast Lida już o 10-ej rano następnego dnia chciała jechać po sprawunki i prosiła o powóz. Anna Michajłowna — obecnie raczej ochmistrzyni, niż nauczycielka — skierowała się do służbowego z dyspozycjami na jutro. W pół schodów stanęła, jak podcięta, i chwyciła za poręcz. To nieprawda, że *on* ani jednego spojrzenia jej nie rzucił! W chwili, gdy cisnąwszy garść rubli na stolik w przedpokoju, odjeżdżała sprzed domu Krzyżanowskich, on za nią, owszem, spojrzał zza szyby. To spojrzenie teraz wróciło... Podobne do czegoś straszliwie znajomego. Do czego?... Do prośby o ratunek w oczach jej umierającego ojca

Zawróciła na górę. Powiedziała nieswoim głosem: "Powóz będzie wolny dopiero o wpół do jedenastej. Bo ja muszę jutro odwieźć mego siostrzeńca do gimnazjum na godzinę dziesiątą".

W tydzień później, idąc w ślad za lokajem po wyżłobionych wiekami kamiennych stopniach klatki schodowej pałacu przy ulicy Miodowej, gdzie na półpiętrzu kareta mogłaby obrócić Kazimierz się zatrzymał dla obejrzenia tarcz herbowych na balustradzie. Było ich trzy, kutych w marmurze; środkowa z Orłem Białym i Pogonią, i dwie boczne, dwuch skoligaconych rodów. Na jednej, w kombinacji z innymi symbolami, był jakiś pomniejszy ptak. Czyżby Ślepowron? W każdym razie ruskie grafy, Kuriaginy, mieszkały tu w gościnie u Polaków. Nabrał otuchy i na progu salonu stanął w charakterze polskiego szlachcica.

Żaden dotąd zawód Anny nie zamienił się, i to tak szybko, w czarowną niespodziankę. Nowy Kazimierz, ten którego odwiozła do gimnazjum, nie był wprawdzie Sordellem w "luźnym pazia stroju", na którego czekała na dworcu Terespolskim, ale był za to mężczyzną. Jak burzliwa chmura, zza której przegląda dzieciństwo, otaczała go męskość. Kiedy go ukradkiem obserwowała w drodze do szkoły, miała wrażenie, że popełnia niedyskrecję, tak wiele uczuć, nieświadomych swojej nagości, błąkało się po tej twarzy. Wargi drgały, odsłaniając wilgotne kły, podczas gdy oczy zachodziły czułością. Nos pysznie się rozdymał, to znów za czymś po psiemu rozpaczliwie węszył. Żyła na skroni raz była żywą struną, raz abstrakcyjną linią. Brwi układały się w łuki zamyślenia i w kreski podziwu. Na tym ciele nie było już pisklęcego puchu, ale i nie było pancerza, który by zakuł w jednolitą formę poszczególne uczucia i członki. Ręce na przykład miały życie osobne, jak gdyby młodsze niż nogi. Były pulchnawe i niepewne, zaciskające się w pięść raczej z niepokoju, niż z męstwa. Natomiast obciągnięte suknem uda wyglądały twardo i nieustępliwie. Sięgnął do kieszeni po chusteczkę, i gest wydał się perwersyjny: dziecinna ręka przy udzie mężczyzny.

Anna dopełniła wprowadzenia go w świat gimnazjalny z nie-

omylnością osoby w transie. Wróciwszy do domu, oprzytomniała. Nie, nie było sposobu udać, że nikt do niej z Litwy nie przyjechał.

Na szczęście, na widok Kazimierza w progu ogarnęła ją ta sama, co w westibulu gimnazjalnym natchniona nieprzytomność. Ujęła gościa pod łokieć i wprowadziła do salonu.

Ukłonił się według wskazówek pani Czuczyńskiej. Siadł, czapkę uczniowską położył na dywanie i — Bóg prostaczkom sprzyja — skrzyżował ramiona na piersi, co akurat wtedy było najwytworniejszą pozą młodzieńca na wizycie. Zaraz uderzyły weń trzy kobiece prądy. Hrabina patrzyła przez *lorgnon* z pochlebnym zdziwieniem. Lida całą energię, zaczerpniętą z obiadu i drzemki, pośpiesznie trwoniła, rzucając pytające okrzyki, strzepując dłońmi krochmalone falbany, dzwoniąc naszyjnikiem z korali. Anna promieniała słodyczą.

— Mój siostrzeniec, Casimir de Krzysztofowicz — objaśniała, krojąc ciasto — nie mówi jeszcze biegle po francusku, ponieważ wskutek politycznych zamieszek rodzina jego znalazła się w tragicznym położeniu. Chcąc przyjść z pomocą owdowiałej matce, musiał na jakiś czas zaniedbać naukę.

Hrabina z uznaniem skłoniła głowę, Lida klasnęła w dłonie.

— Po co nam francuski! Monsieur de Krzysztofowicz niech lepiej nam po rosyjsku o zamieszkach opowie.

— Lidoczka, zmiłuj się... — hrabina w wyrzutem spojrzała na sufit.

— Proszę, Lida, podać *Maman* cukier i cytrynę. Jakie są twoje wrażenia z gimnazjum, Casimir?

Tu wszedł hrabia z Jaszą. Podszedł do Kazimierza i długo potrząsał jego dłonią. Wreszcie Kazimierz przypomniał sobie cel wizyty.

— Wasza Dostojność... jestem bardzo... jestem..,

— Bardzo wdzięczny — dokończył dobrodusznie hrabia, co wywołało nieopisaną wesołość.

— Ach, papa, jesteś niemożliwy. Skąd wiesz, że on bardzo wdzięczny? *Monsieur*... ot, nie! Będę jemu mówić Casimir, jak *Annchen*. Casimir, ty na pewno chciałeś papie powiedzieć, że jesteś bardzo smutny, bardzo niezadowolony... Czy nie?

Jasza zanosił się ze śmiechu, a hrabia siadł i kręcił młynka palcami, szczęśliwy, że ubawił młodzież. W końcu Jasza szturchnął Kazimierza w ramię.

— Ty na nią nie zwracaj uwagi, Kristofowicz! Ona zawsze tak: dowcipną udaje. Ciekawość, czy polskie panny także takie głupie?

Głupiej Lidzie tymczasem udała się najmądrzejsza sztuka: jasnowidzenie. Chłód Kazimierza, który wzięto za wyrobienie, oznaczał decyzję, że pierwsza wizyta będzie zarazem ostatnią. Zdanie, które hrabia przerwał w najniewinniejszej intencji, miało brzmieć właśnie tak, jak je wygłosiła Lida. Co innego wszakże szybko wykonać zamiar, a co innego wyplątać się z zawiłej sytuacji. Pod obuchem zaskoczenia myśli się roz-

pierzchły. Do głosu doszedł nieproszony instynkt zgody, który każe podobać się, naśladować i towarzyszyć.

Przy stole Anna z lubością obserwowała powolne ruchy, uważne spojrzenia i roztropne słowa siostrzeńca. Tu także działał ten sam instynkt, który w lesie pozwolił kluczyć śladem Rokiciuka, nie zapadając się w trzęsawisko.

Wizyta jak najszczęśliwiej dobiegała końca... Anna odprowadzała Kazimierza na schody, myśląc: jakie ładne faliste włosy! Włosów siostrzeńca chyba wolno ciotkom dotykać? Na podeście pierwszego piętra Kazimierz raptem zatrzymał się i wybełkotał: "Ja proszę na osobność". Dotkliwy nietakt. Sztywno wskazała kierunek do ustępu: "W sieni na dole, drugie drzwi na lewo". Zaczerwienił się. "Nie. U mnie ważna sprawa". "Do kogo? do mnie?".

Znaleźli się w bibliotece. Gdy zamknęła drzwi, powiedział zduszonym głosem: "Ta gimnazja jest dla Ruskich. Mój ojciec... Ja postanowił do szewca". Otóż i zamiast nietaktu katastrofa! Zapatrzyła się w istotę już, zdawałoby się, zdobytą na własność, czekając na jej dalsze metamorfozy. Spuścił głowę; skubał nerwowo guziki... Katastrofa? Nie, chwilowe zaćmienie męskości przez dziecińształo. Nabrała rezonu. "Nonsens! — wykrzyknęła drżąco — Bzdura i nonsens! Cóż z tego, że dla Ruskich? Czy ty jesteś gorszy od Ruskich? A gdybyś, zamiast do Warszawy, pojechał był do Petersburga, jak chciała twoja matka? Tam wszystkie szkoły są dla Ruskich". Kazimierz usilnie zamrugał. "No, powiedz — nacierała — czy matka nie chciała ciebie posłać do Petersburga?". Spojrzał spod rzęs, zmarszczył się i zagryzł wargi. Energia Anny wzrosła. Pociągnęła go na ławeczkę pod oknem. "Mówisz: twój ojciec... Ładna by to była siurpryza dla twego ojca, żeby on, dumny, polski szlachcic, mógł na swego syna spojrzeć z nieba i zobaczyć go na zydlu u szewca!... Co tobie po głowie chodzi, *Casimir?* Czy tobie tutaj tak źle?" — głos się załamał. Jedwabny stanik chrzęścił, ciepło i perfumy owiewały twarz Kazimierza. Nie, nie było mu źle. "No, *Cazio* — położyła dłoń na ramieniu — *Cazio*... proszę ciebie... Popatrz mi w oczy i obiecaj — ujęła go leciutko pod brodę, szukając spojrzenia — obiecaj, że nic nie zrobisz, nie poradziwszy się mnie". Odwracał wzrok, więc palce się zacisnęły, i wtedy elektryczny prąd go przeszył. Pierwszy raz w życiu poczuł, że patrzy na niego — kobieta.

XIV

W kilka dni po wizycie Kazimierz wybrał się jednak z bu-
ımi do szewca. Przez sad już teraz obawiał się chodzić, więc
:edł ulicami dookoła. W pół drogi spotkał Mila. "Dokąd te
uty taszczysz? W suterynie naszego domu jest szewc". "Na
:ewno nie taki dobry, jak mój". — "Skąd wiesz? Już drugą
:arę podarłeś"? "Ja mówię, że mój szewc ma charakter do-
:y". — "Co ciebie charakter szewca obchodzi"? — Milo przy-
ırużył białorzęse oko: "Szewcową sobie przyuważyłeś? Tłusta?"
Szewcowej nie było w domu. Dziecko niańczyła jakaś mizerna
ziewczyna, szewc królował nad górą obuwia i dwoma szewczy-
:ami. Przyjrzał się butom. "Tęgie jakieś buciory. Gdzie to one
yły robione"? Milo się wtrącił: "Wiadomo, na Litwie. Nie
iedzieliście, panie szewiec, że ten kawaler przedtem do Aka-
emii Smorgońskiej uczęszczał"? Wszyscy się roześmieli, na-
et dziewczyna. Szewc pokręcił głową. "Że ten kawaler z Lit-
y, to od razu po mowie poznać, ale nie wiedziałem, że z niedź-
iedziami do baletu się uczył". — "Ano, uczył się, uczył, a teraz
Warszawie z ruskimi hrabiankami będzie tańcował". Szewc
opatrzył krzywo na mundur Kazimierza. "Kawalerowie do
-go gimnazjum uczęszczają?...". Milo się obruszył: "Ja? Do
-go? Za wysokie progi na moje nogi. To tylko Litwin takie
ztuki potrafi". Kazimierza krew zalała: "A ty sam co? Nie
itwin"? — "O, przepraszam. Moja mamusia jest z Kujaw".
Kazimierz dałby mu w zęby, żeby szewc nie przytrzymał. "Cóż
o kawaler taki zapalczywy! Ja myślałem, że na Litwie też
udzie się na żartach znają".

Załatwili interes i wyszli. Milo dalej paplał i dziwił się, co
Kazimierza ugryzło. Oświadczył, że chociaż szewcowa jest chu-
.a, on już teraz swoje buty będzie także tutaj przynosił, bo
zewczyna rzeczywiście do rzeczy. Kazimierz się nie odzywał.
Patrząc w ziemię, tłumaczył się ojcu: ja wiem, że Anna Mi-
hajłowna nie ma racji... ja wiem, że ty byłeś nie tylko szlach-
ic, ale i bohater... Choć podła Regina z radości pękałaby nad
moim poniżeniem, ja jeszcze dziś, teraz, minutę temu chcia-
em szewca prosić, żeby mnie przyjął do terminu... Cóż!... sam
widzisz... to *oni* mnie nie chcą.

Podniósł głowę i niechętnie spojrzał na Warszawę. Po co
u przyjechał? Na złość Reginie. Ojciec właściwie nigdy o War-
zawie nie mówił...

W jakiś czas później napisał wreszcie taki list:

"Kochana Mamo!

Dotychczas nie pisałem, bo nie wiadomo było co i jak — za
lużo rozmaitości. U państwa Krzyżanowskich wikt dobry, choć
v piątki tylko śledzie dają i kartofle w mundurach. Mój mun-
lur za to okazał się drogi. Anna Michajłowna na wszystko ło-
:y pieniądze i co tydzień daje rubla na drobne wydatki. Tak-
że lekcji języków zaczęła mnie udzielać. Ona jest zupełnie nie

taka, jak myśmy myśleli. Nie stara. I suknie ładne nosi. I-sz gimnazja jest dla prawosławnych i ja tam tylko przez protekcję popadłem. Ale jak raz przyjęli, to przenosić się nie wolno. Pan Krzyżanowski mnie z tej racji nie lubi, ale ja już przywykłem, że koroniarze po większej części wszystkich nie lubią.

Co do mojej gimnazji, to nie mogła być lepsza, a nauczyciele i koledzy sprzyjają. Do kościoła można chodzić. Z królów naszych, ani z religii, nikt się nie śmieje. Za to jeden Żyd narobił plotek. Jego ojciec dostawiał drzewo na koszary kozaków w Brześciu, kiedy oni powstanie uśmierzali, i za to on także jest w I-ej gimnazji. Proszę Ciebie, kochana Mamo, za raz mnie napisz, czy to prawda, że powstańcy dziada za zasługi dla cara zabili? Druga ważna rzecz: czy ks. Mittgenstein jest przyjacielem cara? I czy naprawdę ja przez to nieszczęście na służbie bardzo się jemu zasłużyłem?

Pamiętam co Mama mnie mówiłaś, że nóż złemu człowiekowi nie para. Tylko, że trudno jest czasem odróżnić dobrych ludzi i dobre uczynki od złych.

Napisz mnie także dla czego chciałaś, żebym się kształcił w Petersburgu.

Mnie nic nie potrzeba, a w przyszłym roku postaram się dawaniem korepetycji zarobić i Tobie na suknię przysłać, bo moje postępy w naukach są dobre.

Do kościoła wszystko równo nie chodzę, bo ludzie mundurów I-ej gimnazji nie lubią, a bez munduru po mieście spacerować zakazano.

Kochana Mamo, ściskam Ciebie i całuję, rodzinie i znajomym kłaniaj się. Dlaczego Frania listu nie napisze?

Twój kochający syn
Kazimierz

Czy u nas liście opadły?

Ostrobramskiej nad łóżkiem nie powiesiłem, bo tutaj do Częstochowskiej modlą się.

Ciotce Reginie *koniecznie* donieś, że mnie bardzo świetnie powodzi się w Warszawie!

K.K."

Stosunkowo najmniej świetnie powodziło się Kazimierzowi w Warszawie, kiedy Krzyżanowski był w domu. Stancja chłopców była od innych pokojów mieszkalnych przedzielona jadalnią, ale jedna jej ściana stykała się z kuchnią, a druga z korytarzem, główną arterią domowego ruchu; przez te dwie ściany przesiąkała obecność Krzyżanowskiego. Nawet jeśli ani kroków jego, ani głosu nie było słychać, nagłe ściszenie wszelkich czynności ścinało krew w żyłach. Teraz wiadomo było, że każdy dalszy hałas, jeśli nastąpi, będzie oznaczał złość i b… Jakoż, w obłudnej ciszy rozlegał się świst paska, skowyt córeczek, grzmot ciężkiego przedmiotu, łzawy okrzyk pani Magdaleny. W połowie sierpnia Kazimierz poznał ją rumianą, lubiącą przekomarzać się z kanarkiem: w październiku była szara, zażywała pigułki, a kanarek siedział osowiały w zanie…

anej klatce. Córeczki też chudły. Rosną — mówiła matka. le szczypały coraz dotkliwiej i coraz bielsze pokazywały języki. ylko kiedy myślały, że nikt nie widzi, były bardzo smutne.

W tej siarkowej atmosferze jeden Milo zachowywał humor apetyt. Matka jego rzeczywiście pochodziła z Kongresówki; niał pełno rodziny w Warszawie. Stary Dubowski dla spraw padku po teściowej siedział w Hotelu Angielskim i nie zanoiło się na szybki wyjazd. Nauką Mila, i tak zaniedbaną, nikt ie wydawał się przejmować; chodził po wujenkach i wracał óźno, obładowany słodyczami. Ojciec, po drodze na wizyty arę razy po niego wstępował.

Był to nie wielki, jak gdyby spłaszczony, starszy pan w bioklach, po którym nikt by się nie spodziewał wielkiej fortuy, syna — krwistego dryblasa, ani znakomitego nazwiska. Nosił wyleniały surdut i cylinder, nicіane szare rękawiczki i sęatą laskę z wiśniowego drzewa, najoczywiściej domowego wyobu, o którą dbał, jak o własne oko. Należała podobno do rzodka — poety epoki romantycznej. Tabaki zażywał z damkiej tabakierki; jakiś dziadek odziedziczył ją — mówił Milo — po utrzymance Francuzce. Ale pan Dubowski twierdził, że n sam — po Emilii Plater. W krawacie nosił szpilkę z perłą, akoby wyjętą z pierścienia króla Stanisława Augusta; natoniast w klapie, po odwrotnej stronie, szpilkę inną, dość dużą, e srebrnym orłem w złotej koronie. Po wejściu do saloniku ściągał rękawiczki, przekładał szpilkę z orłem na miejsce perły wzdychał: "W domach polskich, chwała Najwyższemu, jeszcze obca tyrania nie rządzi".

Kazimierz polubił go, gdyż od razu za pierwszej bytności na Złotej okazał mu życzliwość. "Jak się masz, kochanku. Wiem od kanonika Lwigórskiego, jak zacnego i czcigodnego ojca utraciłeś... Nieszczęśliwa nasza ojczyzna coraz ma mniej synów, którzy jej dobro nad własną pomyślność przekładają".

Milo wtrącił: "Tatusiu, jeśli jego ojciec był patriotą, po diabła Kaziuka do 1-go gimnazjum posyłają"? Pan Dubowski się zżymał: "Mój Milu, twój stryj, ożeniony z córką marszałka dworu, Rosjanką, ma syna w Korpusie Paziów. I cóż stąd? To są bolesne sprawy familijne, do których ludzie dobrze wychowani wtrącać się nie powinni".

Wjakiś czas potem jak Krzyżanowski tak źle się z nim obszedł, Milo nie wytrzymał i — choć rzecz była drażliwa — poskarżył się ojcu. Pan Dubowski zawrzał. "Ty, Milo, język masz niewyparzony, ale syna policzkować nie pozwolę". Rzecz działa się na Złotej, wybiegł z saloniku, chłopcy za nim — na korytarz. W tej chwili drzwi się otwarły — pani Magdalena w czarnej krepowej woalce, z córeczkami w ciemnych płaszczykach, wkroczyła ze dworu. Pan Dubowski porywczo się skłonił. "Pan Krzyżanowski w domu"? Smutnie zaprzeczyła głową, córeczki dygnęły. "Dzisiaj rocznica męczeńskiej śmierci babciuni. Myśmy z mateczką i ojczulkiem kwiaty na Bródno nosiły. Ojczulek jeszcze został". Pan Dubowski otworzył usta,

nerwowy skurcz przebiegł policzki, szarpnął sznurek od bino kli i — bez dalszego słowa — zawrócił do saloniku. Tam za mienił orła na perłę i ze zmęczeniem oznajmił, że zabiera Ka zimierza i Mila do cukierni.

Kiedy, przy czekoladzie, zagadał się ze znajomym, Kazimier spytał Mila: "Jaka to była męczeńska śmierć tej babciuni?" - "Ją Czerkiesi stratowali". — "Stratowali? za co?" — "To 63-im. Demonstracja była na ulicy. A ona nic nie wiedziała z workiem na żebry szła. Czerkiesi wjechali na chodnik, stara była, pijana, przewróciła się... Ot! i po babciuni". — "Na że bry?... Jak to może być? Kiedy syn ją tak kochał..." — "Jaki tam kochał! Jagusia mówi, że na próg jej nie puszczał; pijaczka!".

Po podwieczorku, korzystając z szczodrego humoru ojca, Mi lo naparł się zwiedzenia Teatru Osobliwości. Poszli spacerkiem na plac po-Misjonarski, zwany Księżą Krzywdą, gdzie w ob szernej szopie pokazywano zamorskie dziwy. Tym razem, oprócz olbrzymki z brodą, w czerwonej atłasowej szacie, żonglującej pudowymi ciężarami, główną atrakcją było cielę o dwuch gło wach. Harcowało ono z zadartym ogonem po zagrodzeniu, znów zarywało się przednimi nogami w trociny, smutno zwiesza jąc łeb, do którego przyklejony był z boku jakiś wielki guz - owa druga głowa. Jegomość w szarawarach błękitnego koloru w czarnym, złoto haftowanym, serdaku, potrząsając drewnianą piką, śpiewnie wykrzykiwał:

W krainie bajecznej
I wielce wszetecznej,
Gdzie piękna sułtanka rządziła,
Ja się urodziłem
I stamtąd przybyłem
Z ukłonem od pana Montwiłła.

Trącał cielę piką: "Dalij, Maciuś, kłaniaj się Warszawian kom! Lewą główką! O tak. Tera prawą"!

W gromadze gapiów przed zagrodą uwaga była podzielona między cielę — Maciusia, a dwie starsze damy spośród publicz ności. Jedna drobna, z oczami i włosami tak błyszczącej czerni jak dżety na jej kapelusiku, zwinnie chowała to za plecy, to pod pachę, jedwabną torebkę, zwaną *réticule*, którą usiłowała j odebrać osoba gwałtowna, w sukniach jaskrawych, w kapeluszu pasterskim, niedbale przypiętym do sterty miedziano-siwych loków. Gdy ludzie zaczęli coraz bardziej interesować się sceną wysłannik "pana Montwiłła" opuścił egzotyczną zagrodę. "O się dobrodzikom rozchodzi? Może tu stójkowy potrzebny"? R da chwyciła za pikę, więc — szamocząc się — pociągnęli ku wy ściu; czarnula w ślad za nimi, z *réticule'm* wesoło dyndający na placu. Gdy mijała pana Agenora, stanęła jak wryta... "*Mo sieur* Dubowski! *Quelle rencontre*... I jaki straszny wstyd! Ca osiem miesięcy *Madame la Comtesse* tak była *douce et cha*

mante — jak pan i ja. Aż tu raptem zobaczyła to monstrum, i nasz! Stara śpiewka: "*Mathilde,* Bojar nudzi się... Trzeba Bojarskiemu cielaka z dwiema głowami kupić do zabawy!...". Komicznie przewróciła oczami; potem, przekrzywiwszy łebek, uderzyła Kazimierza po palcach: "Ach, milość, milość, jakby ja ciebie bila, żeby ty d... miala" — śmiejąc się, pobiegła.

Przywołano dorożkę. Wśród wesołości uliczników odjechały. Kiedy zostali sami, pan Dubowski zwiesił głowę: "Hrabina Izabella Rawicz... Mój Boże!".

Tego wieczoru Krzyżanowski nie pokazał się przy kolacji. Kazimierz z Milem prędko zjedli i dali nura do siebie.

Milo, zapaliwszy świecę, pogwizdywał, ustawiając ze stolika i krzesła rusztowanie pod wentylatorem w ścianie kuchennej. Przez wentylator miał zwyczaj podglądać Jagusię, ugiętą po pas, moczącą przed spaniem nogi w dzieży do ciasta.

— Co siedzisz jak rabin nad Talmudem? Leź tutaj i patrz, jaka u niej śliwka na udzie.

Kazimierz udawał, że nie słyszy, zatopiony w tłumaczeniu Cezara. Ale przed oczami widział nie *De bello gallico,* tylko kartkę z pamiętnika, zapisaną starannym, kancelaryjnym pismem, pokreślonym i pomazanym.

"...z lasu dwa jeźdźcy wysunęli się... Jeden był mężczyzną wysokiego wzrostu w rajtuzach... Bojarski... a drugi był kobieta z welonem barwy błękitnej... Izabella".

XV

Dowcipniś klasowy, syn generała Snieżkina, lubił zapytywać Kazimierza o różne takie rzeczy jak na przykład czy przyjemnie jest strzelać do mużyków? albo kogo teraz Kazimierz ma zamiar zarżnąć w obronie prawa i porządku? Kazimierz milczał, szukając autora bajek o sobie wzrokiem ponurym, który Menio niewinnie spotykał oczami pełnymi oddania. Obojętność Polaka robiła wrażenie i koledzy po cichu powstawali na Tolę Snieżkina: "Czego ty jego drażnisz! On mocne plecy czuje za sobą".

Koło Kazimierza wytworzyła się próżnia.

Ale to znów martwiło czułego Neumarka. Podczas gry w ekstrę na dziedzińcu starał się wytwarzać takie sytuacje, żeby Tola i Kazimierz musieli współdziałać, a nawet wspólnie zwyciężać. W szatni podawał im szynele i czapki, a później póty manewrował póki wszyscy trzej nie znaleźli się razem na ulicy.

Pod koniec listopada raz właśnie tak szli ulicą. Widok nienaturalny — trójka przypadkowych towarzyszy, zaprzęg z bajki Kryłowa: łabędź, szczupak i rak. Aż raptem He-

nio złapał się za uszy: "*Gaspada!* jaki mróz! W Dolinie Szwajcarskiej na pewno jest ślizgawka". Kazimierz spojrzał na rynsztok — grubo zamarznięty. Zaczerpnął powietrza — chyba ze trzy stopnie mrozu. Zmrużył oczy, bo prószyły suche, białe gwiazdki. Zakręcił się i gwizdnął. Wszyscy trzej zaczęli biec, walić się po plecach, śmiać się, jak idioci. Tola zerwał Kazimierzowi czapkę i podrzucił: hurra! Kazimierz wirował co parę kroków, trzymając w ręku długi rzemień od rańca, który fruwał nad ziemią. Henio skakał, a razem z nim skakały dziecinne, załzawione ze szczęścia oczy.

Na rogu Marszałkowskiej, gdzie drogi się rozchodziły, stanęli jednomyślnie, gotowi na wszystko. "Kto najbliżej stąd mieszka"? — gorączkował się Neumark. Najbliżej mieszkał Kazimierz. "Idziemy do niego zostawić rańce! — wrzasnął Tola. — A potem do Doliny! Łyżwy można wynająć". Popędzili przed siebie wielkimi susami, równo, lekko, zgodnie, jak gdyby trenowali wspólny bieg od niepamiętnych czasów.

Do stołowego pokoju na Złotej weszli, tupiąc, ziejąc chłodem i bezczelnością. Pod piecem, z książką w dłoni, siedział Krzyżanowski. O tej porze zazwyczaj przebywał jeszcze w biurze. Podniósł głowę i martwo na nich patrzył. Neumark szastnął nogami. "Mam zaszczyt się przedstawić — (po polsku) — Henryk Neumark, moje uszanowanie panu". Tola, w zapale bratania się z *inorodcami* złożył porywczy ukłon: "*Antolij Wasilewicz Snieżkin! Oczeń prijatno poznakomitsia!*" Twarz pod piecem zapłonęła zwolna, jak mętna, stajenna latarnia, stopa nogi założonej na nogę zaczęła wybijać w powietrzu jakiś wrogi rytm. "Tu jest stancja, nie karczma. Kolegów przyjmuje się w niedzielę". Henio odskoczył w tył na Tolę, który gniótł czapką i nie wiedział co począć. "No? — Krzyżanowski przeniósł na Kazimierza urągliwy wzrok — Kazimir Piotrowicz niech pokaże koleżkom którędy się wychodzi". Znikli. Kazimierz otworzył usta... Obrócił się żywo na pięcie; zgarbiony, poszedł bez słowa do swego pokoju.

Milo tego dnia spóźnił się na obiad. Parzył się zupą i prawił: "Więc po lekcjach pan od botaniki powiada: panowie z zielnikami na pierwszą ławkę. W razie inspektora mówimy, że Kółko Miłośników Przyrody..." Krzyżanowski położył mu dłoń na ustach; oczami wskazał Kazimierza... Zapanowała cisza.

Dopiero przy kompocie ze śliwek suszonych pan domu znowu się odezwał: "A nasz Kazimir Piotrowicz miłych koleżków nam tu dziś przyprowadził... Tak... Moskala i Parcha. Niestety! Gdzie kogo nie proszą, tam go kijem wynoszą. NiepRawdaż, Kazimierzu Piotrowiczu"?

Kazimierzowi kompot spęczniał w gardle. Zerwał się od stołu, pchnął krzesło... Krzyżanowski też skoczył. "Dokąd to"? — "Pan nie ma prawa tak do mnie mówić!" — "Nie mam prawa? — szarpnął pasa. — Ty mnie będziesz o moich prawach pouczał, sprzedawczyku"?! Trzepnął pasem na odlew po plecach. Sczepili się ramionami... W tej chwili zabrzmiał

dzwonek. Pani Magdalena rzuciła się ku drzwiom: "Jezus mój jedyny, ludzie idą"...

W progu stał pan Agenor Dubowski. Popłoch, potem niechęć przemknęły po jego twarzy... "Chłopcy, proszę iść do waszego pokoju" — powiedział.

Kazimierz dyszał i rzucał się z powrotem, ale Milo wyciągnął go za drzwi i trzymał. Ze stołowego dochodził uroczysty głos pana Agenora: "Pan jest swoim własnym wrogiem, panie Krzyżanowski. Kanonik Lwigórski dobrze wiedział co robił, umieszczając u pana ucznia 1-go gimnazjum... Jeśli go odbiorą, warunki bezpieczeństwa pana znacznie się pogorszą". Krzyżanowski przerwał i głucho czegoś namiętnie dowodził. Po chwili Dubowski znów doszedł do słowa: "A ja panu mówię, że sprzedawczykiem nazywać go się nie godzi! — uniósł się. Jakby nie było, jego ojciec karierę swoją poświęcił dla ojczyzny".

Drzwi skrzypnęły... Stara, chłodna ręka spoczęła na głowie Kazimierza. Milo zaczął się przebierać na wizytę. Kazimierz stanął w oknie, plecami do Dubowskich. W mieszkaniu ucichło. Pan Agenor westchnął: "A wiesz ty chociaż, chłopcze, jaka to data dzisiaj? Przecież w Kongresówce kalendarz juliański jeszcze, chwalić Boga, nie obowiązuje, jak na Litwie.. Tu Polacy ciągle są jeszcze od Rosjan o 13 dni starsi. Tu jest dzisiaj rocznica powstania listopadowego w roku 1831-ym... Smutne święto, ale podniosłe! I nie należy zapominać, że panu Krzyżanowskiemu Moskale matkę zabili". Wyszli.

Kiedy się już ściemniało, przeciągnął się, zmęczony, i natrafił na tom, który pan Dubowski przez roztargnienie przyniósł tu ze stołowego; ten sam, który Krzyżanowski czytał pod piecem. Spojrzał na okładkę: A Mickiewicz. Dzieła.

Otworzył: Dziady. Część III. Litwa.

Rzucił okiem na dół strony:

Nocy cicha. Gdy wschodzisz, kto ciebie zapyta
Skąd przychodzisz?

Noc naprawdę wschodziła za szybą.

Gdy gwiazdy przed sobą rozsiejesz,
Kto z tych gwiazd tajnie przyszłej drogi twej wyczyta?

Zbliżył się do światła i zaczął przebiegać oczami strofy. Więźniowie... Sybir... śledztwo..., *Runt* pod bramami... Książka nie podobała mu się; cuchnęła Krzyżanowskim. Tylko te słowa o nocy były piękne: "Nocy cicha... Kto ciebie zapyta skąd przychodzisz?..." Wyraźnie ujrzał przed sobą Szerską polanę o księżycu, cichą, szklistą, drżącą od listków brzozowych i od rosy, a nad nią tego samego ptaka, którego Agenor Dubowski nosił na szpilce od krawatu, tylko wielkiego i żywego, jak waży się w blasku na skrzydłach ..

I noc i Polska do niego przychodziły z Litwy.

Trzeba znów do mamy napisać, pomyślał.

Na korytarzu zadudniły podkute buty Mila. Wszedł i rzucił na stół, pachnące mrozem, rękawice. "Co to? Dziady czytasz? Ja wierszy nie lubię. Ale to warto czytać, bo zakazane. U nas w budzie dzisiaj, na tajnym obchodzie, belfrzyna się darł jak stare prześcieradło:

...żeś Ty nie Ojcem Świata, alle... Car-r-r-r-em!

Jeden tam jest taki Kwiatkowski w klasie, syn szwaczki, to mało w portki nie narobił ze strachu, czy jakich Moch nie podsłuchuje..." — "Kto to ma być ten ojciec świata?". — "Kto? Oczywiście Pan Bóg ,bo jest dla Polski taki podły". Teraz Kazimierzowi zrobiło się straszno... "O Bogu tak nie mów" — rozejrzał się, czy jaki anioł, zły albo dobry, nie słucha.

Po nieudanej wycieczce na ślizgawkę Snieżkin przestał znać Kazimierza. Mało kto teraz odzywał się do niego w szkole; tylko Neumark wodził za nim zrozpaczonym wzrokiem w milczeniu. Czasem nauczyciel, z wyrazem niezawinionej wyższości rozwijał jakiś oderwany temat i uczniowie marszczyli się z wysiłku pojęcia. Zwykle wtenczas Kazimierz zabierał się do bazgrania. Pedagodzy uważali go za nadętego głuptasa, który sądzi, że protekcja zastąpi uwagę. Przerywano wykład, żeby filuternie zapytać, o czym też to właśnie była mowa. W kręgu natarczywych spojrzeń stał, mrugając, a potem jak najtrafniej mówił i pisał co trzeba. Klasa śmiała się ironicznie: Bóg nad durakami. Profesor wzruszał ramionami: wpadnie następnym razem.

Ale wychowawca, Fiodor Nikitycz, w poczuciu odpowiedzialności przed kuratorem, niepokoił się tym sprawowaniem jego pupila. Raz chwycił mu sprzed nosa kartkę z gryzmołami i poszedł studiować pod oknem. Po dzwonku zawołał Kazimierza. Zmarszczony, wskazał na rysunek, przedstawiający w kole okrągłej polany las, pełen zwierząt i roślin, nad nim słońce i jednocześnie róg księżyca w roju gwiazd. W środku nieba — wyżej niż planety — ptak podobny trochę do orła, trochę do wrony. Poprzez ten swoisty kosmos wiła się rzeka, czy wstęga z napisem: TO WSZYSTKO JEST POLSZCZA. Całość ujęta w winietę, gdzie powtarzał się rytmicznie krzywy nóż myśliwski. "Co to jest? — zapytał — co znaczy ten napis?". Kazimierz przetłumaczył z polskiego na rosyjski. Fiodor Nikitycz spospępniał. "Domyślałem się. A jednak nie rozumiem. Czy chcesz przez to powiedzieć, że Polska, która od blisko stu lat jest wymazana z mapy, istnieje? Gdzie, podług ciebie położony jest ten las"? — "To jest taka polana u nas na Polesiu, nie daleko Szerska." "Ach, na Polesiu. Znaczy się w guberniach zachodnich Cesarstwa Rosyjskiego. I ty to nazywasz Polszczą?" — "Mój ojciec tak powiedział". — "Czyż nie jesteś sierotą"? — "Tak". — "A kiedyż on tak powiedział? *Przed miatieżem?"*

Kazimierz odczuł niezmierną dawność swego dzieciństwa. Fiodor Nikitycz dobrodusznie odsapnął: "Nie na wiele to *miatież* Polakom zdał się". Przecierał okulary. "Strach, jak

pomieszanie pojęć! Na tymże samym waszym "polskim" Polesiu, które czasami nazywane jest Litwą, ludzie miejscowi, czasami zwani Białorusinami, ojca twojego — wzorowego, jak słyszałem, urzędnika cesarskiej administracji, fałszywie o polską akcję wywrotową oskarżyli..." Popatrzył bystro na Kazimierza: "Może nie całkiem fałszywie, a?". Machnął ręką. "Bóg z nim! Na sądzie on już przed Bogiem stoi. Ale ty... Chłopiec, jak się wydaje , wysoko spokrewniony i rozsądny... — odchrząknął. — Mówię rozsądny. Tobie się chce czas w pierwszorzędnej uczelni tracić na dziecinne ot, takie rysuneczki"...

Miał przedrzeć kartkę, kiedy znów, spojrzawszy na nią, zadziwił się. "Co to za ptak taki tutaj? Cóż to za noże?". — "To jest ptak, którego raz w nocy widziałem właśnie nad tą polaną". — "W nocy? Nu tak ty pewnie wtedy wszystko źle widziałeś. I ptak ten nie był orzeł, tylko z pewnością sowa, i Polszcza nie była Polszczą, tylko..." — "przywidzenie" — dokończył Kazimierz. "No właśnie, właśnie..." — Fiodor Nikitycz trochę się stropił niespodziewanym zakończeniem. "Wszystko to są dziecińtwa. Orły, noże... Skalp bladej twarzy". Śmiejąc się, schował kartkę.

Pod koniec kwartału okazało się, że Krzysztofowiczowi trzeba będzie wystawić dobrą cenzurę. I historyk i matematyk i łacinnik, najsroższa trójca, po parę razy sprawdzali w notesach : nie, nie było ani jednego złego stopnia. "To dziwne... — rozmarzył się nauczyciel literatury — Ci Polacy! Odpowiedzi Kristofowicza są inteligentne, ale jakieś zawiłe... Ortografia bezbłędna, wypracowania zajmujące, ale... jak gdyby nie na temat. W sumie: uczeń, mimo dużych zalet raczej niezadawalający, jak gdyby ułomny. O, właśnie. W Kristofowiczu jest skaza. Jak w pękniętym garnku".

Inspektor się zaniepokoił: "Czy ma zły wpływ? Pan wie, jakie jest pochodzenie tego ucznia? Matka — Niemka. Babka — Litwinka. Ojciec — polski szlachetka. A wychowanie — w lesie. Co Fiodor Nikitycz o nim sądzi? Jaki stopień ze sprawowania"?

Wychowawca, Fiodor Nikitycz, popowicz chłopskiego pochodzenia, długo ślinił ołówek. "Ja sądzę, że skazy i pęknięcia są pospolite w zdegenerowanej warstwie szlacheckiej. Szczególnie wśród Polaków... Wybujała imaginacja. Wysokie mniemanie o sobie. Obawa przed nazywaniem rzeczy po imieniu. Polesie! Litwa! Polszcza! A tu po prostu Cesarstwo Rosyjskie. Ze sprawowania proponuję 4". Inspektor się skrzywił: "Aj, aj. Kurator będzie zmartwiony". — "Kurator nie jest *polskim* hrabią..." — skromnie uśmiechnął się wychowawca.

XVI

List od Kazimierza zastał Cecylię przy szatkowaniu kapusty. Otarła ręce o fartuch i przed cierpkim spojrzeniem Martyny schroniła się do bokówki. Zaryglowawszy drzwi, odpasała fartuch, dopiero potem zasiadła pod oknem i rozdarła kopertę. W miarę jak czytała, piersi podnosiły się coraz gwałtowniej, szybciej, wreszcie złożyła arkusik i zapatrzyła się w ścianę. Po chwili zapłakała: zdrów i matkę kocha.

Ale w nocy list zaczął się rozrastać. Zapalała łojówkę, czytała, chowała list pod poduszkę, próbowała spać — nie sposób. Ze zdań powstawały domy, szepty, krzyki, wielkie miasto, w którym jej dziecko żyło, napastowane przez żywych i umarłych.

Jego pytanie były śmieszne, jak paplanina małego chłopczyka.
"Czy powstańcy dziada zabili"? Ładny Bojarski powstaniec! "Czy dziad miał zasługi dla cara"? Dziad tyle wiedział o carze, co car o dziadku Elichwirze. "Czy ks. Mittgenstein jest przyjacielem cara?" No, to pójdźżeż, zapytaj się go!

Nazajutrz kwasiła kapustę i uśmiechała się do swego syna. Wieczorem znowu czytała list i znowu serce biło z trwogi. Napisał o nożu i że stara się nie być złym... Czy zabrał ze sobą nieszczęsny nóż Elichwira? Czy, mimo zdrowia i powodzenia, złość go nęka? Znała smutną złość Piotra, która go gryzła przez wszystkie lata, póki nie zagryzła na śmierć. Kazimierz był inny; wesoły. Ale to właśnie on, w wieku lat szesnastu, zabił człowieka. Zaczęła szukać noża po szufladach... Nie było.

Po tygodniu oświadczyła Martynie, że na Wszystkich Świętych pojedzie do Bernawczyc. "Na długo"? — Martyna nie miałaby nic przeciw temu, żeby córka powiedziała: "na zawsze". Wprawdzie Cecylia pracowała jak koń, a zimą szczególnie była przydatna przy krosnach, ale — odkąd Kazimierz wyjechał — zapadła w swoje dawne, niespokojne milczenie ;jak czekała dawniej codziennego powrotu męża do domu, tak teraz wyglądała listu. Martyna lubiła wódkę, której Elichwir nie pozwalał jej pić; przy córce, a jeszcze takiej niewesołej, wstydziła się zaglądać do kieliszka.

Do Bernawczyc Cecylia dojechała listopadowym wieczorem, przy pierwszym, mokrym śniegu. W oknie jadalni świeciło się. Drżącą ręką otworzyła furtkę, której skrzyp czule do niej przemówił; zastukała w szybę. Za firanką poruszyły się cienie, nieznajomy pies zaszczekał. "Kto tam"? — zapytano. Otworzył Olutek.

Z ciemności w ciemność wyskoczyła Frania. "A? Co? mama! Ciocia! ciocia! to mama!!". Szarpnięto drzwi do jadalni; w świetle ukazały się: Cecylia wielka, w chustce na głowie, w chłopskich butach — naprzeciw niej Regina w modnym staniku na fiszbinach, z uczernionymi brwiami.

Przy herbacie Frania siadła po drugiej stronie stołu, obo

niej Olutek, obok niego Regina. Cecylia znalazła się na dawnym miejscu Piotra, oddzielona pustymi krzesłami. Z odległości patrzyła na córkę. Frania była młodą kobietą z wysokim, obfitym biustem i cienką talią. Okrągłe oczy oglądały matkę po półrocznym niewidzeniu, jak przedmiot większy i brzydszy, niż się myślało, z którym nie wiadomo co począć. Olutek trzymał wzrok uporczywie utkwiony w talerz. Natomiast Regina co chwila wstawała, kręciła się po pokoju, znosząc zakąski i konfitury, robiąc ozdobne gesty, prezentując suknię, mówiąc łaskawie:

— Bratowa na grób nieboszczyka przyjechałaś? Zaduszki odprawić?

Cecylia miała zwyczaj przy pracy gawędzić z nieboszczykiem tak swobodnie, jak nigdy za jego życia, a jednocześnie polecać go opiece świętych i miłosierdziu Boga; więc o Zaduszkach nie pamiętała. Zapytanie Reginy obudziło w niej poczucie winy, tak dawniej ostre, w Bobrówce nieco przytępione: nigdy nie robiła i nie pamiętała tego, co szlachcianka powinna. Poczuwszy się znowu Augustą, nic nie odpowiedziała.

— No cóż, na Zaduszki wdowie przyjechać rzecz jest naturalna. Regina wyrozumiale skinęła głową. — A tylko my zaraz tutaj bratową pocieszymy — zerknęła dowcipnie na Olutka. — I na markach zaoszczędzi się, a to list my wybierali się pisać o błogosławieństwo dla młodej pary.

Frania się zaczerwieniła; Olutek chrząknął, wstał i położył rękę na oparciu jej krzesła.

Wyjąkawszy kilka zdyszanych słów, Cecylia spędziła tę noc w dawnym łóżku Reginy, w pokoiku na górce. Regina z Franią zajmowały teraz sypialnię. Noc była pełna snów i gorączkowych przebudzeń.

Wczesnym rankiem wybrała się do kościoła. Napadało dużo śniegu; w mroku porannym puszył się i bielił, zacierając znajome kontury; miasteczko przez to zrobiło się obce. Ten i ów, wiadomy z nazwiska mijał, ciekawie zerkając: pod ciężką chustą nie poznawał asesorowej.

Ks. Lwigórski, zwolniony z obowiązków kapelana szkół brzeskich, czekając dalszych rozkazów biskupa, przebywał czasowo na parafii w Bernawczycach, gdzie przy sędziwym proboszczu zastępował wikarego, zesłanego po powstaniu w głąb Rosji. Wkrótce wyszedł z pierwszą mszą przed ołtarz w ulubionej kaplicy Cecylii. Tu poczuła się u siebie, blisko nieobecnego syna, zmarłych męża i ojca. Nawet Grześ wydawał się siąkać noskiem koło jej spódnicy.

Po nabożeństwie ksiądz zabrał ją na plebanię. W zimnej kancelarii, gdzie w kącie stał warsztat, zarzucony żelastwem, przyjrzeli się sobie z życzliwym frasunkiem. "A to siurpryza. — Lwigóra zacierał ogromne, sękate dłonie — Jakże tam nasz młodzieniec poczyna sobie w Warszawie"? Pokazała list. Czytał, marszcząc się, kręcąc głową i uśmiechając się; w końcu oddał: "Stosunki obrzydliwe. Ale chłopak dobry". — "Ja wiem — stęknęła. — Na suknia mnie przysłać zbiera się, dureniek..."

Urwała i dodała po cichu: "tylko ot!... nóż ojca mojego zabrał on ze sobą do Warszawy". Ksiądz nie zdawał się rozumieć: "Aha. Chłopcy zawsze z nożami wożą się". — "To jest ten nóż, przez który nieszczęścia stała się"... Machnął ręką: "At! dobrze pani rzekłaś... nie mord to był, tylko nieszczęście". Wstał popędliwie, jak gdyby zmuszony do wypowiedzenia mowy w sądzie "Nie mord, tylko nieszczęście — powtórzył. — Nóż został użyty w służbie. W obronie własnej. Przeciw kłusownikowi napastliwemu, człowiekowi starszemu, mocniejszemu. Przed wyjazdem Kazimierz wyspowiadał się i rozgrzeszenie otrzymał. Nie trzeba żadnych więcej tutaj okropności doszukiwać się! Sprawa jest skończona"!

Podniosła zatroskany wzrok. "Mój ojciec także samo noża tego przeciw napastnikom używał. A Kaziuk przecie szlachcic... krewki... W mieście napastników gdzie! więcej, niż w lesie. Dopóki nóż nie u mnie, ta sprawa ja nie wiem, czy skończona". Zaczął przechadzać się po kancelarii; stawał; później, jak gdyby ktoś następował mu na nagniotki, podrywał się i pędził dalej. Dotarł, widać, wreszcie do jakiegoś kresu, bo wybuchnął: "Pani nie wiesz i ja nie wiem! Co byś, człowieku, nie zrobił, Polakiem będąc, nie jedną ma ludzką nazwę, ale piętnaście nazw. Polakiem jesteś? mało! Koroniarzem być musisz. Zabiłeś kłusownika, to nie kłusownika, ale mużyka zabiłeś. Chlebodawcy swojemu uczciwie służysz, nie sługą, ale zdrajcą jesteś, bo twój chlebodawca carowi służy. Opryszek na twój dom napadł, nie broń się, bo może ktoś kiedyś powstańcem go ogłosi. Opryszki po pałacach hrabiny uwodzą, bo żandarmi wieszaniem bohaterów zajęci... Księdzem jesteś? Mało! Patriotą być musisz. Jesteś, księże, patriotą? Biskup ci powie: bij się w piersi, grzeszniku! Bogu nie wszystko oddajesz, co Boskie. Cóż ty chcesz, asesorowo moja zacna, twemu synowi napisać? Szlachcic, nie szlachcic, po linie on chodzi nad przepaścią i żadne słowo tutaj nie pomoże. Módl się. Módl się, żeby Bóg go prowadził".

Utarł nosa, spojrzał na Cecylię; złagodniał. "Z listu widać, że chłopak ma zdolności do nauki i szczęście do ludzi".

W swoich samodziałowych chustach siedziała nie zrażona. "Modlić się tak ja nigdy za niego nie ustaję. A tylko cóż mnie jemu odpowiedzieć, znaczy się?" Obrócił się i patrzył w okno. "Napisz, pani asesorowa, jak sama wiesz... Że u nas śniegi spadły". Wydobył różaniec i zaczął głośno odmawiać; pocałowała go w ramię, on ją w głowę. Rozstali się.

Na cmentarzu zastała mogiłę zawianą pod drzewkiem, z którego śnieg opadał miękkimi pecynami. "Piotruś, Piotruś — westchnęła — biedny nasz Kaziuk..." Zmówiła Wieczne Odpoczywanie, wzięła garstkę śniegu, włożyła do ust; nie był to pocałunek, ale, wracając, czuła zimną Hostię na języku.

Po drodze ugodziła furmankę na powrót. Nie daleko domu zobaczyła przed sobą Franię z Olutkiem. Szli pod rękę, zataczając się z durnej pijanej młodości, bo było święto i z kościoła

wcześniej udało się wrócić. Zwolniła kroku; bała się, że na jej widok spoważnieją.

Obiad był dobry; Regina nadal smażyła swoje wyśmienite racuszki, których w Bobrówce nie jadano. Zapachniało dawnym życiem. Tylko Frania wyraźnie się niepokoiła co zrobić ze schłopiałą matką kiedy goście przyjdą na bezika. Kazimierza nikt nie wspominał. Mówiło się o projektach młodej pary. Olutek dostał awans, ślub miał być po Wielkiej Nocy, a mieszkać mieli z Reginą. Cecylia zaczerwieniła się i obiecała płótna własnego tkania na wyprawę. Regina odparła z wysoka: "Proszę, bratowa, nie turbować się. Nauka Kazimierza w Warszawie na pewno ciebie drożej kosztuje, niż mnie szczęście Frani". Frania się ośmieliła: "Mama, a jak tam Kaziuku powodzi się w Warszawie"? Cecylia: "Chwała Bogu Miłosiernemu, Kaziuku powodzi się *świetnie*".

Kiedy furmanka zajechała i wiadomo było, że matka już na pewno zaraz odjedzie, Frania się rozbeczała. "Mama, czegoż ty jak po ogień... Na wieczorynka zaręczynowa choć przyjedź". Regina poklepała ją po ramieniu: "Gdzie mamie twojej do wieczorynek, dziecko! A że Kaziuku w Warszawie powodzi się, ja, owszem, bardzo rada jestem". Znowu porozumiewawczo zerknęła na Olutka. "Kto wie? Może wszyscy my jego odwiedzić któregoś dnia zbierzemy się... Warszawa nie Sybir; a za pieniądze każdego na kolej żelazną puszczają".

Wszyscy troje stali na ganku, kiedy w szarudze i odwilży Cecylia skulona na twardym siedzeniu, ruszyła mizernym konikiem znowu precz od bernawczyckiego domu do lasów.

Wróciwszy tak szybko ku kwaśnemu zdziwieniu Martyny, nie napisała Kazimierzowi, że śniegi spadły, bo właśnie w Bobrówce lały deszcze. Napisała tak:

"Kochany Kaziuk!

Dziękuję Tobie z duszy serca za list i że na suknię Ty dla mnie nabrać obiecujesz. Na konto zapytań Twoich ja długo myślała, a także księdza Lwigórskiego, któren Ojca Twojego znał i szanował, poradziłam się. Więc proszęż ja Ciebie, Synu, na banialuki ludzkie uwagi nie zwracać i umysł mieć spokojny. Pytasz, dlaczego ja chciałam, żeby Ty w Petersburgu uczyłeś się? Ot, jak raz, dla spokojności serca i umysłu. Żeby Twoje młode lata upływali z dala od takich nieszczęść, na które Ty zaradzić nie potrafisz. Co do Dziada Twojego, On powinność swoja spełniał, za która chleb jadł. Ty także samo na służbie powinność spełniłeś. Reszta Bóg Miłosierny rozsądzi, a to u ludzi miary i wyroki w każdem miejscu i co dzień są inne.

Ksiądz Lwigórski Tobie kłania się. Frania za mąż zbiera się iść za Olutka.

Ucz się, Dziecko Moje, i do Matki Bożej módl się, choć i Częstochowskiej, a nóż, jeśli zabrałeś, wyrzuć.

Annie Michajłownie kłaniaj się. Ja do niej podziękować za

wszystko napiszę, a tylko Anisja na różę cierpi i w chlewie roboty dużo.

Twoja kochająca matka

Cecylia Krzysztofowicz".

XVII

Którejś niedzieli w grudniu Lida wykrzyknęła:

— *Casimir*, nie kokietuj brwiami! Ach, jaki ty jesteś do *Anchen* podobny!

Anna zapłoniła się z radości. Ciemne ruchliwe brwi były cechą rodziny Eichlerów. Przez tyle lat nosiła je samotnie po obojętnych drogach, aż nareszcie zjawiło się to drugie — młode, dorodne — ciało. Siostrzeniec, *Neffe*, *neveu*.

Zaczęła znowu wertować papiery rodzinne, których od śmierci matki nie tknęła. M. von Eichler... Michaił Karłowicz baron Eichler.. odczytując dokumenty tak podpisane, słyszała niemal jak w jej żyłach płynie ta sama krew, co w Kazimierzu i Cecylii. "Wielki wielki niedźwiedź, zwany Elichwir", był oczywiście również baronem. A więc Cecylia również była baronówną. Nic dziwnego, że Kazimierz tak prędko nauczył się walca.

W pierwszy dzień Bożego Narodzenia, nucąc Webera *Aufforderung zum Tanz*, podczas poobiedniej siesty wymknęła się z salonu. W jej pokoju, na biureczku kusił szczególnie ważny, gęsto opieczętowany pergamin, którego w tygodniu przedświątecznym nie miała możności studiować. Prędko go teraz odcyfruje i zawoła Kazimierza. Jako dodatkowy prezent na Gwiazdkę, ofiaruje mu, w dowód zażyłości rodzinnej, tę dostojną "bumagę".

Zapaliwszy lampę ,wzięła lupę do ręki. Akt urzędowy w dwuch językach sporządzony był w Dreznie, potwierdzony w Petersburgu. Z początku nie rozumiała treści, oszołomiona prawniczym żargonem. Ale powoli sens — nieprawdopodobny, straszliwy! — zaczął się wyłaniać. Mocą tego dokumentu Michaił Eichler, radca dworu Najj. Cesarza Wszechrosji, syn Karola, właściciela oberży Pod Kukułką we wsi Neudorff pod miastem Meissen, i Agaty, urodzonej Wolffke, dyplomowanej akuszerki, został — w dniu ślubu z baronówną Lotte von Dirpitz, córką Freiherr'a Ludwika von Dirpitz'a i szlachetnie urodzonej Doroty von Helgenstein, przyjęty do herbu *Schwert und Kranz*, przysługującego rodzinie von Dirpitz, z prawem używania tytułu barona, który to tytuł został nadany Wilhelmowi von Dirpitz'owi w roku 1638-ym przez króla Saskiego itd... itd... Odsunęła papier. Mało ją obchodziła łaskawość króla Saskiego dla Wilhelma von Dirpitz. Spojrzała na swój herbowy sygnet

Schwert und Kranz... A więc ten herb został przez jej ojca kupiony wraz z jej niepowabną matką. Herbem Eichlerów powinna być kukułka. Tak... Anna Michajłowna baronessa von Eichler była kukułczym jajem.

— *Annchen,* chodź, zagraj nam walca! — zawołała Lida, stając we drzwiach. — Twój *neveu* dał się nareszcie ubłagać!

Anna zgarnęła papiery, wrzuciła do szuflady i zamknęła na klucz; jak lunatyczka podążyła do salonu.

Hrabia był, jak zwykle, nieobecny, hrabina kładła pasjans, popijając herbatę z konfiturami, porucznik *Nicolas* Worcow, narzeczony Lidy, nienaturalnie cienki, płowowłosy, czytał dzieło strategiczne. W "chińskim (z powodu waz na kominku) kącie", pod choinką, Jasza wklejał marki do albumu.

Było świąteczne popołudnie i miejsce Anny było przy fortepianie; podczas kiedy miejsce Lidy było wszędzie. A jednak teraz Lida nie ciągnęła *Nicolas* za akselbanty, nie myliła matce kart i nie dzwoniła raz po raz na służącego: "czy papa przyjechał"? W pachnącym jedliną i tuberozami, żółto-czerwonym świetle kandelabrów, stała w objęciach Kazimierza.

Zanim Anna zaczęła grać, napełniła ją mdląca cisza rozczarowań. Salon wydał się oberżą na rozdrożu, gdzie podróżni, podczas zmiany koni w zaprzęgach, patrzą na siebie, zgadując: "Kto zacz"? Nieszczęsna Lida! I cóż ją czeka w stadle z tym cienkim, ostrym *Nicolas?* Nieszczęsny *Casimir!* Co on odziedziczył po matce swojej i po swoim ojcu? Co tych dwoje młodziaków, czekających na walca, wie o swojej krwi, o losie swoim przeszłym i przyszłym? Tyle samo, co ona... Oberżysta krzyknie: "Kareta u podjazdu"! — i pierzchną, niepoznani, niepoznawalni podróżni.

Uderzyła pierwsze akordy... zaczęli się kręcić. Gorycz ustąpiła smutkowi: on nie jest synem baronówny i ja nie jestem baronówną — jesteśmy *oboje* kukułcze jaja. Pozwoliła palcom biec po klawiaturze; zapatrzyła się na swego *neveu*; jak on ładnie się rusza, choć nie jest baronem. Jaki on dorosły. Melodia wyrażała wesołą gonitwę w krąg... w krąg... Liście na wietrze..., Bryzgi na kole młyńskim... Iskry z fajerwerku... Jak ja ładnie gram, choć nie jestem baronówną! Słowo *oboje* przyszło razem z majorową kadencją. I cóż się zmieniło? — myślała. Czy krew w naszych żyłach z błękitnej zrobiła się czerwona? Czy kukułcze jaja są gorsze od kurzych?

Jasza, znudzony markami, nakręcił pozytywkę. Bzycząca polka kłóciła się z walcem i hrabina zaczęła psykać. *Nicolas* podniósł znad księgi ironiczny uśmieszek: "O, to to! polka o wiele stosowniejszy taniec dla młodzieży szkolnej. Ale ja myślałem, że Lidia Konstantinowna już z gimnazistów wyrosła".

Anna urwała melodię. "*Casimir* — powiedziała — chodź do biblioteki! Mam z tobą do pomówienia o sprawach rodzinnych".

Natychmiast usłuchał. Tańczyć z Lidą było mu ani mniej, ani bardziej przyjemnie, niż sprzeczać się z *Nicolas* o chrono-

logię zwycięstw Kutuzowa, grać w *lotto* z hrabiną, przebierać się razem z Jaszą za Cyganki-wróżbiarki, przycinać hrabiemu cygara, czy nawet czytać z Anną *Minnę von Barnhelm* Lessinga. Wszystko to, a także jedwabne suknie, perfumy, bliny z kawiorem i śmiech z byle czego, lubił nad wyraz. Miodowa pod stancji na Złotej rzeczywiście smakowała, jak miód.

Nucąc walca, szedł za szeleszczącą tiurniurą i miał się na baczności. Wszyscy w Warszawie zdawali się wiedzieć o nim więcej, niż on sam. Sprawy rodzinne... O nic nie będzie pytał, bo może Anna — jak Neumark — wie coś złego. Ale jeśli wie coś dobrego, on nie zdradzi się z własną niewiedzą. Po drodze zboczyła do swego pokoju. Omijając biurko, wyjęła z serwantki jakąś małą książeczkę... jakąś starą kopertę... Później, przed toaletą strząsnęła kilka kropel wody lewandowej na koronkową chusteczkę i podniosła do twarzy, jak gdyby bała się zemdleć. Czy lubił ją więcej, niż Minnę von Barnhelm? Czasami jej obecność uwierała: nie wiedział, czy siedzieć, czy stać, czy ją pociągnąć za nos, czy samemu sobie dać w gębę. Udawał, że nie słyszy, co ona mówi; chętnie by jej wykręcił rękę. Kiedy indziej, cokolwiek robiła czy mówiła, wyglądało na przedstawienie; zachwycał się i nie wierzył. Ale bywało i tak, że jej nie widział, tylko czuł ciepło, zapach i jakiś "inny", rozproszony kolor, z którego, jak słońce z chmury, przeglądały oczy.

W bibliotece siedli po dwuch stronach jesionowego stołu, zarzuconego różnojęzycznymi pismami. Anna położyła przed sobą małą, wyzłacaną księżeczkę. Wsparła głowę na ręku i patrzyła na niego, a przez niego gdzieś dalej i głębiej, jak gdyby nie był człowiekiem, tylko obrazem, pełnym ukrytych znaczeń. Dawno już przykazała mówić sobie ty; teraz nie pytała o książeczkę właśnie dlatego, żeby nie powiedzieć: "Co ty tam masz"? Milczenie robiło się trudne; Anna odjęła dłonie od twarzy i paznokciem rysowała po okładce "*Wiestnika Europy*". Nareszcie splotła ręce..." "*Casimir*... Opowiedz mi coś o twojej matce". Zagapił się w żyrandol.

O matce? Żeby chociaż o ojcu. Powtórzyłby zdania, zasłyszane od Reginy, od Lwigóry, od pana Dubowskiego. Ale o matce naprawdę nic nie wiedział. Patrząc w kryształowy sopel na żyrandolu, ujrzał ją z plasterkiem cytryny na czole, przewiązanym brudnawą chustką, w kaftanie opiętym na wielkich piersiach, z ryżym warkoczem luźno puszczonym na plecy. Wzruszył ramionami.

Brwi Anny wyraziły przykrość. "Dlaczego nie odpowiadasz, *Casimir?* Czy ciągle jeszcze uważasz mnie za obcą?" Oczywiście, że uważał ją za obcą. Gdyby nie uważał jej za obcą, nie pragnąłby tak bardzo, żeby go lubiła, podziwiała, żeby przysuwała stopę do jego stopy. "Nie, nie uważam" — zapewnił. Rozjaśniła się: "No, to w takim razie... *Ja* ci opowiem, jaka ona jest". Masz tobie! — ścierpł — więc i poza szkołą naro-biono plotek.

Nie wiedział, jak fantastyczne, samowolne było źródło plotek Anny: wyobraźnia.

"*Casimir*... — głos brzmiał metalicznie, jak gdyby miał oznajmić zwycięstwo nad małoduszną wątpliwością — *Casimir*... ty sobie nawet nie wyobrażasz, jaką nadzwyczajną masz matkę! W tych waszych lasach... Wśród mużyków i zwierząt... Bez majątku... bez męża... — oczy się rozszerzały, metal w głosie gęstniał. — Jakże wielką i dystyngowaną damą trzeba być, żeby jedynakowi — zamrugała szybko — dać nie tylko prezencję... ale i talenty towarzyskie".

Chrząkając, spuścił głowę. Ona tymczasem otworzyła książeczkę. "Patrz! Patrz co znalazłem w papierach *mojej* matki. To jest sztambuch z czasów jej podróży poślubnej, kiedy wraz z mężem gościła na Litwie u jego starszego brata, twojego dziada, *Casimir*. Wtenczas to poznała uroczą, młodziutką, swoją nową bratanicę — kuzynę moją, Cecylię". Szybko przerzuciła kilka stron. "Miała wtedy piętnaście lat, była o rok młodsza od ciebie. Patrz... to twoja matka, *Casimir!* To ona".

Żółtawa, miękka kartka, wklejona do albumu, była pokryta ołówkowym rysunkiem. Przedstawiała siedzącą na ławeczce pod drzewem dziewczynę w prostej długiej sukience, przewiązanej wstążką, z ciężkim warkoczem, przerzuconym przez ramię. Ogromne oczy tej dziewczyny, zaopatrzone w długie rzęsy i skrzydełkowate brwi, wyrażały podziw i dziękczynienie. Usta były uchylone, jak we śnie, w wysmukłych palcach trzymała pęczek konwalii, obok na ławce leżał tom z napisem: "*Goethe's sämtliche Werke. Gedichte*". — "Matka moja — mówiła Anna — skończyła w Dreznie najlepszy pensjonat dla panien z dobrych domów, gdzie kładziono wielki nacisk na rysunki z natury. Ten portrecik tchnie prawdą".

Sięgnęła teraz po kopertę i uśmiechnęła się z melancholijnym pobłażeniem. "Mój ojciec, *Casimir*, był mężczyzną wspaniałej urody, pełnym humoru, rozumu i dobroci. Oględnością wyrażeń nie grzeszył; to był człowiek czynu. Po jego śmierci matka moja, która go uwielbiała — ona nie była ładna, raczej chorowita — prosiła przyjaciół, żeby jej ofiarowali wszelkie, niepotrzebne im, pamiątki po nim. List, który tu mam, pochodzi z tego okresu, co sztambuch... Oto ustęp, dotyczący nowopoznanej bratanicy (po rosyjsku): "Mój poczciwy brat, wielki, wielki niedźwiedź z wielkich, wielkich lasów, okazał się być ojcem wcale udanego niedźwiedziątka płci żeńskiej. Młoda ta olbrzymka biega za *Lottchen* swoim... niedźwiedzim truchtem, jak za plastrem miodu, i w mig uczy się tych wszystkich sztuk, w jakich tak biegła jest moja magnifika. Wczoraj sama upiekła tort orzechowy...".

Niespokojnie zerknąwszy na Kazimierza, wsunęła z powrotem arkusik do grubej staroświeckiej koperty, przypieczętowanej sygnetem herbowym.

"Jeśli chodzi o cechy zewnętrzne, portret narysowany przez moją matkę jest z pewnością trafniejszy, niż opis... pana ba-

rona" — spłoniła się i zaśmiała nerwowo. "Zresztą po mojej wątłej matce nic dziwnego, że hoża wiejska dziewoja wydała się memu ojcu olbrzymką. Nie to jest ważne! Ważne jest świadectwo uczuciowości Cecylii... jej wrodzonego talentu i chęci naśladowania rzeczy dobrych". Brwi uniosły się patetycznie. "Szlachetność duszy jest ważniejsza nie tylko od urody, ale nawet od... szlachectwa!" Oczy zaszły mgłą. "*Casimir* — sięgnęła przez stół po jego rękę — czyż nie taka właśnie jak myślę — piękna, silna, szlachetna — jest moja kuzyna Cecylia?"

W dwie godziny później, o wczesnym mroźnym księżycu, Kazimierz wracał na Złotą. Hrabina Kuriagina napisała do Krzyżanowskiego własnoręczny list z prośbą o usprawiedliwienie jego późniejszych, świątecznych powrotów. Nie śpieszył się. W Warszawie, o trzynaście dni starszej od rosyjskich miast, Boże Narodzenie należało do przeszłości, wieczór był zwyczajny, przeraźliwie zimny i pusty. Ale Kazimierz, który posiadał tylko dwa wierzchnie okrycia, niemodny surdut bernawczycki i znienawidzony przez publikę szynel I-go gimnazjum, wolał Warszawę pustą.

Po słodkim winie i bakaliach, po rozmarzającym cieple porcelanowych pieców, potrzebował przed powrotem na stancję mrozu i księżycowej czystości. Sam czuł się odmieniony, otrzymawszy na gwiazdkę tę nową matkę — młodą, w muślinowej sukni ze wstążką pod piersiami, z bukiecikiem w wysmukłych palcach. Musiał trochę do nowego siebie przywyknąć. Słowa starego barona (niedźwiedziątko, niedźwiedzi trucht) na razie odpędził. Zatrzymał tylko fakt, że, skoro ojciec Anny, Eichler, był baronem, to jego brat, Eichler, czyli Elichwir, był również baronem. A córka Elichwira, Cecylia, taką samą była baronówną, jak jej kuzyna, Anna. Ot, tobie, durna Regino i "Augusta"! Ot, tobie i "niższa kondycja" Eichlerów. Myśl o ojcu przepełzała nieśmiało: ty, tato, nie wiedziałeś?... A, jeśli wiedziałeś, czemu pozwoliłeś Reginie banialuki pleść?...

Zamiast iść prosto, skręcił w Podwale, żeby pogapić się na Zamek. Szyldwach, nie puszczając karabinu z objęć, tupał i bił się kułakami w ramiona. Marmur kolumny pod Królem Zygmuntem błyszczał, jak szkło. Od strony stajen kozackich za pałacykiem Pod Blachą, gdzie podobno za innego polskiego króla jego siostrzeniec *(neveu?)* szwaczki uwodził, niosło się rżenie zziębniętych koni, a od Wisły szedł szum i plusk gęstniejącej kry. Zadarł głowę... Nie było ani jednego obłoku; blask księżycowy lał się na mury i wieże. Ludzkie dzieła — bez ludzi — były tak samo tajemnicze, jak drzewa A ten obcy, pusty plac bez białych orłów, to także była "Polszcza".

Powoli wrócił ku Trębackiej. W zagłębieniu muru świecił się tam lampka przed świętym obrazem i Kazimierz ucieszył się, że Pan Bóg czuwa nad światem. Skwapliwie przystanął dla odmówienia modlitwy... Obraz był Matki Boskiej. Ani Częstochowskiej, ani Ostrobramskiej, i nie oleodruk, tylko nieudolne malowidło. Ruchliwy płomyk ożywiał dużą, brzydką twarz zbo

lałej kobiety. Zdawało się, że pot i łzy ściekają bruzdami policzków, a z czarnych ust płynie lament. Kazimierz wstrząsnął się i zerwał czapkę z głowy. Taka właśnie była jego matka, kiedy wróciła z pogrzebu ojca i siedziała w bobrowej czapie, a dzieci od niej uciekły.

Ale nie taka była w myślach Anny jej kuzyna, Cecylia.

XVIII

Postępowanie spadkowe dobiegało końca; pan Dubowski wybierał się lada tydzień wracać na Litwę i często teraz zaglądał na stancję.

Ożeniwszy się koło czterdziestki raczej z obowiązku społecznego, niż z osobistej skłonności, ciągle jeszcze nie całkiem był oswojony z synem, którego wzrost, żarłoczne apetyty i gruby naskórek podziwiał, ale towarzystwem się nudził. Na Złotą przyciągał go Kazimierz zmiennymi oczami i nieśmiałym uśmiechem. Podczas jednej z wizyt pan Agenor ofiarował mu komplet dzieł Mickiewicza, wydany w Krakowie, bo, dla przypodobania mu się, Kazimierz skłamał był, że lubi "Dziady".

Obdarowany zakłopotał się; nie mógł wykrzesać ze siebie radości, bąkając, że "na wakacjach, w domu przyjemnie będzie poczytać"... Wieczorem tego dnia zasiadł pisać wypracowanie historyczne. Przez kilka ostatnich lekcji nauczyciel zapewniał klasę, że surowość Iwana Groźnego była zbawienna dla Rosji. Należało teraz wywieść na paru stronach, że historycy niemieccy jedynie przez złość nadali temu wielkiemu carowi przydomek "*der Schreckliche*", wcale nie jednoznaczny z przymiotnikiem "groźny".

Kazimierz nie mógł się skupić. Zamiast sensownych zdań, syczały mu i turkotały w głowie słowa Mila tak, jak je — przewracając oczami — nie dawno wymawiał dla śmiechu: "żżże Ty nie Ojjjcem ŚŚŚwiata jesssteś, alle Carrrem". Pod tym bluźnierstwem, głębiej, toczył się jeszcze inny nurt: jakieś niemiłe postanowienie, coraz zimniejsze, coraz bardziej nieuniknione.

Pisał: "Iwan Groźny, wstępując na tron w wieku lat 17-tu, jako mądry i świadomy władca, miał już wprawdzie na sumieniu ks. Andrzeja Szujskiego, którego cztery lata temu kazał rzucić psom na pożarcie..." Przerwał. Mama nigdy nie pozwalała mi się bić — gniewnie pomyślał — nawet z Kalinowszczukiem, kiedy on swoją marykankę ołowiem napełnił.

Pisał dalej: ..."ale po uśmierzeniu buntu w Nowgorodzie car Iwan powiedział: jestem okrutny dla tych co są okrutni dla mnie..." Przerwał... Nie, mamo! Wobec tego, co teraz postanowiłem, nie mogę wyrzucić noża; nie!

W nocy, przewracając się z boku na bok, nie miał pojęcia, co mianowicie postanowił.

Dopiero kiedy następnego rana pakował raniec, sięgnął po tom Mickiewicza i zrozumiał: Kazimierz Krzysztofowicz będzie te niecenzuralne, zakazane wiersze, za które posyłają do więzienia, czytał w I-ym gimnazjum, pod nosem Fiodora Nikitycza! Będzie je czytał, jako syn swego ojca — patrioty i bohatera.

Godzinę religii prawosławnej zwykle spędzał z powieścią Waltera Scotta w ręku, siedząc na parapecie we framudze okna w korytarzu. Ale tym razem trzymał w dłoni "Konrada Wallenroda".

Posadzki w Pałacu Staszica były śliskie i cenne; przepis wymagał chodzenia w papuciach. Woźny, dźwigający w objęciach biust Woltera, malec ze wstępnej klasy, chory na brzuch, sam pan inspektor, przy szpadzie, krótkowzroczny i zamyślony — przesunęli się korytarzem z różną szybkością, bezszelestni, jak duchy. Kazimierz, ani myśląc o czytaniu, patrzył na nich spod oka; czekał kiedy *to* się zacznie. Dalszego rozwoju sytuacji, słów, ani ruchów nie wyobrażał sobie. Jedno wiedział, że nareszcie coś w życiu sam postanowił. Jeżeli ktokolwiek od niego zażąda, żeby postanowienie złamał, wtedy on, — który, jak dawniej w lesie, zaczął znów tutaj od pewnego czasu nosić nóż za paskiem od spodni — po raz drugi, i z całym namysłem użyje tego noża.

Co potem? Sybir. Może śmierć.

Spróbował czytać. Nagle wzdrygnął się... "Czy to rzeczywiście jest taki dobry poemat"? — nauczyciel rosyjskiego, znajomy Anny, Bielkin, zaglądał mu w kartki. Kazimierz poczuł się lekko i nieprzytomnie. "O, tak — usłyszał własny głos, jaśniejszy niż zwykle — to jest wspaniały poemat wspaniałego polskiego poety, który nienawidził Rosji". Teraz pociemniało mu w oczach, jak wtenczas, kiedy Hryć oślepił go solą. Zeskoczył z parapetu i wsunął rękę pod mundur.

"Tak... Podobno wspaniały... Ja sam, przyznam się, tego akurat poematu nie czytałem — mówił poufnie nauczyciel jak do kolegi. — Jeśli o mnie chodzi, to ja najwięcej lubię "Dziady"... Improwizacja... Jakaż to potęga uczucia! Tylko, że nasza epoka nie jest romantyczna; myśmy już rozumem okiełznali uczucia.

Biedny Puszkin! Przyjaciel Mickiewicza, nieprawdaż? Jak to on się żali na pozytywistów: "*Piecznoj horszok tiebie doroże, ty kaszu w niom siebie swarisz...*" *) Skrzyżował ręce na piersiach i potem, jak gdyby tknięty pożyteczną myślą: "Kristofowicz, a ty o Pisariewie słyszałeś? Ten umie bronić kuchennego garnka! Jego poczytaj. Co tam ballady, Wallenrody! Bez nich można żyć — bez kaszy nie można". Uśmiechnął się dowcipnie.

Rozległ się dzwonek. Brodaty "batiuszka" w kloszowej szacie z krzyżem na piersi i dziennikiem pod pachą, wyszedł z klasy.

---

*) Rondel do gotowania jest ci droższy; ugotujesz sobie w nim kaszy.

Wymienili z Bielkinem chłodne ukłony z daleka. "Nie lubię tych pijawek ludu rosyjskiego" — mruknął literat. Kiwnął Kazimierzowi głową i odszedł.

W kilka dni po tym zdarzeniu pan Dubowski zagabnął: "No, jak Mickiewicz? Co teraz czytasz?" Kazimierz spuścił głowę. "Jeden nauczyciel, Moskal, widział jak ja "Wallenroda" czytałem... Powiada, że on "Dziady" woli... Tylko romantyzm się przeżył". Pan Dubowski zdjął binokle. "Aha. "Dziady" lubi. Znaczy, że umie po polsku... Chytry szpak! Romantyzm się przeżył... Postępowiec? Pewnie jeden z tych bezbożników spod znaku *Sowriemiennika* *). Tak. On popów nie lubi". "No, widzisz — pan Dubowski był zadowolony z własnej przenikliwości — Ale ja ci nie radzę wdawać się z nim w konfidencję. Uprzejmość wrogów jest niebezpieczniejsza od szykan". Popatrzył ciepło na osowiałego chłopaka. "Moje dziecko — westchnął — żyjemy w tak okrutnych, nieludzkich czasach... Czegóż wy, młodzi Polacy, bez własnego monarchy, bez wolności, spodziewać się możecie od losu? Drugorzędnych posad i pierwszorzędnych szykan. Życie publiczne jest dla was właściwie zamknięte. Tym bardziej winniście pielęgnować język i tradycję, bo tylko w domach waszych zamki wasze, jak mówią Anglicy". Zażył tabaki z pudełeczka Emilii Plater. "Chciałbym, żebyś na wakacje przyjechał do nas, do Brusewicz. Myślę, że nieźle byś odtworzył "Wiesława"... Ambicją moją jest, aby co roku młodzież odegrała w naszym domu przynajmniej jeden polski utwór klasyczny".

Oblizał się smakowicie. "Muszę ci poza tym powiedzieć, kochanku, że takich bigosów i barszczyków, jak w Brusewiczach, mało gdzie w Koronie i Litwie popróbujesz... Ja ich, niestety, nie jadam, bo na katar żołądka cierpię. Ale zapach tych dań jest także poezją polszczyzny".

Drzwi frontowe skrzypnęły: Krzyżanowski wracał z biura. Pan Dubowski nerwowo się zmarszczył. "Mój Kaziu — przywołał go bliżej, żeby mówić szeptem — proszę cię, staraj się nie drażnić pana Krzyżanowskiego. Ja osobiście nawet nie bardzo lubię takich gwałtownych ludzi... Ale nie zapominaj, że kanonik Lwigórski, przyjaciel twego czcigodnego śp. ojca, sam wielki patriota, tutaj ciebie umieścił. Z pewnością chodziło o to, żebyś ucząc się w prawosławnym gimnazjum, nie zapomniał o Polsce. Pan Krzyżanowski...". Kazimierz przerwał: "Wiem. Czerkiesi jemu matkę stratowali. A tylkoż on, Jagusia mówi, tej matce, póki żywa była, pozwalał z głodu zdychać". Pan Agenor zamachał dłońmi nad głową z niesmakiem i zniecierpliwieniem. "Ach, ten Milo! Jakaż to papla! Ale, kochanku, ja co innego miałem na myśli, o czym ani Jagusia, ani Milo nie wiedzą. Ty jesteś chłopiec poważny, więc tobie powiem. Słuchaj, Kaziu: pan Krzyżanowski stał blisko Rządu Narodowego w r. 1863-im. On się bardzo narażał. I teraz też jest sta-

*) Postępowy periodyk rosyjski.

le zagrożony, bo pozostaje pod nadzorem policyjnym... Rozumiesz? Takim ludziom, mój drogi, trzeba wiele wybaczać". Kazimierz nie miał ochoty wybaczać Krzyżanowskiemu. "On nawet swojej żony i dzieci nie lubi" — mruknął. Dubowski już manipulował orłem i perłą; zabierał się do odejścia. "Moje dziecko, trudno się dziwić. On tak kocha Polskę! — uśmiechnął się — Kiedy ja byłem młody, także mi się zdawało, że w jednym sercu można cały świat zmieścić. Niestety! Większość ludzi ma serce maleńkie". Westchnął. "Bardzo, bardzo maleńkie"...

Po wyjeździe Dubowskiego Kazimierz poczuł się wielce bezradny. Żałował, że nie rozmówił się z nim szczerze. Ale właściwie na jego kłopoty nie było chyba rady... Matki nie usłuchał i nosił przy sobie nóż. Co z tego? Nic tym nożem nie dawało się przeciąć.

Nastały odwilże, śnieg ubity w kopy na skraju chodników, topniał i rynsztoki wezbrały, a wiatr tak silnie popychał, jak gdyby moce niebieskie nie mogły już dłużej znieść ludzkiej powolności.

Lekcje języków z Anną były przyjemne; ładne i ciekawe książki czytali, których często nie rozumiał, ale zawsze lubił patrzeć na jej usta, starannie wymawiające obce wyrazy, i na falujący stanik. Rozmawiać z nią o rzeczach prawdziwych nie mógł, bo między nimi stała, żenując go i śmiesząc, "kuzyna Cecylia" z bukietem kwiatów. Mówili więc o Laokoonie i o Athalie.

Matka napisała: "na służbie swoją powinność spełniłeś". Ks. Lwigórski na spowiedzi powiedział: "noża użyłeś w obronie własnego życia. Nie *chciałeś* chyba zabić tego człowieka, co?" Kazimierz zapewnił był, że nie, ale teraz zaczął znowu przemyśliwać: chciał, czy nie chciał? Ruch za ruchem, usiłował odtworzyć całe zdarzenie od chwili gdy Hryć zdzielił go pełnym worem w głowę. Jedyne, co dobrze pamiętał, poza gorzkim smakiem soli i strachem, czy matki nie wyrzucą z Leśnictwa, było to, że się potknął o korzeń i że kaftan mużyka śmierdział łojem.

Któregoś dnia, na lekcji matematyki, przypomniał sobie dalszy szczegół: ocknąwszy się, chyba dużo później, bo zmierzchało, z policzkiem przy ziemi, widział kątem oka opór, jaki bezwładny Hryć stawiał Rokiciukowi w jego wysiłku oparcia go plecami o drzewo... Profesor wezwał go do tablicy. Szedł przez klasę, a jednocześnie oglądał siebie samego, dźwigającego się z ziemi na łokciu... słyszał niepokój w swoich cichych słowach: "nuże, siadaj!" Wypisując wzór, teraz dopiero ujrzał wyraźnie, jak Rokiciuk odwraca się i obnaża zęby w chytrym uśmiechu: "onże, panyczu, martwy". Martwy. Jeśli martwy, po co o nim tyle myśleć, jak nigdy o żywym nie myślał?

Zwątpił o skuteczności noża, odpasał go i wrzucił z powrotem do kufra. Wieczorami, narzuciwszy na mundur grube ber-

nawczyckie okrycie, wymykał się do kościoła. Tam zawsze jakieś komże bielały po ciemnych kaplicach, zawsze ktoś w ławkach dzwonił różańcem i podnosił łzawy głos z prośbą bardziej naglącą, niż pogróżki. Tu było jedyne miejsce, gdzie mógł, nic nie udając, być durnym niedołęgą, synem brzydkiej matki i ojca—bohatera. Ukojony, bił się w piersi, nie tylko za to, że nie lubił Hrycia, którego przyszło mu zabić, ale i za to że uwielbiał Kuriaginych, a nienawidził Krzyżanowskiego, podpory Rządu Narodowego w roku 1863-im. Ponieważ modlitwy sprawiały mu rozkosz, za nie także zaraz Boga przepraszał; wtenczas szczęście robiło się doskonałe.

Któregoś dnia — było to w Poście, po gorzkich żalach — u wyjścia ktoś go pociągnął za rękaw. Obejrzał się i zdrętwiał... Garderobiana Izabelli Rawicz. Patrzyła na niego ciekawie, mrużąc paciorkowate oczy. "*Bonsoir*... Ja kawalera w Teatrze Osobliwości, z panem Dubowskim widziałam. *N'est ce pas?* A kawaler kto taki?" Dreptała obok, zadzierając ku niemu głowę. Przedstawił się. Wtedy złapała go pod rękę. "Krzysztofowicz? skąd?" — "Z Bernawczyc" (nie uważał siebie za przynależnego do Bobrówki). Stanęła. "Krzysztofowicz z Bernawczyc... Papie kawalera jak na imię?" Zduszonym głosem powiedział: "Piotr" — "Piotr Krzysztofowicz! Asesor! On papierki z Ujezdu przywoził do Druwieniec w torbie takiej dużej czarnej... To on jest kawalera *papa?*" Ten sam wstyd, co w Brześciu, kiedy Regina z panią Wrońską szeptały o ojcu i hrabinie Izabelli, ta sama niechęć, która w Bobrówce odrzuciła go od ojcowskiego pamiętnika, sparaliżowały Kazimierza. Zamiast objaśnić dlaczego ojciec już teraz papierków z Ujezdu w czarnej torbie nie wozi... skinął głową.

Mathilde pociągnęła go pod latarnię. "Rzeczywiście... Chociaż oczy inne, po ustach można poznać. Kawaler ma takie usta, jak *Pafnuce*... Głodne". Otrząsnął się: "Mój ojciec był Piotr, nie Pafnucy". — "Był? Czy on już nie żyje"? Ponieważ milczał, załamała dłonie: "Ach, jaka szkoda, *mon Dieu*, jaka szkoda. On tak kochał *Madame la Comtesse*... Żeby on tu był w Warszawie, jabym nie musiała teraz łyżek *Mme la Comtesse* do lombardu nosić... Ona nawet prosić jego nie potrzebowała. Tylko, bywało, spojrzy na niego albo westchnie; *Pafnuce!*... i on, biedny, pędzi, leci, papierki odwozi, klejnoty zakopuje przed Ruskimi, potem odkopuje, do lasu pieniądze wywozi, do powstańców po nocy ją wiezie, Bojarskiego tego — *ce bandit, ce rustre abominable!* — wykupić pomaga... *Ah, quel homme, quel brave homme, ce Pafnuce!*" Drętwota Kazimierza przemieniała się w gorączkę. — Klejnoty!... Więc ten skarb jakiejś hrabiny, który ojciec z narażeniem życia ocalił od sekwestru, aby, rzekomo, zasilić powstanie, to było *to*... Przez ściśnięte gardło wykrztusił: "Dlaczego... wykupić"? "Ah, ah, ah! — zatrzepotała się — bo powstańcy Bojarskiego na śmierć skazali! Za to, że on zamordował starca nadleśnego — Eclair? Elliclair? — który Traugutta u siebie ukrywał". Wstrząsnął się tak

mocno, że jej ręka, wsunięta pod jego ramię, opadła. "Czy ja coś złego powiedziałam? *Oh, mon Dieu!*" Bez słowa przyśpieszył kroku, ale ona wytrwale przy nim biegała. "Kawaler! Ja coś powiem... Kawaler! Dobry Bóg z pewnością *papa* kawalera niebem wynagrodził za jego miłość taka wielka dla *Mme la Comtesse...*" Serce mu się ścisnęło na wspomnienie słów Lwigóry: "Śp. asesor miłością swoją do ojczyzny na wczesne niebo zasłużył sobie u Boga".

Szarpnął się, przebiegł jezdnię i wpadł do jakiejś bramy, żeby tam w kącie zapłakać.

XIX

Ku uciesze Mila, Kazimierz często teraz, w ciągu posiłków, przegapiał okazje dobierania potraw, zwiększając w ten sposób jego szanse. Nos ciągle trzymał utkwiony w książkach; przynosił je nawet do obiadu, póki Krzyżanowski nie bluznął: "Kazimir Piotrowicz chce być tym pierwszym Polakiem, który dostanie złoty medal w prawosławnym gimnazjum w Warszawie... Szlachetna ambicja! Ale w moim domu kacapskie maniery przy stole nie są tolerowane. *Póniali?*"

Zbliżała się katolicka Wielkanoc, Milo uczęszczał na wieczorne rekolekcje w kościele. Ponieważ przed wyjściem pomadował konopiastą grzywę i zlewał się wonnościami, przez korytarz pomykał chyłkiem; ale i tak córeczki podejrzliwie pociągały nosami. Któregoś dnia kuksnął Kazimierza: "Te! rabin... Możebyś tak się ze mną wypuścił? We dwuch raźniej". — "Na szkolne rekolekcje trzeba w mundurze... Po co mam się narażać na nieprzyjemności"? Milo przymrużył oko. "W mundurze? Na pewno"? — Uchylił mundurowego płaszcza, pod którym krył się modny tużurek: "Na moich rekolekcjach nie tylko mundur, ale i portki niepotrzebne. A płaszcz się po drodze zostawia u znajomych". Kazimierz się nie odzywał, odwrócony plecami, więc Milo wielkodusznie dodał: "Nie chandrycz się! *Ja* stawiam".

Kazimierz może by i poszedł, żeby nie spotkanie z *Mathilde*. Wszystko co cielesne i tajemnicze zrobiło się nienawistne od tamtej pory. Spoglądał na swoje usta w lustrze i chmurzył się: dla czego powiedziała, że są "głodne"? Podobno ojciec miał takie same. Ojciec? Nie ojciec, tylko Pafnucy... Niedoczekanie, żeby k . . . y miały się śmiać z jego głodu.

Milo wywnioskował, że "litewski miglanc" zadziera nosa, bo się gdzieś urządza prywatnie.

Tymczasem Kazimierz nawet na Miodową posłał karteczkę przez Jaszę, że nawał wypracowań domowych pod koniec dru-

giego kawartału nie pozwala mu na lekcje języków, ani na niedzielne wizyty. Kiedyś, w garderobie Kuriaginych, trafił mu się grzebień z pasemkiem długich włosów Anny. Zdjął je i schował był między kartki notatnika. Później często wyjmował notatnik i węszył nikły zapach. Teraz wyrzucił włosy; ich widok przyprawiał go o mdłości.

W szkole, gdyby powakacyjny zapał jeszcze ożywiał profesorów, jego dystrakcje zostałyby wreszcie wpisane do dziennika, jako "karygodny brak zainteresowania nauką". Rzeczywiście; odkąd się dowiedział, że ojciec był nie bohaterem, lecz powolnym narzędziem wariatki, interesował się tylko swoją klęską. O pogrzebie ojca wśród cichych hołdów i łez społeczeństwa myślał z tęsknotą, jak o smutnej, ale szczęśliwej godzinie. Żal o przedwczesne odejście zamienił się w pogardę za oszustwo. Teraz dopiero ojciec umarł naprawdę; na dzisiaj, na wczoraj i na zawsze.

Zamiast niego zjawił się żałosny Pafnucy...

Zerkając przez ramię w bazgroły Kristofowicza, Fiodor Nikitycz uśmiechał się ironicznie: zmienny Polaczek; już ani śladu patriotycznych fantazji. Zamiast "Polszczy" — łańcuch imion: Kaziuk — Kazimierz — Kazimir Piotrowicz — Casimir — syn Pafnucego, Pafnucy. Pafnucy, to jest drugie imię Kristofowicza, a także jego ojca — notował w pamięci wychowawca. Narcyz! Ani jednego imienia kobiecego. Ani jednego serduszka ze strzałą...

Ale kobiece imię w końcu się pojawiło: Izabella. Od niego, jak promienie ze słońca biegły w dół, do pełzającego, chudego psa, słowa: "Pafnucy, *apporte!*"

Fiodor Nikitycz zmarszczył nos: zgnilizna.

Ten rysunek wypadł z brulionu którejś niedzieli popołudniu na Złotej, kiedy Kazimierz próbował pisać na brudno list do matki — i nie znajdował słów. Chciał wyrazić rzecz niemożliwą: wyrzec się ojca, który ją zdradził, a jednocześnie nie urazić jej miłości do zmarłego. Spocony, z pustką w mózgu, ze skurczem w sercu, spojrzał na psa Pafnucego i gorzka fala litości zgasiła pogardę. Wspomniał zgryzioną twarz, roztargniony wzrok, zawstydzone milczenie... Nieszczęsny! Niczego, prócz wzgardy, nie doczekał się Piotr Krzysztofowicz za swoją "miłość taką wielką"...

Kazimierz wstał i rzucił się na łóżko. Wkrótce usłyszał zgrzyt klucza we wnęce stołowego pokoju. Była tam śpiżarka, którą Krzyżanowski zawsze sam przed wyjściem z domu zamykał, ku rozpaczy Mila. Milo wszakże już od rana udał się do wujenek. Córeczki gorliwie tupały po korytarzu, spełniając liczne rozkazy "ojczulka", pani Magdalena długo coś szemrała. Kilkakrotnie przerywał, aż wrzasnął: "A ja ci mówię, niech Jagusia siedzi w domu, i basta! Nie chcę, żeby mi ten Poluszuk tutaj sam się szarogęsił w mieszkaniu..." Pochlipując, Jagusia trzasnęła drzwiami od kuchni. Jeszcze chwilkę się kotłowali; — ucichło.

Kazimierz został z zaciśniętymi pięściami. Polubowne uczu-

cia pierzchły. Podły! Podły! Dźgał nieobecnego Krzyżanowskiego imaginacyjnym nożem. Po chwili przecież spostrzegł się, że kaleczy inne ciało. Ojciec pisał w pamiętniku:... "żal, że rękami moimi własnymi Bojarskiego mnie zadusić nie zdarzyło się... "Popatrzył na swoją własną, zaciśniętą pięść. Ciekawe, czy ojciec wiedział, że Bojarski zamordował dziada Elichwira?

Zerwał się i otworzył kufer. Przewracając bieliznę natrafił na akt darowizny Wrożyszcz. *Jacobus, Petrus, Casimirus, herbu Ślepowron, Krzysztofowicz...* Ostygł; wydobył dokument. Jakże niezmiernie wiele się zmieniło odkąd matka włożyła mu ten papier na dno kufra... Żywi i umarli się zmienili. On sam ciągle się zmieniał. Kiedy pierwszy raz szukał w kufrze noża, myślał o Krzyżanowskim. Później o nauczycielu, Moskalu. Teraz — o Bojarskim. Zmiął papier w garści; gniew znów się w nim zagotował. Ojciec gnije w ziemi, ale tu gdzieś, o parę ulic, morderca Elichwira śmieje się z Pafnucego, że pomógł wariatce wykupić go od śmierci...

Kazimierz drżącą ręką dotknął swoich ust. Nie; nie były głodne; były mocno zaciśnięte i twarde.

Szybko rozejrzał się po pokoju, wyjął z szafy bernawczycki surdut, narzucił na siebie; pchnął okno i bez czapki wyskoczył.

Kiedy przed Teatrem Osobliwości, pan Dudowski z *Mathilde* wsadzali do dorożki płaczącą Izabellę, słyszał adres: Chmielna 4 — i słowa garderobianej: "Cicho, cicho... już wracamy do domu... *do Bojara*".

Szedł normalnym krokiem. Anisja dobrze powiedziała, że duchy zmarłych po pewnym czasie opuszczają swoich bliskich; był sam, bez ojca — odpowiedzialny tylko przed sobą: nie potrzebował się śpieszyć. Musiał najpierw zrozumieć siebie i swój obowiązek.

Czy wolno wnukowi *prawdziwego* bohatera, który ukrywał Traugutta, mordować ludzi nożem?

A jeżeli nie, czy synowi baronówny, szlachcicowi, wolno wyzywać na pistolety bandytę?

Nic jeszcze nie wiedział, kiedy już dotarł do stróża domu Nr 4 przy ulicy Chmielnej. Bąknął: "na którym piętrze mieszka hrabina Rawicz?" Usłyszawszy, że na pierwszym, numer lokalu 3, przez chwilę walczył z niedorzeczną chęcią spytania: czy pan Bojarski jest także hrabią?

Odprowadzony niechętnym spojrzeniem, zapuścił się w klatkę schodową. Na półpiętrzu stanął... Miał obowiązek pomszczenia ojca i dziada. Ale czy naprawdę chciał zabić?

Dzwonek, pociągnięty za taśmę, długo się z brzękiem kołysał, zanim *Mathilde* zapytała przez drzwi: Kto tam?

Sień zastawiona była kuframi i szafami, na których pod sufit piętrzyły się różne przedmioty. *Mathilde* nie wyglądała zdziwiona. "*Ah, quelle bonne idée!* Pani hrabina się ucieszy. Ja jej opowiadałam, jak myśmy z kawalerem się spotkali... I o *papà*".

Minąwszy kilkoro drzwi, podprowadziła do ostatnich na le-

wo: "*Madame* jest dzisiaj bardzo grzeczna. Ale nie trzeba się z nią spierać". Uderzony falą ciepła i mocnych, zmieszanych, zapachów, w pierwszej chwili nic nie mógł w półmroku rozróżnić. Czuł tylko, że ktoś na niego patrzy, i że w pokoju są zwierzęta. Wzdrygnął się, gdy jedno skoczyło mu na ramię, a maleńka chłodna rączka dotknęła czoła. Od strony okna papuzi głos wrzasnął: "*Fi donc, Toto*" — z nieoświetlonej głębi odpowiedział śmiech kobiety.

Mathilde zapaliła świecznik na konsoli; oświetlił lustro, a w nim Kazimierza z małpą na ramieniu. Spędziła ją i poszła machać chustką na papugę w klatce. Potem dźwignęła świecznik i ustawiła przy niskim łożu, opartym na czterech łapach z bronzu. "Kto to taki?" — Izabella przeniosła wzrok z Kazimierza na *Mathilde*". "*M*^{me} *la Comtesse* nie poznaje? Młody pan Krzysztofowicz był z Dubowskim w Teatrze Osobliwości". — "Aaa... *Pafnuce*". — Podniosła do ust rękę bez pierścieni, piękną, szarą, jak gdyby srebrną. Ziewnęła. Otuliła się wypełzłą narzutką i, spuściwszy bose nogi na dywan, siadła prosto. "Proszę podać mi patynki". *Mathilde* sięgnęła pod łóżko po parę przydeptanych, czerwonych trzewików. Izabella trzepnęła ją po ręku: "Czy ty jesteś *Pafnuce?"* Gdy Kazimierz nie ruszał się, wydęła usta: "Ja doskonale wiem, że kawaler nie jesteś Pafnucy, tylko jego syn, ale patynki podać można". Schylił się, podał i dopiero wtedy zgorzał ze złości na siebie. Ona zaś, obuwszy stopy, wstała — duża, lekka — i chwyciła za grzebień. Z jej łachów bił czysty zapach, walcząc z odorem małpy.

"Czemu zawdzięczam honor"? — wstrząsnęła głową; srebrno-rude włosy rozsypała się po plecach. "*Les Pafnuces de nos Pafnuces ne sont pas toujours nos Pafnuces*... Nieprawdaż, Matyldo"? Miała mowę płynną, jak gdyby dyktowaną. Nie patrzyła na nikogo, a mimo to czuł się uwięziony w jej wzroku. Milczał; posłuchała tego milczenia i czesząc się, mówiła dalej: "Kawaler — jak imię? — Kawaler Krzysztofowicz przyszedłeś z bliska zobaczyć wariatkę, którą ojciec twój do lasu po nocy woził i z klejnotów obrabować nie poważył się... *Eh, oui!* Pan Piotr Krzysztofowicz z Powiatu. Nieboszczyk". Zaśmiała się. "Dla mnie zawsze on był nieboszczyk. Kawaler rozumie? Taki co za życia w niebie przebywa. *Pafnuce*". Wzięła z komody fiolkę i wcierała sobie za uszy jaśminowy olejek. "Niektórzy udają nieboszczyków dla tego, że boją się żyć" — skrzywiła wargi. Przysunęła do twarzy Kazimierza wielkie, płynne oczy, które nagle stężały: "Rozumiesz? Boją się! I dlatego tych, co się nie boją, nazywają bandytami, albo wariatami". Złapała go za ramię: "Albo trupami... — popchnęła go. — Ale to łgarstwo. Łżesz, Pafnucy! Mój Bojar żyje i, póki ja zechcę, on żyć będzie".

Papuga wrzasnęła: "Bo-jarr! Bo-jarr!"

Toto przestał się iskać na dywanie i wskoczył na łóżko. Izabella wtedy odwróciła się... Jak fryga, chwyciła pejcz i zdzie-

liła małpę: "Pójdziesz! Nie wolno szarpać Bojara... Zmęczony".

Teraz dopiero Kazimierz zobaczył, że na łożu, od ściany leżała długa postać w czarnych atłasowych spodniach i białych pończochach. Izabella poufale skinęła: "Proszę bliżej? Bojar ma mocny sen. Można patrzeć". Uniosła w górę świecznik...

O Boże!... Był kukłą o woskowej twarzy z kruczą peruką i czerwoną kresą na obnażonej piersi... W blasku świec zalśniły porcelanowe oczy i pierścień na drewnianym palcu. "Prawda, jaki piękny mój Bojar?" *Mathilde* wyjęła świecznik z drżącej ręki. "*Mme la Comtesse* zapomina, że mówi do dziecka". Kazimierzowi zęby szczękały. "Do dziecka? — Izabella wzruszyła ramionami. — *En effet*... Co syn nieboszczyka może widzieć o życiu". Skinęła głową: "*Adieu. Bonne chance*, mój Pafnucy".

Oprzytomniał dopiero na nieznanym sobie przedmieściu. Stanął wśród parkanów szosy wysadzanej drzewami, które szumiały do wilgotnego, marcowego nieba, i przeżegnał się, jak na cmentarzu. Kobiecina w chustce wyminęła go. Naprzeciw szło dwuch mężczyzn, kurząc papierosy. Nie śmiał pytać o drogę... Mogły to być upiory, albo kukły, ciągnione za sznurki przez niewidzialnych wariatów... Na polu za rowem leżała kłoda; tam usiadł i otarł zimny pot z czoła. Czas sprzed paru godzin odsunął się w nieskończoność; nie miał pojęcia po co w ogóle wyszedł z domu. Raptem uprzytomnił sobie, że zostawił okno otwarte... Trzeba czym prędzej być u siebie, zanim Krzyżanowcy powrócą. Pomyślawszy tak, podparł głowę na ręku i zasnął. Zbudził się niemal jednocześnie, czując, że w ciągu sekundy zapadł na jakieś dno, gdzie leżał drewniany Bojarski, i wynurzył się z uczuciem nieopisanej ulgi: nie musiał znowu zabijać. Zerwał się i zawrócił w stronę miasta.

Biła dziewiąta na Strażackiej Wieży, kiedy, zdrożony, zbliżał się do Złotej. Niestety, bał się Krzyżanowskiego. Ale było ciepło... może otwartego okna nie zauważono? W odległości kilku sążni od domu zatrzymał się, bo uderzyły go dwie rzeczy: po chodniku kręciło się paru żandarmów w błękitnych szynelach; przed bramą stała dorożka z zapuszczoną budą.

Chyłkiem przemknął na podwórze i struchlał: w oknach Krzyżanowskich wszędzie się świeciło, na ścianie stancji dostrzegał cień głowy Mila. Skoczył — pchnął okno — ustąpiło — wpadł do wnętrza.

Na wprost uchylonych drzwi do stołowego, osłupiały Milo gapił się na coś. Poduszki i sienniki leżały na podłodze, książki zaś na łóżku. Nie odwracając wzroku, Milo dał znać ręką: "Cicho, byku! Rewizja"...

Ale swoim skokiem Kazimierz już narobił hałasu; zza uchylonych drzwi zjawili się żandarmi. "Co za jeden"? Milo niedbale bąknął: "To ten... z I-go gimnazjum... grafa Kuriagina wychowanek... którego książki były przeglądane" — "Dla czego nie w szynelu"? Milo spuścił oczy: "Nie wszędzie w szynelu uczniowskim puszczają... Ty, pokaż bluzę". Kazimierz

uchylił bernawczyckiego surduta — błysnęły srebrne guziki. Podczas gdy sceptyk się srożył, entuzjasta — wielki drab z niespokojną twarzą — pchnął Mila, chwycił jedną z książek rozsypanych na łóżku i, odwróciwszy ją, z daleka pokazał Kazimierzowi. "Co to za książka?" — wrzasnął. "*Minna von Barnhelm* Lessinga" — wyrecytował Kazimierz. "Czyja to książka?" — "Pożyczona mi z biblioteki prywatnej grafa Kuriagina przez moją ciotkę, baronessę Eichler". — "Dlaczego została tobie pożyczona ta książka"? "Ciotka moja udziela mi lekcji niemieckiego, a, mieszkając jako nauczycielka jego dzieci, u grafa Kuriagina, ma pozwolenie korzystania z jego biblioteki". — "Kiedy?... — entuzjasta upajał się dialogiem, ale sceptyk wyjął mu z ręki *Minnę von Barnhelm* i rzucił ją z powrotem na łóżko: "Dosyć. Dyrekcja I-go gimnazjum zostanie uwiadomiona, że uczeń, Kazimir Kristofowicz, uprawia wieczorne wycieczki na miasto bez przepisowego szynelu". Wrócili do stołowego pokoju, zostawiając "Wallenroda" w rańcu, resztę dzieł Mickiewicza wyscko na kaflowym piecu, a drzwi szeroko otwarte.

Za progiem, na fotelu siedziała pani Magdalena w wizytowej sukni, tuląc do siebie córeczki. Z wnętrza ceratowej kanapy zwisały flaki — ktoś ją wypatroszył. Pod kredensem stał Krzyżanowski z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z wąsami na sztorc; w długim surducie wydawał się wyższy. Z dwuch dalszych, bardzo zapracowanych, żandarmów, młodszy siedział przy stole, badając zawartość szuflady, wyjętej z serwantki; starszy — gruby — wyciągał ze śpiżarki w murze słoiki z konfiturami i oglądał pod światło lampy. W miarę, jak je odstawiał, pani Magdalena coraz bardziej kurczowo przyciskała do piersi głowy córeczek. Raptem łakoma twarz grubasa zapaliła się; zerwał papier woskowy ze sporego słoja, chciwie zanurzył rękę i — zamiast garści rydzów, jak się Kazimierz spodziewał — wyciągnął ciasno związany pakiet. "Szyszkin! proszę tutaj"! Młodszy służbiście podbiegł. Szybko odwiązali tasiemki, rozwinęli ceratę, potem jakąś płachtę... na stół wypadły ze stukiem dwa małe przedmioty. Młody chwycił je i zajaśniał: "Oneż i są, *Wasze Błahorodje!* — zwrócił się do sceptyka. — Te same"!! Zaczęli z grubasem wyrywać sobie dwa trójkąciki zaopatrzone w drewniane trzonki. "Proszę popatrzeć, *Wasze Błahorodje!* — gorączkował się młody. Wszystko, jak należy. Orzeł... Pogoń... Anioł... Typowe pieczątki tzw. "Rządu Narodowego". Triumfalnie i drwiąco potoczył wzrokiem po obecnych.

Pani Magdalena osunęła się z fotela na podłogę; córeczki zakwiły, ale Krzyżanowski w tę stronę nie spojrzał. Podczas gdy Milo i Kazimierz, wypadłszy ze stancji, cucili ją wodą z karafki, schylił się i podniósł z ziemi płachtę — dwukolorowy, prostokąt ze zniszczonej i brudnej materii. Usta pod sztywnymi wąsami rozciągnęły się w długą, cienką linię; w oczach miał coś boleśniejszego i suchszego od łez... chyba dumę.

Tymczasem sceptyk odwrócił lisią mordę od pieczątek. Popatrzył na Krzyżanowskiego... "Pan jest aresztowany. Proszę oddać ten gałgan". Krzyżanowski nie drgnął. Podbiegł młodszy, z zaciśniętymi pięściami. Krzyżanowski podniósł wysoko to, co trzymał. "Boże, odpuść mi — powiedział, patrząc nad głowami — że jestem zmuszony oddać w ręce wrogów sztandar Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej". Entuzjasta szarpnął go za ramię — materiał napiął się i pękł... Kazimierz odczuł w sercu echo tego rozdarcia. Już miał się rzucić na entuzjastę, kiedy — jak zduszony głos statku we mgle — zabrzmiały słowa Krzyżanowskiego: "To ten poleski szczeniak, Magdziu, wyszpiegował i doniósł. Zapamiętaj to sobie".

Wyszedł, trzaskając drzwiami, w towarzystwie żandarmów.

XX

Wielka robotność i zdrowie Cecylii Krzysztofowicz zastanawiały samotnych mężczyzn w okolicy. Pan Dorkuć, szlachcic chodaczkowy na czterech dziesięcinach, wdowiec obarczony sześciorgiem potomstwa, parę razy zjawiał się na Leśnictwie z pękami upolowanych jarząbków i z prośbą o maść na fluksję. Goszczony wódką przez skorą do kieliszka Martynę, raz nawet, wodząc baranim wzrokiem za Cecylią, beknął:

A ptaszek śpiewa
Oto twa dziewa,
Czyściocha, tkaczka,
Prządka, śpiewaczka...

Anisja siadła na ziemi ze śmiechu nad taką "dziewą śpiewaczką".

Cecylia tych zabiegów nie zauważała, przejęta swymi dwiema rodzinami. Jedna — Kazimierz i Frania — wymagała stałego czekania na nowiny, stałej gotowości śpieszenia z ratunkiem. Druga — umarli — żądała ciszy serca, by mogła się zjawiać i czule towarzyszyć przy pracy, zarówno jak w spoczynku. Pogrążona w tak wiele spraw i zajęć wdowa pędziła w samotności bardzo pełne życie.

Pewnego wieczora na przedwiośniu Anisja, której różę niewrażliwą na zamawiania, wyleczyła okładami z parzonych ziół i wody święconej, wsunęła się do bokówki. "Pani — zaszeptała — pani... Rokiciuk zbiera się zdychać". Cecylia przeżegnała się: "Wstyd tobie, Anisja, o człowieku tak... Ty jego octem natarła"?

Stary olbrzym, nielubiany i przez chłopów i przez administrację za swoją nieuchwytność, po Bożym Narodzeniu zachorował, o czym wiadomość, rozgłaszana po rewirze upartym wyciem psa, nieprędko dotarła na Leśnictwo. Póki trzymały mrozy, Cecylia z koszykiem lekarstw i prowiantu co dzień przeprawiała się do jego leśniczówki po grubo zamarzniętych moczarach. Odkąd zaczęło tajać, posyłała lekką i zwinną Anisję. "Natrzeć tak natarła, a tylko on pani powiedzieć coś to chce..." Cecylia narzuciła kaftan, chwyciła ze skrzyni gromnicę i o księżycu pośpieszyły. Szczęśliwie, okrężne przejście przez łąki jeszcze nie odmarzło.

Gdy w chacie zapaliła gromnicę, z siwych kudłów wyjrzały oczy przytomne i ściągnięte bólem usta. Drugi kudłacz — pies, trząsł się w kącie; było cicho, zimno i nieświeżo. Przysunęła twarz do twarzy: nic nie usłyszała prócz świszczącego oddechu. Ale po chwili chłodna ręka dotknęła jej dłoni; spuściła wzrok i dojrzała, że leśnik wskazuje palcem ścianę. Podeszła tam z gromnicą: na kołku wisiała fuzja. Wydał skrzeczący dźwięk — wróciła. "Ja... ubił... Hrycia... ja ubił" — wyjęczał. Odwrócił głowę i — chrapnąwszy — usnął. Pies zaczął wyć, gromnica strzeliła wysokim płomieniem, lodowaty ciąg przewiał chatę. Zrozumiały, że to jest sen ostatni tego ciała, bo dusza właśnie uciekła. Anisja skoczyła do komina, nabrała na szuflę żużli i rozsypała po klepisku wkoło tapczana, by zagrodzić drogę do trupa bosym strzygom — krwiopijcom. Potem wyjęła z woreczka na szyi dwa stare polskie grosze i przycisnęła starcowi powieki.

Tymczasem poza jarzącym się czerwono kręgiem magicznym, Cecylia uklękła pomodlić się do pana Jezusa o odpuszczenie zmarłemu tego grzechu, który on zdjął z jej syna. Odmówiwszy litanię, zapatrzyła się z nabożeństwem w stygnącą twarz, żółtą w świetle gromnicy. "Niech ziemia tobie lekka będzie — zaszeptała — jak mnie teraz lekko po tym, co ty przed śmiercią powiedzieć mnie zachciałeś, nieszczęśliwy mój Rokiciuk"...

Umyły go, ubrały, okadziły ziołami, których jeszcze całe pęki zostały u pułapu. Pies ucichł, żużle zgasły, został siwy dym o świcie.

Kiedy, znużone, wracały, Anisja zagadała: "We wsi dawnym dawno mówili co panycz Kaziuk, widno, Hrycia nożykiem carapnął i upadł w zamroczenie. A Rokiciuk tedy do Hrycia tego strzelił przez którego on już raz mało miejsca swojego nie stracił, kiedy ten Hryć łania piekna u niego na rewirze psami do jamy zapędził, i ktoś to ono podejrzał i do Ministracji doniósł, a tylko ot, naczelnik policji od Hrycia tego skórek rysich, kunich i lisich nabierał się co nie miara, tak i do turmy jego sadzać nie pozwalał. Dlategoż Rokiciuk i bał się sam tego Hrycia zastrzelić; a tak na panycza ono poszło". Przytupnęła raźno i zaraz dalej mówiła, westchnąwszy: "Dobrze co panycza Rokiciuk tedy nie ubił... panycz jeszcze młody". Cecylia się wzdrgnęła: "Kaziuk

nic jemu nie był winien..." — "Winien, nie winien, Rokiciuk ludzi cierpieć nie mógł, a tylko zwierzyna i żywioła wszelaka on lubił... Panycza on nie lubił, a to panycz raz ptaszka, co na jajach siedziała, w lesie zastrzelił... on ojcu mojemu skarżył się". Cecylia oparła się plecami o sosnę; złożyła ręce i przez łzy patrzyła w znikający księżyc.

Kłaść się już nie było warto; przechodziła po podwórzu ten cierpki, poleski świt. W porze śniadania pocztarek przyniósł list od Kazimierza.

"Kochana Mamo!

Ja już nie mieszkam u państwa Krzyżanowskich. Mieszkam u grafów Kuriaginych. Cenzurę w drugim kwartale spodziewam się mieć nie taką dobrą, jak w pierwszym, bo było dużo turbacji. Ale przed końcem roku znów poprawię się.

Na Wiśle lody puściły, wiosna, mówią, będzie wczesna. Proszę kochanej Mamy nie martwić się; ja zdrów jestem, później obszernie napiszę.

Anna Michajłowna kłania się.
Pozdrów, Mama, Rodzinę.
Twój kochający syn
Kazimierz Krzysztofowicz".

Przeczytała i zapatrzyła się na wróble, szalejące ze szczęścia nad rozsypaną garścią pośladu... Jej szczęście z powodu tego, że Kaziuk nie zabił Hrycia, przesłoniło się chmurą warszawskiej "turbacji". Pierwszy raz w życiu poczuła pretensję do syna. O, gapa! Człowieka skaleczył i myśli, że zabił. O turbacjach pisze, ale czy matka potrzebna, nie wspomina. W samej rzeczy martwić się, czekając "obszernego" listu, nie miała chęci. Może ksiądz Lwigórski coś wie?... Dopędziła pocztarka i kazała mu powiedzieć pachciarzowi, żeby ją jutro zabrał po drodze do Bernawczyc.

Spakowawszy spóźnione dary wyprawne dla Frani, nazajutrz pojechała.

Tym razem furmankę zauważono z daleka, bo Frania wieszała bieliznę w ogrodzie. Rzuciła kołki, ale zamiast przed furtkę, pobiegła w stronę kuchni. Słychać było, jak woła ciotkę głosem wystraszonym. Po dłuższej chwili Regina w roboczym fartuchu zjawiła się na ganku, z powieką drgającą i zaciśniętymi ustami. Przywitała bratową, nie wyrażając zdziwienia, a pachciarzowi wyniośle rozkazała, żeby pakunki wniósł do sieni. Natomiast Cecylia osłupiała na widok spiętrzonych wszędzie skrzyń i tobołów.

W bawialce wszystkie trzy siadły na kuchennych stołkach — fotele gdzieś znikły. Regina odęła się ważnością. "Wyobrażasz sobie, bratowa, honor taki: Olutek translokata otrzymał do Warszawy! My, i owszem, wiadomość do Bobrówki podać zamyślali... A to ja dom sprzedaję i z młoda para do Warszawy przenoszę się niedługo".

Cecylia przymknęła oczy. Odkąd siostra nieboszczyka za-

częła w jego imieniu wydawać swoje dekrety, spokój rodziny zawsze wisiał na włosku. Ledwo pieniądze za dom i część mebli zostały — do pełnoletności dzieci — złożone u księdza Lwigórskiego, a zawiedziony Kaziuk odzyskał miejsce w świecie, potoczyły się nowiny o Frani. Na Wszystkich Świętych ogłoszono narzeczeństwo z Olutkiem i wesele po Wielkiej Nocy. W styczniu faktor dał znać, że ślub — cichy, bez wesela — będzie w pierwszą niedzielę karnawału; ponieważ zaś wilki włóczą się wzdłuż traktatu, asesorowa niech w drogę do Bernawczyc puszczać się nie waży. Assesorowa się nie poważyła, nie z obawy przed wilkami, tylko żeby Frani w łaskach u ciotki nie zaszkodzić. Teraz nie zdążyła wybielić wyprawnego płótna, ani ucieszyć się córką mężatką, kiedy już cały dom bernawczycki miał pierzchnąć... Pełno okrzyków cisnęło się na usta. Ale translokata do Warszawy była rzeczą pomyślną; Cecylia jeszcze raz zamknęła w sobie niewczesne żale i pytania. "Tak wy Kaziuka, znaczy się, niedługo zobaczycie" — westchnęła, spocona ze wzruszenia.

Na to Frania raptem skoczyła i uciekła z pokoju. Regina zaś przybrała obojętny wyraz. "Zobaczymy, a może być i nie zobaczymy" — zaczęła z niechcenia postukiwać obcasem. "Nie wiadomo czy mnie zechce się widzieć siostrzeńca, któren wobec swojej ojczyzny czyn tak szkaradny popełnił — (Cecylia bez dźwięku poruszyła ustami). Ot, pani Krzyżancwska, onaż krewna Wrońskich z Brześcia, pisze mnie w odpowiedzi na list, że kwatery dla nas w Warszawie szukać wcale nie potrzeba; jej stancję zwinąć kazali i lokal ona mnie wynająć może. Pan Krzyżanowski jest w więzieniu... z przyczyny Kaziuka. Kaziuk za to u ruskich grafów w rozkosze opływa". Przez chwilę słychać było tylko stuk obcasa i przyśpieszony oddech Cecylii. Wreszcie Cecylia wstała; ciągle o nic nie pytając, zawróciła ku drzwiom. "Mnie się zdaje, że Kaziuk czynu tego nie popełnił"... powiedziała z progu.

Ksiądz Lwigórski był u chorego; w kancelarii długo w samotności odmawiał różaniec. W końcu zobaczyła go; ubłocony, szedł wielkimi krokami po ścieżce. Przez cały ten czas słowa Reginy, jak kamienie, leżały na dnie serca. Gdy Lwigóra stanął we drzwiach, poruszyły się i zabolały... "Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał — Asesorowa taką minę masz, jakbyś się tu widma ,nie sługi Bożego, spodziewała..." Postąpił kilka kroków, rozpiął czamarę, którą nosił na sutannie i czegoś szukał po kieszeniach. "Skaranie Boskie z tymi matkami... Skądże pani w tej swojej dziupli bobrowskiej już o wszystkim dowiedzieć się zdążyłaś? Kaziuk sam napisał"? Coś niewyraźnie mruknęła. "Jest! — odsapnął, siadając i wyjmując spośród kartek brewiarza złożony arkusik. — Muszę przyznać, że kiedy mnie pierwsze słuchy doszły, przez pannę Reginę, ja także mocno się zalterowałem. Jakże to? Kaziuk? Sam go przecież do pierwszej Komunii św. przygotowałem... Do duszy mu, przez cztery lata, jak do czystej wody ,z konfesjonału zaglądałem..." Niecierpliwy

głos przerwał: "Jaki to czyn jego, powiadają, był szkaradny"? — "A ot, najlepiej sama, asesorowa, przeczytaj... To jeden mój znajomy wczoraj oddał mnie do rąk własnych". Ostrożnie wzięła arkusik. Pismo było czytelne ,choć drobne.

"Przewielebny Księże Kanoniku!

Czekałem pewnej okazji, by ks. Kanonika objaśnić o niefortunnej sprawie, której pocztcie powierzyć nie ośmieliłem się, a która jemu, jako opiekunowi duchowemu młodego Krzysztofowicza, jeśli już jest wiadoma — złe wieści, niestety, skrzydła mają — zapewne ciężko na sercu leży. Wezwany nagle do Warszawy dla przeniesienia Mila na inną stancję, gdy usłyszałem od pani Magdaleny, iż mąż jej aresztowany został na skutek donosu Kazia, piorun we mnie strzelił, albowiem w ciągu poprzedniego mego pobytu w stolicy o młodzieńcu tym opinię powziąłem jak najlepszą.

Szczęściem, szwagier mój, który, jak większość naszych panów ziemian, skwapliwie unika w Klubie Myśliwskim zadawania się z moskiewskimi satrapami, dał się przeze mnie uprosić i siadł do wista z oberpolicmajstrem. Ponieważ dobrze zna język rosyjski, rozmowę, zakrapianą szampanem, tak zręcznie poprowadził, że prawdę bez trudu uzyskał.

Dzisiaj szczerze kontent jestem, mogąc ks. Kanonikowi donieść, że nie Kazio, lecz gen. Snieżkin, którego syna, a kolegę Kazia, wielce szanowny, sangwiniczny nasz przyjaciel podobno źle kiedyś potraktował, że on to zażądał od policji raportu o właścicielu stancji na Złotej i u niego spowodował rewizję. Oberpolicmajster ze śmiechem opowiadał, jak jeden z żandarmów, łakomczuch, zainteresował się oczywista, śpiżarnią i "nadspodziewanie niestrawne", jak się wyraził, dowody rzeczowe wyciągnął ze słoja.

Ponieważ nazajutrz rano zmuszony byłem wyjechać, nie miałem jeszcze sposobności pani Magdaleny, ani nawet Mila, wyprowadzić z krzywdzącego błędu ,czego przy najbliższej okazji uczynić nie omieszkam.

Przesyłając wyrazy czci i przyjaźni, kreślę się Przewielebnego Kanonika oddanym sługą

Agenor Melchior Dubowski"

Lwigóra, który śledził na twarzy czytającej niepokój, przykrość i zadowolenie, dziwił się, że uczucia matki ,wywołane haniebną pogłoską o synu, mogą być tak spokojne. Odbierając arkusik, żartobliwie mruknął: "No i co? Już po nieszczęściu".

Dopiero teraz gwałtownie się poruszyła. "Jaż wiedziała, że nieprawda. Mnie tylko smutno było za Kaziuka, że ludzie nie wiedzą". — "A pani kto powiedział"? Patrzyła w okno, jak gdyby nie słyszała pytania. "Tak ono i jest: po nieszczęściu. Ksiądz pamiętasz, jak my z księdzem o nożu mówili, przez który nieszczęścia na służbie Kaziuka stała się? Że on nóż ten za sobą do Warszawy zabrał, którym, biedny, człowieka tutaj zabił... Że w Warszawie okazji do złości gdzie! więcej, niż w l

się..." Przeniosła olśniony wzrok z okna na twarz Lwigórskiego: "Kto mnie powiedział? Sam Rokiciuk mnie przed śmiercią powiedział. To nie Kaziuk, to on Hrycia ubił. Z fuzji..." Zmrużył oczy w blasku jej spojrzenia. "Tak? A to poganin stary! Z grzechem śmiertelnym na sumieniu przed skonem nie zawezwał kapłana. Pewnie też i do kościoła nie chodził"? — "Nie... — zastanowiła się. — Nie; nigdy z lasu nie wydalał się... A tylko on widno to wiedział, że bez spowiedzi Boga oglądać można, bez skruchy nie można".

Ksiądz otworzył usta... Zamknął je i nic nie powiedział. Rozmowy z Cecylią Krzysztofowicz były bezcelowe: nie pojmowała pytań, koszlawo wyrażała myśli. Wyglądało na to, że ważne wiadomości przenikały do niej bez słów i nie wszystkie pochodziły od ludzi. Zabierając się do odejścia, westchnęła i dodała jeszcze jedno osobliwe zdanie: "Żeby Hryć tego człowieka lubił, ten człowiek jego nie ubiłby..."

Po drodze do bramy medytował: pogadać z nią, czy nie pogadać o Reginie i Olutku? Kiedy stanęła na szosie, wielka, dostojna, z brzydką twarzą, przez którą, jak dwa kawałki nieba, przeglądały oczy nie z tego świata, ostatecznie poniechał zamiaru. "Proszę kłaniać się Frani" — powiedział.

Może przeczuwał, że właśnie w tej chwili Frania, pokłóciwszy się z ciotką, płakała. "Nie śmiej matki na noc zatrzymywać" — krzyczała Regina. — Zawsze ta szkaradna Augusta zakałą była naszej rodziny. Ojciec twój śp. sto razy mnie zaklinał, żeby ja jej przystępu do dzieci nie dawała, a to ona was na takich, jak sama, rarogów bez duszy i serca poprzerabia... Braciszka przerobiła? Tak? No, to teraz ty wybieraj: albo mnie trzymasz się i Olutka i przyzwoitego stanowiska w świecie, a tedy ja, może być, nawet Kaziuka z upadku podnieść popróbuję; albo z mamunią twoją naradzaj się, a tedy mnie ciotką nie nazywaj i z domu mego wynoś się choć zaraz".

Nie chciała rozmów Frani z bratową w obawie, by nie pokrzyżowały jej planów. W liście pani Magdaleny znalazła cenną informację: Kaziuk mieszkał u ruskiego grafa, kuratora I-go gimnazjum, a więc figury, która mogła, najpewniej, udzielić protekcji Olutkowi w staraniach o posadę nauczyciela szkół początkowych w Królestwie. Niczego więcej Regina nie była ciekawa. Warszawskie zdrady Kaziuka mało ją obchodziły. Jakiż czyn mógł popełnić szkaradniejszy, niż ten świętokradzki ruch, jakim zerwał z jej włosów różę, odzierając z urody i ze złudzeń osobę najwierniej i najszczodrzej sobie oddaną?

Jej nowe życie zaczęło się od włosów Frani. Któregoś wieczoru pod koniec smutnego lata, które nastąpiło po wybryku "ukochanego bratańca", siedziała w oknie bawialki, nadąsana, nieprzystępna, na wieki samotna. Stara altana, grób marzeń, różowiała nad rzeką w ostatnim błysku zorzy. Gdy ją omijała wzrokiem, gubiąc się w chmurach, usłyszała szepty i, tak bardzo sobie znany, skrzyp ławeczki. Spojrzała: przez wyrwę w kracie zobaczyła głowę z rozsypanymi płowymi włosami, która wydała

się jej własną głową, wspartą — niegdyś, niegdyś — na ramieniu hrabicza Michała... Miłość do tej głowy i tego ramienia zdusiła ją za gardło. To nie ja. — zawyło serce — to Frania i Olutek. Ale miłość nie zwolniła uścisku. Od tamtej chwili Olutek przyoblekł się we wszystkie uroki i wspomnienia, a Frania została "narzeczoną hrabicza".

Po tylu latach samotności stan narzeczeński nie mógł długo trwać — Reginie spieszyło się do ślubu. Dopiero gdy Olutek wniósł do domu swój odrapany sakwojaż, i trzeba było opuścić łoże małżeńskie nieboszczyka-brata, by, ustępując młodej parze, wrócić na panieńską górkę — zaczęły się rozczarowania. Franusia, póki była narzeczoną, lubiła opowiadać, co robił, lub mówił jej przyszły. On też szukał u ciotki poparcia w sprzeczkach i rady na panieńskie grymasy. Jesienią wszystko troje przesiadywali wieczorami na ganku, wdychając zapach maciejki, albo — jeśli deszcz padał — kładli pasjanse w stołowym. Często jedno ramię Olutka opasywało bujną kibić Frani, drugie — plecy Reginy. Ciche słowa, ciężkie słodkie milczenia były wspólną własnością. Po ślubie to ustało. Jeśli kolacja się przeciągała, Frania dostawała bólu głowy i uciekała do sypialni, rzucając mężowi ukradkowe, wcale nie bolesne spojrzenie. Olutek rozrzucał po domu karty i dziurawą garderobę; do Reginy zwracał się tylko wtenczas gdy schowała pędzel do golenia, albo kiedy nie miał tytoniu. Młodzi czasami dąsali się na siebie; śniadanie stawało kością w gardle. Nagabywana potem przez Reginę, o co im poszło, Frania wykręcała się od odpowiedzi. Raz przecież wybuchnęła: "ja cioci nie mogę tego wytłumaczyć, bo ciocia panienka"! Tak było przez cały karnawał; jak za młodych czasów, Regina czuła się w domu piątym kołem, a na wizytach siadywała z matronami na pluszowej kanapie, podczas gdy młodzi w drugim pokoju pląsali.

Aż w lutym Olutek zaczął wcześniej wracać z magistratu... Snuł się za nią po domu, wpadając w złość na widok Frani, którą zaraz wyprawiał z pokoju. Tę zmianę Regina przyjęła żarcikami i sercem zamierającym z wariackiej nadziei. Szyldkretowy grzebień i riuszki u brzegu rękawów znów ją ozdobiły na co dzień. Frania zrobiła się płaksiwa; a ciotka chodziła koło niej na palcach w błogim poczuciu winy.

Prawda nadeszła razem z Postem. Pewnego marcowego ranka zakołatał do drzwi pan burmistrz i uroczyście poprosił o rozmowę w cztery oczy z panną Reginą Krzysztofowicz. Naprędce uróżowanej i upudrowanej oznajmił: kontrola stwierdziła ponad wszelką wątpliwość, że sprawcą obserwowanych od przeszło roku niedoborów w kasie magistrackiej jest pomocnik kasjera, pan Aleksander Milejko, małżonek bratanicy panny Reginy dobrodziejki. Ponieważ chodzi o młodzieńca z dawna zaprzyjaźnionego z rodziną nieodżałowanej pamięci asesora, a ostatnio z nią nawet spowinowaconego, śledztwo toczyło się jak najsekretniej, a i teraz rozgłosu można będzie uniknąć, jeśli brak zostanie pokryty, a pan Milejko opuści Bernawczyce

Co wybrać? Z jednej strony Olutek padający do nóg, całujący ręce ciepłymi wargami, pycha z własnej władzy, dzikie sny, troski i strach.

Z drugiej strony dom pusty, obłudne towarzystwo kumoszek — wspomnienia... "A wiesz ty, rabo moja, co twoje imię znaczy? Ono znaczy: królowa" — tak hrabicz, uderzywszy, pożegnał na zawsze Reginę. Więc, jeśli nie Stokrótką być, to prawdziwą Reginą. "Brak zostanie pokryty" — szepnęła, mdlejąc, jak królowa.

Nastały, niczem po śmierci Piotra, czasy jej potęgi. Potęgi nawet jeszcze większej, bo chodziło nie o przyszłość, ale o dziś: o honor i majątek rodziny.

Kiedy Cecylia wróciła przed obiadem, Frani nie było. "Frania prosiła ekskuzować się! Do Brześcia ja jej posłała, do rejenta, po odpis aktu kupna posesji tej...". — Przy stole kuchennym Regina jadła samotnie kwaszelinę z chrzanem. "A Olutek gdzie"? — "W magistracie. Cóż? Wyższa władza każe, burmistrz zwolnić musi. A tylko jemu szkoda urzędnika takiego zdolnego, i wyzyskać jego na ostatek stara się". Zdjęła z półki drugi talerz. "Czym chata bogata, tym rada. W Bobrówce ja to sarny i bażanty".

Rozwiązawszy chustkę, Cecylia wzięła się do kwaszeliny. "A st, co do czynów Kaziuka"... zaczęła. Regina machnęła ręką: Wiem, wiem. Ksiądz Lwigórski wczoraj mnie po nieszporach mówił. Pożartować chyba można"? Cecylia odłożyła widelec. Żartować? — poczerwieniała — Znaczy się, o Franusi także art"? Regina się nasępiła; czyżby klecha pismo nosem zwąchał... "że co o Franusi?" — burknęła. "że jej w domu nie ma" — Cecylia była gotowa roześmiać się i otworzyć ramiona córce, wyskakującej z ukrycia.

Ale nikt się nie pojawił, prócz cieni minionego życia w domu, do którego wkrótce obcy ludzie wzbronią dostępu. Cecylii jakoś już nie chciało się opowiadać o Rokiciuku... "Franusia niech do mnie pożegnać się przyjedzie". Wstała i zawiązała chustkę. "Bóg z tobą, Regina. Dziękuję tobie za Frania" — poszła borykać się z kwietniowym wiatrem i na rozmokłej drodze wyglądać pachciarza.

XIX

Graf Kuriagin nie od razu przystał na prośbę Anny o ofiarowanie Kazimierzowi do końca roku szkolnego schronienia na Miodowej. Zajście na stancji ukazało siostrzeńca *Annchen* w świetle dramatycznym, którego nie lubił; którego aż nadto było w Warszawie; którego w domu swoim oglądać nie życzył so-

bie. Ofiarowując pomoc finansową, doradzał raczej doskonały internat, prowadzony przez żonę nauczyciela fizyki. Ale Anna nalegała; nie śmiał jej obrażać w czasie tak kłopotliwym, przed ślubem Lidii, kiedy wyprawę i tysiąc innych, nieznośnych dla hrabiny, spraw miała sobie poruczonych. Więc w końcu dał się przekonać, że towarzystwo pilnego, starszego ucznia dobrze wpłynie na Jaszę.

W dzień przybycia Kazimierza, które miało nastąpić wieczorem, Annie chwilami było straszno, jak w Petersburgu, po pogrzebie ojca, gdy sobie przysięgała, że nigdy nie opuści matki, nie wiedziała, czy wytrzyma. Ale popłoch szybko tonął w radości na myśl o rannych śniadaniach z *Casimir*, chrupiącym bułki olśniewającymi zębami, i o wspólnych z nim wyprawach na miasto. Przypomniała sobie fantazje sprzed pół roku na temat Sordella i uśmiechnęła się: o ileż bardziej swój własny okazał się *Casimir!*

Zabrzmiał upragniony dzwonek; budząc echa Anna zbiegła do marmurowej sieni. "Nareszcie!" — krzyknęła i cofnęła się... Z drewnianym kuferkiem na plecach, w grubym wiejskim paltocie narzuconym na szynel szkolny, stał przed nią młodzieniec, który wyglądał jak przebrany za wieśniaka, starszy brat Kazimierza — chmurny, nieprzystępny. Tak samo obcy, jak na dworcu Terespolskim, tylko że już teraz strasznie dla niej ważny.

Podniosła wysoko lichtarz, drugą ręką ujęła szeleszczącą spódnicę i poszła przodem, bez słowa, czując nerwami jego bliskość jak nadciągającą burzę.

Dano mu pokój mansardowy z dalekim widokiem na sady i dachy; choć nierównie świetniejszy, podobny do bernawczyckiej górki, z łamanym sufitem i grubymi murami. Ten pokój stał się magnesem nieustannych niepokojów Anny: czy wyszedł, czy wrócił? czemu tam tak cicho?

Kazimierz najchętniej wcale by go nie opuszczał. Przez kilka dni po aresztowaniu Krzyżanowskiego, sprawy toczyły się za szybko, albo za wolno; ludzie też, jak we śnie, mówili i robili rzeczy niedorzeczne. Wolałby teraz godzinami patrzeć na jesionową komodę, która ciągle jednakowo istniała.

W gimnazjum, siedząc w ławce od strony wolnego przejścia, jedną nogę trzymał na posadzce, gotów każdej chwili zerwać się na wezwanie pedla: "Kristofowicz, pan inspektor prosi." Dokąd-że to ty, Kristofowicz, chodzisz wieczorami bez szkolnego szynela? — zapyta krótkowzroczny inspektor, siląc się na zainteresowanie. — Do burdelu — odpowie Kazimierz, skoro prawda i tak jest niemożliwa. Wyrzucą go z gimnazjum, a w Bobrówce nareszcie wolno będzie milczeć. Tymczasem lekcja mijała za lekcją, dzień wlókł się za dniem, i pedel nie wzywał do inspektora. Żandarmi równie mało, jak inspektor, interesowali się rozpustą uczniów. Po tygodniu Kazimierz wciągnął nogę do wnętrza ławki. Uspokoiwszy się, zauważył, że koledzy dla niego grzeczniejsi, niż dawniej. Snieżkin, popchnąwszy

na korytarzu, mruknął "przepraszam", a Neumark, wręczając w roli dyżurnego kajet z klasówką, wyprostował miękką, korpulentną figurę, jak przed Fiodorem Nikityczem; dopiero w szatni zdobył się na drżące pytanie: "czy to jest prawda, że Kazik mieszka u pana kuratora"?

Rzeczywiście, u wyjścia czekał młody Kuriagin, z którym teraz Kazimierz wracał zawsze do domu, raz powozem, raz pieszo. Obiecał Annie "opiekować się Jaszą", i sam się czuł raźniej, idąc, zwłaszcza jadąc, z synem kuratora.

Dźwigał raniec i nie patrzył na Warszawian. Czasami usiłował sobie wyobrazić, że to jakieś cudzoziemskie miasto, zamieszkałe przez ludzi, których języka, ani historii nie zna. Głośno mówił po rosyjsku, śmiał się i przez chwilę było mu wesoło, jak gdyby go wypuszczono z więzienia. Ale potem, w pół słowa, Krzyżanowski ze swoim nieszczęśliwym, przedartym sztandarem zjawiał się przed oczami, wyraźniejszy od przechodniów. Kazimierz milkł, nie słyszał, co mówi Jasza, zapadał w wilczy dół wstydu i żałości. Gdyby można było za cenę życia uzyskać, że Krzyżanowski spojrzy życzliwie, rzuciłby się natychmiast pod kopyta koni.

Natomiast Jasza bardzo lubił te spacery. Dla niego Warszawa była miastem, gdzie zaczął mieć własne zdanie. Przyglądał się domom i ludziom z ciekawością eksploratora, który nie wie, czy warto mu rozbijać namiot na początku bardzo dalekiej podróży. "U Polaków chyba więcej szlachty, niż w Rosji — rozprawiał. — Wszyscy pchają się, nikt z drogi nie ustąpi. *Isz*, jakie to pałace pobudowali z gołymi figurami, z wazami i z girlandami na murach... I wieże u kościołów wysokie, śpiczaste, jakby Pana Boga w piętę chcieli łechtać... Ty mnie, Kazimir, zabierz kiedyś w gości do polskiego domu". Kazimierz kurczył się jak ślimak. Do którego domu miał go zabrać: do Krzyżanowskich, czy do wariatki Izabelli? "Ja w gości chodzić nie lubię" — mówił.

Tak pogadując, kroczyli raz Krakowskiem Przedmieściem, kiedy z ulicy hr. Berga wyłonił się Milo z jakimś drugim "realistą". Dopiero w odległości kilku kroków spostrzegł Kazimierza i zaraz przybrał roztargniony wyraz, kierując wodniste spojrzenie ku dachom. Ten drugi wszakże, przyjrzawszy się Kazimierzowi, o coś żywo zapytał, na co Milo kiwnął brodą i, z rękami w kieszeniach, przeszedł obok. Nieznajomy zaś przystanął, zbliżył się do Kazimierza, zajrzał mu z bliska w oczy, i nagle, z całej siły, uderzył w policzek. "Ty zdrajco" — powiedział. Kazimierz machnął pięścią. Zwarli się i zaczęli tłuc z zapamiętaniem, od razu postradawszy czapki. Napastnik, niższy, ale silny, pchał w kierunku jezdni, jak gdyby bojąc się przyparcia do muru. Kazimierz, wyrwawszy się, odstąpił, żeby runąć na przeciwnika z rozpędu. Po deszczu było mokro; pośliznął się, z czego tamten skorzystał i, bodąc w brzuch, rzucił nim o latarnię. Kazimierzowi ogień buchnął w czaszce, ziemia się ugięła — zemdlał.

Kiedy podniósł głowę, leżał na chodniku. Jasza zbierał książki z rynsztoka; ludzie stali kołem; stójkowy trzymał za kołnierz "realistę", gniewnie wykrzykując, to znów gwiżdżąc na gwizdku. Kazimierz podźwignął się i wstał. Szumiało mu w głowie, otarł rękawem krew z nosa. Od strony biblioteki Raczyńskich biegł żandarm, chłapiąc butami po kałużach. "*Razojtiś, razojtiś*" — wołał. Przechodnie nie kwapili się do rejterady. "Raz na Krakowskiem, *bez* wodotrysku, moskiewski panicz dostał po pysku!" — wrzasnął ulicznik i uciekł. Ludzie warczeli: "Dobrze mu zrobił, niech popowicze wracają do Moskwy". Jakaś kobieta rozżaliła się: "Moiściewy, tera naszego chłopaczynę pognają na Sybir..."

Żandarm już wypytywał policjanta; już zwracał się do Jaszy: "Za przeproszeniem, *Wasze Błahorodje*, Polak napadł tak"? — "Napadł". — "A panowie spokojnie sobie szli"? — "Spokojnie". — "On wam zupełnie nieznajomy"? Kazimierz odsunął Jaszę: "Znajomy". Żandarm się stropił: "*Wsio tak* napadł bez żadnej przyczyny". Kazimierz włożył czapkę. "Z przyczyną... Za siostrę". Jasza otworzył usta... Ludzie zaczęli sarkać: "A to bezczelny szczeniak"? — "Polek mu się zachciało"... Policjant puścił kołnierz "realisty". Żandarm, niepewnie uśmiechnięty, zrobił pół obrotu... Jasza pociągnął Kazimierza za rękaw. "Realista" znikł.

Dopiero w sieni na Miodowej Jasza ze zgrozą i podziwem zapytał: "Ty naprawdę jego siostrę skrzywdziłeś"? Kazimierz zaprzeczył głową. "No to czego on od ciebie chciał"? Kazimierz wzruszył ramionami. Anna wyszła z salonu na schody, wołając z góry: "Co wy tak późno dzisiaj? Obiad już podany". Kazimierz postawił nogę na stopniu, zachwiał się, znowu zemdlał i nie otworzył oczu, aż późnym wieczorem, w łóżku na górce.

Skóra na głowie nie była rozcięta, uszkodzenia czaszki doktór nie wymacał. Ale w chwili gdy, po powtórnym odzyskaniu przytomności, Kazimierz zobaczył przed sobą białą ścianę i zamknięte od wewnątrz drzwi pokoju, wszystko, co za drzwiami, przestało istnieć, pokój zaś wypełnił się bólem.

Nakazano bezwzględny spokój i tylko Anna miała dostęp na górkę. Po kilku dniach ból zaczął ustępował. Ona natomiast (znowu tak ją nazywał) zaczęła rosnąć. Budził się pod Jej wzrokiem; zasypiając, odnajdywał znowu Ją w przezroczystych pokojach, na falistych łąkach, pod drżącymi stropami snu. Ta inna Ona nie miała formy, ani głosu, była tłumem osób ludzkich i nieludzkich, była chmurą. Co się działo za sprawą Jej, nie mógł sobie nigdy przypomnieć, a przecież w każdym śnie wiedział o Niej i o sobie coraz więcej rzeczy, których nikt mu nigdy nie mówił; których nie potrzeba wyrażać, żeby kto jeden zrozumiał. Że Ona rozumiała, nie wątpił; bo nagle, bez żadnych wyjaśnień, tak wiele stało się możliwe, o czym dawniej marzył. Kładła rękę na jego czole, palcami czesała włosy, trzymała go za kiść, zapinała i odpinała koszulę na piersiach

nie wstydził się i nie burzył — te dotknięcia były dalszym ciągiem czegoś, co się zaczęło w nim i należało do niego. Mówił niewyraźnie nie z osłabienia, tylko że usta miały teraz własną mowę, niezależną od jego woli. Podobnie, oczu nie napełniał spojrzeniem i nie kierował wzroku, ale czuł, że są otwarte do dna, nad którym Ona coraz niżej się pochyla, żeby zobaczyć to, czego w sobie nie znał.

I w bólu i w niej były szczeliny; przez nie zaglądał raz Krzyżanowski, raz Pafnucy; od zapachu lekarstw zawiewało perfumami Izabelli i smrodem małpy Toto.

Kiedy ból skurczył się do jednego punktu w czaszce, zapragnął mieć Ją tak ogromną, tak gęstą, żeby świat za Nią całkowicie zniknął.

Zaczęły się rozmowy. Nowe usta znalazły łatwe i lekkie słowa, szybsze od myśli. Czytała mu wiersze. Najwięcej lubił jeden długi, angielski, bo nic nie rozumiał.

...Who will, may hear Sordello's story told:
His story?...

Zamykał oczy i słuchał, jak ptaka, czy strumienia. "Uważasz? — zapytała. — Uważaj, bo to o tobie". — "Myślałem, że o jakimś Sordello". — "Zanim przyjechałeś, tak ciebie nazywałam. — Zająknęła się. — Czy kuzyna Cecylia nie dawała ci żadnych zmyślonych imion"? Roześmiał się. "Kuzyna Cecylia" w muślinowej sukni ze wstążką zawsze pobudzała go do śmiechu. "Moja Mama nie lubi rozmawiać". — "Czy tak? — zaciekawiła się . — Rozumiem. To natura głęboka; woli czytać i myśleć. Czy macie dużą bibliotekę"? Zajął się łykaniem lekarstwa, podczas gdy w pamięci sunęły trzy wyplamione, postrzępione książki. "Ach, kiedyż ja w końcu ją poznam! — westchnęła. — A jak twój ojciec nazywał ją, *Casimir"?* Zakrztusił się, myśląc: Augusta. — "Rozmaicie" — powiedział i poweselał: już się nauczył, że Augusta po łacinie znaczyło "dostojna".

Czasami przerywał czytanie syknięciem. Zrywała się: "Co? znowu boli"? Ale to nie był ból w głowie, tylko pies Pafnucy zębami szarpnął. Jeżeli wtedy stała blisko, chwytał za rękę i pociągał na łóżko. Siadała; miażdżył jej dłoń, potem przyciskał do serca.

Po dziesięciu dniach doktór oznajmił, że niebezpieczeństwo minęło. O nauce jednak jeszcze nie było mowy. Żeby go rozerwać, przynosiła złocone tomy z obrazkami, które oglądali, skroń przy skroni. Jeżeli Jej podobał się obrazek, całował go; jeżeli jemu, Ona głaskała kartkę: "cudny, cudny"... Apetyt wracał, więc karmiła go i biła po ręku za grymasy. Potem otulała kołdrą i zasuwała firanki: "doktór kazał spać".

Coraz częściej zasnąć nie mógł. Za drzwiami zwolna ożywał dom, ożywało miasto, ożywała droga do szkoły i dalej, w nieznajome przestrzenie, w miesiące, lata... Droga, po której niedługo będzie znowu musiał iść, nie wiedząc, czyim jest synem, Piotra, czy Pafnucego i kogo więcej lubi, Polaków, czy Moskali.

Rzeczywiście, za drzwiami działo się. Ślub Lidii przyspieszano, bo *Nicolas* Worcow został przeniesiony do pułku gwardii z awansem na adiutanta; za miesiąc musiał jechać do Petesburga. Hrabina odkryła w sobie niepohamowaną miłość do córki, bez której życie miało rzekomo tracić wszelki sens, zwłaszcza w Warszawie, gdzie nawet na ulicy nie było komu pokazywać toalet, bo "prawdziwe damy" odwracały nosy od rosyjskich powozów. Lamenty i sprzeczki, przymiarki, pudła z kapeluszami, koronkowe halki i sepety ze srebrami napełniały dom po damskiej stronie, podczas gdy w bibliotece Jasza nudził ojca.

Annchen nie puszczała go do Kazimierza. Jakiś czas nosił się w milczeniu ze swoim sekretem; wreszcie przyłapał grafa przed jego wyjazdem do klubu. "Papo — powiedział, jąkając się — ja wiem jedną rzecz o kimś takim, co może wcale nie powinien u nas mieszkać". Kuriagin drgnął, bo i jego nurtowała "jedna rzecz", której nie chciało mu się dotąd sprawdzać u źródła. Mianowicie: czy to przypadkiem nie Kazimir doniósł na Krzyżanowskiego. Zrobił minę komiczną, przesadnie uważną, którą rezerwował dla dzieci. "Ooo? Proszę! Czy aby tylko *jedna* rzecz"? — "Nie, papo, nie żartuj". Ponieważ nos Jaszy pobladł z gniewu, graf czym prędzej podążył do biblioteki, każąc kuczerowi czekać. "No więc? — usiadł na brzegu fotela. — Dlaczego, podług ciebie, Kazimir nie powinien u nas mieszkać"? Jasza spłoszył się przenikliwością ojca. "Jaż nie wiem na pewno... Ja wszystkich tych polskich historii nie rozumiem. Ja tylko wiem, co on powiedział żandarmowi". — "No? cóż takiego powiedział"? — "On powiedział, że tamten go uderzył za siostrę". Twarz grafa wyraziła zaskoczenie. Pomilczał chwilę: "Hm. No tak... Dziękuję ci, Jasza". Wyszedł; na schodach znowu się zatrzymał: "Proszę cię, na razie nie mów nikomu więcej, dobrze"?

Graf Kuriagin po raz pierwszy w życiu był zły na Annę Michajłownę von Eichler. Oto do czego prowadzi przyjaźń, okazywana córkom samobójców. Cała ta rodzina z jej karkołomnymi odmianami fortuny, z jej niewyraźnym barońnstwem, z jej germańską rosyjskością i polskimi gałęźmi, musiała być niebezpieczna. I po cóż było zgadzać się na patronowanie chłopakowi, który, jakkolwiek sympatyczny, nie mógł mieć zdrowych, moralnych odruchów!

Zamiast do klubu, kazał się zawieźć do inspektora gimnazjum. Inspektor — łacinnik i hellenista — równie krótkowzroczny, jak obcy współczesnemu światu, nerwowo wertował notatniki, walcząc z rozluźnionym *pince-nez*. "Kristofowicz... tłumaczenie i mitologia — pięć! O rewizji nie słyszałem".

Zawezwano wychowawcę, Fiodora Nikitycza, i oficera żandarmerii, który, nie dawno temu, kierował rewizją u przestępcy politycznego, Krzyżanowskiego. Żandarm — sceptyk i wątrobiarz — nie miał zaufania do petersburskich liberałów; postanowił być lakoniczny. "Uczeń Kristofowicz? W sprawę

Krzyżanowskiego nie jest zamieszany". — "Czy doniósł"? — "Nie". — "Kto doniósł"? — "Nikt nie doniósł". — "Z jakiej przyczyny była rewizja"? — "Rewizje u osobników politycznie podejrzanych odbywają się bez specjalnej przyczyny". — Czy coś więcej wiadomo o uczniu Kristofowiczu"? Tak; chodzi wieczorami po mieście bez szkolnego szynela".

Kuriagin odetchnął. A więc doncsiciela w swoim domu nie gościł. Pozostawała małoważna sprawa "siostry".

Tu Fiodor Nikitycz skwapliwie pośpieszył z domysłami. "Dziewczyna?... Kristofowicz lubi ozdabiać swoje zeszyty imieniem *Izabella*..."

Wieczorem Konstantin Iwanowicz poprosił Annę Michajłownę, żeby po kolacji wpadła na chwilę do biblioteki. Przyszła prosto z górki, różowa, w fartuszku z koronkami. Na wiosnę nawet trzydziestoletnie panny wyglądają młodo — pomyślał, podczas gdy stawiała na biurku tacę z opróżnionym talerzem. "Odwiedzałam pacjenta" — rozpromieniła się. "Jak on się ma"? — wskazał fotel. "Dziękuję, Konstantin Iwanowicz, doskonale. Niedługo wróci do gimnazjum". Ustawił Marsa na czole. "A czy nie należało by raczej, aby opuścił Warszawę"? Spłonęła. — "Dlaczego?" — "No, bo tamten krewki młodzieniec, brat pięknej Izabelli, gotów go znowu przyłapać"...

Blada była teraz, jak zielonawa śnieżyczka i bezradnie przebierała palcami. Żartobliwie bąknął: "Radzę, Anna Michajłowna, z nim bardzo serio pomówić".

Wyszła. Wsunął się Jasza... "Jakże tam, papo?" Graf stracił cierpliwość: "Pilnuj swego nosa!"

Drugi dzień bez Niej dobiegał w pokoju na górce. Posiłki przynosiła pokojówka. Na tacy, zamiast obiecanych "Cierpień młodego Wertera", zjawiło się dzieło Mme de Staël "*Del'Allemagne*".

Kazimierz nie pojmował; umierając z niepokoju, buntował się i nienawidził siebie za bezsilność. Pokojówka powiedziała: "Nie, nic się nie stało. Anna Michajłowna kawę rozlewa w salonie". A drugiego dnia rano: "Anna Michajłówna z Lidią Konstantinowną wieczorem wybierają się jechać do opery". Przyczyny szukał w bezrozumnym porządku świata. Wszystko przecież co lubił, w co wierzył znikało tak bez ostrzeżenia: ojciec... Polszcza na szerskiej polanie... Chyba tylko wariaci, którzy śpią z drewnianymi kukłami, wierzą w miłość i wieczność?

Chował twarz w poduszki. Nie... to nie świat winien! To jego własna wina. Ona, tak jak Izabella, dojrzała w nim, syna Pafnucego...

Zgrzytał zębami, albo tułał się boso od ściany do ściany, marząc: ach, żeby matka! las! wieczne milczenie! Chwilami ciarki go przechodziły, bo zdawało się, że Ktoś na niego patrzy. Wtedy żegnał się krzyżem świętym.

Pod wieczór drugiego dnia ukląkł przy swoim kuferku i wy-

jął skarby tego czasu, gdy jeszcze był Kaziukiem. Papier o majętności Wrożyszcze... Kaszkiet bobrowski... nóż... Obracał go w ręku. Matka dawniej pytała: "ty biegać nie będziesz, kiedy jego za pas zatkniesz"? W wyrośniętej, żylastej dłoni wyglądał teraz jak zabawka.

Raptem drgnął — i jednym susem znalazł się pod kołdrą... Weszła Ona.

Powoli zamknęła drzwi. Była w zwyczajnej, nie wieczorowej sukni. Siadła z dala od łóżka. "Nie należy chodzić boso po podłodze"... Naciągnął prześcieradło na głowę i wyjrzał spod niego: "Przepraszam". Wydała mu się chora, czy czegoś nieszczęśliwa. Ale on, który dopiero co modlił się o śmierć, już nie pamiętał smaku nieszczęścia. "Nareszcie" — krzyknął i wyciągnął ręce. Nie ruszyła się, drżącymi palcami skubała chusteczkę. "O kogo była bójka"? — spytała cicho. Uniósł się na łokciu: "O nikogo... Tylko ten chłopak powiedział, że ja Polskę zdradziłem". Wstała; podeszła do niego. Nagle, wsuwając palce we włosy nad czołem, przechyliła w tył jego głowę: "Kim jest Izabella"? — Z oczami przy oczach, była zupełnie straszna; tak straszna, jak tamta. Padł na plecy, ale Ona nie puściła go. "Izabella, to stara kobieta, którą mój ojciec kiedyś kochał" — wyszeptał. Oczy skupione na nim ze śmiertelną uwagą, pojaśniały, a usta uśmiechnęły się bezbronnie.

Strach uleciał... Wszystko uleciało od dyszącej chmury ognia, która przygniotła mu piersi i objęła płomieniami ciało. Wydobył się, żeby zaczerpnąć oddechu. Padając znowu, twarzą w dół, wiedział już, że pada w Nią.

Było ciemno, kiedy usiedli, spleceni ramionami. Drżeli; oboje powtarzali jakieś słowo... Chmura ognia stopniała; czuł się lekki i silny. Po chwili poczuł, że go coś przez poduszkę uwiera. Sięgnął... Nóż. Nieznacznym ruchem usunął go za krawędź łóżka; szczęście rozpierało mu żebra: umiało ranić czulej i głębiej, niż nóż.

Przytuliła do jego twarzy gorący policzek, mokry od łez i pocałunków: "*Adieu, Casimir... Adieu!*. Odchodząc na palcach, cicho zamknęła drzwi.

XXII

Nazajutrz Anna nie przyszła ze śniadaniem i Kazimierz nie wiedział czy wstawać z łóżka, czy leżeć, czy żyć, czy umierać. Czekał. Czekał, a z każdą upływającą godziną płomień w nim gasł i tęsknota ustępowała niepewności. Męczył się, że jej nie ma i że Ona jednak gdzieś jest. Męczył się tym co powiedzieć i jak na Nią spojrzeć "po wczorajszym". Męczył się so-

bą. Czuł podwójność istnienia: ciało — wielki, uciążliwy przedmiot, który trzeba będzie lada chwila podźwignąć i nieść po ulicy, drgało własnymi dreszczami, wspomnieniami, chęciami, podczas gdy dusza wyrywała się oknem, lekka, niepamiętna, do czegoś swojego, czego nigdy nie było i nie będzie.

Kiedy, pod wieczór zjawił się dopuszczony nareszcie na górkę Jasza z listem w ręku, szczęście Kazimierza — po jednym dniu samotnym — było stare ze strachu i wstydu; prawie nienawistne. Otworzył list drżącymi palcami. Odetchnął : od matki. Czytał pilnie... Babka Martyna umarła na złośliwą gorączkę! Zmartwił się, ale i pokochał ją za to, jak anioła, który wyprowadza z czyśćca. Musiał jechać! Kończyło się dożywocie bobrowskie i miejsce syna było przy bezdomnej matce. Musiał jechać natychmiast — wszystko inne przestawało być ważne.

Jasza pobiegł roznieść wiadomość po domu. Za chwilę się okazało, że Martyna dogodziła wszystkim swoją śmiercią. Graf Kuriagin poweselał na myśl, że nie będzie musiał wyszukiwać dalszych pretekstów dla pozbycia się chłopaka, któremu nic nie mógł zarzucić oprócz win nie swoich i nie jego; skwapliwie wyasygnował pieniądze na podróż Kazimierza drugą klasą do Terespola i, pośpiewując: "*Una voce poco fa*" — wybrał się wcześniej, niż zwykle, do klubu.

Anna całą uprzednią noc się modliła. Z początku samymi wargami, byle szeptać święte słowa i Boskim imieniem głuszyć to drugie, teraz już niemożliwe, imię: *Casimir*. W miarę jak ból i żar wygasały w łonie, które chłodziła noc, modlitwa nabierała treści. "O mój Boże! — łkała *Annchen*, ściskając poduszkę — spraw żebym była nadludzko odważna! Spraw, żebym wzgardziła światem i zamieszkała z *Casimir* w jakimś nieprawdopodobnym miejscu, gdzie mogłabym mu służyć dopóki on mną nie wzgardzi. Albo spraw, Boże, cud zapomnienia... Żebym jutro się obudziła taka sama, jak w tamtym ckliwym czasie, zanim *Casimir* przyjechał z lasów. Czy też w tym czasie drżącym, niespełnionym, kiedy *to* się jeszcze nie stało... Czy też w jakimś nowym, nieznanym mi, czasie zimnym — po śmierci". Cud rozłąki, zwiastowany przez Jaszę, choć okrutny, był prostszy.

Pociąg do Terespola odchodził o 6-tej rano. Z sercem obcym, trzepotliwym jak ćma, z lawendową chusteczką przy ustach, Anna Michajłowna patrzyła zza firanki jak jej *neveu* w swoim litewskim surducie — nieżegnany — opuszczał bramę, z kuferkiem na plecach. Wilgotny bruk lśnił w majowym słońcu i lśniło faliste pasmo włosów.

...Who will, may hear Sordello's story told:
His story?...

Nie podnosząc oczu ku oknom, syn kuzyny Cecylii, pięknej, z bukietem w konwaliowych paluszkach, wnuk "wielkiego niedźwiedzia", szybko się znów oddalał do "wielkich, wielkich lasów", jak do bajecznego zamku Goito minstrel Sordello, którego

za długiej i za trudnej historii Anna Michajłowna nigdy nie zdołała przeczytać do końca.

W tydzień później leśnik Kazimierz Krzysztofowicz szedł, z fuzją przez ramię, w obchód ranny bobrowskiego rewiru.

Mieszkali już z matką w leśniczówce, zwolnionej przez Rokiciuka. Na miejscu Rokiciukowego tapczana stanął kuferek z mosiężną rączką. Na miejscu grzybowych wianków na ścianie zawisła półka, a na niej — obok Klementyny z Tańskich Hoffmanowej i Goethe'go — zagnieździły się nowe upiory: Athalie, Minna von Barnhelm, Pisariew i Dziady.

Ale Kazimierz ani w kufrze nie szperał za dokumentem z pieczęcią Ślepowron, ani nie czytał książek. Las go pociągał, jak łono kobiece. Po pogrzebie babki, matka czerwieniąc się i blednąc, namawiała by wracał do Warszawy. Słuchał z pobłażaniem. Rozumiał, że teraz, kiedy powszechnie było wiadome, że to nie on zabił Hrycia, kiedy Frania opuściła Bernawczyce, a babka Bobrówkę, Cecylia Krzysztofowicz nie mogła pragnąć, by jedyny syn przebywał tak daleko.

Zresztą, odkąd siadł na żydowską brykę w Stradeczu i za jakąś rzeczką, za jakąś groblą, zaszumiały rojsty i pierwsza fala leśnego zapachu przemyła mu oczy, stało się z nim to błogie nieszczęście, o które nie śmiał Boga prosić: umarł. Śmiercią nie pierwszą; każda osoba, która go zdradzała — ojciec, Regina — przyprawiała o nagłą i niespodziewaną śmierć jakieś uczucie, czy pragnienie. Ale teraz umarł całkowicie. Podróżny z oczami przemytymi wiatrem nie był już Kaziukiem, litewskim miglancem, *Casimir'em*; był człowiekiem dorosłym.

Tak więc człowiek dorosły szedł w obchód leśnego rewiru. Na śniadanie dostał żuru z kaszą; czuł się mocno. Na Szerskiej polanie miał zdawać sągi woźnicom z Ministracji, a po drodze uważać na ślady i tropy. Mijając dąb, pod którym rok temu szamotał się z Hryciem, przystanął. Próbował obudzić w sobie grozę i żal tamtej chwili; nie, nie mógł. Widział siebie z nożem w ręku, spotniałego z wysiłku, i Hrycia złego w słomianym kapeluszu — blady obrazek; tamta chwila dziecinna umarła.

Stąpając lekko po trzęsawisku w pobliżu jeziorka, wspominał jak tu kiedyś patroszył kaczkę pod przyczajonym spojrzeniem Rokiciuka. Nie pamiętał tylko czy nóż dziada Elichwira wyjął potem ze szpary za łóżkiem, dokąd się — niepotrzebny — ześlizgnął podczas tych innych zapasów — z Anną — w pokoju na warszawskiej górce... Obchodził kołem jeziorko; tymczasem Regina, Krzyżanowski, nauczyciel — Moskal, poczciwy Henio, drewniany Bojarski, Milo i jego kamrat, na Krakowskiem Przedmieściu syczący "zdrajco!", żandarmi i *Mathilde* — wszyscy, którym kiedykolwiek życzył śmierci, kogo chciał ranić i karać — wysunęli się z minionych lat i stanęli między sosnami. Patrzył na nich pogodnie; sami, bez jego zabijania, stracili władzę nam nim.

Na polanie jeszcze nie było woźniców. Przeliczył sągi i siadł

na zwalonej kłodzie. Słońce za lasem już wysoko stało; nie widział, ale czuł po suchości wonnego powietrza i po cieple w plecach, gdy siedział i patrzył na trawę upstrzoną kaczeńcami i niezabudkami. Wiwilga, szursząc zeszłorocznym listowiem na dębie, natarczywie o coś pytała i szastała się z gałęzi na gałąź, podczas gdy dzięcioł kuł swoje. Za strumykiem sitowie się chwiało; co chwila uszy zajęcze wystrzelały w górę, by znowu zniknąć i wynurzyć się dalej. Czyżyki ćwierkały, kos gwizdał, po Gomaczewskiej stronie zabeczał łoś, słońce rozpruło gąszcz i słodką strugą rozlało się po łopatkach Kazimierza. Odrzucając w tył głowę, przymknął oczy i zachłysnął się szumem drzew. Coś się zatrzymało w ekstatycznym skurczu — świat? serce? — poczuł rozkosz. Kiedy odprężył się i głośno ziewnął, wiwilga pierzchła, dzięcioł znieruchomiał a spod nóg porwały się, rozpaczliwie trzepocąc podwójnymi skrzydłami, dwie zrośnięte ze sobą świtezianki, których nawet śmierć nie mogłaby teraz rozłączyć; odleciały za strumień. Westchnął, myśląc o Annie; razem ze swoim jednodniowym kochankiem, jak ta świtezianka, odleciała w przeszłość, ale rozkosz, którą zapaliła, żyła bez niej w jego pamiętliwym ciele.

Nagle ,od strony Gomanewa, rozległ się na drodze leśnej najpierw galop, potem zbliżający się kłus i rżenie wierzchowców. Otrzeźwiał... Usłyszał dudnienie głosu męskiego i lekki głos kobiecy. Wstał, przeskoczywszy strumień, wybiegł na zarośnięty wzgórek, skąd — niewidziany — mógł oglądać drogę. Przodem jechała amazonka, trzymając uzdę dłonią w wysokiej białej rękawicy. O pół długości za nią, na kasztanowatym Angliku, którego szyja lśniła, podążał ciemno ubrany — śniady, długonosy — mężczyzna w botfortach, z pejczem o srebrnej gałce. Śledziona Anglika grała, popręgi chrzęściły, zapach nie leśny i nie tutejszy zaleciał od jeźdźców. Jaśnie wielmożnej pani Borkuć, administratorowej siostra, i narzeczony z Warszawy — przemknęła przez głowę wczorajsza pogłoska.

Jechali teraz stępa, rozglądając się. "Chciałabym ci, Andrzeju, pokazać tę polanę — mówiła panna — gdzie był w powstaniu obóz Stasukiewicza... Mój kuzyn, Feliś Jarmin, z nimi przestawał póki na jesieni suchot nie nabawił się... *Et moi-même*" *) — "*Et toi-même*" **) — zrównał się z nią, objął ramieniem, i na parskających koniach długo się całowali. "Nie przeszkadzaj! — odzyskała mowę. — Na dnie wozu ukrytego *je l'ai ramené moi-même* ***), za chłopkę przebrawszy się, niby to, że z Bobrówki leśnika jakiegoś tam żona skóry w workach do Gomaczewa wiezie..." Odjął jej rękę od końskiego grzbietu i przytulił do swojej twarzy: "Żona... *moja* żona..." Wierzchowiec się zniecierpliwił. "*C'est étrange...* ****) — cofnęła rękę. Wiosna tak wszy-

*) I ja sama...
**) I ty sama...
***) Odwiozłam go sama.
****) To dziwne.

stko odmienia... *Je ne sais plus trouver cette malheureuse clairière"* *).

Kazimierz rozchylił gałęzie. "Szerska polana, to tutaj! — zawołał. — Zaraz na prawo dukt będzie". Zdarli konie i podniósłszy głowy, patrzyli ze zdumieniem na młodego leśnika, który rozumiał po francusku. Twarz amazonki, młodziutka, czupurna, była wielce bezbronna; pod wzrokiem Kazimierza spłonęła. Otworzyły się pulchne usta, jak gdyby o coś chciały zapytać, a zarazem ostro czemuś zaprzeczyć. Wtem koń, sparty kolanami, dał szczupaka. W galopie panna przeoczyła dukt; welon, którym był opasany jej kapelusz niósł się, jak błękitny proporzec. "*Nathalie! Nathalie!* — krzyczał narzeczony. — Za daleko! Wróć!...". Wróciła. Znowu stali w dole — ona, nieprzystępna i on, żartobliwy. "Coś ty za jeden?" — zapytał. Kazimierz wzruszył ramionami: "Po Rokiciuku... leśnik nowy". Amazonka zmarszczyła brwi: "Skąd po francusku umiesz"?. Milczał. "Jak cię pytają, to odpowiadaj, leśniku — przynaglił jeździec — Jaśnie panienka życzy sobie wiedzieć, czy pojąłeś coś my między sobą po francusku mówili i skądeś się tutaj wziął, z Warszawy, Petersburga — dowcipkował — czy może samego Paryża"...

Kazimierz skrzywił się. "Słowo polana każden człowiek rozumie. A wziął się ja... z Bernawczyc" — "Znaczy się ty?... — panna uspakajała konia głaskaniem — ty"... — "Ja... tutejszy" — dokończył. Z dala nadciągał skrzyp furmanek, więc zagwizdał na gwizdku, patrząc nad głowami narzeczonych.

Chwilę jeszcze postali, potem pchnęli konie i łeb w łeb, stępa, zjechali w las między dęby, zapomniawszy — widać — Felisia Jarmina i spraw wszystkich nieszczęśliwej polany.

Kazimierz, szeleszcząc zeszłorocznymi liśćmi, zeszedł ze wzgórka na drugą stronę strumienia. Kłoda, na której dopiero co siedział, pałała w słońcu, jak bursztyn. Ominął ją i, w drodze do sągów na porębie, zanurzył się w płochliwy cień brzezinowy. Zanim furmani nadjadą, chciał, żeby jeszcze trochę potrwała w lesie ta uroczysta próżnia, w której dokonał się wybór. Bez ojca i bez noża, dokonał się wybór całego życia przez jedno słowo: *tutejszy*.

Niesmarowane osie skrzypiały coraz bliżej. A-uu, a-u!! — hukał któryś z furmanów. Kazimierz otarł oczy rękawem. Dorośli także płaczą — usprawiedliwił się przed sobą, widząc w myśli swoją matkę pod obrazem Ostrobramskiej... Potem nacisnął czapkę i wyszedł spośród brzóz na polanę, mroczny i cierpliwy, jak sam wielki niedźwiedź — staryj Elichwir.

K O N I E C.

*) Nie umiem już znaleźć tej nieszczęsnej polany.

Następny numer KULTURY, ukaże się w pierwszych dniach września w normalnej objętości i po normalnej cenie.

♦

KORESPONDENCI "KULTURY"

Korespondent londyński: Juliusz Mieroszewski. Adres: 21, Fentiman Road, London S.W. 8. Telefon: REL. 41-33.

Korespondent berliński: Jerzy Prądzyński. Adres: Hanauerstrasse 80. Berlin-Wilmersdorf. Telefon 83 42 23.

♦

DO PRENUMERATORÓW "KULTURY".

Zawiadamiamy, że każdorazowa zmiana adresu pociąga za sobą dodatkową opłatę w wysokości 35 frs. (bądź równowartości), którą należy przekazywać do Redakcji lub do przedstawicielstwa za pośrednictwem którego "Kultura" jest prenumerowana.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA", 12, rue St-Louis en l'Ile, Paris (IVe)
Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Dépot légal: 3e trimestre 1952.

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

◆

es Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata ½-roczna	Prenumerata Roczna
A: Libella, 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris IVe.	150 fr.	900 fr.	1800 fr.
TANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/ Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
Y: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trie- 30/5, Roma	250 lir	1500 lir	2500 lir
A: Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan Stockholm	3 kr.	15 kor.	28 kor.
: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mann-Sandhofen, 4094 LSCO Schönau, U.S. Zone ikciuk, Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, nen 54	2,50 DM	15 DM	25 DM
YNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica ki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, s Aires	10 peso	60 peso	120 peso
A: Books and Newspapers Agency, H. R. nski, 83 Front St. E. Toronto/Ont; Stan. olski, 880 Barton St. E. Hamilton/Ont. na Krakowska, 2290 Av. Marcil, Notre de Grâce, Montreal/Que. Stan. L. Le-ki, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg/Man. ław Zybała, 1089 Queen St. W., To-/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
Józef Białasiewicz, 1165 Milwaukee Ave., 22, Ill.; W. Bieńkowski, „Gryf Publ.”, ger Str., Utica, N.Y.; L. Dudarew- Os- 28471 Ventura Blvd, Agoura, Califor- K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., ge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 1828 d Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Ple-i, P.O. Box 750, Santa Barbara, Cali- M. Szyprowski, 11 Cooper Street, New 4, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805, Detroit 14, Mich.; S. Dziarczykowski, — 15 St., Los Angeles 19, California.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
i KONGO BELG.: Janina Korab Brzo-a-Csaky, 132, Av. Maréchal Joffre, Bru- -Forest. Nr konta pocztowego 7315-20.	30 bfr.	145 bfr.	260 bfr.
POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Street, Sydenham, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
LIA: «Vistula» (Australia) PTY, Ltd., itt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£A 1.7.6.	£A2.12.6.
IA: Prenumeraty przyjmują: Julia Bar-, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Ja- oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, ba, Parana; Walery Bader, Barao de Li- 915, apto 58, Sao Paulo	15 cruz	90 cruz	150 cruz
ARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lau- Genève	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
: Victor Stanisławski, Apartado Postal Culiacan, Sin	0,75 cent.	4 dol.	6 dol.

krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.

Koszta przesyłki pojedyńczego numeru: 30 fr. fr.

◆

eżności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na es: **Jerzy GIEDROYC**, 1, Av. Corneille, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.).

lakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca ynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

◆

LTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

◆